ALEKSANDER I

Według litografii Mintera. — Muzeum Wojska w Warszawie.

PORTRETY

MAURICE PALÉOLOGUE
CZŁONEK AKADEMII FRANCUSKIEJ, AMBASADOR FRANCJI

ALEKSANDER I

DZIWNY CAR

„Zamachy stanu wcale nie są zbrodnią i wszystko to, co daje sławę, jest wielkie..."

„Wiedz pan, mości filozofie, że nie można mieć miękkiego sumienia, gdy się rządzi światem".

Fryderyk Wielki. *Dialogi zmarłych.*

Z 9 RYCINAMI

KSIĄŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

Z ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO POD TYTUŁEM: ALEKSANDER I
PAR MAURICE PALÉOLOGUE Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYLI
MARTA GRABOWSKA I JÓZEF KONOPKA

271942

OKŁADKA — ORYGINALNY DRZEWORYT BARWNY
ST. O. CHOSTOWSKIEGO

2856

ZAKŁADY GRAFICZNE SP. AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE
PRINTED IN POLAND

K VIII

ROZDZIAŁ I

Charakterystyka zewnętrzna carewicza Aleksandra: szlachetna wytworność w obejściu — wdzięk osobisty. Nienasycona chęć podobania się pod pozorem prostoty; mistrz w rolach reprezentacyjnych — „Talma Północy". Inteligencja błyskotliwa, szybkość orientacji, zadziwiające zdolności, wykształcenie powierzchowne — „bez solidnych podstaw". Siła wyobraźni; niedowiarstwo; luki i dziwactwa w pojmowaniu moralności — zagadkowy charakter.

W zaraniu dziewiętnastego stulecia carewicz Aleksander, syn Pawła I, wnuk Katarzyny Wielkiej, jest pięknym dwudziestotrzyletnim młodzieńcem, szczupłym o oczach błękitnych, rysach delikatnych, kształtnym nosie i jasnych kasztanowatych włosach. Z jego twarzy promieniuje pełen uroku wyraz, cechujący również całe zachowanie się pełne monarszej wytworności.

W obejściu prosty do przesady, niekiedy zbytnio podkreśla tę prostotę, gdyż chciałby koniecznie podobać się wszystkim. Czuje na sobie bezustannie niewolnicze spojrzenia i błagalny wzrok kobiet. Umie zjednywać sobie serca wszystkich. Młodziutka jego żona Elżbieta, z domu księżniczka badeńska, zachwycające stworzenie, równie poważne jak romantyczne, uwielbia go bez granic.

Carewicz jest jednak nieśmiały. „Byłem zawsze w kłopocie" — mówi — „gdy miałem wystąpić publicznie". To dziwne jakieś zakłopotanie prześladowało Aleksandra aż do końca panowania, lecz dostrzegał je tylko on jeden, celował bowiem zawsze w rolach reprezen-

tacyjnych. A los powierzył mu ich kilka, i to niezwykłych, jak koronacja na Kremlu w Moskwie, romantyczna scena w Poczdamie przy grobie Wielkiego Fryderyka, historyczne spotkania w Tylży i w Erfurcie, wiosna narodów w roku 1812, wjazd do Paryża, kongresy w Wiedniu, Akwizgranie, w Weronie itp. Każde z tych wydarzeń, brzemiennych w następstwa, głęboko go wzrusza i podnieca, w obliczu odpowiedzialności rozzuchwala, wprowadza w zakłopotanie i równocześnie dodaje mu siły. Doskonały aktor, jaki w nim tkwi, usprawiedliwia nazwę „Talma Północy", jak się o nim wyraził Napoleon, który również dał się omamić jego urokiem.

Inteligencję ma żywą i błyskotliwą, umysł czujny i badawczy, sąd subtelny, słowa miłe i słodkie. Te zalety ujarzmia wola, oparta na urojeniach, przekorze, chytrości i uporze. Wykształcenie otrzymał Aleksander dość powierzchowne. Preceptor jego, zabawny wodyjczyk La Harpe, nabił mu głowę utopiami, ideami humanitaryzmu i filozofii, nie pozwalając zetknąć się z prawdą szarego dnia. Bystrość, z jaką wszystko pojmuje, a raczej odgaduje, sprawia wrażenie, że długo się nad czymś głowił, gdy tymczasem jeszcze przed chwilą nie wiedział nawet, o co chodzi. Kobieta, która go znała za dobrze, aby go naprawdę kochać, wydała o nim sąd okrutny twierdząc, że: „brak mu podstaw". Toteż pomimo tylu darów fortuny, mimo wrodzonej szlachetności uniesień i porywów, mimo strasznych ciosów i rozczarowań, jakich mu nie szczędziło życie, nie był on nigdy wielkim monarchą.

Wychowanie religijne księcia jest bardzo płytkie. Jego babka, Katarzyna II, przyjaciółka Diderota i Woltera, bożyszcze encyklopedystów, *„Notre-dame de Petersbourg"*, wychowała go w zupełnej obojętności dla chry-

stianizmu wpajając przekonanie, że religia ma wartość jedynie jako „instytucja policyjna". La Harpe podyktował mu raz zdanie: „Zbawiciel to żyd, którego imię przyjęła sekta chrześcijan". Nic nie zdradza w jego niedowiarstwie zainteresowania dla spraw ducha, nic nie zapowiada mistycyzmu, który go opanuje na starość.

Aleksander z natury ma serce czułe. Przyjaźń, przywiązanie i miłość odgrywać będą zawsze wielką rolę w jego życiu.

Historia zanotowała wiele przykładów jego wyrozumiałości i współczucia dla biednych, chorych, rannych, kalek i więźniów, co nie przeszkodzi mu jednak zatwierdzać, a często nawet wydawać okrutne wyroki. Bez wątpienia nie obce mu były maksymy wielkiej babki Katarzyny: „Jestem dobra, zazwyczaj łagodna, nie znoszę kaźni i wieszania, lecz państwo mnie zmusza do wyrażania mej woli w sposób bezwzględny".

Największą wadą, która zresztą tłumaczy charakter rządów Aleksandra, jest chwiejność. Nerwowy fantasta działa tylko pod wpływem afektów. Nagłe zmiany humoru, skoki od brutalnego egoizmu do wspaniałomyślności, radość życia i melancholia, odwaga i tchórzostwo, zapał i zniechęcenie, szczerość pełna niedomówień i wykrętów, pociąg do pustych rozrywek wśród najpoważniejszej pracy, dziwny brak poczucia moralności i niezdrowe wybryki w miłostkach — to wszystko wskazuje na chorobliwy stan psychiczny i fatalny atawizm.

Bezkarnie nie można być synem podejrzliwego degenerata i okrutnego błazna, potwora „o trupiej głowie", jakim był car Paweł I.

Napoleon, zawsze tak zrównoważony i konsekwentny, nie umiał sobie nigdy wytłumaczyć braku równowagi

i logiki u Aleksandra. Raz zwierzył się Metternichowi: „Trudno posiadać świetniejszy umysł, jak cesarz Aleksander, lecz mnie się zdaje, że brak mu jednej klepki, tylko nie mogę dojść której".

ROZDZIAŁ II

Dramat Pawła I. Głucha nienawiść Katarzyny II do swego zdegenerowanego syna, którego pragnęła wydziedziczyć. Aleksander godzi się na odebranie tronu swemu ojcu. — Nagła śmierć Katarzyny, wstąpienie na tron Pawła. Cztery lata dziwactw i tyranii. Spiski. Pierwsze zwierzenia wobec carewicza; rozmowa z hr. Paninem w łaźni; milczące przyzwolenie. — Sprzysiężenie z udziałem Aleksandra. — Noc 23 marca 1801 roku w pałacu Michajłowskim; dziki zgiełk. — Bezczynność carewicza: „Spałem". Jego załamanie się po morderstwie: odważna pomoc ze strony młodej małżonki, Elżbiety Aleksiejewny. — Współudział Aleksandra w zabójstwie ojca. Obawa przed pociągnięciem do odpowiedzialności królobójców, z których kilku mieni nawet swymi najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Wyrzuty sumienia, które prześladować go będą aż do zgonu.

W dniu, w którym zostaje cesarzem, wikła się Aleksander w straszny dramat, którego okropne wspomnienie zachowa aż do ostatniego dnia swego życia.

Współudział Aleksandra w morderstwie ojca nie ulega żadnej wątpliwości.

Oswajał się z tym, względnie przygotowywano go do tej zbrodni od dawna. Katarzyna II nigdy nie mogła się pogodzić z myślą, że pozostawia cesarstwo, swe wspaniałe imperium, zdegenerowanej kreaturze, którą poczęła z Sołtykowem, pierwszym swym kochankiem, gdyż wydaje się pewne, że Piotr III, uduszony potem w Ropszy, nie miał z tym faktem nic wspólnego.

Przez lat trzydzieści męczyła ją ta tajemnica, sprawiając dotkliwy ból. Stosunki między matką i synem

CAR PAWEŁ I i MARIA TEODORÓWNA

Według Falconeta. Portraits Russes. — Muzeum Narodowe w Warszawie.

przypominały pod wielu względami stosunki Agrypiny i Nerona. Głucha nienawiść dzieliła ich bezlitośnie. Toteż w ostatnich dniach swego panowania Semiramida Północy czując upadek sił postanowiła wydziedziczyć znienawidzonego syna i powierzyć koronę wnukowi Aleksandrowi, którego ubóstwiała.

Młody człowiek, który był już zupełnie rozwinięty umysłowo, gdyż kończył dziewiętnasty rok życia, nie miał, zdaje się, żadnego skrupułu, ażeby zająć miejsce ojca na cesarskim tronie, jak to widać z pełnej pochlebstw i uległej odpowiedzi na zamiary i projekty babki.

Nigdy chyba nie potrafię wyrazić mej wdzięczności za zaufanie, jakim Wasza Cesarska Mość raczyła mnie zaszczycić, oraz za Jej dobroć, której dowodem jest Jej własnoręczny dopisek na nadesłanych mi aktach. Nie potrafię nigdy zapłacić, nawet moją krwią, za to wszystko, co Wasza Cesarska Mość dla mnie uczynić zechciałaś. Te akta potwierdzają zupełnie jasno wszystkie wskazania, które Wasza Cesarska Mość raczyła mi zakomunikować, a które, o ile mi wolno szczerze wyznać, nie mogą być bardziej słuszne. Składając jeszcze raz u stóp Jej Cesarskiego Majestatu uczucia najszczerszej wdzięczności niech mi będzie wolno wyrazić najgłębszy szacunek oraz najwierniejsze przywiązanie.

Waszej Cesarskiej Mości bardzo uniżony i bardzo uległy poddany i wnuk

Aleksander

Nie znamy, niestety, dopisku carowej, lecz odraza, jaką syn w niej wzbudzał, była zbyt powszechnie znana, ażeby nie można sobie łatwo wyobrazić, jakiego to rodzaju były te „wskazania tak słuszne", które uzasadniały konieczność upadku Pawła Piotrowicza.

Dlaczego Katarzyna nie urzeczywistniła swego planu? Co stało się z projektowanym manifestem, który ogło-

sić miał ludowi rosyjskiemu przedwczesne wstąpienie na tron Aleksandra?...

Jest to nieodgadnioną tajemnicą.

Najprawdopodobniej piorunująca apopleksja, która w dniu 17 listopada 1796 roku powaliła nagle starą cesarzową, wywołała w Zimowym Pałacu tak wielkie zamieszanie, że skorzystał z niego Paweł kładąc natychmiast rękę na cesarskim dziedzictwie i ogłosił się carem, gdy konająca imperatorowa rzęziła jeszcze.

Upłynęły cztery lata. Wybryki, okrucieństwa i szaleństwa nowego samodzierżcy stały się w końcu tak nieznośne, że w umysłach Rosjan krążyła jedna tylko myśl: „Teraz to już za wiele... jeśli to obłąkaniec, trzeba go złożyć z tronu... trzeba go zamordować". Wybryki absolutyzmu wywołują w końcu zawsze tylko myśl o morderstwie.

W początkach roku 1880 hrabia Panin, wicekanclerz spraw zagranicznych, spotyka niby przypadkowo w łaźni młodego carewicza.

Tutaj, pod pozorem banalnej rozmowy, która nie wzbudza żadnych podejrzeń, szczerze przedstawia wielkiemu księciu, następcy tronu, w jak tragicznej sytuacji znajduje się cesarstwo i zwraca uwagę na konieczność bezzwłocznego położenia kresu panowaniu Pawła.

— Nie można — mówi — pozostawiać dłużej losów Rosji w rękach szaleńca, który nawet przy cieniu sprzeciwu wybucha huraganem gniewu. Po prostu obowiązek nakazuje go usunąć. Nie zrobi mu się przy tym nic złego: w najbardziej zaszczytnych warunkach zapewni mu się życie, gdzie jego duch niespokojny gdzieś z dala znajdzie ukojenie.

Cesarzewicz słucha uważnie i bez słowa tych wynu-

rzeń tak ważkich, będących właściwie wyrokiem śmierci; nie dziwi się ani oburza. Spraw takich w rodzinie Romanowych nie bierze się zbytnio do serca.

A może zrobi mu się żal ojca i uczucie litości nakaże otworzyć mu oczy?...

Nie, z całą zimną krwią pozwoli mu stoczyć się w przepaść.

Kilka miesięcy po tym spotkaniu w łaźni detronizacja Pawła jest zdecydowana i przygotowana. Bierze w niej udział sześćdziesięciu spiskowców, rzucających z całą świadomością na szalę swe życie.

Na czele tej niebezpiecznej wyprawy stoi hrabia Pahlen, gubernator wojskowy Petersburga, oraz generał Bennigsen.

Większość spiskowców, jak książę Piotr Wołkoński, książę Jaszwił, obaj Zubowie, Platon i Mikołaj, książę Aleksander Golicyn, hrabia Uwarow należeli do gwardii, która jak zwykle wzięła na siebie tradycyjną i decydującą rolę, którą odgrywała w dawniejszych rewolucjach pałacowych z okresów panowania Anny Iwanówny, Elżbiety Piotrówny czy Katarzyny Aleksiejewny.

Zamach ustalono na dzień 23 marca o północy.

Pałac Michajłowski, siedziba Pawła, ponura, zimna twierdza, strzeżona była tego wieczoru przez trzeci batalion siemionowskiego pułku, w którym służyła sama elita.

Car, którego prywatne apartamenta znajdują się na pierwszym piętrze, niczego nie podejrzewa.

Zaledwo usnął, zbudził go przeraźliwy hałas. Jakieś okropne widziadła zrzuciły go nagle z łoża.

Wysadziwszy drzwi sypialni spiskowcy, których większość była pijana, rzucają się na nieszczęśnika i roz-

płatawszy czaszkę i piersi szpadą, pięścią i uderzeniami butów duszą go w końcu szarfą jego własnego orderu.

Gdy trup zdawał się jeszcze przez chwilę drgać, jeden z morderców wskoczył mu na brzuch, „aby wyrzygnął prędzej duszę".

A cóż robi w tej chwili carewicz?

Mieszkał on na parterze w tymże pałacu Michajłowskim, w części dość oddalonej od apartamentu, w którym rozegrała się haniebna scena. Można więc uwierzyć, że nie słyszał hałasu spowodowanego wtargnięciem morderców, krzyków i jęków ofiary. „Przecież spałem", tłumaczył później. Dziwne to spanie, skoro wiedział o wszystkim, skoro sam wyznaczył trzeci batalion siemionowskiego pułku na służbę w Michajłowskim pałacu w dniu 23 marca. Przecież tego dnia o 6 wieczorem Pahlen raportował mu o ostatecznych szczegółach postanowionego zamachu.

Niemniej wstrząśnięty jest straszliwie, gdy jeden ze zbirów, praporszczyk Półtoracki, z rozwichrzonym włosem, zdyszany, z obłędem w oczach, krzyknął:

— Stało się!

— Co się stało?

— Cesarz nie żyje!

W tej chwili przybył Pahlen. I po raz pierwszy carewicz słyszy nowy tytuł „Wasza Cesarska Mość".

Czyż to nie scena z „Makbeta"?

Aleksander ubiera się pośpiesznie, chce natychmiast przyjąć spiskowców, którzy naglą go, aby ukazał się wojsku i stwierdził tym samym objęcie władzy.

Carewicz schodzi wraz z nimi, lecz na dole w przedsionku blednie, gwałtowny spazm grozi mu omdleniem. Wnoszą go z powrotem do sypialni, gdzie żona, czuła

i szlachetna Elżbieta Aleksiejewna, dodaje mu otuchy. Gdy jeden z dworzan wchodzi po chwili niespodzianie do pokoju, widzi, jak z przywartymi do siebie ustami płaczą we wzajemnym uścisku.

Dzięki żonie Aleksander przychodzi do siebie i spieszy ukazać się wojsku, które wita go gromkimi okrzykami, jak zwykle, gdy cara zobaczy.

Zaraz też opuszcza pałac Michajłowski, w którym już żaden car nie ośmielił się zamieszkać, i udaje się do pałacu Zimowego.

Tu znalazł się pod szczęśliwą i pełną chwały gwiazdą Katarzyny Wielkiej. Zaledwie jednak przestąpił próg, nerwy ponownie odmawiają mu posłuszeństwa. Jeden z lejbżandarmów pełniących służbę widział, jak wlókł się z trudem, uginając kolana, z głową spuszczoną, z włosami w nieładzie, z twarzą zalaną łzami, wzrokiem utkwionym przed siebie jak we śnie.

Gdy pozostaje wreszcie sam — załamuje się całkowicie.

Ażeby zmniejszyć winę i odpowiedzialność Aleksandra, kilku apologetów jego panowania starało się udowodnić, że chociaż zezwolił na odosobnienie chorego ojca, to jednak nigdy nie wyraził zgody na zabójstwo, a nawet nie mógł tego przewidywać, że nigdy nie dawał carte-blanche spiskowcom — nie zasłużył zatem na straszny zarzut ojcobójstwa. Najlepszym dowodem tego twierdzenia miały być podobno wynurzenia hrabiego Langerona, emigranta francuskiego w służbie rosyjskiej, który słyszał od Pahlena o przygotowaniach do zamachu:

„W imię prawdy winienem stwierdzić — oświadczył Pahlen — że carewicz Aleksander właściwie nie chciał się na nic zgodzić, zanim nie wymógł na mnie najuro-

czystszego słowa, że życiu jego ojca żadne niebezpieczeństwo grozić nie będzie. — Słowo to dałem".

W rzeczywistości to najuroczystsze słowo żadnego nie miało znaczenia i nie było niczym innym, jak zręcznym i dyplomatycznie podanym wyrażeniem, po prostu zwykłym zwrotem retorycznym.

Aleksander rozumiał to doskonale i na pewno nie miał żadnych złudzeń; zbyt dobrze bowiem znał swego ojca, aby choć na chwilę przypuszczać, że nie będzie stawiał oporu i że pozwoli się uwięzić, podobnie jak nieszczęsny Iwan VI, którego prawowita małżonka Elżbieta wtrąciła do twierdzy schlüsselburskiej, gdzie go pewnego poranku znaleziono zastrzelonego w ciemnicy.

Nie. — Paweł I, ten zarozumiały samowładca, tak czuły na swoją wielkość, pełen pychy, którego najmniejsza uwaga przyprowadzała do wściekłości, na pewno nigdy by się nie zgodził na utratę tronu. Żądać od niego abdykacji znaczyło tyle, co skazać go na śmierć.

Żaden z aktorów czy statystów sceny, odegranej tej tragicznej nocy, nie wątpił w jej fatalny wynik, a najmniej już sam Pahlen, który widząc u niektórych spiskowców pewne wahanie, dodawał im dowcipnie otuchy, mówiąc:

— Nuże, czegoż stoicie, czyż chcecie mieć jajecznicę bez stłuczenia jaja?

Najciężej jednak obarcza Aleksandra późniejsze jego zachowanie się wobec morderców. — Żadnego z nich, jak już wspomniano, nie śmiał ukarać.

Jego dawny nauczyciel La Harpe, mieszkający na starość w Szwajcarii, który tylko pobieżnie znał przebieg dramatu 23 marca, wzburzony do głębi podejrzewa Aleksandra:

„Nie wystarcza, pisze do niego, że Najjaśniejszy Pan na czyste sumienie i że ci, którzy Go mają zaszczyt znać, są przekonani, iżeś ustąpił tylko przed koniecznością. Wszyscy muszą wiedzieć o tym, że Ty, Najjaśniejszy Panie, karzesz każdą zbrodnię, gdziekolwiek by miała miejsce.

Zamordowanie cesarza we własnym jego pałacu, wśród najbliższej rodziny, nie może pozostać bezkarne bez pogwałcenia praw boskich i ludzkich, bez obniżenia godności cesarskiej. Trzeba raz skończyć w Rosji z tym stale bezkarnym mordowaniem carów, często nawet wynagradzanym, skandalem krążącym, jak złowroga mara, koło Waszego tronu czyhającym na następną ofiarę".

Mord wstrząsnął światem Petersburga do głębi. Obwiniano się i obmawiano wzajemnie, nie obeszło się też bez kpinek.

Hrabina de Bonneuil, francuska awanturnica i szpieg Ludwika XVIII, pisała w tym czasie do ministra Fouche: „Mówią tu u nas, że gdy młody cesarz wychodzi, to przed nim idą siepacze dziada, za nim mordercy ojca, a obok ci, co się wnet do niego samego dobiorą."

Zobaczymy, jak Aleksander posłuchał rad naiwnego La Harpe'a.

Hr. Pahlen i hr. Panin zatrzymują nadal swe wysokie urzędy na dworze. Dopiero gdy carowa matka, Maria Fiodorówna, nie mogła ścierpieć ich zbyt częstego bywania na dworu, udzielono im dyskretnie rady, aby wyjechali do swych majątków, do Eckau w Kurlandii i do Marfiny pod Moskwą.

Jenerała Bennigsena, „szefa-mordercę", jak zwie go Joseph de Maistre, prawie natychmiast po morderstwie mianowano generał-gubernatorem Litwy i generałem kawalerii. Beztrosko kroczy on ku wysokiej karierze aż do czasu, kiedy wojny w latach 1807 i 1812 wyniosły

go na szczyty. Czasem tylko, gdy łaska cesarska wydaje mu się chłodniejszą, wyrywa mu się wyznanie w rodzaju: „Ot, niewdzięczny! Zapomina, że ryzykowałem głową, aby go wynieść na tron". Wysokiego, suchego jak szczapa, o kościstej twarzy Bennigsena bano się jak ognia. Patrzał on z góry na wszystkich, odzywał się z rzadka i zawsze szorstko. Uważano go za upiora tej ponurej nocy. Hrabina de Lieven twierdziła, że „podobny jest do pomnika Komandora".

Książę Piotr Wołkoński mianowany był kolejno generałem, adiutantem, szefem sztabu głównego, wreszcie członkiem Rady Państwa. Do końca pozostał on przyjacielem i najbliższym powiernikiem swego władcy.

Z wyjątkiem dwóch czy trzech pomniejszych figur, które zanadto głośno chełpiły się swymi rolami w akcie morderstwa cara, żaden z morderców nie popadł w niełaskę.

Lecz najbardziej ciekawą jest kariera hr. Uwarowa, który w dniu 23 marca dowodził pułkiem gwardyjskiej kawalergardy. Mianowany generał-adiutantem, natychmiast po wstąpieniu na tron Aleksandra staje się nieodłącznym domownikiem cara, towarzyszem jego spacerów i wolnych chwil, komilitonem wszystkich zabaw, kimś, bez którego trudno się obejść. Nazywano go „beniaminkiem rodziny carskiej".

Jedno, czym by można usprawiedliwić Aleksandra, to wyrzuty sumienia, które go przytłaczają i które prześladować go będą aż do ostatniego tchnienia.

Już w pierwszych dniach panowania widziano go nieraz, jak blady, z bolesnym skurczem twarzy wił się na łożu i krył obłędny wzrok drżącymi rękoma.

Gdy pewnego dnia książę Adam Czartoryski, jego serdeczny przyjaciel, starał się go pocieszyć, usłyszał tylko odpowiedź:

— Nie, to niemożliwe!... mój ból nie da się ukoić. Jak wy możecie żądać, żebym przestał cierpieć? Tak będzie zawsze".

Później te chwile przygnębienia nie mają już tak dramatycznego charakteru, lecz przecież nierzadko, i to w najrozmaitszych okolicznościach, radosnych czy smutnych, w dniach zwycięstwa czy klęski, nagły i przeszywający ból wskrzeszał mu przed oczyma oskarżające go widmo ojca.

Wyrzuty te nie osłabły nigdy, a z biegiem lat ogarną powoli całe jego sumienie, wszystkie jego zakątki z pożerającym uporem manii prześladowczej.

ROZDZIAŁ III

„Rosja nareszcie oddycha!..." Pierwsze szczęśliwe pociągnięcia Aleksandra; jego idee humanitaryzmu i liberalizmu; zamierza nie mniej ni więcej jak przebudowę całego gmachu Rosji. — Tajny komitet; gorączkowa działalność; przesadny i paradoksalny program. Znikome wyniki mimo nadzwyczajnych okazji. Aleksandrowi brak talentu reformatora; niebawem porzuca on swe zamiary. Intermezzo miłosne: piękna Polka, Maria Antonówna Naryszkinowa. Cesarz afiszuje swój romans. — Miłostki carowej Elżbiety Aleksiejewny: „To Psyche". Dziwne stosunki małżonków; dwuznaczna pobłażliwość męża. Hrabina Barbara Gołowin i książę Adam Czartoryski.

„Rosja nareszcie oddycha..." Te słowa, to opinia ogółu, gdy w dniu 24 marca rozeszła się radosna wieść: „Paweł Piotrowicz nie żyje!"...

Temu, że tknięty został apopleksją, jak oficjalnie

głoszono, ani na chwilę nikt nie wierzy. Kronika śmierc Romanowów zbyt często posługiwała się tego rodzaju maskowaniem prawdy.

Talleyrand dowiedziawszy się już po piętnastu dniach o śmierci Pawła I wyraził się złośliwie: „Mogliby t Rosjanie wymyślić inną chorobę, by pozorować prz czynę śmierci swych władców".

Kto żyw w olbrzymim carstwie, bojar czy oficj czynownik czy episkop, aż do prostackich popów i s datów, ciemnego i upodlonego tłumu „mużyków", każ z radością spoglądał na wnuka Katarzyny Wielkiej, wiąc niezachwianą nadzieję na przyszłość. Nikt wątpi, że to początek nowej ery, każdy spodziewa zupełnej odmiany życia w Rosji.

Podniecony mile tyloma objawami hołdów i błog sławieństw Aleksander z miejsca bierze się do dzieła Wszelkie idee liberalizmu, jakie zaszczepił mu La Harpe odżywają w ukazach; Aleksander pragnie od góry d dołu przebudować strupieszały gmach caryzmu.

Wraz z trzema najbliższymi, wysoko urodzonymi to warzyszami, ks. Adamem Czartoryskim, hr. Wiktorem Koczubejem i hr. Pawłem Stroganowym, podobnymi d niego zapaleńcami, tworzy „tajny komitet", któreg właściwą sprężyną był jego sekretarz osobisty, zręczn Nowosilcow.

Wspólnie badają wielkie problemy porządku spo łecznego i polityki, nową organizację rządu, reform senatu i tajnej kancelarii, wydawanie ukazów, kodyfi kację praw, kontrolę skarbu, odpowiedzialność urzędni ków, obmyślają porządek administracyjny, dający więk szą gwarancję sprawiedliwości, projektują złagodzeni okropności więzień i katorgi, wreszcie złagodzenie pań szczyzny.

Lecz mimo zapału i wielkoduszności, z jaką rozpoczęto dzieło, badania te nie dają śmiałych rozwiązań i kończą się na projektach. I dziwić się temu nie można, gdyż z chwilą głębszego zbadania sprawy, trudności piętrzyły się wokół.

Olbrzymie zadanie przerastało siły twórców, toteż wyniki graniczyły z paradoksem, a nieraz były tylko chimerą.

Aleksander nie był reformatorem. Brak mu tak doświadczenia jak i metody, nie umie zarządzić ani wydać szybkiego i jasnego rozkazu, nie posiada wytrwałości w wysiłku ani zdolności przekonywania.

W głębi duszy nie jest on liberalny, raczej marzy o tym, żeby być takim. Jego humanitarny idealizm roztapia się w abstrakcyjnych i mglistych formach wolności. Jeśli więc zamierza Rosji nadać nowy ustrój, zastrzega się od razu, że nie może nic poświęcić z uprawnień dotychczasowej władzy, gdyż na to mu nie pozwala duma dynastii i jego własna wielkość. Żal mu codziennej teatralnej pompy dworu, w której się czuł doskonale.

Już w połowie roku 1803 zapomina o nowatorskich planach, stare zasady ortodoksyjnego caryzmu po staremu ujmują Rosję w kleszcze.

To nagłe odwrócenie się cara od polityki miało również i intymną przyczynę. Aleksandra owładnęła w tym okresie wielka miłość, która przesłoniła mu wszystko. Maria Antonówna, z domu księżniczka Czetwertyńska, Polka, którą wydano za jednego z najbogatszych bojarów, Dymitra Naryszkina, uważana podówczas za piękność bez skazy, za „Aspazję Północy" — rządzi cesarzem. Romans ten, przez jakiś czas ukrywany, stał się niebawem jawnym.

Kochankowie odbywają publicznie spacery. Aleksander odwiedza codziennie Marię Antonównę, i to zupełnie otwarcie. Ona zaś przyjmuje go w swej wspaniałej Fontance, a w lecie w zbytkownej willi na Wyspach. Co wieczór zbiera się tam najświetniejsza socjeta stolicy i cesarstwa. *De facto* car rezyduje tam czując się jak w domu. Metresa nie szczędzi mu rozkoszy — tam też znajduje trochę spokoju i moralnego odprężenia, co ceni najbardziej.

Maria nie mówi mu o niczym innym jak tylko o swej miłości, paple o toaletach, o przyjęciach, balach, o cudzych miłostkach lub gniewach kochanków, o polityce nie wspomina nigdy.

Jedni kładą tę metodę postępowania z carem na karb jej płochości, drudzy — sprytu. Są między nimi i tacy, którzy śmią twierdzić, że Naryszkinowa sprytna była tak dalece, iż potrafiła przez szpary patrzeć na zdrady kochanka, na jego codzienne miłostki, za którymi przepadał — sama zdobywając w zamian i dla siebie przy tej sposobności nieco dreszczów miłosnych w objęciach innych.

Mimo to stosunek ich zyskuje na trwałości. Rozchodzą się nawet plotki, nie pozbawione zresztą pewnych pozorów prawdy. Mówią, że Aleksander, aby Marię Antonównę silniej do siebie przywiązać i przypieczętować miłość jakimś uświęconym związkiem, wyzyskując fakt, że jest głową cerkwi i trzęsie Świętym Synodem, rozmyśla nad unieważnieniem małżeństwa z carową. Marzy również o rozwiedzeniu Marii Antonówny i o tym, by ją poślubić. Przekazałby wówczas koronę młodszemu bratu Mikołajowi, którego zrobiłby carem pod regencją carowej wdowy Marii Fiedorówny. A para kochanków, złą-

czona nierozerwalnie przed Bogiem, żyłaby w błogim szczęściu, hen — gdzieś za granicą.

Te marzenia to pierwszy zarodek pomysłu, który nieraz odzywa się w niespokojnym mózgu Aleksandra, pomysłu, który z pewnością odegra później rolę w nieodcyfrowanej zagadce jego śmierci.

Ciekawe, jak to jawne wiarołomstwo przyjmuje młoda cesarzowa?

Czy ją to gnębi, czy się może buntuje, czy też z rezygnacją oczy na wszystko zamyka?

Życie prywatne Elżbiety Aleksiejewny należy do najbardziej skromnych, jakie kiedykolwiek mogła prowadzić carowa, a przyczyną tego były głównie pewne upodobania i dziwaczna perwersja małżonka; intymne życie Aleksandra było bowiem zawsze nierozwiązalną zagadką, z jakiego punktu by jej nie rozważać.

Elżbieta, córka Pawła Ludwika, panującego księcia badeńskiego, miała lat piętnaście, gdy w dniu 9 sierpnia 1793 roku wydano ją za wielkiego księcia Aleksandra, starszego od niej zaledwie o 2 lata.

Hrabina Gołowinowa w roku 1795 w ten sposób ją charakteryzuje:

Elżbieta ma lat szesnaście: jest wysoka, smukła, ma piękną figurę, pyszne ramiona, płowe, długie i delikatne włosy, cerę jak mleko, policzki jak listki róży, pięknie wykrojone usta, oczy błękitne o słodkim i mądrym spojrzeniu, ujęte w czarne brwi i rzęsy. Całe oblicze wyraża zalety jej duszy. Miałaby ochotę dużo mówić, gdyby jej na to pozwalały formy. Na ogół jest grzeczna, lecz zimna i pełna rezerwy. Odznacza się rozumem przy pewnej skłonności do egzaltacji, będącej wynikiem zbyt żywej wyobraźni. Umysł ma jasny i głęboki, a karmi go lekturą poważną i cnotliwej treści. Serce ma

słodkie. Mnóstwo w nim pragnień, które by trzeba nasycić, bo inaczej ukojenia nie dozna.

W tym samym czasie M. Vigée-Lebrun, którą carowa Katarzyna zaprosiła na swój dwór, tak kreśli swe pierwsze wrażenia o Elżbiecie:

Gdy pan Esterhazy podał mi ramię i razem przechadzaliśmy się po parku, spostrzegłam w parterowym oknie pałacu jakąś młodą osobę, podlewającą gwoździki. Wyglądała na lat siedemnaście. Piękne i regularne jej rysy harmonizowały prześlicznie z anielskim wyrazem twarzy, owianej płowymi lokami, które spływały jej na czoło i szyję. Ubrana była w białą tunikę, przewiązaną paskiem, który niedbale otaczał jej smukłą i wiotką kibić jakby nimfy jakiejś. Właśnie tak jak ją teraz maluje — postać jej odbijała od różowo srebrzystych draperii i kolumn sypialni w sposób tak czarujący, że musiałam krzyknąć: „To chyba Psyche!" — Była to księżna Elżbieta, małżonka Aleksandra.

W tym samym czasie Fiedor Roztopczyn, późniejszy podpalacz Moskwy, zawsze ciekawy i czujny jak żuraw, który miał oko na książęcą parę, tak pisze do jednego ze swych przyjaciół: „Wielki książę Aleksander posiada najlepszą naturę w świecie, ma serce dobre i czyste oraz wiele dobrych chęci, ale poza tym to leń, który naprawdę niczym zajmować się nie chce. Wielka księżna to bardzo interesująca postać, promienieje z niej coś lepszego, wie, czego chce i prawie zawsze robi to, co chce. O ile się nie mylę, to przyjdzie dzień, kiedy będzie rządziła wszystkim. Mąż ją ubóstwia. Natomiast zdrowia to wielka księżna nie ma za wiele, a przy tym nudzi się. Męża swego kocha nad życie, lecz jest on jeszcze za młody, by poza nim świata nie widziała, gdyż umysłem wybiega ponad swój wiek".

Poufny list Aleksandra do dawnego nauczyciela, La Harpe'a, zdradza tajniki życia małżonków: „Nie mogę sobie wyobrazić — pisze — żeby można być bardziej szczęśliwym, niż my jesteśmy".

Tak twierdził Aleksander, lecz czy Elżbieta myślała tak samo? Po czterech latach małżeństwa bez wątpienia powtarzała sobie jeszcze to, co napisała jako narzeczona na „świstku papieru": „Jest on panem mego szczęścia i łatwo mógłby mnie unieszczęśliwić na zawsze, gdyby mnie przestał kochać; wszystko zniosłabym, prócz tego... a przecież to źle, że mi takie myśli do głowy przychodzą".

Tymczasem na to szczęście padł cień dosyć wcześnie. Zwierza się z tym matce: „Z początku szalałam za nim, teraz niestety, gdy bliżej go poznałam, rażą mnie pewne rzeczy, wprawdzie drobnostki, lecz dla mnie niesmaczne, które psują mój afekt".

Hr. Platon Zubow, którego Katarzyna Wielka, mając już 67 lat, darzyła miłosnymi względami, bez wątpienia zauważył te drobnostki i był tak czelny i ufny w swą urodę i czar Don Juana, że posunął się do prób uwiedzenia młodej mężatki. Lecz nie udało mu się za daleko posunąć swej sztuki: odepchnęła go z odrazą.

Powoli jednak przekonuje się coraz bardziej, że mąż ją zaniedbuje: „Aleksander nie kocha mnie tak, jakbym tego pragnęła, jakby mnie mógł kochać, gdyby umiał mnie zrozumieć..." Czy już wiedziała wówczas o innych kobietach, czy też przeczuwała, że ją zdradza..., o tym się nigdy nie dowiemy, dość że jej piękny sen o miłości i jej pragnienia ulegają dziwnemu skrzywieniu.

Elżbieta zaprzyjaźniła się w tym czasie z hr. Barbarą Mikołajewną Gołowin, z domu ks. Golicyn, małżonką

marszałka dworu. Wspólne rozmowy, lektura, spacery, muzyka, zbliżają te młode kobiety, które korzystają z każdej chwili, aby się widzieć, pisać do siebie i zwierzać się wzajemnie.

Nie dochował się niestety z tych czasów żaden z listów pani Gołowin, lecz posiadamy ze dwadzieścia i to bardzo długich listów Elżbiety. Z listów tych, nieraz egzaltowanych, a zawsze poważnych i smutnych widać, że przyszła carowa ma serce tkliwe i gorące, bujną wyobraźnię i wielką wrażliwość, że potrafi się nawet szlachetnie unieść w potrzebie.

Aleksander zrozumiał i w późniejszych czasach potrafił wyzyskiwać zalety żony, kiedy nadeszły ciężkie chwile.

Niedługo po ślubie, bo już jedenastego sierpnia 1794 roku, tak pisze wielka księżna do swej przyjaciółki:

Gdy Cię nie ma, hrabino, nic mnie nie cieszy... przyjedź, błagam Cię, i zaraz pierwszego dnia przyjdź do mnie na obiad. Nie mogę ścierpieć pałacu Taurydzkiego,[1] lecz gdy Cię tylko zobaczę, choćby raz, będzie mi się już wydawał znośniejszy... Boże! gdybyśmy mogły spędzić taki wieczór, jak ów zeszłej jesieni... Patrz, moja droga, posyłam Ci bratek, który zapewne do wieczora zwiędnie, ale on taki piękny! Zrywając go, myślałam o Tobie... Widzę Cię ustawicznie oczyma duszy, czasem o niczym innym myśleć nie mogę... Niestety już nie mogę myśleć co ranka o tym, co było dawniej. To bardzo, bardzo bolesne.

I dalej znowu następuje takie wyznanie:

Boże mój! głowę tracę, gubię się zupełnie... Jeśli to potrwa dłużej — to chyba zwariuję. Myśl o Tobie wypełnia

[1] Pałac Taurydzki wybudował w roku 1783 ks. Patiomkin, wszechwładny minister Katarzyny II, zdobywca Krymu. W roku 1791 po śmierci tego „bohatera Taurydy" pałac zakupił rząd. Car Paweł przydzielił go na rezydencję wielkiemu księciu, następcy tronu.

mi cały dzień aż do snu. A gdy się budzę w nocy, jesteś w moich myślach... Gdybym Cię znowu mogła ujrzeć!... Rozkoszą dla mnie jest zwierzanie się Tobie i to, że serce przed Tobą otwieram... Ja naprawdę zwariuję!... Droga przyjaciółko, jeśli w tej chwili nie myślałaś o mnie, to chyba nie ma między nami sympatii. Ciągle gram dwa pierwsze takty: *Che vi fui a versi stella...* Wyobraź sobie, że to mi przypomina i budzi wszystkie doznane wrażenia... Kocham Cię i uwielbiam!... A jednak nie możesz być ze mną. Czymże jest dla mnie Petersburg, gdy Ciebie nie ma!... Boże! Boże! jak ja Cię kocham!... Boleść przepełnia mi serce, które pęka, gdy myślę o Tobie. Płakać i myśleć o Tobie, to moje całodzienne zajęcie. Zdobywam się zaledwie na wysiłek, ażeby powstrzymać łzy wobec otoczenia, gdy Cię widzę lub gdy myślę o Tobie... Wielki Boże, jakąż Ty władzę masz nade mną!... Ubóstwiam Cię — tak — to jest właściwe określenie... Czy nie mógłby ktoś pomyśleć czytając ten list, że nie był pisany do kochanka?

Onegdaj na wielkim balu, gdy zmuszona byłam rozmawiać z jakąś personą, myślałam o Tobie. Panujesz nade mną, chociaż nieobecna, i to przeświadczenie uszczęśliwia mnie. Kocham Cię szalenie. Żegnaj, przyjaciółko serdeczna. Przeszkadzają mi, przerywam więc, bo gdy piszę do Ciebie, chciałabym, aby cała myśl moja była tylko dla Ciebie. Ach ten 30 — moja droga, jakżeż on wolno nadchodzi... Mój Boże, stają mi w myśli wszystkie wrażenia, słodkie spotkania się z Tobą. Gdy myślę o tym szczęśliwym 30 maja, jestem do głębi poruszona. Pojmujesz chyba, przypuszczam, czym dla mnie jest data dnia, w którym się Tobie cała oddałam.

Z pewnego wyznania, którego nie kryje przed matką, widać, w jakim wówczas napięciu nerwowym żyła ta młoda kobieta:

Wyobraź sobie, mamusiu, że wczoraj wieczór, gdy Herpstern rozczesywała mi gruntownie włosy, słychać było jakby trzask iskier elektrycznych; ona też przypuszczała, że są to istotnie iskry. Zgasiłyśmy wówczas wszystkie światła i do-

prawdy moje włosy były całe w ogniu. Zdarza mi się to po raz pierwszy.

A na drugi rok pisząc do matki zwierza się znowu:

Piszę, podczas gdy upinają mi włosy, dlatego nieczytelnie. Pamiętasz, co pisałam Ci zeszłego roku, że moje włosy są takie elektryczne! W tym roku jest w nich więcej jeszcze elektryczności, gdyż iskrzą się za najlżejszym dotknięciem grzebienia.

Że Aleksander wiedział o tej przesadnej zażyłości, która zawiązała się pomiędzy jego małżonką a Gołowinową, a nawet ją pochwalał — nie ulega wątpliwości. Przekonujemy się jeszcze o tym z listu Elżbiety do swej przyjaciółki z dnia 12 grudnia 1794 r.

Będę Cię kochać mimo wszystko. Zresztą któż mi zabroni Cię kochać, tym więcej, że jest ktoś, kto upoważnił mnie do tego, chociaż więcej ma prawa do mej miłości niż Ty. Rozumiesz mnie chyba.

Ta dziwna pobłażliwość mężowska wkrótce rzuci się w oczy jeszcze jaskrawiej.

Jak wiadomo, Aleksander od dawna przyjaźnił się serdecznie z księciem Adamem Czartoryskim, wówczas młodzieńcem o pięknych, lecz owianych melancholią licach. Obu łączyły podobne liberalne przekonania, szlachetne rojenia polityczne, pogarda pospolitości i pragnienie dokonania czegoś wielkiego, romantyzm w czynach złudy i marzenia o sławie.

Wielki książę był do tego stopnia pod wpływem czaru swego przyjaciela, że zapragnął, aby i żona zbliżyła się do niego. Ale nie poprzestał na tym — zaczyna się upajać nowym, tym razem potwornym pomysłem. Żąda po prostu, aby Elżbieta oddała się całkowicie po-

sępnemu Polakowi. Zawiera z nim nawet — pod wpływem jakiegoś wyrafinowanego zboczenia — formalną umowę, podpisaną podobno przez Czartoryskiego, w której kwiecistym stylem odstępuje księciu swe prawa do żony. Książę Adam nie rozumiał oferty:

— Czegóż tedy właściwie żądasz, Najjaśniejszy Panie? — pytał.

— Masz się jej podobać i być jej kochankiem — brzmiała odpowiedź przyszłego cara.

Elżbieta Aleksiejewna pojęła dopiero po pewnym czasie, do czego małżonek jej zmierzał. Pewnego wieczora, gdy razem siedzieli przy stole, Aleksander nagle opuścił ich w połowie wieczerzy i zostawił Czartoryskiemu wolną drogę do żony. Innym razem hrabina Gołowin, mieszkająca o piętro wyżej, spotkała biedną Elżbietę zalaną łzami; carowa padłszy w ramiona przyjaciółki błagała ją o pomoc.

Pamiętniki hr. Gołowin, pisane kilka lat później już pod kontrolą Elżbiety, uchylają zaledwie rąbka tej fantastycznej przygody. Pisze ona oględnie, że:

Książę Adam, zachęcony przez wielkiego księcia, przy zbliżeniu się do wielkiej księżny Elżbiety nie był w stanie wstrzymać się od uczucia, które szacunek, zasady i poczucie wdzięczności winny były stłumić w zarodku. Każdy dzień zdawał się sprowadzać nowe pokusy... Mieszkając nad wielką księżną, widywałam ją ciągle, jak i wielkiego księcia, który sprowadzał co wieczór Czartoryskiego na kolację. Jeden Bóg znał jego zamiary... Pewnego ranka siedziałam przy klawikordzie, gdy w otwartych drzwiach ujrzałam nagle wielką księżnę, jak wbiegła do mego pokoju; chwyciła mnie wówczas za rękę, sprowadziła do swej sypialni i zamknąwszy drzwi na klucz, zalała się łzami, rzucając się w moje objęcia. Nigdy nie zdołam zapomnieć tego, co mi wówczas opowiedziała. Długo się ta

młoda kobieta opierała, lecz była doprawdy tak spragniona miłości, miała tak elektryczne włosy... a Czartoryski mówił tak pięknie... muskał ją słowami jak falą.

Trzy lata trwała idylla, pełna niezwruszonego szczęścia, pod życzliwym okiem męża. — Elżbieta korzystała z tego tym więcej, że uważała się za związaną z kochankiem węzłem nie do uniknięcia, jeśli nawet nie naprawdę legalnym.

W dniu 18 maja 1799 r. wydaje na świat córkę, Marię Aleksandrównę, której podobieństwo do Czartoryskiego było krzyczące. Zawiadomiony o tym car Paweł o mało nie pękł ze złości.

Pierwszym jego odruchem było wysłać Polaka na Sybir. Mając jednak pewną słabość do synowej, zmienił plan i wysłał Czartoryskiego z misją dyplomatyczną na dwór sardyński z rozkazem natychmiastowego wyjazdu.

Improwizowany dyplomata wyjechał tego samego wieczora.

* * *

„W pierwszym porywie namiętności — powiedział już La Rochefoucauld — kobiety miłują kochanka, w następnych zaś samą miłość".

Dwa lata gorących uniesień, jakie Elżbieta przeżyła pod magnetycznym wpływem Czartoryskiego, wstrząsnęły nią zbyt głęboko, by mogła dalej żyć bez miłości.

Toteż, gdy już została carową, dolegała jej zawsze jakaś ukryta rana — pragnęła miłości i rzucenia się w czyjeś objęcia.

Pomawiają ją o jedną czy dwie miłostki, których stwierdzić dziś nie podobna, gdyż trzymała je zawsze w wielkiej tajemnicy. Maskowała się zręcznie na zewnątrz

a przy tym pamiętała zawsze, kim jest i co winna swemu stanowisku. Na najświetniejszym z dworów europejskich we wspaniałych pałacach Petersburga, Carskiego Sioła, Peterhofu czy Pawłowska, umiała znaleźć chwilę samotności, której nikt przerwać nie potrafił.

Nie uchylała się jednak od ciężkich obowiązków oficjalnych wystąpień — ukazując się zawsze pełna wdzięku, wytworności i majestatu królowej. Wiedząc, że jest piękną, umiała się ubrać; doprowadziła też sztukę dobierania tualet i strojów do szczytu.

Ale gdy znalazła się sama, była melancholijna, milcząca, marząca, zapatrzona gdzieś w dal... w swoje własne myśli.

Można było nieraz odgadnąć, że „wspomnienia łoża" — jak mówi poeta — „szły za nią w ślad".

ROZDZIAŁ IV

Zaprzestawszy się interesować sprawami wewnętrznymi Rosji Aleksander zwraca uwagę na wielkie problemy, jakie rysuje przed oczyma Europy niezwykły wzrost potęgi napoleońskiej. Pierwsze wrażenia podziwu i sympatii dla Bonapartego: „Życzenia wiecznego przymierza pomiędzy Rosją a Francją". — Stracenie księcia d'Enghien powoduje u cara wstrząs odrazy. Protestuje publicznie. *Moniteur Français* odpowiada natychmiast obraźliwą aluzją do zamordowania Pawła I. Aleksander, śmiertelnie dotknięty, staje się odtąd „nieprzejednanym wrogiem" Bonapartego.

Samodzierżca Rosji jest przecież jednym z najrozumniejszych suwerenów Europy, a może jedynym rozumnym. Przewiduje on niezwykle jasno fatalne skutki, które wywoła stworzenie francuskiego cesarstwa — Napoleon i Karol Wielki — „Korsykański uzurpator" zostawszy władcą Zachodu przez złączenie tronów Włoch i Francji, czyż nie pokusi się o Wschód. — „Ten człowiek jest klęską dla świata". — Aleksander uważa się za zesłanego przez Opatrzność dla zwalczenia nieokiełzanej zachłanności Napoleona. Czyni starania, aby zapewnić sobie alians z Austrią i Prusami. Nie dopiąwszy celu na tych

dworach, zwraca się do Anglii. Misja Nowosilcowa w Londynie. Propozycje pełne ideałów, lecz nie domówione. Staje się pierwszym apostołem „Ligi Narodów". Realny umysł Williama Pitta w lot wyławia z układów praktyczne konsekwencje; widzi on w Rosji przede wszystkim zapas ludzi: Szlachetna pomoc, subsydia, krew ludzka nie jest dziś niczym innym jak przedmiotem targów w rękach Anglików.. Traktat 11 kwietnia 1805 r. stwarza potężną „machinę wojenną". Austria przystępuje do paktu anglo-rosyjskiego, który przeistacza się w trzecią koalicję.

Około połowy 1803 roku zapał reformatorski Aleksandra nagle ostygł. Wszystkie piękne zamiary, jakie żywił, a które miały dać „ogólne szczęście Rosji" a nawet „uszczęśliwić każdego obywatela", obmierzły mu zupełnie.

W tym czasie zorientował się, że poza granicami Rosji dzieją się lub przygotowują wielkie wypadki, w których, jak mu się wydawało, winien odegrać doniosłą rolę.

Niedawno jeszcze patrzył z podziwem na zwycięzcę spod Marengo, na zbawcę społeczeństwa francuskiego, na dobrego geniusza, który spocząwszy po wielkich zwycięstwach, tworzy nowy kodeks cywilny i konkordat. Myślał wówczas bez wątpienia, podobnie jak Makiawel, „że ludzi, którzy przez mądrość urządzeń i praw ratują republikę, należy czcić zaraz po bogach".

Toteż, gdy w maju 1801 generał Duroc przywiózł mu kurtuazyjny list od Bonapartego, odpowiedział nań wysłannikowi: „Moim jedynym pragnieniem był zawsze związek Francji i Rosji, chciałbym bardzo porozumieć się bezpośrednio z pierwszym konsulem, którego szczery charakter jest mi dobrze znany". W kilka miesięcy później inny wysłannik Bonapartego, późniejszy ambasador Coulaincourt, usłyszał z ust cara potok pochlebnych słów łącznie z życzeniem „wiecznego aliansu pomiędzy Francją a Rosją".

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA * BIBLIOTEKA GŁÓWNA * Kraków

Niebawem genialny organizator nowego ładu we Francji przez swą brutalną pięść i arbitralne zasady zraził do siebie rosyjskiego władcę, który nie wyzbywszy się jeszcze swych liberalnych złudzeń, nie chciał już w nim widzieć nic innego, jak tylko fałszywego boga, samozwańczego potwora pychy i szalbierstwa, nienawistnego tyrana.

Dramat w Vincennes na wiosnę roku 1804 wywołuje u Aleksandra wybuch oburzenia.

Zapominając o zamordowaniu własnego ojca i o dzikich wybrykach w pałacu Michajłowskim, nakazuje natychmiast wielką żałobę dworską, po czym uroczyście piętnuje bezwstydne pogwałcenie neutralności przed sejmem w Ratyzbonie, który winien był przecież otoczyć należytą opieką nieszczęśliwego księcia d'Enghien na zamku Ettenheim.

Odparowanie ciosu nie każe długo czekać na siebie. Pierwszy konsul polecił w *Monitorze* zamieścić następującą notatkę koncypowaną przez Talleyranda, a przeznaczoną dla całej Europy:

Gdyby Anglia knuła morderstwo cara Pawła I, a rząd rosyjski był powiadomiony, że spiskowcy znajdują się o milę od granicy jego państwa, czyżby nie pospieszył ich unieszkodliwić.

Tę szyderczą aluzję do śmierci ojca odczuwa Aleksander jako osobistą krzywdę i śmiertelną obrazę, która utkwiła mu w sercu na zawsze. Tylża czy Erfurt jak też późniejsze czułości, pełne teatralnych gestów przyjaźni, nie zdołały wymazać z jego pamięci tej obelżywej notatki *Monitora*. W dziesięć lat później jeszcze nie przebaczył tego Bonapartemu, zwąc się „nieprzejednanym jego wrogiem", w momencie wymuszenia na nim abdykacji w Fontainebleau.

Nie powody osobistej natury jednak, lecz wyższa racja stanu nakazały Aleksandrowi skrzyżować szpadę z największym wodzem współczesnych czasów.

18 maja 1804 roku Napoleon został „Cesarzem Francuzów". Ta proklamacja staje się w oczach Aleksandra zniewagą, której żaden monarcha z Bożej łaski znieść nie powinien. Co innego przymierze z generałem Bonapartem, chwilowym kierownikiem republiki. Czyż mało takich przykładów? Czyż nie było tak z Ludwikiem XIV i Cromwellem?... Lecz żeby rewolucjonista, parweniusz, zwykły „awanturnik korsykański" ośmielił się pokusić o tron! Tego już za wiele.

Rozumując w ten sposób zapomniał, że dynastia Romanowów nie liczy jeszcze dwóch wieków i że jej powstanie nie lepsze od napoleońskiej, gdyż wyrosła również na rewolucji; potrzeba było dopiero Austerlitz i Friedlandu, aby następca Piotra Wielkiego i Wielkiej Katarzyny uznał Bonapartego za równego sobie. Prócz pychy i dotkniętego do żywego honoru monarchy był jeszcze inny, silniejszy wzgląd, który nurtował w jego umyśle, a mianowicie bystro powzięte przeświadczenie, że skutki powstania cesarstwa francuskiego będą fatalne.

Dzięki jasnej i żywej inteligencji młody samowładca góruje nad innymi monarchami Europy i właściwie jest to jedyny rozumny panujący. Król Anglii, Jerzy III stoi na progu obłędu, który nim wkrótce zupełnie owładnie. Fryderyk Wilhelm III, król pruski, nieśmiały, niezgrabny i nadęty, zraża się najmniejszą trudnością. Franciszek II, cesarz austriacki, tępy, zawsze uroczysty, zajęty ceremoniałem i myślą prymatu, słusznie zasługiwał na nazwę: „głupiec w gali". Karol IV, hiszpański, ślepy na wszystko, z uśmiechem przyjmujący zdrady swej małżonki Marii

CAROWA ELŻBIETA ALEKSIEJEWNA

Według Monniera, r. 1806. — Portraits Russes. Muzeum Narodowe w Warszawie.

Ludwiki, zasługuje też na pomnik głupoty. Ferdynand I, król Neapolu, to leniwa i bezrozumna marionetka w rękach królowej Marii Karoliny i jej kochanków. Gustaw IV, król szwedzki, pogrążony w mistycyzmie i cudotwórstwie, znienawidzony przez naród, niedługo już cieszyć się miał koroną.

Nie trudno zatem było Aleksandrowi odgadnąć od razu, że wywyższenie Bonapartego to nie tylko triumf i apoteoza rewolucji, lecz wróżba i zapowiedź groźnej epoki, w której Napoleon nie zadowoli się wyłącznie panowaniem nad Francją. Przeczuwa, że niebawem zechce on wskrzesić Cesarstwo Zachodu i siłą faktu, popartą powodzeniem, nie będzie znosił żadnej innej władzy na świecie prócz swojej. Zresztą Napoleon nie taił się z tym bynajmniej. Czyż nie pełnym znaczenia jest jego pierwsze pociągnięcie, a raczej pierwszy gest monarszy. Przecież zaledwie się odział w cesarską purpurę, udał się do Akwizgranu, by tam w bazylice paść na kolana przy grobie Karola Wielkiego. Czyż demonstracja ta nie wskazuje, że z umysłu właśnie tego władcę wybrał sobie za wzór z średniowiecza. W jakimże celu ten niedowiarek zażądał od kurii wydania najcenniejszej relikwii katedry, którą Karol Wielki otrzymał w swoim czasie od kalifa Harun-al-Raszyda wraz z kluczem Świętego Grobu: drzazgi Krzyża Świętego w relikwiarzu ze złota i szafirów. Żądanie swe upozorował pretekstem, że chce ją ofiarować nowej cesarzowej Józefinie. Ówczesna fama niosła, że gdy wyszedł z kościoła, nad jego głową jaśniał blask niby aureola Karolingów, a w oczach jego można było wyczytać dumne słowa, które skierował do kardynała Caprary: „Powiedz papieżowi, że jestem Karolem Wielkim"! Był to jednak dopiero wstęp do kroków dalszych, nieśmiały początek za-

ledwie. Już w dwa miesiące później Europa nie mogła zaprzeczyć, że celem Napoleona jest zmartwychwstanie Świętego Cesarstwa Rzymskiego. To, czego nie uczynił papież Leon III dla Karola Wielkiego ani Jan XII dla Ottona Wielkiego, czego nie uzyskał żaden z cesarzy takich dynastii, jak saksońska, szwabska, francuska czy habsburska, to uzyskał od Piusa VII Napoleon: następca apostołów zgodził się wyjść z Rzymu, aby udzielić sakry synowi „świętokradczej rewolucji" — pierwszemu cesarzowi Francuzów.

Wydarzenie to było tak niesłychane, że nawet sceptyczny Talleyrand wyszedł ze swego stylu, gdy zapowiadał gabinetom europejskim widowisko, jakie miało je olśnić:

Będzie Europa miała na co patrzeć, gdy ujrzy powrót ze starej stolicy Karola Wielkiego największego z jego następców, gdy równocześnie głowa świata chrześcijańskiego opuści Włochy, by wyjść na spotkanie i pomazać mu skronie w Paryżu, w sercu najpotężniejszego cesarstwa — wśród ogólnego przyzwolenia suwerenów — uświęcić nową godność cesarską, którą Napoleonowi nadali wdzięczni Francuzi.

Czy to wszystko? Nie jeszcze. — W dniu 26 maja 1805 r. w katedrze mediolańskiej Napoleon na swą ukoronowaną głowę kładzie drugą koronę, od dwunastu wieków uważaną za oznakę najwyższej władzy — koronę Włoch. Nazywano ją „koroną żelazną", dlatego że bizantyjscy złotnicy, którzy w 625 r. wykuli ją dla królów lombardzkich, wprawili w nią jeden z gwoździ, którym na Golgocie przybity był Zbawiciel do Krzyża. Korona ta była symbolem tak wielkiej potęgi, że od czasów Karola V nikt nie śmiał włożyć jej na głowę.

Czyżby ten uzurpator korsykański, wieńcząc swą skroń koroną żelazną w świątyni Św. Ambrożego, nie

odsłonił bezwstydnie i pyszałkowato całego ogromu swojej zachłanności?... Przecież do zagarniętych prowincji lombardzkich prędko dołączył Rzeczpospolitą Genueńską, Wenecję, Toskanę, państwo papieskie i królestwo Neapolu.

Gdzież się wreszcie zatrzyma?... Temu władcy całego Zachodu zechce się może jeszcze zagarnąć Wschód, Grecję, Konstantynopol, Morze Czarne, Gruzję, Persję a nawet Indie. „Ten człowiek jest nienasycony — woła Aleksander — jego ambicje nie znają granic — jest klęską dla świata!"...

Aleksander nie był jednak jedynym, który tak myślał.

Obecny na uroczystościach w Mediolanie jeden z bezstronnych obserwatorów, który miał złożyć życzenia Napoleonowi w imieniu swego pana, ambasador Lucchesi, Włoch w pruskiej służbie, maluje najbliższą przyszłość w podobnych barwach:

Cesarz Napoleon nie obawia się już niczego, ani wewnątrz kraju, ani poza jego granicami... Czyż ten niezwykły człowiek nie pójdzie dalej na nowe podboje i po nowe godności, po władzę nad dalszą częścią Europy? Któż się jego planom sprzeciwi? Któż je uzna za niemożliwe, gdy on je zamierza? A skoro rozpocznie akcję, czy który z gabinetów zechce i potrafi sprzeciwić się temu?

Tym zaś, który to wszystko sparaliżuje, mężem Opatrzności, który stanie się ratunkiem dla Europy — będzie właśnie Aleksander... — Tak mu się przynajmniej zdawało, równie zuchwale jak i naiwnie.

* * *

Ministrem spraw zagranicznych Aleksandra I zostaje w tymże roku 1805 książę Adam Czartoryski, jego przyjaciel, dla którego w swym sercu carowa chowała moc ciepłych wspomnień. Przyjaciele rozumieją się doskonale, obaj równie inteligentni, równie powierzchowni, równie niestali. Książę Adam posiada przecież większe poczucie rzeczywistości i większą cierpliwość, gdy u cara jest więcej fantazji, może szerszy horyzont myśli; Aleksander jest bardziej skomplikowany.

Do walki z niebezpiecznym wzrostem potęgi napoleońskiej mają oni prawdopodobnych sprzymierzeńców w Austrii, Prusach i Anglii.

Uroczystości mediolańskie wywołały na dworze wiedeńskim zdumienie.

Ustrojenie się Bonapartego w koronę włoską po przywłaszczeniu sobie tronu Francji przyjęto tam jako niebywały skandal, a wprost za prowokację uznano zawarowanie pokojem w Luneville niepodległości Rzeczypospolitej Cisalpińskiej. — Cóż było jednak robić? — Austria była słaba — musiała rezygnować. Nie podźwignęła się jeszcze z klęsk, jakie na nią spadały od roku 1796 poczynając. Nie było za co zorganizować armii, nie było za co kupić karabinów, armat ani koni, nie było w co ubrać żołnierzy. Skarb był pusty; zresztą nigdy nie był on pełny i przedtem, gospodarka finansowa była fatalna,— trafnie zwano ją ironicznie „wstydliwą częścią" państwa".

Toteż, gdy car proponuje cesarzowi Franciszkowi porozumienie w sprawie zmierzenia się ze wspólnym wrogiem, otrzymuje odpowiedzi banalne, pełne zastrzeżeń i wykrętów.

Raz tylko Cobentzel, minister Franciszka, jest szczery: „Stoimy przed paszczą armat" — pisze — „Fran-

cuzi zniszczą nas, zanim Wy zdążycie przyjść na pomoc". Przy tym zamilcza, że Austria nie ufa Rosji więcej może niż Francji, przeczuwa bowiem przewodnią linię polityki i makiawelowskie zamiary Czartoryskiego, aby wyzyskać ogólny zamęt i wskrzesić na nowo wielką Polskę, łącząc pod berłem Romanowów ziemie, które podzielili pomiędzy siebie Katarzyna, Fryderyk i Maria Teresa. Nic więc dziwnego, że ministrowie Franciszka doradzają, aby dał Petersburgowi odpowiedź wymijającą.

W Berlinie propozycje Rosji nie spotykają się również ze zbyt życzliwym przyjęciem, z odmiennych jednak powodów. Ciężki Fryderyk Wilhelm, mimo wrodzonej nieśmiałości, mimo tchórzostwa, dumny jest ze swej armii, która w jego oczach jest zawsze niezwyciężoną armią Wielkiego Fryderyka, armią spod Rosbach, Leuthen i Lignicy. Cała jego rodzina, szlachta, wszyscy generałowie, lud cały, całe Niemcy zmuszają go, aby w to wierzył. Niemniej Fryderyk Wilhelm z drżeniem odczytuje list Aleksandra: „nie możemy się spodziewać żadnego umiaru ze strony Bonapartego, trzeba mu więc pokazać, że 200 000 Prusaków, 200 000 Rosjan i 300 000 Austriaków jest w każdej chwili gotowych rzucić się na niego".

Dręczony niepokojem, niezdecydowany i bezwolny szuka wyjścia w półśrodkach, w grze na zwłokę i w krętactwach; neutralność, do której skłonny jest z natury, odpowiada mu, tym bardziej że, chociaż nie jest orłem, to przecież nie widzi, żeby rozwój wielkości Francji zagrażał bezpośrednio jego panowaniu, podczas gdy tymczasem prestige Hohenzollernów w świecie germańskim może tylko maleć przy wzroście potęgi Habsburgów. Przy tym wstydzi się swej słabości i dumnie podnosząc głowę chętnie mawia: „Moje zasady są niewzruszone,

ja się nikogo nie boję, stojąc „na baczność" czekam spokojnie, co dalej będzie". Przy tych słowach Fryderyk Wilhelm dzwonił głośno ostrogami.

Spotkawszy się z niepowodzeniem w Berlinie i w Wiedniu, Aleksander zmienia swój plan zabiegów dyplomatycznych i zwraca oczy na Londyn.

Pociągnięcie to było udane, Anglia bowiem od kilku lat zabiegała tajemnie w Petersburgu i w Wiedniu, aby oba te dwory zjednoczyć przeciwko Francji.

Rokowania, jak o tym była mowa, powierzono Nowosilcowowi, temu najczynniejszemu członkowi „tajnego komitetu". A chociaż brak mu było nieco doświadczenia dyplomatycznego, wyrównywał to jednak giętkością i umiejętnością władania bronią swego przeciwnika. Rywale zwali go ironicznie „człowiekiem genialnym, człowiekiem do wszystkiego, wszechstronnym". Nikt nawet Czartoryski nie pojmował lepiej mglistych zamysłów władcy jak Nowosilcow. Do Londynu wyjeżdża on w końcu października 1804 r.

Instrukcje, które bierze ze sobą, są dowodem, że car i jego minister naprawdę przebrali miarę fantazji i utopijnych zamiarów. Nie chodzi im już zupełnie o to, żeby pochód Napoleona zatrzymać za każdą cenę, mniejsza o tę drobnostkę — myślą o wieczystym pokoju dla świata, o całkowitej przebudowie Europy, marzą o jakichś nowych prawach i ukazach, które by zmieniły cały ustrój społeczny.

Przewrót rozpocznie się naturalnie od wojny, wojny bardzo może okrutnej i krwawej; nie wątpią, że Napoleon zwycięży, lecz później, wznosząc się ponad wszelkie egoizmy narodowe i dynastyczne, poprawią wszystkie granice, a na przekształconej mapie Europy nikt już

nie pozna wykrzywionego i śmiesznego oblicza dawnego kontynentu. Wszystkie państwa, gdy pokój nastanie, zobowiążą się, „nigdy nie wszczynać wojny przed wyczerpaniem wszelkich środków, jakimi rozporządzać może pośrednictwo trzeciego państwa". A jako uwieńczenie dzieła powstać ma „Liga", która stworzy nowy kodeks praw ludzkich, niewzruszone zasady dla gabinetów wszystkich państw. Kto by ten kodeks naruszył, ściągnie na siebie nieuchronnie całą potęgę tej nowo powstałej „Ligi".

Sto piętnaście lat później — o ironio — los, który rządzi historią i zbiorowiskiem ludzkim, chciał, żeby ta mglista chimera, poczęta w głowach dwóch Słowian, zmartwychwstała, jeszcze bardziej naiwna i absurdalna, w mózgu Anglo-Sasa. Jak tu nie wierzyć, że historia się powtarza, jak nie wierzyć w metempsychozę.

Możemy sobie wyobrazić, co pomyślał Wiliam Pitt, gdy Nowosilcow wyłożył mu te szlachetne utopie.

Powstrzymał się jednak od złośliwych uwag, których by kiedy indziej z pewnością nie szczędził, gdyż wśród urojeń i złudzeń spostrzega fakt o pierwszorzędnej doniosłości: rosyjski samowładca ofiaruje pozytywną współpracę swych wojsk, ażeby zaatakować Napoleona, wydrzeć mu panowanie nad Europą i „zmusić Francję, do powrotu w dawne granice lub takie, jakie najlepiej odpowiadać będą ogólnemu pokojowi ludów. To zasługuje na najbaczniejszą uwagę. Reszta, tj. zmiana mapy Europy, zmiana praw publicznych — to problemy na później,... może po zwycięstwie! Po wielu przybranych w piękne słowa zastrzeżeniach i wielu mglistych obietnicach, których nie domawia, angielski minister przyjmuje plan rosyjski dodając, że wkrótce wyśle do Peters-

burga projekt formalnego przymierza. Na zakończenie nadmienił: „jako subsydium damy tyle, na ile tylko pozwoli stan naszych finansów, damy pięć milionów funtów szterlingów, a może nawet więcej". Słowa te w uszach Nowosilcowa zabrzmiały miłym akordem.

Uzbroić kontynent, opłacać dostawców mięsa armatniego, czyż to nie przedwstępne kroki każdej akcji brytyjskiej? A któż ma większy rezerwuar ludzki, jak nie Rosja? A przy tym kraj ten nie ma parlamentu, przed którym trzeba zdawać rachunki, żadnej kontroli opinii publicznej. W handlu towarem ludzkim żaden rynek nie ma przecież większych zasobów i łatwości w ich dysponowaniu od cesarstwa Romanowów.

Ohydna ta frymarka znalazła potępienie i w słowach Napoleona, który chociaż sam pod tym względem nie miał zbyt czystego sumienia, oburzył się z godnością: „krew ludzka jest dzisiaj towarem, jakim kupczą tylko Anglicy".

W projekcie Foreign Office, którego tekst stał się w dniu 11 kwietnia 1805 obowiązującą umową, nie pozostało nic ze słowiańskiej ideologii; jest on tylko tym, czym taki układ być powinien: „machiną wojenną".

Zaraz po podpisaniu układu Aleksander przeląkł się swego kroku, tak dalece że próbuje po raz ostatni szukać porozumienia z Napoleonem.

Za późno! Rosyjski samodzierżca jest już skrępowany w swobodzie swych ruchów i Wiliam Pitt daje mu to odczuć.

9 sierpnia r. 1805 zrozumiała i Austria, że całe Włochy wpadną w szpony napoleońskie, przystępuje tedy również do angielsko-rosyjskiego porozumienia.

Tak powstała trzecia koalicja.

Zbliżała się wojna — jedenaście lat rzezi, okropności wojny i klęsk. A na białych jeszcze kartach księgi przeznaczenia zaczerniały złowrogo dwa wyrazy, nieznane jeszcze wtedy, lecz każda Sybilla mogłaby odczytać je już z łatwością: „Austerlitz i Trafalgar".

ROZDZIAŁ V

W zuchwałej akcji przeciw Napoleonowi widzi car tylko szarżę piorunującą, bohaterską, pełną chwały i tryumfów, wyprawę krzyżową dla uratowania Europy. Niedomagania armii rosyjskiej. — 21 września 1805 r. po uroczystym nabożeństwie w Kazańskim Soborze opuszcza Aleksander Petersburg. Przesądy. — Kondrati Seliwanow. „Skopcy". — W tym czasie, gdy armia ciągnie ku granicom Austrii, car udaje się do Puław, starej rezydencji Czartoryskich. Fantastyczne plany o Polsce. — Tymczasem wojska francuskie w koncentrycznym marszu nad Dunaj przekraczają pod Anspach granicę Prus. Wrażenie w Niemczech. Car spieszy do Berlina. — Przerażenie Fryderyka Wilhelma. Królowa Ludwika, „Armida", romans z Aleksandrem. „Czarodziej". — Dwa pioruny z jasnego nieba; kapitulacja pod Ulm i bitwa pod Elchingen. Narady w Poczdamie. Metternich na scenie, tajny traktat z 3 listopada 1805 r. Nocna przysięga u grobu Fryderyka Wielkiego. — Okrężną drogą przybywa Aleksander dnia 18 listopada do swej armii. Pierwsze rozczarowanie: Stary Kutuzow. „Nieuchronny bieg wypadków", 2 grudzień 1805 r., „Austerlitz — moja najpiękniejsza bitwa". Armia rosyjska w rozsypce, haniebna ucieczka cara.

Może by ktoś myślał, że Aleksander w przededniu spotkania z Napoleonem podniósł do maximum sprawność wojenną swej armii, zaopatrzył ją w arsenały lub wyszkolił żołnierzy? — nic podobnego... Zagadnienia związane ze stanem i postawą oddziałów, wyćwiczenie, zaopatrzenie w amunicję, żywność, zagadnienie transportów, słowem to wszystko, co nie wiąże się ściśle z paradą przeglądów wojskowych, nudzi Aleksandra.

Zawierucha, w którą tak lekkomyślnie się wmieszał,

wydaje się mu niby jakimś wspaniałym widowiskiem, wyprawą paladyna, przejażdżką konną, szybką a pełną rozgłosu, bohaterską i tryumfalną wyprawą krzyżową, dla zbawienia Europy. Mówiono, że już przewidział swą apoteozę, którą będzie się upajał po lat dziesiątce. Lecz na pytanie, jaki interes dla Rosj miała wyprawa, która cara tak wojowniczo nastroiła — odpowiedzi nie znajdziemy żadnej. Był wtedy zbyt zajęty nowymi miłostkami. „Nie zapomniał" jeszcze wdzięków pięknej Naryszkinowej i uwielbiał ją zawsze nawet wśród przelotnych romansów z damami dworskimi, francuskimi aktorkami a nawet mieszczkami rosyjskimi.

O świcie, w mroźny poranek 21 września 1805 r., po uroczystym nabożeństwie przed ołtarzem Matki Boskiej Kazańskiej Aleksander opuszcza Petersburg.

Lecz w czasie nabożeństwa prawowierna myśl prawosławna uleciała z duszy cara — przed dwoma dniami bowiem przyjął potajemnie dziwnego człowieka, sekciarza, Kondratego Seliwanowa, rzezańca, apostoła skopców. Wyznanie wiary tego mistyka opierało się na słowach proroka Izajasza: „Bo tak mówi Pan trzebieńcom, którzy będą strzec sabatów moich, a obiorą, com ja chciał, i zachowają przymierze moje. Dam im w domu moim i w murzech moich miejsce lepsze nad syny i córki: imię wieczne dam im, które nie zaginie" (Iz. L. VI 4, 5).

Seliwanow głosił konieczność wyzwolenia się z piekielnych pokus ciała przez krwawą ofiarę. Wyznawców liczył już na tysiące. Na próżno cerkiew nałożyła nań surowe kary. Świątobliwość jego poparta była rzekomo tylu cudami, że chodził jak w nimbie świętości. Wielu widziało w nim wcielenie Zbawiciela i zwało nawet Chrystusem.

Za swe nauki przesiedział kilka lat w katordze w Irkucku, ale pewnego dnia car Paweł, do którego dochodziły dziwne wieści o „świętym" sekciarzu, zapragnął poznać go osobiśc e i ułaskawiwszy kazał go sprowadzić z Syberii.

Tragedia dnia 23 marca 1801 r. przeszkodziła spotkaniu tych dwóch szaleńców. Lecz Aleksander I w myśl życzenia ojca nakazał, aby Seliwanow znalazł przytułek w jednym z petersburskich klasztorów, a nawet interesował się nim od czasu do czasu, gdyż skopiec „w pewne dni" miał być jasnowidzem. Tym razem wróżba wypadła ujemnie. Skopiec oświadczył jasno, że godzina, aby uderzyć „na przeklętego Francuza", jeszcze nie nadeszła.

W lipcu 1914 r. znowu „Boży człowiek", Rasputin plugawy, oświadcza się przeciw wojnie: „Powtarzam ci raz jeszcze" — pisał do Mikołaja II — „straszna chmura nadciąga ku Rosji; wszędzie łzy, ocean łez... i krwi..., brak mi słów, to zbyt okropne... żadnego promyka nadziei..." — Rozum małą odgrywa rolę w ludzkich zamierzeniach; instynkt wróżbity brzmi czasem jednym akordem z rozprzęgniętym umysłem.

A gdy wojska rosyjskie, źle zaopatrzone, źle umundurowane, bez sprzętu i żywności, wolno suną przez całą Polskę w stronę Austrii, Aleksander udaje się do Puław nad Wisłą, rodowej siedziby Czartoryskich.

We wspaniałej rezydencji oczekuje go tłum gości z entuzjazmem witających samodzierżcę.

Zabawy i przyjęcia trwają piętnaście dni. Car dyskutuje z wielu polskimi panami, w których umysłach tlił zawsze żywy płomień nadziei. Jest wymowny i tak ujmujący, że nikt nie wątpi o prawdzie jego słów. Przyrzeka, że po klęsce Napoleona zjednoczy całą Polskę pod

berłem rosyjskim. I wydawało się, że nadchodzi dzień zmartwychwstania pełnej chwały ojczyzny Bolesławów i Sobieskich.

Jednocześnie wobec pięknych Polek roztacza cały swój czar i zapytuje, czy nie „mają jakich zleceń do Paryża?". Uwodziciel z zawodu przeżywa w tym czasie niezwykłe rozkosze!

W Niemczech tymczasem sytuacja nagle się pogarsza. Dwadzieścia tysięcy Francuzów, ciągnących z Hanoweru w kierunku Dunaju, pogwałciło zuchwale pruską neutralność i przekroczyło granicę koło Anspach. Wybuch wściekłości i wołania o wojnę rozbrzmiały w całych Niemczech. Aleksander chcąc wyzyskać nową sytuację i porwać za sobą Fryderyka Wilhelma, a żywiąc obawy, by ten nie upokorzył się jeszcze raz przed Napoleonem, opuszcza nagle Puławy i udaje się do Berlina, dokąd przybywa dnia 25 października.

Przyjmują go tam z wielkimi honorami, wiozą do Poczdamu, ażeby nacieszyć się nim w ściślejszym gronie. Aleksander szybko orientuje się, że Fryderyk Wilhelm jest jeszcze bardziej bez wyrazu, lękliwy i jąkający się więcej niż zwykle, zaś królowa Ludwika przeciwnie, zachwyca odwagą i dumą. Poklask, jaki zdobywa powszechnie, schlebia zarówno jej zalotności kobiecej jak i dumie królewskiej. Spostrzec w niej można to, czym wkrótce będzie, tj. wcieleniem patriotyzmu Prus, bóstwem dla dworu, wojska i narodu. — Nie jest to jej pierwsze spotkanie z rosyjskim monarchą, poznali się już w roku 1802, podczas krótkiej wizyty Aleksandra w Kłajpedzie, dokąd Fryderyka Wilhelma ściągnęły odbywające się tam manewry.

Królowa, z domu księżniczka meklemburska, liczy wtedy lat dwadzieścia pięć, jest w pełnym rozkwicie urody, a delikatność rysów, blask oczu, wytworność, czar umysłu, wdzięk i urok, jaki wokół roztacza, zjednał jej miano „Armidy", które rzuci jej niebawem Napoleon jako obelgę. Sentymentalna, pobożna, mistyczna nieledwie, spragniona wrażeń, jest chodzącą cnotą. Lecz zalotność, od której nie stroni, świadomość siły swojego powabu zdają się potwierdzać słowa La Rochefoucaulda: „Mało jest chyba kobiet uczciwych, które nie byłyby znudzone swoją cnotą". — Zresztą mogłaby być bardziej niż inne znudzoną, bo Fryderyk Wilhelm był doprawdy szczególnie nudny i głupi. Od pierwszego wejrzenia ujęła Aleksandra lub, jak powiedział jeden ze świadków ich spotkania, „zaczarowała go". Lecz co się często zdarza, sama szybko zaplątała się w sieci czarów — to Aleksander rzucił na nią urok!... Po kilku dniach byli już ze sobą daleko na niebezpiecznych ścieżkach platonicznej intymności.

Po wyjeździe „czarodzieja" królowa pisała do swego brata:

Spotkanie w Kłajpedzie było boskie; załączam Ci mój pamiętnik, najświętszy skarb, jaki posiadam. Tylko, na rany Boskie — odeślij mi go jak najprędzej.

Czyżby ta cnotliwa Armida w jakiejś chwili swej romantycznej egzaltacji była nieroztropna? Pewien szczegół w pamiętnikach księcia Czartoryskiego zniewala nas do tego rodzaju przypuszczenia. W drodze z Kłajpedy Aleksander zwierzył mu się, że „poważnie był zaniepokojony rozkładem pokojów, które sąsiadowały z jego

sypialnią, i w nocy zamykał się na dwa spusty, aby uniknąć i nie narażać się na niebezpieczne pokusy, bez których wolał się na razie obejść".

Pod płaszczykiem polityki flirt kłajpedzki toczy się w dalszym ciągu rozkosznie, ale już w Poczdamie, gdy wtem 30 października dwa uderzenia piorunów zagrzmiały nad Berlinem. Marszałek Ney zaatakował Austriaków pod Elchingen nad Dunajem i pobił na głowę, a jednocześnie jenerał Mack, oblężony w Ulm, kapitulował haniebnie z 32 000 ludzi załogi. Odtąd nic już nie stało Napoleonowi na drodze do Wiednia.

W podnieceniu, po kilka razy dziennie odbywają się narady w Poczdamie. Królowa bierze w nich udział; z twarzy jej promienieje zapał i ognie bohaterskiej sławy — zachęca Aleksandra do czynu, tym bardziej że chce, aby rycerski przyjaciel widział ją w tym szlachetnym podnieceniu, jakie dodaje jej wiele nęcącego uroku.

W tym czasie wkracza na scenę świata młody hr. Metternich, późniejszy książę. Pozostanie już na niej jako jedna z czołowych postaci przez czterdzieści trzy lata; zaraz w pierwszych swoich krokach w Poczdamie odsłonił całkowicie charakter, jakim się odznaczał w czasie swej kariery. Próżny, impertynencki, złośliwy, nienawidzi Francji, pogardza Hohenzollernami i Romanowymi. Bez zasad i skrupułów, lecz mistrz nad mistrze w chytrości i wszelkim krętactwie, patrzy bystrzej w przyszłość niż inni.

Dyskusje, nieraz bez sensu, trwające do rana, zgnębiły Fryderyka Wilhelma; jeszcze bardziej ogłupiał i 30 listopada przystał z rezygnacją do koalicji austriacko-rosyjskiej.

Ministrowie Hardenberg i Haugwitz redagują na ko-

lanie szereg protokołów, w myśl których Prusy podjęły się próbować pośrednictwa z walczącymi stronami. Napoleon ma do dnia 15 grudnia przyjąć szereg warunków, których na pewno nie przyjmie. Odmowa zmusza rząd pruski do wysłania przeciwko niemu 180 000 ludzi. Rozsądny Metternich radzi dać Napoleonowi nie więcej niż 2 doby do namysłu, prawie ultimatum. Z zadziwiającą przenikliwością rzuca: „Jeżeli pozostawicie Bonapartemu czas, aby się namyślił, wybierze nas jak raki z saka, jednego po drugim". Fryderyk Wilhelm mimo przygnębienia znajduje jeszcze dość siły, aby odrzucić tę przewidującą propozycję.

Ceremoniał podpisania odbył się w apartamentach Aleksandra, jakby dla celowego podkreślenia pierwszeństwa Romanowów przed Hohenzollernami, jakby Fryderyk Wilhelm był już tylko wasalem cara.

Doprowadziwszy dzieło do końca Aleksander naznacza swój wyjazd na wieczór dnia następnego.

Lecz żeby silniej jeszcze utwierdzić związek obu władców, zwłaszcza zabezpieczyć się przed zawsze możliwą chwiejnością męża, królowa aranżuje scenę, która ma uświęcić zawartą umowę, a złamaniu jej przydać miano świętokradztwa.

W dniu 4 listopada, o samej północy, troje monarchów wychodzi potajemnie z pałacu i przez puste ulice zdąża do kościoła garnizonowego; przez boczne wejście wchodzą do nawy i w świetle przyćmionym pochodni zstępują do podziemi, gdzie w krypcie spoczywają prochy Wielkiego Fryderyka. A gdy przed sarkofagiem odmówili modlitwę, cesarz i król, dłoń w dłoń, spojrzawszy sobie w oczy powtarzali słowa przysięgi na wieczną przyjaźń. Królowa Ludwika z bladą jak kreda twarzą, otulona

w czarną mantylę, przewodniczy temu pogrzebowemu sprzysiężeniu. A cień Fryderyka Wielkiego, króla-filozofa, który za swego życia darzył przyjaźnią Woltera, niedowiarka i księcia sceptyków — śmiał się zapewne z tego ceremoniału.

Po powrocie z kościoła Aleksander pożegnał się z królewską parą i wsiadł do powozu.

* * *

Armię Aleksandra, przybyłą z Polski, skoncentrowano na Morawach, sztab główny czekał w Ołomuńcu.

Czas nagli. — Napoleon forsownymi marszami zbliża się do Wiednia. Jednakże Aleksander nie odmawia sobie przyjemności, aby odwiedzić siostrę swą Marię, małżonkę księcia, następcy tronu sasko-weimarskiego. To nałożenie drogi, cztery czy pięć dni wszystkiego — czyż może tak bardzo zaszkodzić? — „W Weimarze — pisze Czartoryski — przyjęto nas naprawdę bardzo serdecznie. Zawarliśmy znajomość z kilku znakomitymi autorami, których na dworze było liczne grono, jak Goethe, Schelling, Herder, Wieland, i zaraz potem ruszyliśmy dalej. Aleksander spieszył się do Ołomuńca, gdzie czekał na niego cesarz Franciszek".

W dniu pożegnania „rozkosznych Aten Niemiec", tj. 13 listopada, car otrzymuje niepokojące wieści o przebiegu ruchów francuskich. Pisze wówczas do Fryderyka Wilhelma: „sprawy stoją dużo gorzej, niż przypuszczaliśmy przy moim wyjeździe z Berlina. Każda chwila jest tu drogą: Los Europy leży w twoich rękach".

Tegoż samego 13 listopada Napoleon zakwaterował się w Schoenbrunie, dawnym pałacu Marii Teresy, gdzie w dwadzieścia lat później jego syn, król Rzymu, pozba-

wiony wszystkich dostojeństw, ze śmiesznym tytułem księcia Reichstadu, umrze z tęsknoty i wycieńczenia, w mundurze kapitana armii austriackiej.

Nareszcie 18 listopada Aleksander po przemierzeniu na przełaj Czech w kierunku Moraw staje w Ołomuńcu. 70 000 Rosjan i 12 000 Austriaków — to całe siły, które sprzymierzeni przeciwstawić mogą 75 000 żołnierzy Napoleona. Reszta ma przybyć — ale kiedy? Wyczerpuje się w marszach po drogach Czech i Śląska. Intendentura zawodzi, zgłodniali żołnierze zdani są najczęściej tylko na rabunek. Brak naczelnego wodza i jakiejkolwiek zwierzchniej władzy odbija się na każdym kroku. Stary Kutuzow, znudzony i drzemiący fatalista, oczekuje z zimną krwią i z rezygnacją „nieuchronnego biegu wypadków". Zdaje się być zdumiewającym portretem „*Wojny i pokoju*" Tołstoja.

A car? Jak odczuł tę przykrą rzeczywistość, to bezpośrednie zetknięcie się z tym, co „upajającą grą bitew" nazwał Napoleon, a bardziej prozaiczny Bismark „krwawą grą siły i hazardu"?

Dla zrozumienia psychologii Aleksandra posiadamy pierwszorzędny dokument, a mianowicie list, który pisał do niego w cztery miesiące później jego przyjaciel książę Czartoryski.

Po przybyciu Waszej Cesarskiej Mości do Ołomuńca dawały się słyszeć wśród otoczenia dwa różne zdania. Jedni mieli chęć cofać się bez strzału, inni byliby się bili od razu, aby jak najprędzej cofnąć się i wrócić do domu. Niewielu było takich, którzy ożywieni zdecydowaną i niezachwianą wolą wierzyli w zwycięstwo. Sprzeczne raporty, jakie do Waszej Cesarskiej Mości dochodziły, sprawiały przecież, że w ciągu jednego ranka byliśmy to przygnębieni nad miarę, to znów zbyt pewni siebie, a w międzyczasie pomstowano na głód

i Austriaków. Politycznie było chwalić ich odwagę okazując im względy i nie skąpić zachęty, aniżeli rozjątrzać i rozpowiadać głośno, aby jak najprędzej uderzyć w nich pogardą. Nie należy się więc dziwić, że żołnierze obu armii dyszeli do siebie większą nienawiścią aniżeli do Francuzów... Od chwili przybycia Waszej Cesarskiej Mości do armii generalicja nie czuła konieczności poświęcenia wszystkiego, aby dopiąć zamierzonego celu. Dawali posłuch każdej plotce sądząc, że pochodzi od Waszej Cesarskiej Wysokości. Lepiej by było, ażeby Wasza Cesarska Mość opuścił był Ołomuniec pozostawiając wszystko własnemu biegowi wypadków.

Wieczorem 1 grudnia Napoleon mógł sobie powinszować wyniku tego „biegu wypadków".

W Szlapanicach, na biwaku, gwarzy swobodnie przy ognisku z oficerami. Mówi im o wielkim Corneille'u, o odrodzeniu, jakie by chciał zobaczyć we współczesnej tragedii:

— W teatrze stare fatum, które z niewinnego Edypa czyni zbrodniarza, powinna zastąpić polityka. Rozmowę kończy piękną maksymą: — Chcieć żyć i umieć umrzeć. — Lecz wnet potem myśl jego biegnie w inną stronę, myśl, która od czasu egipskiej kampanii przychodzi mu często do głowy.

„Czemu ja nie byłem zwycięzcą pod Saint-Jean d'Acre!... włożyłbym turban, kazałbym ubrać moich żołnierzy w szerokie szarawary i nie wystawiając się na niebezpieczeństwo, chyba w ostateczności, stworzyłbym z nich świetny batalion nieśmiertelnych. Skończyłbym wojnę z Turcją siłami Arabów, Greków, Armeńczyków. Zamiast bitwy na Morawach, odniósłbym zwycięstwo nad Issus, ogłosiłbym się cesarzem Wschodu i powróciłbym do Paryża przez Konstantynopol!".

Adiutant cesarza Ségur ośmiela się podszepnąć: — „Ależ, Sire, czyż nie jesteśmy na drodze do Konstantynopola?".

Gdyby echo tych słów, rzuconych w ciszę nocną, dobiegło do uszu Aleksandra, ileż goryczy przyniosłoby z sobą.

* * *

2 grudzień — „Moja najpiękniejsza bitwa" Austerlitz. — powtarzał nieraz Napoleon.

Czymże, niestety, było to wspomnienie dla Aleksandra!

W zamęcie bitwy, która szybko zamienia się w pogrom, nerwy odmawiają mu posłuszeństwa, załamuje się duchowo.

Czartoryski posuwając nieco za daleko szczerość, którą zwie „swoim słusznym przywilejem", ośmiela się okrutnie mu to wypomnieć:

Wasza obecność pod Austerlitz — pisze — nie dała żadnych korzyści. Właśnie tam, gdzie Wasza Cesarska Mość przebywała, zaczęła się ogólna ucieczka. Porwała ona i Ciebie, tak że musiałeś oddalić się w pośpiechu. Wasz odjazd wówczas powiększył jeszcze bardziej rozmiar ucieczki i upadek ducha.

Tymczasem zapadła mroźna noc. — Daleko od sztabu i taborów, w towarzystwie li tylko Czartoryskiego i trzech kozaków, zdruzgotany zmęczeniem i wstydem, płacze, a na dobitek pali go gorączka, gdyż cierpiał wówczas na kurcze żołądka. Pędzi przed siebie co sił i zatrzymuje się tylko na krótko, aby dać wytchnąć koniom lub załatwić naturalną potrzebę. W rozwalonych chałupach pada po drodze na słomę jak kłoda; trzeciego dnia

zatrzymał się w Holliczu, gdzie już nie grozi mu schwytanie przez awangardy francuskie.

Takie to było zakończenie wspaniałej wyprawy krzyżowej, która w pierwszych marzeniach wydawała się być jednym wielkim triumfem.

ROZDZIAŁ VI

Powrót do Petersburga. Cierpkie wyrzuty za klęskę pod Austerlitz. Dwór carowej matki, Marii Fiodorówny, staje się ogniskiem opozycji. Skutki francuskiego zwycięstwa; groźby Wschodu; „Niech wie Bonaparte, że raczej gotowi jesteśmy wszcząć nową wojnę, niż zezwolić na jego mieszanie się do spraw Turcji". — Niemiecki patriotyzm budzi się. Zerwanie pomiędzy Francją a Prusami. Pod wpływem uwielbienia dla królowej Marii Ludwiki Aleksander obiecuje poparcie Fryderykowi Wilhelmowi. Klęska „niezwyciężonej armii Wielkiego Fryderyka" pod Jeną 14 października 1806 r. — Zdumienie i przerażenie całej Rosji. Święty Synod rzuca klątwę na Napoleona. Car potwierdza Fryderykowi Wilhelmowi „swe bezgraniczne przywiązanie do zasady nierozwiązalnego przymierza pomiędzy Rosją a Prusami". — Jenerał Bennigsen, przywódca morderców, naczelnym wodzem. Ciężka kampania zimowa; nierozstrzygnięte bitwy pod Pułtuskiem i Iławą. Świetne zwycięstwo Napoleona pod Friedlandem 14 czerwca 1807. „Moje orły zatknąłem nad Niemnem"!... — Spotkanie monarchów w Tylży, uściski, rokowania, fantazje; „Czyż to nie sen". Politowania godna interwencja Fryderyka Wilhelma; „On jest głupi jak feldfebel".

Przybycie królowej Ludwiki; złudne nadzieje, jakie pokładała w Aleksandrze — jej pełna bohaterstwa postawa. Wulgarne i przykre wyrażenie się Napoleona. — Pokój tylżycki. Rzeczywistość, fikcje i miraże; który z cesarzy lepiej przejrzał drugiego?

Gorzką próbą dla Aleksandra był powrót do Petersburga. Car i jego towarzysze broni boją się pokazywać, „lękają się białego dnia jak sowy", pisze Nowosilcow. W salonach, w których to jedynie może się wypowiedzieć socjeta rosyjska, słychać jednogłośny chór oskarżeń; ba — nie brak nawet pod adresem cesarza pogardliwych żartów i dowcipów, które go ranią boleśnie.

Ten odruch opozycji i niechęci znajduje duże poparcie u carowej wdowy, Marii Fiodorówny. Tym wyniośłej i ostrzej, im syn jej staje się potulniejszym i trwożliwszym, prawi mu słowa okrutnej prawdy, wytyka błędy, gani nieostrożność i niezręczną politykę, cierpko wyrzuca zły dobór współpracowników, a zwłaszcza ślepe zaufanie do Czartoryskiego. „Czy Waszmość pamiętasz moje niezadowolenie, gdy mianowałeś go ministrem, pamiętasz wszystkie moje zarzuty i przedstawienia, jakie wówczas czyniłam, wreszcie przewidywania, jakie to skutki pociągnie za sobą? Upokorzenie, wywołane klęską pod Austerlitz, najbardziej odczuł korpus oficerski. Nikt nie może zrozumieć ani wytłumaczyć sobie, że jedna bitwa zmusiła Rosję do złożenia broni, toteż wszyscy żądają szybkiego odwetu. Ba — więcej jeszcze — są i tacy nawet, którzy szemrają głośno, że jeśli car się szybko nie zrehabilituje, czeka go los taki sam jak ojca.

Aleksandra wiedzącego o tych szemraniach lub przeczuwającego je, ogarnia „zwątpienie i rozpacz", co nie uchodzi uwadze Czartoryskiego. Tymczasem nadchodzą wieści z Berlina, Wiednia, Monachium, Stuttgartu, Londynu, Neapolu. Widać coraz lepiej doniosłość skutków bitwy pod Austerlitz. Dobrze określił je Napoleon nazajutrz po zwycięstwie, gdy pisał do Piusa VII:

Teraz jestem jak Karol Wielki, skoro łączę korony Francji z koroną Lombardii i skoro me cesarstwo sięga aż do Wschodu.

Dyplomacja francuska zdwaja wysiłki w Konstantynopolu. Drugiego maja 1806 r. Napoleon mianuje ambasadorem przy Wysokiej Porcie jednego ze swych najzdolniejszych oficerów, generała Sebastianiego. Instrukcje dla niego zwięźle i stanowczo dyktuje Talleyrandowi osobiście:

1. Potrójny alians pomiędzy Wysoką Portą, mną i Persją, skierowany przeciw Rosji. — 2. To moje związanie się z Portą ma dobrze zrozumieć tak Rosja, jak i Anglia oraz cała Europa. — 3. Zamknąć Rosji Bosfor. — 4. Nie życzę sobie podziału cesarstwa tureckiego; nawet gdyby mi dano trzy czwarte tegoż, nie chcę go, przeciwnie, to cesarstwo pragnę wzmocnić i użyć go jako przeciwwagi przeciw Rosji.

I tak się stało — Turcja stała się polem walki pomiędzy Rosją a Francją.

Ten nieoczekiwany obrót sprawy wzbudza w Petersburgu ogólne oburzenie. Za wszelką cenę trzeba odepchnąć Bonapartego od Wschodu, który przecież Piotr Wielki przeznaczył testamentem właśnie Rosji W tym względzie Czartoryski nie waha się ani chwilę: „Bonaparte powinien o tym wiedzieć, że prędzej jesteśmy gotowi na nowo zacząć wojnę, niżeli się zgodzić na wtrącanie do spraw Turcji lub też pozwolić na jego przewagę w tym kraju" — i aby poprzeć to groźne oświadczenie, proponuje zająć zbrojnie Mołdawię! „Tym razem Bonaparte zrozumie".

Niebawem jednak niebezpieczeństwo bardziej bezpośrednie i bardziej groźne zawisło nad Europą. Stosunki między Berlinem a Paryżem, napięte do ostateczności, zaostrzyły się jeszcze bardziej.

Po bitwie pod Austerlitz Fryderyk Wilhelm stracił głowę. Niezdecydowany szuka jednocześnie sprzymierzeńców na dwu przeciwnych krańcach, pertraktuje to z Rosją, to z Francją. Napoleon nie dał się przecież tą żonglerką wyprowadzić w pole, tym bardziej że w tym czasie podniósł głowę nowy czynnik w historii Prus: bunt dumy narodowej. Było to pierwsze przebudzenie się niemieckiego patriotyzmu, które tak zaważyło póź-

niej w roku 1813, a którego, na swe nieszczęście Napoleon nie umiał nigdy zrozumieć.

Gdy w czerwcu 1806 wybuch wojny zdawał się nieunikniony, Fryderyk Wilhelm odwołuje się do szlachetności Aleksandra. Armida dobrze obliczyła inscenizując romantyczną scenę w Poczdamie. Pamięć o tym tkwiła jeszcze wyryta w sercu cara, który, być może, łączył tę chwilę z innym, bardziej intymnym wspomnieniem.

Ta wierność wobec pruskiej pary królewskiej z początku dziwiła, a później oburzała rosyjskie salony, gdzie bezczynność Hohenzollernów podczas kampanii na Morawach była uważana ogólnie za zdradę. Zresztą w Petersburgu grono ludzi, którzy pragnęli zbliżenia się do Francji, było wcale pokaźne. Boć przecież... kiedy Bonaparte jest stanowczo silniejszy, to czemuż nie szukać z nim porozumienia? A było się czym dzielić i „wspólnie zjeść ciastko".

Aleksander zresztą nigdy nie zaprzestał serdecznej korespondencji z Fryderykiem Wilhelmem. W dniu 19 marca 1806 r. na przykład pisze do niego:

Najściślejszy związek pomiędzy Prusami i Rosją wydaje mi się bardziej niż kiedykolwiek wskazany. W chwilach niebezpieczeństwa niech zawsze Wasza Królewska Mość pamięta, że ma we mnie przyjaciela, gotowego spieszyć na pomoc. Wszelkie Wasze układy i postanowienia mogą się śmiało oprzeć na siłach, które Rosja gotowa jest wysłać, gdy zdaniem Waszej Królewskiej Mości zajdzie tego potrzeba.

W tymże samym czasie królowa, która nie przestaje widzieć w Aleksandrze swego „anioła opiekuńczego", wielkodusznego obrońcę jej tronu i dzieci, prawdziwego powiernika jej smutków małżeńskich, jej tajemnych pragnień, przypomina mu czule „nocną pielgrzymkę do grobu Fryderyka", „ten ostatni dzień szczęścia". A ileż gorą-

cych a nie domówionych uczuć kryje się w zakończeniu jednego z listów: „Aby wierzyć w doskonałość, trzeba Cię znać...“ albo: „powtarzam, że wierzę w Ciebie jak w Boga“.

Na próżno Czartoryski błaga Aleksandra, aby zaprzestał tej gry schlebiania Prusom i czułostkom; aby się zbliżył ku Francji. Nie waha się nawet posądzać swego władcę o poufny sentyment do dworu w Berlinie. Ma cywilną odwagę zarzucić carowi, że jedną z przyczyn klęski pod Austerlitz była właśnie wizyta w Kłajpedzie w roku 1802:

Serdeczna przyjaźń, jaką Wasza Cesarska Mość już po kilku dniach znajomości zawarłeś z królem, spowodowała, żeś Wasza Cesarska Mość zapomniał o Prusach jako o państwie i uważasz go tylko za drogą sobie osobę, wobec której masz jakieś szczególne zobowiązania. Ten osobisty stosunek, nawiązany z monarchą państwa, którego interesy nierzadko są sprzeczne z interesami Rosji, wpłynął poważnie na kierunek polityki naszego rządu, krępował go bez przerwy, wreszcie przeszkodził zastosowaniu energicznych zarządzeń w początkach kampanii!

Wspominając o osobistych stosunkach cesarza z królem Czartoryski miał oczywiście na myśli jego zażyłość z królową; przecież to nie ogłupiały Fryderyk Wilhelm był tą „drogą osobą“, wobec której Aleksander miał „szczególne zobowiązania“...

Wszyscy doradcy cesarza powtarzali mu to samo, a matka jego, cesarzowa Fiodorowna dodaje prorocze upomnienie: „przywiązanie Twego dziadka do dworu pruskiego było niemniej złowieszcze. Błagam Cię, staraj się, ażeby nikt Cię nie mógł oskarżyć, że dla tego związku poświęcasz interes i chwałę Rosji“.

Jak twierdzi wielki książę Mikołaj Michajłowicz, jedynie historyk, przed którym były otwarte tajne archiwa Romanowów, polityka Aleksandra I w tym okresie wytłumaczona być może jedynie jego miłosnym uwielbieniem dla królowej Ludwiki!...

* * *

Tymczasem całe Prusy są wzburzone. Tak na salonach dworskich jak w szlacheckich domach, w koszarach, w teatrze, w redakcjach gazet, na ulicach, wybuchają na widok wojska obelgi i zniewagi pod adresem Francji.

8 sierpnia 1806 Fryderyk Wilhelm, porwany wojennym zapałem ludu, zaklina cara, aby szedł mu na pomoc, po czym w dniu następnym nakazuje ogólną mobilizację swych wojsk i wybiera na wodza starego księcia Brunszwickiego, znanego dobrze Francuzom ze swego obelżywego manifestu w roku 1792: „Wydam miasto Paryż wojsku na złupienie i całkowite zniszczenie bez żadnej nadziei pardonu".

Tymczasem już 14 października armia pruska, „niezwyciężona armia Wielkiego Fryderyka", ponosi zupełną klęskę pod Jeną, książę Brunszwicki zabity; Rozbach i manifest z r. 1792 są pomszczone. W dniu 24 października Napoleon wkracza uroczyście do Berlina po zajęciu bez oporu wszystkich fortec: Hameln, Szpandawa, Szczecin, Prenzlow, Kostrzyn, Magdeburg. Para królewska ucieka w stronę Grudziądza nad Wisłą, a następnie do Szczytna, Królewca i Kłajpedy. Państwo pruskie przestaje istnieć.

* * *

BIBLJOTEKA
Koła Tow. Wiedzy Wojsk.
w Jarosławiu

Wieści o klęsce przedostają się natychmiast do kół oficjalnych Petersburga. Rosja jednak dowiaduje się o tym dopiero z końcem listopada; wszystkich ogarnia osłupienie i przestrach: „To nie tylko Prusy są zgubione, lecz z nimi i cała Europa!". 28 listopada kościół prawosławny ustami Świętego Synodu rzuca klątwę na Napoleona, burzyciela świata wroga chrześcijaństwa, pogromcę tronów i koron, sprawcę najokropniejszych zbrodni, odstępcę wiary, który się w Egipcie ogłosił obrońcą Mahometa, który bóżnice stawia we Francji i chce na powrót przywrócić pogaństwo. Nikt nie wątpi, że jest to wezwanie do „świętej wojny", ogłoszone za wolą cara, każdy bowiem wie dobrze, że Święty Synod jemu wyłącznie podlega, będąc niczym innym jak tylko urzędem wyznaniowym.

Aleksander powziął decyzję, by po raz drugi zmierzyć się z Napoleonem. Mimo Austerlitz, mimo Jeny, nie wierzy jeszcze w niezwykły geniusz wielkiego wodza, tak jak nie chce uznać niższości swoich wojsk i niedołęstwa swoich generałów. Jeszcze raz zapewnia Fryderyka Wilhelma „o swym bezgranicznym przywiązaniu do nierozerwalnego przymierza pomiędzy Rosją a Francją" i dodaje nawet: „Dla utwierdzenia wielkiego dzieła ogólnego pokoju koniecznym jest nie tylko, byś Wasza Królewska Mość wrócił w posiadanie swojego państwa, lecz aby całe Niemcy uwolnione zostały spod jarzma Francuzów, których odepchnąć należy aż poza Ren!"

Przypuszczać należy, że w powzięciu tej zuchwałej decyzji dużą rolę odegrały obelgi publiczne, jakich Napoleon nie szczędził królowej Ludwice. W swych *Biuletynach Wielkiej Armii* zwycięzca pastwi się nad nieszczęsną królową, która stała się dla swego ludu, niezadługo i dla

całych Niemiec bohaterskim bożyszczem, świętym wcieleniem ojczyzny. Od początku kampanii Napoleon oskarża ją przed Europą i czyni odpowiedzialną za wojnę: „Królowa pruska jest wśród armii, ubrana w amazonkę, w mundur swego pułku dragonów, pisuje dziennie po dwadzieścia listów, aby rozszerzać wszędzie pożogę. Widzi Armidę, jak w obłąkaniu własny swój pałac podpala", „Prusacy przekonują się sami, jakie nieszczęścia spadły na kraj od wizyty cara. — Ta nagła zmiana, jaka od tej chwili zaszła u królowej, która z niewiasty spokojnej i skromnej, zajętej tylko domem, stała się gwałtowną i wojowniczą, jest na prawdę dziwną. Pragnie teraz posiadać swój pułk, brać udział w radzie wojennej. Pragnie krwi..., więc płynie ta droga krew".

Biuletyny piszą o niej prawie codziennie. Przechodząc od obelgi do szyderstwa czynią z niej najpierw wzorem rzymskiego poety niby Kleopatrę, jakieś *fatale monstrum*, złowieszcze dla ludzi, to znowu wyśmiewają płochliwość, romantyczne zamiłowania, nieład, w jakim znaleziono w Charlottenburgu dokumenty państwowe i portrety cara, porozrzucane w szufladach wśród szmatek, perfum i koronek. Prasa, będąca na żołdzie cesarskim, prześciga się również w obelgach. Wreszcie sam cesarz przy każdej sposobności mówi o niej i o jej kulcie dla Aleksandra publicznie, nie szczędząc koszarowych dowcipów. Nigdy Napoleon lepiej nie potwierdził słów Talleyranda o sobie: „Jaka szkoda, że tak wielki człowiek był tak źle wychowany".

Nie tylko więc, aby uchronić całą Europę przed zagładą, zamierza Aleksander nową wyprawę krzyżową, chce on jeszcze ukarać oszczercę swej drogiej Armidy.

„Poświęcę wszystko, co mam, ażeby bronić słusznej

sprawy", pisze do Fryderyka Wilhelma. To „wszystko" ogranicza się do 120 000 ludzi i 486 armat. Oto cała pomoc, jaką armia rosyjska przynieść może szczątkom armii pruskiej, liczącej już zaledwie 14 000 ludzi i 92 armat. Napoleon tymczasem rozporządza już nad Wisłą siłą 120 000 ludzi, dokąd wkrótce nadejść ma jeszcze 80 000.

Długo się głowił Aleksander, kogo mianować naczelnym wodzem; w końcu wybór jego padł na generała Bennigsena, i nie mógł lepiej trafić. To on właśnie, Bennigsen w pamiętnym roku 1801 w Petersburgu, owej strasznej nocy 23 marca wsławił się zuchwałością i niezwykle zimną krwią. On to kierował spiskiem i on się postarał, aby „wynik" był „dobry". Józef de Maistre nie przesadził, kiedy go nazwał „naczelnym mordercą".

W szary i mglisty dzień 23 grudnia rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Akcja wojenna rozwijała się powoli, w zaspach śnieżnych i błotach na północy Polski i w Prusach Wschodnich. Brak żywności, furażu, amunicji, brak służby zdrowia, nieuctwo i niedbalstwo, kłótnie sztabów są na porządku dziennym. Znów wojska rosyjskie zwalczać muszą te braki, które już na Morawach unicestwiły jego wartość bojową.

Po sześciu miesiącach wyczerpujących wysiłków, po nierozstrzygniętych bitwach pod Pułtuskiem i Iławą nieszczęsne wojska ponoszą druzgocącą klęskę pod Friedlandem dnia 14 czerwca 1807 r., w rocznicę bitwy pod Marengo. Pogrom jest zupełny!

Upojony zwycięstwem, tym bardziej że poprzedziła je dość żmudna kampania, Napoleon ogłasza całemu światu: „Armia rosyjska jest tak pobita, jak nigdy

nie była pobitą nawet armia austriacka... Chełpliwość Rosjan nareszcie zdruzgotana. Orły moje zatknąłem nad Niemnem...!"

* * *

Dnia 27 czerwca Aleksander i Napoleon spotykają się w Tylży, gdzie zatrzymał się pościg armii francuskiej, i pozostając tam aż do 10 lipca, w ciągu trzynastu dni nie rozłączają się ani na chwilę.

Pamiętne to było spotkanie; tło, inscenizację, grę aktorów i statystów, wszystkie szczegóły wielkiego spektaklu od dawna utrwalono w wielu znanych sztychach: prom na Niemnie — dwaj cesarze złączeni uściskiem przyjaźni, spacery wśród ulic małego miasteczka; Aleksander z Napoleonem chodzą razem pod ramię z uśmiechem na twarzy, często odbywają konne przejażdżki nad brzegami rzeki i po sąsiednich lasach. Parady, uroczyste rozdawanie krzyżów walecznym, tak jednej jak i drugiej armii — to codzienne zajęcie. Gwardie cesarskie bratają się z sobą i składają życzenia w gromkich okrzykach: „Niech żyje wschodni cesarz!" — „Zachodni niech żyje"... a z nadejściem wieczoru obaj monarchowie prowadzą długie, tajemne rozmowy, które kończą wzajemnie sobą zachwyceni. Niektóre nawet zdania cesarskie są znane: „Nienawidzę Anglików tak jak i Wy, *Sir*" — zaczyna Aleksander. — Na to mu Napoleon odpowie nie przecząc: „Wobec tego zrozumiemy się łatwo — pokój już zawarty".

Innym razem Napoleon otrzymawszy sztafetę, że sułtan zginął w buncie janczarów, podał ją Aleksandrowi mówiąc: — Ot, wyrok Opatrzności, który jest dowodem, że cesarstwo tureckie istnieć nie ma siły. — Kiedy indziej

znów nie oszczędził wykrzyknika, może niezbyt miłego, dla wnuka Katarzyny Wielkiej: — Konstantynopol! Konstantynopol!... Nigdy...! przecież to klucz panowania nad światem.

A w ich orszaku i jakby w cieniu obu tych mocarzy, którzy robią wrażenie dzielących między siebie świat, kręci się czasem pokorna figura, niezgrabna i żebrząca: to król pruski. Nie zaproszono go, lecz tylko dozwolono mu przybyć. Zamieszkał we młynie na przedmieściu; jego twarz i postać wyrażają upokorzenie, butę, cierpienie i głupotę. Nieszczęsny czuje się natrętem, co mu zresztą Napoleon nie omieszkał dać odczuć. Podczas pierwszego spotkania cesarzy na promie czeka konno nad brzegiem Niemna dwie godziny i ziębnie na deszczu z oczami nieprzytomnie utkwionymi w namiot zdobny w złote frędzle, gdzie się decyduje przyszłość jego królestwa. Na próżno usiłuje wśliznąć się do narad cesarskich. Pewnego razu, gdy towarzyszy obu przyjaciołom w jednej z konnych przejażdżek, Napoleon kpiąc sobie z niego wyprzedza go galopem wraz z Aleksandrem i pozostawia jadącego truchcikiem daleko w tyle. Pewnego wieczoru spodziewa się, że zwycięzca spod Jeny i Friedlandu da wreszcie posłuch jego upokarzającym zabiegom, lecz myli się haniebnie, gdyż Napoleon wyśmiewa tylko jego staroświecki mundur huzara, pokryty haftami i szamerunkami: „Jak możesz dać sobie radę z zapięciem tylu guzików?“ pyta i na tym kończy dialog. Zaraz z początku zresztą określił go dosadnie: „głupi jak feldfebel“.

W tym samym czasie na piaszczystym i ponurym wybrzeżu Bałtyku, dwadzieścia mil od Tylży, w Kłajpedzie, w dawnym zamku krzyżackim, królowa Ludwika,

chora, wycieńczona, „cierpiąc to wszystko, co przecierpieć można", żywi jeszcze nadzieję, że „anioł opiekun" obroni sprawę Prus i Hohenzollernów przed bezlitosnym zwycięzcą.

Nie opuszczaj nas! — pisze do Aleksandra. — Co stanie się bez Ciebie z królem i mymi dziećmi? To, że ja ginę, nie znaczy nic, byle tylko król i przyszłość moich dzieci były ocalone. Nie miałabym żadnej nadziei, gdybyś Ty nie był arbitrem naszych losów.

I kiedy Aleksander i Napoleon grają majestatycznie swoje role na scenie wypadków dziejowych, za kulisami książę Benewentu oraz książęta Łobanow i Kurakin pracują od rana do nocy redagując protokoły. Nie masz między nimi żadnych dyskusyj, żadnych sporów. Po prostu Talleyrand dyktuje rosyjskim kolegom rozkazy swego pana. Albowiem traktat, podpisany 7 lipca, zawierał tylko i wyłącznie napoleońską koncepcję francuskiego cesarstwa.

Nowy statut Europy, w brzmieniu przyjętym i sygnowanym przez cara Wszechrosji, był następujący: Prusy bezlitośnie obcięte i okaleczone tracą większą część ziem polskich i wszystkie ziemie na zachód od Elby, więc połowę ludności. Pruski zabór tworzy odtąd Wielkie Księstwo Warszawskie pod władzą króla saskiego, uległego lennika Francji. Car zgadza się również uznać konfederację reńską, królestwa feudalne Holandii, Neapolu i Westfalii i w ten sposób oddaje pod władzę Napoleona dwie trzecie Europy. Wreszcie zgadza się na przymierze przeciwko Anglii i obiecuje przestrzegać blokady kontynentu. Wypiera się więc całkiem swoich koalicyj, a wchodzi w nowe porozumienie, ale już z Francją a przeciwko Anglii.

I czy za cenę tych olbrzymich ustępstw otrzymał może Aleksander jakieś korzyści na Wschodzie?... Nie. Już z chwilą rozpoczęcia rokowań musiał zrezygnować na rzecz swego twardego partnera z nadziei na Cattaro i Korfu, te forpoczty rosyjskich ambicyj na Bałkańskim Półwyspie. Napoleon jest zdania, że Rosja nie ma nic do roboty na Morzu Śródziemnym, które należy się Francji. Napoleon bowiem nie wątpi ani na chwilę, że niebawem już wygna stamtąd eskadry angielskie.

Aleksander stara się zachować choćby nadzieję w stosunku do Turcji, domaga się udziału w podziale państwa otomańskiego, chodzi mu bowiem o Bosfor i wybrzeże wokół Konstantynopola. Napoleon jednak odmawia; szachuje on Rosję właśnie tym Wschodem i wie dobrze, że to najsłabsza jej strona. A gdy Rosja będzie mu dobrze sekundować w pojedynku z Anglią, gdy przymierze francusko-rosyjskie powali brytyjskiego lwa, wówczas dopiero weźmie się pod uwagę zagadnienie rozbioru cesarstwa tureckiego, ale żeby kiedyś krzyż prawosławny i orzeł dwugłowy zawisły nad Bizancjum, do tego nigdy nie dopuści! „Konstantynopol, to panowanie nad światem, to klucz do uniwersalnego imperium.

Z tych tak pięknych akordów koncertu dyplomacji, z których Talleyrand musiał się na pewno nieraz uśmiechać, nadchodzące wypadki nie pozostawiły ani jednego tomu.

Spotkanie w Tylży ma jednak dla historyka i psychologa ogromne znaczenie, jeśli chodzi o osobiste zetknięcie się obu cesarzy.

Tak jeden jak i drugi odsłaniają wówczas najgłębiej ukryte cechy swych natur, i to pod najciekawszym względem. Czy Napoleon zrozumiał Aleksandra? Nie, lecz wiedziony instynktem umiał go znakomicie wygrać.

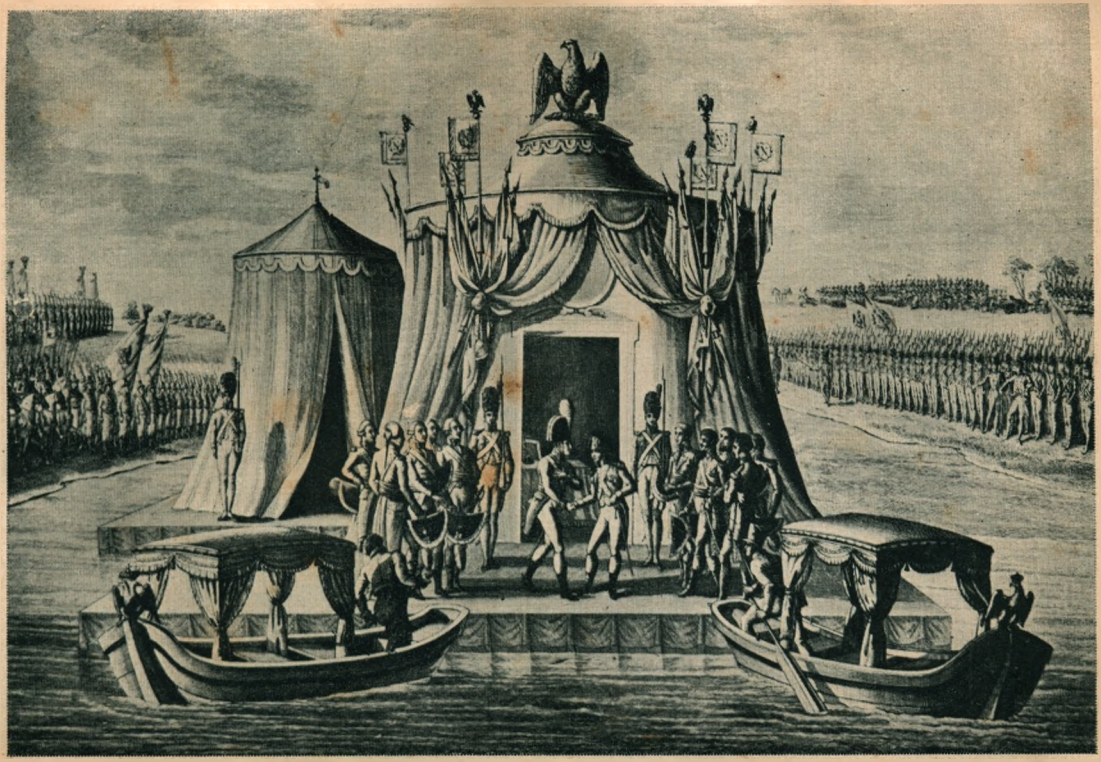

SPOTKANIE ALEKSANDRA I Z NAPOLEONEM NA NIEMNIE W TYLŻY

Po pierwszej rozmowie z carem na ozdobnym promie, rozkołysanym na falach Niemna, pisze do cesarzowej Józefiny:

Droga moja, poznałem Aleksandra i jestem z niego zadowolony; jest to bardzo piękny, dobry i młody cesarz; posiada więcej rozumu niż na ogół myślą.

Uważał — widać — Aleksandra za sympatycznego, rozumnego, poważnego i dobrego młodzieńca, którego czułe i piękne spojrzenie, miły głos i naiwna otwartość, mogły nasuwać mocne przekonanie o szczerości. Czyżby przeczuwał, że odkrył nareszcie w tym monarsze, liczącym lat trzydzieści (sam ma dopiero lat trzydzieści osiem), tego wielkiego sprzymierzeńca, którego potrzebował, aby zgnieść Anglię i przebudować losy świata.

Tak, Napoleon wierzył wówczas naprawdę, że zdobył trwałą przyjaźń rosyjskiego samodzierżcy. Jest to jedna z jego najciekawszych omyłek. Jego umysł był zbyt jasny, zbyt prosty, zbyt łaciński, zbyt przejęty bohaterami Corneille'a i ich bohaterskimi tyradami, aby przeniknąć popędliwą i złożoną, zmienną i krętacką duszę tego Romanowa, duszę jakby wyrosłą z potężnej twórczości Szekspira, Tołstoja czy Dostojewskiego. Zauważył najwyżej coś niesamowitego, dziwnego i nieokreślonego w tym czarującym przyjacielu, który mu w niczym nigdy nie przeczył. Mówił o tym do Metternicha: „Nie wyobrażam sobie mądrzejszego człowieka od cesarza Aleksandra, ale mam wrażenie, że mu brak jakiejś klepki, nie wiem jednak której".

Kto z nich bardziej pragnął spotkania w Tylży, Napoleon czy Aleksander? Zwycięzcy spod Friedlandu zależało na nim na pewno, gdyż ogromny wysiłek, jakiego

dokonał w ciągu roku, doprowadził go do kresu wyczerpania. Opinia francuska zaczynała już szemrać na tę nudną awanturę, która przeciągała się w nieskończoność na krańcach Europy, a Austria poczęła wierzyć, że nadchodzi chwila, „aby ponownie zaufać losom wojny". — Napoleon potrzebował zatem pokoju.

Natomiast Aleksander mimo klęski mniej miał trudności w prowadzeniu wojny; wojska jego mogły się zawsze schronić poza Niemen, a nawet w razie konieczności cofnąć za Dźwinę, gdzie nie potrzebował już lękać się pościgu i spokojnie je zreorganizować. Taki właśnie był plan Bennigsena: odwrót bez końca ku niezmierzonym obszarom cesarstwa, plan, który w roku 1812 ocalił Rosję. Aleksander bynajmniej nie grzeszył wielkimi i bohaterskimi postanowieniami, jak zobaczymy to w pięć lat później; poza tym w jego sztabie panowały intrygi i dawały się nawet słyszeć żądania „pokoju za wszelką cenę". Nadto brat jego, wielki książę Konstanty, w podnieceniu jak zawsze, powiedział mu otwarcie, że znów krąży złowróżbna pogróżka, która Aleksandrowi tyle razy rozstrajała nerwy, „że cesarz zrobiłby dobrze, gdyby sobie przypomniał, jak zginął jego ojciec". Prosił więc Napoleona o zawieszenie broni jako wstęp do szczerego omówienia pokoju. Kniazia Łobanowa, który przybył do Tylży, aby rokować o zawieszenie broni, przyjął Napoleon serdecznie, wyraził się przy tym o carze bardzo pochlebnie i proponował spotkanie, aby zawrzeć pokój, a nawet przymierze. Rozkładając przed Łobanowem mapę powiedział między innymi: „Oto, jaką powinna być granica naszych mocarstw"... Z jednej strony Wisły panować winien wasz monarcha, a z drugiej — ja!".

Toteż nic dziwnego, że takie słowa zapaliły przeczu-

lony umysł Aleksandra. Zapomniał też natychmiast o uroczystych oświadczeniach wobec Fryderyka Wilhelma, o „bezgranicznym przywiązaniu do nierozerwalnego związku pomiędzy Hohenzollernami i Romanowymi", o niezachwianej swej woli uwolnienia Prus, Niemiec, Europy i „zepchnięciu Francuzów za Ren".

Podniecony pisze do Łobanowa:

Wyrazisz cesarzowi Napoleonowi, jak wysoko cenię to wszystko, co mi kazał przez Ciebie powiedzieć, i jak bardzo pragnę, aby przymierze naszych narodów naprawiło minione zło. Powtórzysz mu, że teraz dopiero spodziewam się na pewno wprowadzić w życie moje plany, o których ciągle myślę i które naprawią wreszcie obecny porządek świata.

Odczytując jednak ostatnie zdanie Aleksander przychodzi do przekonania, że za wiele napisał, gdyż przekreśla je i pisze inne, powściągliwsze słowa:

Powiesz cesarzowi, że zbliżenie pomiędzy Francją a Rosją było zawsze przedmiotem moich pragnień i tylko ono zapewnić może szczęście i pokój całemu światu. Dotychczasowy stan rzeczy winien zastąpić zupełnie nowy ustrój społeczny. Żywię niepłonną nadzieję, że z cesarzem Napoleonem dojdzie łatwo do porozumienia, gdy będziemy traktować bez pośredników. Trwały pokój może być między nami zawarty w bardzo krótkim czasie.

Łudził się, że obaj będą pertraktować bezpośrednio, jak dwaj zwykli ludzie, ułożą wszystko po swej myśli nie krępując niczym wspaniałomyślności swych serc. Sami nawet prowadzić będą wszystkie protokoły, bez ministrów, bez świadków.

Grzecznie przez Napoleona przyjęty, Aleksander pozostaje pod całkowitym jego urokiem, a potrafi on doskonale zyskać zaufanie Napoleona łącząc po mistrzowsku

szczerość i udawanie, chytrość i pochlebstwo, gest pański z giętką usłużnością.

23 czerwca pisze Aleksander do ślicznej osiemnastoletniej siostrzyczki Katarzyny, swej szczerej przyjaciółki i powiernicy każdej myśli:

Bóg nas uratował. Wychodzimy z tej walki bez ofiar, a nawet z pewnym blaskiem. Co powiesz na to wszystko? Spędzam cały czas z Bonapartem, całymi godzinami jesteśmy sam na sam. Czyż to nie jakiś sen?

To ostatnie zdanie odsłania psyche Aleksandra do głębi. Błądzi w krainie fantazji — gra ustawicznie jakąś rolę i wciąż go własna oszukuje złuda. Jak aktor wzrusza się, podziwia sam siebie, uczy się swych przemówień, swoich odpowiedzi, układa plany, bada uważnie nawet pozy, gesty: zda się, że mówi za poetą:

„I kroczę żywy w moim śnie gwiaździstym!"

Dla psychiatrów to zjawisko znane — autosugestia pod wpływem wyobraźni, umiejętność tworzenia wokół siebie urojeń tam, gdzie mimo pustki i wadliwej perspektywy sceny wszystko zza mgły piękne się wydaje. I ażeby stan taki wywołać, wystarczy jakiś bodziec zewnętrzny, króry nastawi odpowiednio cały mechanizm mózgu.

Słowa Napoleona: „Wisła będzie odtąd granicą naszych cesarstw... Idąc ręka w rękę zdobędziemy cały świat" — wstrząsnęły przygnębionym przez klęskę friedlandzką Aleksandrem niby prąd elektryczny i oderwały od rzeczywistości. I od razu myśl cara rozpoczęła wędrówkę w krainę fantazji, by budować nowe zamki na lodzie i błądzić w labiryncie romantycznych urojeń. Całą już Europę przeznaczył dla Napoleona, a opierając

przyszłość na mglistych obietnicach, sobie pozostawił Wschód.

Na pewno żaden z wielkich mężów stanu, owych realistów zimnych i przewidujących, jak Richelieu, Cromwell, Fryderyk II, William Pitt, Cavour lub Bismark, nie położyłby swego podpisu na chimerycznym układzie w Tylży.

Nawet dla pięknych oczu królowej Ludwiki nie potrafił uzyskać Aleksander jakichś większych korzyści dla Prus.

I nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Od chwili pierwszej rozmowy na promie dobrze zdawał sobie sprawę, że zupełne ocalenie królowej pruskiej nie leży w jego rękach: „Zrobiłem — pisze do Fryderyka Wilhelma — wszystko, co jest w ludzkiej mocy... Bolesne jest dla mnie to, że wam tak mało pomóc mogę, choćbym chciał najwięcej". Przyznać trzeba przecież, że wstawiennictwo Aleksandra nie było daremne, gdyż końcowy ustęp traktatu zawiera uwagę, że jeśli cesarz Francuzów po zabraniu Fryderykowi Wilhelmowi połowy państwa zgadza się mu zwrócić dawne Prusy, Pomorze, Śląsk oraz Brandenburgię, to tylko „ze względu, na Jego Cesarską Mość Cesarza Wszechrosji".

Napoleon sam to potwierdza w przededniu wyjazdu. Oto jego słowa, skierowane do ministra pruskiego, hr. v. Goltza: „Sprawy me z cesarzem Aleksandrem załatwiłem, z Prusami układać się zupełnie nie będę. Wasz król wszystko zawdzięcza galanterii rycerskiego cesarza Aleksandra; bez jego wstawiennictwa dynastia królewska utraciła by tron, a Prusy dałbym memu bratu Hieronimowi. W obecnym stanie rzeczy niech wasz król uważa to za łaskę z mej strony, jeśli mu w ogóle coś je-

szcze pozostawiam". Te tak ostentacyjne oświadczenia nie są jednak wystarczającym dowodem na to, że Aleksander, wyzyskując liczne sposobności w rozmowach z Napoleonem, „uczynił wszystko, co jest w ludzkiej mocy", aby skłonić „potwora" do łaski dla przyjaciół.

W ostatnich dniach kró pruski był tak zdruzgotany, że aż litość brała patrzeć na niego, i wówczas jeden z jego doradców, marszałek Kalckreuth, bohaterski obrońca Gdańska, powziął myśl wezwania do Tylży królowej: ona jedna — myślał — mogłaby jeszcze uratować sytuację dodać otuchy małżonkowi i przypomnieć carowi przysięgi poczdamskie, wstawiłaby się wreszcie u Napoleona. Jej wielki czar i magnetyczny urok, któremu się nikt jeszcze nie oparł, oddziałałby może dodatnio na nieubłaganego zwycięzcę.

Królowa otrzymawszy w Kłajpedzie list, w którym Fryderyk Wilhelm błaga ją o przybycie, zachwiała się, zbladła i rozpłynęła we łzach. Otoczenie sądziło, że list ten przynosi wieść o katastrofie.

Bonaparte wzbudza w niej taką odrazę, że sama myśl spotkania się z nim i przedłożenia upokarzających próśb wstrząsnęła nią do głębi. Wyjechała do Tylży zupełnie złamana, idąc jakby na ścięcie, równocześnie zaś tłumaczyła sobie, że pokuta, jaką uczynić musi za istotnie popełnione winy, jest nieodzowną dla ratunku królestwa.

Zaledwie stanęła 6 lipca w Kłajpedzie, w skromnej kwaterze męża, Napoleon kazał się nagle zaanonsować. Po kilku słowach zdawkowych grzeczności wyjawia powód przyjazdu i prośbę, aby uzyskać dla Prus pokój możliwy do przyjęcia.

— „Jakże to Wasza Królewska Mość ważyła się na wojnę ze mną? rzucił Napoleon.

Z godnością odrzekła:

— „*Sire*, sława Wielkiego Fryderyka wprowadziła nas w błąd, a była tak wielka, że chyba się godzi darować nam ten błąd".[1]

Prosi następnie o zwrot Magdeburga, Westfalii i innych prowincji. — Wasza Królewska Mość żąda wiele — zastanowię się nad tym" — odpowiedział cesarz i pragnąc zmienić temat zaczął prawić komplementy o wytwornym smaku królowej, o jej toaletach, próbuje nawet bez ceremoni ręką jedwabiu jej sukni:

— „Co to za materia?.. krepon czy włoska gaza?"

Królowa wyniośle przerywa ze łzami w oczach: „*Sire* czyż mówić będziemy o gałgankach w chwili tak poważnej?". Napoleon mógł się tym razem przekonać, że galanteria i żarty salonowe nie były na miejscu.

I wówczas zmienił zdanie o tej kobiecie, którą niedawno wyszydzał, mieniąc ją Kleopatrą, to znów Bradamantą. Widać to z późniejszych jego słów: „Królowa Ludwika to niegłupia kobieta, przeciwnie, rozumna i poważna, przewyższa swego męża o całe niebo; nie dziwię się, że go szanować ni kochać nie może... to Aleksander ją zgubił w roku 1805... Sądzę, że ich łączyła bliższa zażyłość...

Siódmego dnia wieczorem królowa prezyduje przy cesarskim stole; parę minut przedtem król jej oznajmił,

[1] Talleyrand, który był obecny przy tej rozmowie, pisze w swych pamiętnikach: To słowo „sława" użyte w tak odpowiedniej chwili, w Tylży, w salonie Napoleona, wydało mi się zbyt dumne. Nieraz cytowałem tę piękną odpowiedź królowej, aż razu pewnego cesarz mnie oburknął: „Co ty widzisz takiego w tych słowach królowej pruskiej, mógłbyś też mówić o czym innym".

że musiał się zgodzić na „straszne warunki" i „że wyrok śmierci stał się już faktem".

Po prawej ręce ma Napoleona, po lewej siedzi cesarz Aleksander. Jest bardzo piękna w sukni ze złota i purpury, uczesana w wysoki turban. Rolę swą gra dzielnie do końca i nie daje po sobie poznać tragicznej walki wewnętrznej, jaka ją wprost dławi.

Sąsiad po prawej stronie, „potwór", „syn rewolucji", wydaje się królowej bardziej jeszcze wstrętnym i bezecnym, aniżeli to sobie wyobrażała. Nawet fizycznie: gdy patrzy na jego pospolite rysy, twarz nalaną, koloru oliwki, nadętą, duży brzuch, za krótkie nogi do całej postaci; a przy tym wszystkim ten twardy i przenikliwy wzrok — „wcielenie złego losu"!

Rozmowę zaczął Napoleon tonem dość żartobliwym:

— „Czemu Wasza Królewska Mość nosi turban? Nie dlatego chyba, aby zdobyć względy cara Aleksandra, prowadzi bowiem właśnie wojnę z Turcją!"

Mameluk Rustan stał wyprostowany tuż za nimi.

— Nie — odpowiada królowa zmuszając się do uśmiechu — chcę zdobyć względy Mameluka Waszej Cesarskiej Mości!"

Jej przyjaciel po lewej, Aleksander, ten który zawsze ją olśniewał — nie wie, co ma powiedzieć. — Mimo to jednak Ludwika musi mu przyznać, że się zmienił niewiele, że bardziej jest powabny niż dawniej, że szczupło i męsko wygląda w pięknym mundurze pułku preobrażeńskiego i głos ma równie pieszczotliwy, cerę delikatną, oczy marzące o prostym spojrzeniu, obejście jego jak i słowa tchną przemiłą grzecznością.

Co mówił do niej... i ona do niego...? Zapewne czyniła mu wyrzuty, a miała do nich prawo Wiemy o jednym, rzuconym carowi. — „Oszukaliście mnie bezlitośnie!"

A gdy wsiadała do swego powozu, Napoleon podał jej różę, którą dla niej zerwał. — Chwila wahania — lecz zaraz opamiętawszy się królowa szepnęła: „Przyjmuję, lecz choćby z Magdeburgiem".

— „Pozwoli Jej Królewska Mość, odrzekł bóg wojny, lecz to ja daję, Pani ma tylko wziąć".

ROZDZIAŁ VII

Przymierze ze zwycięzcą spod Friedlandu oburza opinię rosyjską. „Ohydna zdrada w Tylży". — Carowa wdowa, Maria Fiodorówna popiera znów objawy potępienia i niechęci do polityki swego syna. Intrygi salonów; niepokojące pogłoski, „azjatyckie lekarstwo". — Misja generała Savary'ego w Petersburgu; dziwny wybór: „kat księcia d'Enghien". Aleksander otacza go względami — salony zamykają się przed nim. Krótka audiencja u carowej wdowy. Aleksander otrząsa się spod wpływu Napoleona; miraż Tylży przestaje mu imponować. — Przybycie generała Coulaincourta, ambasadora Francji. Chcąc się korzystnie przedstawić carowi wpada na pomysł napisania poufnego listu, w którym stara się zrzucić z siebie odpowiedzialność za egzekucję księcia d'Enghien; fałszywa nuta w przymierzu francusko-rosyjskim. — Zagadnienia wschodnie i marsz na Indie. Napoleon kluczy. Aleksander odgaduje pułapkę, makiawelizm i dwuznaczną grę. — Kapitulacje pod Baylen i Cintra przekonywają cara, że Napoleon nie jest przecież niezwyciężony. — Zbrojenia Austrii. — Coulaincourt raportuje, że Aleksander bardziej niż kiedykolwiek trwa przy traktacie w Tylży. — Spotkanie w Erfurcie. — Carowa wdowa zaklina syna, aby tam nie jechał. Po raz pierwszy Aleksander odsłania matce swe wielkie plany przeciw Napoleonowi; proroczy list.

Aleksander wrócił do Petersburga 16 lipca. Czekało go tam przyjęcie nie lepsze niż wtedy pod Austerlitz. Cała socjeta rosyjska wypomina carowi klęskę pod Friedlandem, carowi, który na domiar ohydy „padł do nóg przed zwycięzcą i z nim się zbratał". Nigdy dotąd — mówiono — matuszka Rosja, prawosławna Rosja Piotra Wielkiego i Katarzyny nie była tak upodlona.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, zakrawającym wprost na ironię, episkopat rosyjski, który nie otrzymał odwołania ukazu Świętego Synodu, wydanego jeszcze przed wojną o wyklęciu Napoleona, szerzy nadal z ambon co niedzielę klątwę na burzyciela świata, odstępcę i wroga chrześcijaństwa, obrońcę muzułmanów i żydów.

Lecz najbardziej podsyca bunt przeciwko „ohydnej zdradzie w Tylży" fakt, że nigdzie nie mówi się z równą swobodą o wszystkim, jak w salonach carowej wdowy. Rezydencja w Pawłowsku, gdzie żyje jeszcze duch dawnego dworu carskiego, wśród pysznej etykiety i starych tradycji, staje się ogniskiem opozycji.

Młoda carowa Elżbieta Aleksiejewna, zawsze zapatrzona w Aleksandra, mimo że ten teraz więcej niż kiedykolwiek uwielbia piękną Naryszkinową, oburza się na teściową, przy której otwarcie śmią obmawiać cesarza. Pisze o tym do matki, margrabiny badeńskiej:

...pod wpływem bezgranicznej miłości własnej, która ją skłaniała, aby przy każdej sposobności schlebiać opinii publicznej oraz dla poklasku — cesarzowa Maria pierwsza daje przykład niezadowolenia i głośno występuje przeciwko polityce swego syna; stara się upokorzyć tych wszystkich, którzy czynni byli w zakończeniu wojny, jak na przykład księcia Łobanowa, którego nazwisko powtarzają nawet gazety. Cesarzowa wreszcie, która jako matka powinna przecież bronić swego syna, staje jakby na czele jakiejś frondy; wszyscy niezadowoleni grupują się dokoła niej i wynoszą jej osobę pod niebiosa; jej dwór nigdy nie był tak liczny jak w tym roku, nigdy nie ściągała tyle ludzi do Pawłowska. Nie mam słów, aby wyrazić, do jakiego stopnia mnie to oburza. Czyż w takiej chwili jak obecna, wiedząc dobrze, jak dalece wszyscy są rozjątrzeni przeciwko cesarzowi, wolno jej wyróżniać i pochlebiać tym, którzy najgłośniej krzyczą? Wydaje mi się, jakby ten dobry cesarz, a z pewnością najlepszy z całej rodziny,

zdradzany był i wydany na pastwę losu przez swoich najbliższych. Im bardziej jego położenie staje się przykre, tym mocniej mnie to boli, do tego stopnia, że mogłabym może być nawet niesprawiedliwą wobec tych, którzy go nie szczędzą...

Ten odruch potępienia i niechęci pogłębia się wkrótce. Intrygi salonowych koterii nabierają pozorów spisku. Tu i ówdzie krążą słowa pełne groźby, wydaje się chwilami, że knuje się w cieniu pałacowa rewolucja jak w latach 1762 czy 1801. I znowu krąży złowrogie memento: „Cesarz powinien pamiętać, jak umarł jego ojciec". Wzburzenie jest głębokie, niepokój ogarnia wszystkich. „Ażeby znaleźć wyjście z tej niebezpiecznej sytuacji — pisze poseł Sardynii, Józef de Maistre — wielu wskazuje tylko *remedium* azjatyckie".

Aleksander słysząc zewsząd tak ostrą krytykę martwi się, jak zwykle w duchu, na zewnątrz jednak zachowuje pogodną obojętność, którą czerpie codziennie z objęć pani Naryszkinowej. Przez myśl mu wówczas jeszcze nie przechodzi, że ci najzaciętsi jego wrogowie obsypią go kwiatami, gdy będzie mógł odsłonić tajniki swej gry politycznej i pełne chwały skutki, jakie za sobą ta gra pociągnie. Dziś żyje jeszcze pod wrażeniem i w iluzjach Tylży, gdyż jeszcze działa nań żywo urok czarodzieja.

Rozumna i przewidująca obserwatorka Elżbieta tak pisze do swej matki:

Bonaparte wydaje mi się rozpustnym uwodzicielem, który prośbą i groźbą zniewala wszystkie piękności, by padły w jego ramiona. Rosja jako najcnotliwsza opierała mu się długo, lecz i ona uległa podobnie jak i inne urokowi i sile cesarza. Włada on jakimiś tajemniczymi fluidami, które stale z niego promieniują. Pragnęłabym wiedzieć, co za moc czarnoksięską ma Bonaparte, ażeby tak nagle i to do tego stopnia odmienić o sobie opinie.

Przed nawiązaniem poprawnych stosunków dyplomatycznych — co zawsze wymagało dłuższych formalności — Napoleon zapragnął posiadać w Petersburgu oficjalnego przedstawiciela, który podtrzymywałby jego przyjacielskie stosunki z Aleksandrem i informował o rosyjskich nastrojach. W przygotowaniu tej delikatnej misji wpadł na pomysł, aby wybrać jenerała Savary'ego, znanego mniej ze swych czynów wojennych, ale za to głośnego z talentów policyjnych. Nie było dla nikogo tajemnicą, że on to dowodził wyborową żandarmerią w roku 1804 i że odegrał ważną, a może nawet decydującą rolę w straceniu księcia d'Enghien

Aleksander nie szczędzi mu uprzejmości, łask i względów. Nieustannie powraca do miłych dni w Tylży: „Cesarz Napoleon — mówi — dał mi wówczas dowody przywiązania, których nigdy nie zapomnę. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej czuję się szczęśliwy, że go poznałem... Cóż to za niezwykły człowiek!..." W przeciwieństwie do tego Savary, skoro tylko przekroczy progi cesarskiego pałacu, nie znajduje nikogo, z kim by można mówić. Wszystkie drzwi zamykają się przed nim, nikt go nie dostrzega, nie zaprasza, nikt nie zwraca kart wizytowych. Nie uchodzi jego uwagi, że na uroczystościach i spacerach ludzie od niego stronią. Atmosfera niechęci i pogardy towarzyszy mu wszędzie, gdyż w oczach społeczeństwa rosyjskiego jest on „katem księcia d'Enghien", człowiekiem, który kierował dramatem w Ettenheim i Vincennes, który sędziom wojskowym podyktował ohydny wyrok i dowodził oddziałem egzekucyjnym, i który zniecierpliwiony, chcąc zyskać na czasie i wszystko jednej nocy zakończyć, kazał zawczasu wykopać grób dla swej ofiary!

Obłudne oburzenie! — Czemuż nie potępiono morderców cara Pawła, których się przecież przyjmuje w szlacheckich salonach a nawet w bliskim otoczeniu cara.

W kilka dni po przybyciu prosi Savary o audiencję u groźnej Marii Fiodorówny. Cesarzowa odmawia, gdyż nie ma on tytułu ambasadora i jest tylko posłem, wnet jednak zmienia zdanie i raczy go przyjąć. Lecz co za upokorzenie dla generała! — „W dniu 30 lipca — jak pisze do Paryża — zostałem przedstawiony cesarzowej matce w pałacu Taurydzkim. Przyjęcie było zimne i nie trwało nawet minuty".

Ażeby mu nagrodzić te różne niegrzeczności i impertynencje, Aleksander ponownie zasypuje generała względami i odznaczeniami. Żąda nawet wyraźnie, aby pewne salony otwarły swe podwoje przed posłem Francji. Jednak i wówczas generał mógł donieść zaledwie, co następuje: „Zauważyłem jakieś wiele mówiące milczenie, które usuwa niejako poza nawias wszystkie zagadnienia polityczne. Nikt nie ma odwagi mówić o Tylży, o pokoju czy o Francji lub o cesarzu Napoleonie..."

Lecz gdy tylko Savary opuszcza zebranie, języki rozwiązują się i słychać chór zuchwałych i gwałtownych ataków, piętnujących zaślepienie i tchórzliwość cara. Elżbieta Aleksiejewna pisze o tym do matki:

Im więcej cesarz okazuje przychylności swemu nowemu sprzymierzeńcowi, im silniej to podkreśla wobec Savary'ego, tym więcej wywołuje protestów, i to do tego stopnia, że sytuacja staje się groźną.

Widzi ona, że nad głową jej drogiego małżonka zwisa miecz Damoklesa!

Tymczasem i w umyśle Aleksandra dokonuje się powoli niewidoczna przemiana, do której jednakże pomruki salonów mało się przyczyniają. Tempo czasu, zmiana perspektyw, inaczej oświetlone nowe widnokręgi, przykre zetknięcie się z rosyjską rzeczywistością, wreszcie instynktownie zbudzona wrodzona nieufność, której nie mogły na długo uśpić złudne upojenia, rozwiewały powoli promienne mgły Tylży.

Tę nieufność podniecali codziennie dwaj bliscy współpracownicy monarchy, Mikołaj Rumiancew i Piotr Tołstoj. Pierwszy z nich otrzymał właśnie portfel spraw zagranicznych, Tołstoj zaś upatrzony był na ambasadora w Paryżu. Obaj rozumni, o dużych horyzontach myśli, wnosili swemu władcy jeszcze coś cenniejszego, a mianowicie wolę i stanowczość, które nie łatwo można było olśnić blichtrem lub przejąć strachem.

Pierwszym aktem, do którego zobowiązała się Rosja w Tylży, był obowiązek pośredniczenia pomiędzy Francją a Anglią. — Reszta, tj. korzyści płynące ze Wschodu, były na dalszym planie.

Na skutek podszeptów zręcznego Rumiancewa i Tołstoja cesarz nakazał poczynić odpowiednie kroki u rządu brytyjskiego, którego zresztą odmowa nie ulegała żadnej wątpliwości. Było to więc zerwanie,... naturalnie tylko dla oka, gdyż po cichu tajny wysłannik cara zawiózł do Londynu zapewnienie o trwałej przyjaźni, którą jednak trzeba na pewien czas ukryć pod wrogimi pozorami.

Oświadczając się w ten sposób przeciwko Anglii Aleksander dawał swemu sprzymierzeńcowi demonstracyjny dowód dobrej woli, co upoważniało go do żądania w zamian natychmiastowego wykonania wschodnich obietnic.

W międzyczasie przybył do Petersburga nowy ambasador Francji, generał margrabia Caulaincourt, wielki koniuszy cesarza. Był to wielki pan, wytwornej postawy, o wspaniałych manierach, człowiek z towarzystwa, świetny *causeur*, a przy tym umysł szeroki, jasny i roztropny. Duszę miał jednak jakby dla kontrastu na pozór tylko szlachetną i pełną uczucia, w rzeczywistości zaś była to natura niespokojna z wisielczym humorem, mętnym sumieniem i słabą wolą. Krętacz pierwszej klasy: operuje sofizmatami, równocześnie zaś jest skłonny do kompromisów, sofistyki i wszelkich konszachtów.

Prawie jednocześnie przybywa do Paryża Tołstoj. Po pierwszej rozmowie z Napoleonem odgadł wszystko:

Plany Bonapartego w stosunku do nas — pisze — są jasne, chce zrobić z nas państwo azjatyckie, odepchnąć poza dawne granice. Pragnie również oddalić nasze wojska od Konstantynopola i, ażeby to wszystko pięknie wyglądało, proponuje wyprawę na Szwecję. Resztę naszych wojsk rad by skierować na dalekie wyprawy do Persji i Indii...

W kilka dni później, gdy Aleksander mówi z Caulaincourtem o zamiarze natychmiastowego włączenia Mołdawii i Wołoszczyzny do imperium carów, ambasador daje mu do zrozumienia, że za cenę tej aneksji Napoleon żąda nie mniej tylko Śląska, z którego chce uczynić forpocztę francuską w Europie na samych krańcach Polski.

Teraz już Aleksandrowi otworzyły się oczy, jego nieufność pogłębia się i ustala. Skądinąd dowiaduje się znowu, że Napoleon intryguje już w Wiedniu, aby w razie konieczności zatrzymać Rosję na drodze do Konstantynopola.

Zastanawia go wreszcie dająca wiele do myślenia

rozmowa Tołstoja z hr. Metternichem, który wówczas w Paryżu reprezentował dwór wiedeński i już wtedy był w tajnej zmowie z Talleyrandem. Już dawniej podczas swej wizyty w Poczdamie w r. 1805 Aleksander zwrócił uwagę na przenikliwy i przewidujący umysł tego młodego dyplomaty.

Nie bez znaczenia wyraził się raz poufnie Metternich do swego rosyjskiego kolegi:

— „Przyświecać nam winien teraz i zawsze jeden cel tylko, a mianowicie zachowanie wśród ogólnego zamętu integralności naszych granic. Cesarz Napoleon będzie wam dzisiaj schlebiał, aby jutro napaść na was, to samo uczyni też z nami". — We wszelkich poczynaniach, jakich Austria i Rosja winny się trzymać, unikać należy dwóch ewentualności: poróżnienia się z Napoleonem i wzięcia się na jego słodkie słówka. — W konkluzji zaś dodaje Metternich jeszcze: „Niechaj mu się wydaje, że nas wystrychnął na dudków, ale nie będziemy nimi. — Przyjdzie i dla nas dzień, w którym zakończy się ten stan rzeczy, gdyż jest to wszystko wbrew naturze i cywilizacji..."

W tym to programie, poczętym jak widać już w listopadzie 1807 r., kryje się źródło napoleońskiego dramatu. Talleyrand uważał, że dyplomata winien mieć „dar patrzenia w przyszłość", makiawelizm jego i Metternicha szybko się porozumiały ze sobą.

Niech mu się wydaje że nas wystrychnął na dudków, lecz nie bądźmy nimi..." Te słowa są dla Aleksandra błyskiem światła, którego nigdy nie zapomni!

I w takiej to właśnie chwili Caulaincourt wpada, dla przypodobania się carowi, na idiotyczny pomysł napisania poufnego listu do niego, w którym usiłuje zrzucić

z siebie winę za udział w straceniu księcia d'Enghien; twierdzi, że wyłącznie tylko z obowiązku służbowego brał udział w posunięciach wojska pod Ettingheim 15 marca 1805, co ostatecznie dopiero miało na celu ujęcie księcia. Krótko mówiąc, zrzuca z siebie odpowiedzialność za tę mokrą robotę, której był jednym z głównych wykonawców i która została zresztą sowicie zapłacona; dezawuuje przy tym swego pana. Nic też dziwnego, że Aleksander znając już nici łączące Caulaincourta z Talleyrandem i doskonale orientując się w tej „niezależnej polityce" napoleońskiego ministra, która stanowiła niejako preludium do jego późniejszej zdrady, zbyt dobrze zrozumiał wyznanie francuskiego ambasadora. Poznał też wtedy miernotę Caulaincourta i odtąd miał go już w rękach. Zresztą ten, pomimo przepychu, wyróżnień i zaszczytów, z jakimi się co dzień spotyka, nie czuje się dobrze w swej roli, brak mu swobody i naturalności, bo na każdym kroku odczuwa źle skrywaną obelgę. Minister i poseł Sardynii, Józef de Maistre, ten przenikliwy obserwator, dobrze umiał określić dziwne zakłopotanie nadętego dyplomaty:

Bardzo mnie bawi — pisze — obserwowanie Caulaincourta; jest dobrze urodzonym i pyszni się tym, reprezentuje monarchę, który trzęsie światem, ma coś sześć czy siedem tysięcy franków renty, wszędzie się pcha, a jednak — mimo że kapie od złota haftów, ma minę głupią i sztywny jest, jakby kij połknął. Nie mylą się ci, którzy mówią, że wygląda jak „Ninetka na balu dworskim".

„Ten człowiek, który przecież mógł wszystko zrobić, co chciał, jąkał się wobec prawdziwej dostojności, co mnie niejednokrotnie uderzało, i to od momentu rozpoczęcia się tragedii".

BIBLJOTEKA Koła Tow. Wiedzy Wojsk. w JAROSŁAWIU

Przeciwnie, żaden obserwator w Paryżu nie mógłby się wyrazić w ten sposób o ambasadorze Aleksandra. Spokojny, pełen prostoty i dumy Tołstoj posiada dużo poczucia własnej godności. Na próżno Napoleon demonstracyjnie obsypuje go względami i nie szczędzi pięknych słówek na każdym kroku. Rosjanin ani razu nie pozwala się olśnić, nie ulega wpływom i nie daje się wyprowadzić w pole. Zawsze pełen swobody, a jednak z całą stanowczością umie reprezentować honor swego władcy i interes państwa.

* * *

Dnia 24 stycznia 1808 Napoleon przyjął powracającego z Petersburga jenerała Savary'ego. Indaguje go dokładnie i drobiazgowo nie szczędząc przy tym ostrych uwag, w czym zresztą był mistrzem. Wyciąga ze Savary'ego to wszystko, czego ten improwizowany dyplomata nie domówił ze strachu w raportach, czego nie miał odwagi napisać, i wszystko, czego się nawet przypadkiem dowiedział lub usłyszał nie zdając sobie nieraz sprawy ze znaczenia i wagi rzucanych lekkomyślnie półsłówek.

Napoleon jest wściekły. Sądził, że trzyma w rękach Aleksandra, a ten mu się wymknął. Bystrym wzrokiem ogarnia zaraz konsekwencje tego, widzi, że plany jego są zachwiane, a korzyści zwycięstw spod Austerlitz, Jeny i Friedlandu stoją pod znakiem zapytania, i to właśnie w chwili, gdy Austria podnosi głowę, gdy los monarchii w Hiszpanii wisi na włosku, a rząd angielski całemu światu głosi, że będzie z nim toczyć wojnę do ostatniego tchu.

Toteż bezzwłocznie, stosując swym zwyczajem również i w dyplomacji metody wojenne, tworzy plan w wiel-

kim stylu, celem odzyskania wymykającego się sprzymierzeńca.

Już 2 lutego pisze własnoręcznie do cara długi list, pełen dytyrambów i napuszonych słów, w którym podsuwa mu projekt, mający na pewno rzucić Anglię na kolana przed kontynentem". — Francja i Rosja winny wysłać przez Konstantynopol i Kaukaz pięćdziesięciotysięczną armię na podbój Indii:

W miesiąc po naszym układzie wojska nasze mogą być nad Bosforem! Krok ten groźnym echem rozlegnie się aż do Gangesu.

— Czasu do stracenia nie ma:

Wszystko może być postanowione i podpisane jeszcze 18 marca. — 1 maja wojska mogą stanąć w Azji... Wówczas Anglicy, zagrożeni w Indiach, wygnani z Lewantu, ugną się pod ciężarem wydarzeń... Nie cofnę się przed niczym, każde zobowiązanie gotów jestem zaciągnąć dla osiągnięcia tak wielkiego celu.

Po tej wyraźnej aluzji do podziału Turcji dodaje w zakończeniu piękne słowa, tyradę, obliczoną na zamiłowanie Aleksandra do gestów ulepszania świata:

Wasza Cesarska Mość i ja pragniemy przecież pokoju, aby móc życie poświęcać naszym rozległym imperiom, chcemy odrodzić ludzkość dając jej szczęście przez sztukę i dobrodziejstwa rządzenia. Niestety, wrogom naszym jest to solą w oku. — Lecz my wzniesiemy się ponad przeszkody. Obowiązkiem naszym jest pomagać przeznaczeniu naszą polityką i iść tam, gdzie nas nieuchronny bieg wypadków wiedzie... W tych ostatnich słowach całą moją duszę Waszej Cesarskiej Mości odsłaniam. — Dzieło Tylży ustali losy świata.

Ażeby dodatkowo jeszcze objaśnić te nieszczere i napuszone plany, Napoleon zaprasza na polowanie po-

dejrzliwego Tołstoja. W pełnym galopie, przy lodowatym wietrze, który im chłoszcze twarze, roztacza przed nim z zapałem swe plany. Jako przykład przytacza, że byli już przecież wielcy zdobywcy, którzy niegdyś dążyli, aby opanować Azję. — „Że Aleksandrowi Wielkiemu czy Tamerlanowi nie powiodły się plany, to nie dowód, że samo dzieło niewykonalne. My to lepiej zrobimy niż tamci obydwaj. Przede wszystkim należy dojść do Eufratu, a gdy raz osiągniemy brzegi tej rzeki, nie widzę powodu, byśmy nie mieli zdobyć Indii".

Gdy ów, tak błyskotliwy list nadszedł do Petersburga, car nie posiada się z radości, mówiąc do Caulaincourta: — To są wielkie sprawy! Oto wielki człowiek!... Poznaję styl Tylży!...

W odpowiedzi do dostojnego sprzymierzeńca pisze:

List Waszej Cesarskiej Mości przypomniał mi chwile w Tylży, których wspomnienie pozostanie mi na zawsze drogim. W chwili, gdy czytałem Jego słowa, zdawało mi się, że znowu spędzamy wspólnie minione godziny. Odczuwałem to nad wyraz radośnie. Zamierzenia Waszej Cesarskiej Mości uważam za równie wielkie jak słuszne. Jedynie tak wielki geniusz może powziąć tak rozległe plany. Pewny też jestem, że ten geniusz plany te wykona...

Rumiancew otrzymuje rozkaz porozumienia się z Caulaincourtem co do głównych punktów układu, podsuwanego przez Napoleona. Postanowiono też, aby obaj monarchowie spotkali się w Erfurcie celem zacieśnienia węzłów przyjaźni:

„Już z góry cieszę się myślą tego spotkania jak jakimś świętem radosnym — pisze Aleksander — będzie to jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu".

Manewr Napoleona udał się znakomicie.

Rozmowy ministra i ambasadora rozpoczęły się jednak niezbyt pomyślnie. Nie mogą się jakoś zrozumieć; odmienny punkt widzenia zaznacza się od razu w sprawie rozbioru Turcji; spory przybierają charakter złośliwej ironii, a czasem stają się nawet przykre. Caulaincourt wierzy wytrwale, że Aleksander jest zawsze i niezachwianie oddany Napoleonowi, jednak wnet orientuje się, że tylżycki sprzymierzeniec nigdy nie udzieli swej armii przeciwko Anglii, jeżeli przedtem nie otrzyma Konstantynopola.

Podziw i radość, z jaką car czytał grandelokwentną epistołę Napoleona z 2 lutego, wprowadziły Caulaincourta w błąd. Nie podejrzewał on przemiany, jaka zaszła u cara od kilku miesięcy i stopniowo odsuwała go od francuskiego przymierza; przeciwnie — wspomniany list utwierdził go jeszcze w tym błędzie. Tymczasem Aleksander spostrzegł pułapkę, jaka się kryła pod maską frazesów i od razu przejrzał wszystkie intencje Napoleona. Zrozumiał, że „wielkie plany indyjskie" są tylko wybiegiem, w celu uniknięcia podziału Turcji oraz pretekstem do opóźnienia ewakuacji Prus i zatrzymania Śląska, wszystko — aby pozostać jedynym władcą Europy... Podstęp był zbyt oczywisty... Dwukrotnie nie wygrywa się tak jak w Tylży!...

Aleksander długo rozmyślał nad radą, udzieloną Tołstojowi przez Metternicha, że „nie trzeba poróżnić się z Napoleonem, ale też nie należy iść na lep jego słodkich słówek. Udawać, że się jest wystrychniętym na dudka, lecz nie być nim! Od tego czasu wszystkie poczynania oraz polityczna gra Aleksandra mieć będzie trzy charak-

terystyczne cechy: nieufność, skrytość i dwulicowość. W tej skomplikowanej i subtelnie cieniowanej roli staje się on niebawem nie lada wirtuozem.

Nadchodziły miesiące, w których ważyć się miały losy obu władców. Z początkiem jesieni mieli się spotkać w Erfurcie, na połowie drogi od swoich stolic, w Turyngii.

Lecz jeszcze przed tą datą wiele niespodzianek pogrąża Europę w osłupieniu i trwodze.

7 kwietnia Napoleon dokonuje posunięcia, które dawno już i dobrze obmyślił: zajmuje państwo papieskie i więzi Papieża Piusa VII. Odtąd Rzym, dawna stolica świata, metropolia katolicyzmu, miasto cezarów, apostołów i męczenników, staje się tylko prefekturą francuskiego departamentu. Odtąd obowiązuje tylko nazwa: „Departament Tybru — główne miasto Rzym", tak jak się mówi o „departamencie Vienny — z głównym miastem Poitiers" lub o „departamencie Ande — z prefekturą w Carcassonne".

Jednocześnie drugi zamach, niemniej sensacyjny i potworny rzuca postrach na Europę.

Dnia 15 kwietnia Napoleon ściąga podstępnie do Bayonny króla Hiszpanii, Karola IV, królową Marię Ludwikę oraz ich najstarszego syna, Ferdynanda, księcia Asturii.

Tam po kilku dramatycznych i haniebnych scenach dynastia hiszpańskich Bourbonów, co graniczy prawie z groteską, zrzeka się tronu, który wnet przechodzi na króla Neapolu, Józefa. Zastępuje go „tymczasowo" Murat. Tę to ostatnią scenę tak opisuje Chateaubriand:

Napoleonowi spodobało się po prostu zamienić trony między bratem Józefem a swym szwagrem Joachimem. Zdjął bez ceremonii z głowy koronę pierwszemu i włożył ją na głowę

drugiego kuzyna; ot jednym ruchem ręki zmienił nakrycie głowy obu nowym królom, po czym... obaj odeszli, każdy w swoją stronę jak dwaj rekruci, którym zamieniono czaka.

Zamach w Bayonnie wywołał w Petersburgu tym większe wrażenie, że duszą tej „zasadzki szatańskiej", człowiekiem, który niegodnym podstępem umiał Bourbonów hiszpańskich wydać w ręce Napoleona, był generał Savary, „kat księcia d'Enghien", nikczemny policjant, ten sam, którego jeszcze niedawno traktowano w Rosji z pogardą.

Wybuch namiętności antyfrancuskich nie zmienił jednak faktu, że dzięki zawładnięciu Rzymem i Madrytem Napoleon stał się jedynym panem Włoch i Hiszpanii. Gdzież się nareszcie zechce zatrzymać?

Niebawem jednak nadchodzą wieści inne, jakich jeszcze dotąd nie było, i to z dwu stron równocześnie, a które nakazały skierować wzrok na nowe wypadki. Z końcem sierpnia dochodzą słuchy, że cała Hiszpania w ogniu, a następnie, że w dniu 22 lipca trzy dywizje francuskie pod dowództwem generała Duponta otoczone pod Gaylen złożyły broń.

Po raz pierwszy wtedy wojsko francuskie i cesarski generał musieli ugiąć karku pod hańbiącym jarzmem, a nim jeszcze minęło zdumienie, nadeszła nowa wieść, że *desant* Anglików na portugalskim wybrzeżu zmusił generała Junota dnia 30 sierpnia do opuszczenia Lizbony i kapitulacji w Chintra. Te dnie klęski, następujące po sobie, wywołały w całej Europie olbrzymie zdumienie. — Czyżby Napoleon nie był niezwyciężonym?

* * *

Dnia 14 września Aleksander wybiera się do Erfurtu. Towarzyszą mu w drodze złowrogie pogróżki i głośne szemrania, potępienie opinii, przewidującej najfatalniejsze konsekwencje. Nikt nie może zrozumieć, że car śmie znowu podjąć nieszczęsne i upokarzające doświadczenia Tylży. Co za nieroztropność. — Bonaparte wywiedzie go znów w pole!... A któż może wiedzieć, co czeka go w Erfurcie, gdy znajdzie się w szponach potwora?... — Wszak wszyscy pamiętają zbyt dobrze zasadzkę bayońską!

Matka Aleksandra pisze do niego z letniska w Gatczynie list skropiony łzami i błaga, by się zatrzymał nad brzegiem przepaści; „Drogi Aleksandrze, moje słowa sądzić Cię będą, jak i mnie sądzić będzie Bóg przed Swym trybunałem". W czarnych barwach maluje mu los Europy, która musi warować i ulegać kaprysom krwiożerczego tyrana. Przypomina też, że handel rosyjski zniszczony zupełnie, że państwu grozi bankructwo, że lud cierpi nędzę, a nienawiść do Francuzów dochodzi do szczytu. To spotkanie w Erfurcie będzie hańbiącą plamą na jego panowaniu. Zwraca w końcu uwagę na niebezpieczeństwo, które grozić mu może w spotkaniu z Bonapartem w samym sercu Niemiec, z dala od pomocy, w fortecy, która przecież jest w rękach zwycięzcy spod Friedlandu. Po Vincennes, po Bayonnie, Napoleon zdolny jest do wszystkiego i to tym bardziej teraz, gdy zaszachowano jego prestiż w Hiszpanii. — Jest przecież widoczne, że „gwiazda jego blednie"... Maria Fiodorówna kończy patetycznym zaklęciem: „Aleksandrze, zgubisz swoje cesarstwo i swoją rodzinę! Zatrzymaj się, póki czas jeszcze. — Pamiętaj o honorze, o prośbach i błaganiach matki. Zatrzymaj się, mój synu!"

Aleksander nie lubił wtajemniczać matki w sprawy

publiczne. Starał się w miarę możności ograniczyć ją zawsze do ról zewnętrznych, bardziej dekoracyjnych, które grała zresztą doskonale; jednakże uznawał w niej prawość i rozum, nieugięty charakter, posiadanie moralnego autorytetu u szlachty, w cerkwi i w armii, wreszcie poczucie odpowiedzialności monarszej. Czuje więc tym razem obowiązek wyjaśnień i może po raz pierwszy spowiada się matce ze swoich zamysłów. Dnia 28 sierpnia 1808 spokojnie i z wielkim szacunkiem tłumaczy jej konieczność politykowania przez czas pewien z Napoleonem.

„Trzeba, aby Francja wierzyła, że jej polityka może iść po linii polityki Rosji. Skoro wiarę tę straci, będzie widzieć w Rosji jedynie wroga, którego winna zniszczyć". Nie można budzić w Bonapartem nieufności — to jest program Rosji na najbliższą przyszłość — tchu trzeba nabrać i powiększyć siły. „Pracować trzeba naturalnie w najgłębszym milczeniu, nie krzyczeć o zbrojeniach na prawo i lewo..."

Poza tym należy „ocalić Austrię" i dać jej się wzmocnić aż do chwili, gdy trzeba jej będzie użyć dla wspólnego dobra!... Te niepowodzenia, których Napoleon doznał w Hiszpanii, dadzą się łatwo naprawić. Któż mi da dowód, z którego bym mógł wnioskować o zbliżającym się upadku cesarstwa, tak potężnego, jak jest nim obecnie Francja. Czyż poszło już w niepamięć, że ta Francja potrafiła stawić czoło całej Europie, przeciw niej sprzymierzonej, i to w chwili, gdy była rozdarta domową wojną w Wandei, gdy zamiast wojsk miała tylko gwardie narodowe, gdy stał u steru słaby i chwiejny rząd, zwalczany przez drugi, może jeszcze słabszy. Czyż upadek możliwy jest właśnie teraz, gdy losy państwa dzierży

mąż niezwykły, któremu talentu i geniuszu nikt odmówić nie może, który posiada siłę nieograniczonej władzy i potężne środki, zorganizowaną i zdrową armię, zaprawioną w ogniu 15 lat wojny. To imperium ma paść dlatego tylko, że dwa korpusy z winy nierozważnego dowództwa musiały ulec przeważającym siłom?

Nie — takiej opinii podzielić nie mogę. Podobne urojenia byłyby zbyt złowieszcze dla całej Europy i czas już najwyższy, aby przestały wpływać na gabinety. Patrzeć trzeba na wypadki takimi oczami, które by dojrzały rzeczywistość, a uprzedzenia zostawić na boku... Nie spieszmy się zatem z polityką antynapoleońską i nie narażajmy się na to, aby wszystko utracić. Lepiej udajmy, że pragniemy przymierza, aby uśpić czujność alianta. Zyskujmy na czasie i bądźmy gotowi. Gdy nadejdzie właściwa godzina, będziemy się mogli spokojnie przyglądać upadkowi Napoleona.

Poufalej i zwięźlej pisze o tym niebawem Aleksander do ukochanej siostry Katarzyny:

Bonapartemu zdaje się, że jestem głupcem. Śmiać się będzie jednak serdecznie ten, kto się śmieje ostatni.

Tymczasem Caulaincourt w raportach zapewnia Napoleona, że jego wielki przyjaciel z północy jest mu bardziej oddany, niż był nim kiedykolwiek. Z głębokim przekonaniem powtarza komplementy i słowa, jakich mu nie szczędzi Aleksander na każdym kroku:

— „Powiedz pan cesarzowi" rzekł raz do Coulaincourta „że może na mnie liczyć tak jak na pana i niech z tego wyciągnie konsekwencje. Niech ktoś próbuje drgnąć tylko, a dostanie po palcach aż miło... A więc — w końcu września w Erfurcie, w zimie zaś rezultaty!..."

ROZDZIAŁ VIII

W drodze do Turyngii Aleksander zatrzymuje się przez dwa dni w Królewcu, aby dać dowód sympatii do pruskiej pary monarszej. Wymowne błagania „Armidy". 27 września 1808 dwaj cesarze spotykają się w Erfurcie. — Wspaniałe widowisko; serdeczności i pochlebstwa, apoteoza potęgi napoleońskiej. Służalstwo książąt niemieckich. „Nikt nie potrafi zgrabnie lwa pogłaskać". — Napoleon przygotowuje się do wojny z Austrią i pragnąc sobie zapewnić współudział Rosji, obiecuje carowi naddunajskie prowincje i Finlandię. — Konszachty Aleksandra z Talleyrandem u księżnej Turn-Taxis. Jawna zdrada, współwina Caulaincourta. Napoleon postanawia rozwieść się z Józefiną i zabiega o rękę młodziutkiej wielkiej księżniczki Anny Pawłówny. Niezdecydowana odpowiedź cara. — Dyplomatyczny bilans spotkania: „Europa może być ocalona tylko przez najściślejsze przymierze Austrii i Rosji".

Aleksander opuszcza Petersburg 14 września i spieszy „szybciej niż kurier". Po drodze nie może sobie odmówić przyjemności zatrzymania się przez dwa dni w Królewcu, gdzie monarsza para pruska, przygnębiona niedolą, prowadzi nędzny żywot. Aby godnie przyjąć cesarza, zdobywają się na duże ofiary, gdyż okazać trzeba, że monarchia Hohenzollernów mimo okaleczenia jest jeszcze państwem. Natychmiast jednak po ukończonych uroczystościach królestwo zawożą Aleksandra poza miasto, gdzie w skromnym wiejskim dworku można porozmawiać swobodnie.

Fryderyk Wilhelm jest jak zawsze niezgrabny i podszyty tchórzem, natomiast Armida powraca uporczywie do próśb: „Więc Wasza Cesarska Mość znów ujrzy Napoleona!... Zaklinam, strzeż się przed nim, miej się na baczności, cokolwiek by mówił. Będzie zapewne usiłował wciągnąć Waszą Cesarską Mość w wojnę przeciw Austrii!... Na litość boską, nie czyń tego, lecz ratuj Europę!..."

Nie odkrywając kart car ogranicza się do kilku bliżej nieokreślonych obietnic, popartych tylko wymownym spojrzeniem, radzi jednak usilnie cierpliwość i grę na zwłokę. Jedynie pierwszy minister, baron Stein, który wkrótce stanie się budzicielem germańskiego ducha, odgaduje tajemne myśli Romanowa, co widać z jego listu z owych czasów: „Cesarz Aleksander widzi niebezpieczeństwo, które grozi Europie, i mam wrażenie, że zgodził się na spotkanie w Erfurcie jedynie w celu utrzymania pokoju jeszcze na jakiś czas. Nie wierzę, aby chciał napaść na Austrię w chwili, gdy ta będzie prowadzić wojnę z Francją".

Z Królewca Aleksander kieruje się na Kistrzyń i Lipsk, skąd dotrzeć miał do Erfurtu omijając Berlin.

Od chwili przekroczenia Wisły rzuca mu się w oczy codziennie ten sam widok, gdyż na każdym postoju witają go wojska francuskie. Niektóre formacje odwołano już wprawdzie do Hiszpanii, jednak widać je jeszcze wszędzie, szczególnie po twierdzach, nad Odrą, w Głogowie i w Kistrzyniu; — zapewne tak być musi, aby utrzymać Niemców w ryzach, mimo że Napoleon dzierży całe Pomorze, Brandenburgię, Śląsk, Frankonię, Hanower, Holsztyn, ujście Elby i mimo że posłuszni mu są przecie książęta Bawarii, Hesji, Bergu, Saksonii, Witembergii, Badenu oraz Westfalii. Nic też dziwnego, że taki stan rzeczy utrwalił we wrażliwej duszy Aleksandra myśl, która ustawicznie krążyła mu w głowie od czasu bitew pod Austerlitz i pod Friedlandem, mimo złud Tylży: „pierwszym warunkiem powszechnego pokoju jest uwolnienie Niemiec od jarzma Francuzów, których trzeba odepchnąć za Ren".

27 września dwaj cesarze spotkali się w Erfurcie.

Nie ma tu tratwy jak na Niemnie i namiotu, w którego urządzeniu znać było wiele naiwności, braku gustu jak również i twardych rąk wojskowych pontonierów. Erfurt udekorowany był w wielkim stylu, z przepychem; smak francuski nie szczędził talentu i bogactw, aby otoczyć obu samowładców największym blaskiem chwały w chwili, gdy będą decydować o przyszłości świata. Miasto, zwykle spokojne i na wskroś mieszczańskie, pełne jest królów, książąt krwi, roi się od ambasadorów, marszałków, ministrów, kręcą się szambelani, książęta i książątka. Całe Niemcy pobite, służalcze, proszą pokornie o zaszczyt zgięcia karku przed swym władcą.

Toteż Napoleon nie krępuje się wcale traktując wszystkich z góry; może o tym świadczyć jego odezwanie się do Maksymiliana Józefa Wittelsbacha, odezwanie ostre jak uderzenie biczem, gdy nieco za głośno rozmawiał w swoim kącie: „Milcz, królu Bawarii!".

I Talleyrand, będący w cesarskim orszaku, wspominał zapewne piękne tradycje w Wersalu, gdy widział, że żaden z tych germańskich książąt „nie umiał zgrabnie lwa pogłaskać".

Osiemnaście dni trwają te uroczystości, jedna wspanialsza od drugiej; tymczasem dwaj cesarze prowadzą bez przerwy rozmowy, tak publiczne jako też prywatne, nie szczędząc sobie wzajemnie pochlebstw i grzeczności.

Pakt końcowy układu panów Champagny'ego i Rumiancewa, podpisany 12 października, potwierdza uroczyście przymierze z Tylży. Obaj monarchowie poza tym postanawiają, że wspólnie wystąpią w Londynie z propozycją pokoju, a jeśli gabinet angielski go odrzuci, wówczas wejdzie w życie porozumienie celem podjęcia wspólnych kroków wojennych z użyciem wszelkich środ-

ków obydwu cesarstw. Pakt ten mówi dalej, że Finlandia i prowincje naddunajskie zostaną przyłączone do Rosji oraz że poza Mołdawią i Wołoszczyzną utrzymana zostanie nietykalność państwa ottomańskiego, wreszcie że Rosja wystąpi natychmiast zbrojnie przeciw Austrii, gdyby ta napadła na Francję.

W dwa dni później, tj. 14 października, cesarze pożegnali się uroczyście wśród wzajemnych zapewnień najserdeczniejszej i najtrwalszej przyjaźni.

Ale cóż się kryło za tą wspaniałą fasadą?... Nigdy może żadne układy monarchów nie kryły tylu złudzeń, tylu kłamstw i oszustw!

Aleksander przybywszy 27 września do Erfurtu nie miał już złudzeń i widział ocalenie Europy przede wszystkim w koalicji Austrii, Prus i Rosji.

A że miał rację, o tym przekonał się naocznie zaraz pierwszego dnia.

Napoleon postanowił zabrać ze sobą Talleyranda, mimo że ten od roku nie był już ministrem spraw zagranicznych — zdawało się, że będzie mu potrzebny.

— Jedziemy do Erfurtu — rzekł mu przed wyjazdem — chcę wracając stamtąd mieć zupełnie wolne ręce w Hiszpanii. Austrię trzeba szachować i trzymać w karbach. Nie chcę wobec Rosji zaciągać jakichś bliżej określonych zobowiązań, szczególnie jeżeli chodzi o Wschód. Przygotuj mi zatem umowę taką, żeby zadowoliła cesarza Aleksandra, a której ostrze byłoby skierowane bezpośrednio przeciwko Anglii. Pamiętaj naturalnie, abym się w tej umowie czuł dobrze!" — Poza tym dodaje: „Poczyń zaraz przygotowania do drogi, bo powinieneś być w Erfurcie na dzień lub dwa przede mną. Staraj się zaraz zetknąć z cesarzem Aleksandrem. Znasz

go dobrze, więc wiesz, co masz mówić; powiedz mu, że sama Opatrzność ukazuje wielkie korzyści, jakie ludzkości przynieść może nasze przymierze... Będę Ci pomagał, nie zabraknie mego prestiżu". — Wyrażenie *prestige* Napoleon rozumiał dosłownie — „łudzenie".

20 sierpnia, zaraz po przybyciu, Talleyrand stara się o częste widywanie cesarza Aleksandra. Co wieczór po północy, po oficjalnych przyjęciach, spotykają się oni u księżnej Turn-Taxis, siostry królowej Marii Ludwiki. Tam nikt im nie zakłóca spokojnej rozmowy w bezpiecznym ustroniu.

Zobaczymy, jak książę Beneventu rozpoczął układy w sprawach, które mu zlecił Napoleon.

„*Sire*, po cóż tu przybyłeś?"

„Celem przecież Waszej Cesarskiej Mości jest ocalenie Europy, a dokonać tego można tylko przeciwstawiając się Napoleonowi. Naród francuski posiada swoją kulturę, brak jej jednak władcy Francji i odwrotnie, władca Rosji posiada kulturę, choć może u ludu rosyjskiego jej mało — czyż więc władca Rosji nie powinien stać się sprzymierzeńcem francuskiego ludu! Ren, Alpy, Pireneje to zdobycz Francji, reszta to zdobycz Napoleona, Francji na niej nie zależy!"

To niesłychane zuchwalstwo, ten uroczysto-patetyczny ton, z jakim Talleyrand, zwykle tak zimny, wyrzekł te słowa, były olśnieniem dla Aleksandra, który jak na dłoni ujrzał swą przyszłość i po raz pierwszy poczuł, że jest dość silny, aby pokonać Napoleona.

W ciągu następnych rozmów zwierzenia swe Talleyrand czyni bardziej precyzyjnymi. Obaj rozważają kolejno wszystkie zagadnienia; Aleksander dowiaduje się, „że projekt wojny w Indiach i podział państwa otomań-

skiego to tylka fantazja, mająca na celu odwrócenie uwagi Rosji do chwili, kiedy się Napoleon upora z Hiszpanią". Pewnego wieczora Talleyrand nastaje, „aby car nie dał się nakłonić Napoleonowi do gróźb lub choćby obraźliwych wystąpień przeciw Austrii". A odczuwając, że dotknął najczulszej struny cara, błaga go, aby zechciał napisać do cesarza Franciszka i uspokoić go poufnie, gdyż w Wiedniu bardzo się niepokoją. Projekt takiego listu podobał się Aleksandrowi, ale raził jego rycerskość i honor. Tymczasem kusiciel namawia go coraz usilniej:

Odczuwałem — pisze w swoich pamiętnikach — że sprawiam cesarzowi dużą przyjemność; słowa moje notował ołówkiem, zdecydowany jednak nie był.

Dopiero pan Caulaincourt dzięki swej osobistej powadze, jaką się cieszył u cara, namówił Aleksandra do tego stanowczego kroku.

Tegoż dnia, pod bezpośrednim naciskiem Talleyranda, Caulaincourt, książę de Vicence, po raz pierwszy zdradził Napoleona.[1]

Naprawdę trudno zrozumieć, jak mógł Napoleon nie wpaść na te wszystkie zdrady, intrygi i krętactwa, które się rozgrywały pod jego bokiem w salonie księżny Turn-Taxis.

Pierwsze rozmowy Napoleona z Aleksandrem przypominały najpiękniejsze dni w Tylży. „Co za urok posiada ten człowiek, co za czar w obejściu i w rozmowie" —

---

[1] Caulaincourt wtedy tylko co został mianowany księciem de Vicence. Salony paryskie bawiły się długo pomyłką zecera w *Gazette de France*, który przypadkowo złożył „książę de Vincennes". Dostrzeżono ten błąd dopiero, gdy już pierwsze egzemplarze dziennika opuściły drukarnię. — Widocznie duch księcia d'Enghien prześladował Caulaincourta na każdym kroku!

myślał. Pod wpływem tego uroku Napoleon pisze do Józefiny":

Jestem zadowolony z Aleksandra. Gdybym był kobietą, sądzę, że potrafiłbym się w nim zakochać.

Później jednakże spostrzega, że odmieniono mu przyjaciela, nie widzi u niego tej dawnej powolności i gotowości na każde skinienie ani podziwu, jaki miał dla niego; Aleksander nie zgadza się też z góry jak dawniej na wszystkie jego plany. Pod ujmującymi pozorami grzeczności w głosie odgadnąć można, że myśli o czym innym i inne ma rachuby oraz zastrzeżenia. Toteż z każdym dniem rośnie jego opór, pochlebstwa i słodkie słówka nie odnoszą większego skutku, raczej zniecierpliwienie lub wyrzuty. Niekiedy rozmowy zamieniają się w kłótnie, w których pada niejednokrotnie cierpkie słowo.

Pewnego dnia, gdy po raz dwudziesty rozważają sprawę Austrii i gdy Aleksander sprzeciwia się krokom zagrażającym dawnemu sprzymierzeńcowi spod Austerlitz, Napoleon, nie mogąc się opanować, rzuca ze złością swój kapelusz na ziemię.

Chłodno, chociaż z uśmiechem, Aleksander odezwał się:

— *Sire* jest gwałtowny, a ja jestem uparty, ze mną nic nie można zrobić gniewem, porozmawiajmy zatem i przedyskutujmy sprawę spokojnie, a nie — to wyjeżdżam i koniec. — Ale najwięcej dziwi Napoleona to, że Aleksander mimo rad Talleyranda nie przywiązuje żadnej wagi do podziału państwa otomańskiego i do widoków na Wschód.

Toteż z każdym dniem nabiera coraz to silniejszego przekonania, że przymierze z Tylży rozwiewa się.

Pozostaje mu jednak ostatnia nadzieja...

Nie miał się komu z nią zwierzyć, jak tylko Talleyrandowi, właśnie jemu, temu „diabłu w ludzkim ciele", bez którego obejść się nie umiał mimo całej obawy i pogardy, jaką czuł dla niego. Żaden opis nie zdoła oddać tego epizodu tak, jak go ujmuje Talleyrand w swoich „pamiętnikach" :

Było to 12 października; cesarze mieli się rozstać nazajutrz. Napoleon, bardzo zadowolony z minionego dnia, kazał mi pozostać u siebie jeszcze po udaniu się na spoczynek. Był dziwnie podniecony, zadawał mi pytania nie czekając na odpowiedź; próbował mówić ze mną poufnie, chciał mi powiedzieć coś, co mu przez gardło przejść nie mogło, wreszcie wykształsił słowo — „rozwód".

— Moje przeznaczenie tego wymaga — mówił — i dla spokoju Francji to konieczne. Nie mam następcy. Józefina nic nie znaczy, zresztą ma tylko córki. Winienem założyć dynastię, a nie mogę tego uczynić, jak tylko łącząc się z księżniczką, należącą do jednego z wielkich domów, panujących w Europie. Cesarz Aleksander ma siostry, wiek jednej z nich odpowiada mi. Pomów o tym z Rumiancewem, powiedz mu, że po zakończeniu sprawy w Hiszpanii zgodzę się na projekty rozbioru Turcji — sądzę — że nie zabraknie ci i innych argumentów...

Sire — odrzekłem — jeśli Wasza Cesarska Mość pozwoli, wolę nie mówić o tym z Rumiancewem, nie widzę w tym wielkiego sensu, sądzę, że byłoby dużo rozsądniej poruszyć ten temat w rozmowie z cesarzem Aleksandrem i podejmuję się pierwszych kroków...

Napoleon uszczęśliwiony przyjmuje tę propozycję, a Talleyrand nazajutrz wywiązuje się z nowego zlecenia.

Przyznaję — pisze — że byłem przerażony jeszcze jednym związkiem pomiędzy Francją a Rosją. Jednakowoż zdawało mi się, że aby nie drażnić Napoleona, trzeba przecież, chociaż pozornie, uniknąć otrzymania stanowczej odpowiedzi; należało

ją zatem utrudnić. Jednak cały kunszt, z jakim wziąłem się do tego w rozmowie z Aleksandrem, okazał się zbędnym, gdyż po pierwszych zaraz słowach zrozumiał, o co chodzi, i to właśnie tak, jak tego pragnąłem.

Gdyby to zależało jedynie ode mnie — rzekł — chętnie udzieliłbym swego zezwolenia, lecz niestety moja zgoda nie jest tu jedyną, moja matka bowiem ma nad swymi córkami pewną władzę, której nie można obejść. Mogę spróbować nadać tej sprawie właściwy kierunek; prawdopodobnie wyrazi swą zgodę, lecz trudno ręczyć za to. Moje zapewnienia dyktuje wyłącznie przyjaźń prawdziwa, więc tuszę, że zadowoli cesarza Napoleona...

Zaiste car i Talleyrand zrozumieli się doskonale. Nigdy dumna Maria Fiodorówna, która całą pychę rodową odziedziczyła po Katarzynie Wielkiej, nie oddałaby swej córki korsykańskiemu uzurpatorowi — Napoleon nie może nigdy liczyć na rękę rosyjskiej wielkiej księżniczki.

Za tak piękne dzieło Talleyrand zasłużył na nagrodę i sam o nią prosi bez skrupułów, pragnie mianowicie, aby jego siostrzeniec, Edmund de Périgord, poślubił młodą i arcybogatą księżniczkę Dorotę Kurlandzką. Wprawdzie słyszał, że jest ona już prawie zaręczona z księciem Adamem Czartoryskim, ale co to szkodzi... Car mocą swej władzy może ją przecież oddać hrabiemu de Périgord. Otrzyma potem tytuł księżnej Dino. Zdobędzie we Francji sławę czarującej i uroczej Circe i osłodzi jemu, Talleyrandowi, ostatnie chwile życia, kiedy już będzie stary, zgrzybiały i zmęczony i nie będzie oczekiwał już niczego więcej od losu.

Natomiast po swym powrocie do Paryża książę Beneventu w salonach wicehrabiny de Laval i księżnej de Vaudémont nawiązuje dalsze konszachty z Metter-

nichem i wtajemnicza go szczegółowo we wszystkie oficjalne i poufne wyniki obrad, w jakich brał udział:

— „Od bitwy pod Austerlitz stosunek cesarza Aleksandra do Austrii nie był nigdy życzliwszy, jedynie od pana i od waszego ambasadora w Petersburgu zależy, aby nawiązać z Rosją stosunki tak bliskie jak te, które niegdyś łączyły te państwa. Jedynie taki związek może zapewnić Europie niezależność". Caulaincourt, całkowicie tym planom politycznym oddany, jest już dobrze poinformowany o wszystkim i będzie popierać kroki księcia Schwarzenberga. Interes samej Francji wymaga, aby mocarstwa, mogące stawić czoło Napoleonowi, połączyły się w celu położenia tamy jego nienasyconej żądzy panowania. Sprawa Napoleona nie jest sprawą Francji. Europę może ocalić tylko najściślejszy związek Austrii z Rosją..."

Z dyplomatycznego punktu widzenia nie można lepiej streścić spotkania w Erfurcie, lecz aby wyciągnąć moralne wnioski z tego i rozpoznać, do czego zdolne być mogą ludzkie ambicje, na to trzeba by nie mniej niż Makiawela i Saint-Simona.

ROZDZIAŁ IX

Pierwsze wyniki spotkania w Erfurcie: Zaproszenie pruskiej pary monarszej do Petersburga. — Wspaniałe przyjęcie. — Wszystkie spojrzenia skierowane są na królową Ludwikę. Porównanie z cesarzową Elżbietą i panią Naryszkin. Strapienia i rozczarowania „Armidy". Powrót do Królewca — „Moje królestwo nie jest już z tego świata". Aleksander myśli ponownie o nowoczesnym przekształceniu całego gmachu rosyjskiego, Skromny lecz bardzo rozumny syn popa, Sperański, staje się najbliższym współpracownikiem cara. Wspaniały program „Ciąć w żywym ciele i przez środek sukna". — Wpadając jak zwykle z jednej ostateczności w drugą, car darzy całym zaufaniem

również i przedstawiciela absolutyzmu, i to najbardziej reakcyjnego, generała Arakczejewa, „buldoga o spojrzeniu hieny". — Ohyda i okrucieństwo. — Ten dawny adiutant Pawła I chowa w pamięci kult dla zamordowanego cara. Aleksander widzi w tym cenną dla siebie rękojmię. — W przededniu zerwania z Austrią Napoleon nagle przypomina carowi układy w Erfurcie. Donosy z Valladolid. Caulaincourt notuje dwuznaczne oświadczenia Aleksandra, które ambasador Austrii książę Schwarzenberg umie zrozumieć. „We Wiedniu panuje przekonanie, że Rosja pozostanie neutralną lub bierną". — Nowa wojna wybucha 12 kwietnia 1809 r. Bitwa pod Essling 22 maja, która nie powiodła się Napoleonowi, wywołuje w całej Europie głębokie wrażenie. W Tyrolu i Westfalii wybucha powstanie. — „Co robi armia rosyjska?"... Zniecierpliwienie Napoleona, — dopiero dnia 3 marca, tj. w pięćdziesiąt dwa dni po rozpoczęciu kroków wojennych, wojska rosyjskie wkraczają do Galicji. Austriacy w Warszawie. — Gniew Napoleona: „Moi wrogowie widocznie naznaczyli sobie spotkanie na moim grobie". Instrukcje w dniu 6 czerwca do Caulaincourta, „zniszczyć ten list". — „Przymierze francusko-rosyjskie jest już tylko złudzeniem". — 5 lipca — bitwa pod Wagram. Traktat wiedeński ukazuje kruchość Napoleońskiego imperium; mały napiwek dla Rosji. Podejrzana zażyłość Aleksandra z siostrą Katarzyną Oldenburską. Rosyjski nacjonalizm podnosi głowę. Pobyt w Moskwie — entuzjastyczne przyjęcie. — Napoleon prosi oficjalnie o rękę wielkiej księżniczki Anny Pawłówny. Car ma się wypowiedzieć w tej sprawie „w ciągu dwóch dni". — Napoleon obiecuje poddać Polskę pod rosyjskie wpływy. — „Słowa Polska i Polacy znikną w historii". — Podstępny manewr cara, aby otrzymać Polskę unikając małżeństwa. Uprzejmość Caulaincourta. Napoleon spostrzega się i „odwraca grę". W ciągu kilku godzin kleci swe małżeństwo z arcyksiężniczką Marią Ludwiką.

Powróciwszy do Petersburga 29 października, gdzie wita go surowa opinia dworu i społeczeństwa, Aleksander zadziwia wszystkich zadowoleniem i pewnością siebie, zrównoważeniem, a wreszcie powagą, jakiej dotychczas nigdy u niego nie widywano.

Tygodnie spędzone z Napoleonem pobudziły w Aleksandrze wzrost własnego samopoczucia; zrozumiał, że prawdziwy władca, godny tej nazwy, musi sam rozkazywać, a przede wszystkim „nie dbać o zdanie salonów i mniej słuchać gadaniny ministrów",

Zresztą dlaczegoż miałby być niezadowolony? Przywiózł przecież z Erfurtu niejedną korzyść zasadniczą, którą dało przymierze; posiadł Finlandię, a niebawem zajmie księstwa naddunajskie. Mając wolną rękę będzie się mógł spokojnie poświęcić pilnym zmianom w cesarstwie, poza tym pomyśli nad ciekawymi zwierzeniami, jakie poczynił mu Talleyrand, a które nabrały jeszcze większego znaczenia, gdy Tołstoj powtórzył mu treść rozmów z marszałkami Francji Lannesem i Berthierem. Obaj oni wyczuli, że szaleństwo cesarza wzmaga się z każdym dniem. Wniosek, jaki Aleksander wyciągnął z tych wieści, streścił się w konieczności oparcia o Prusy i Austrię.

Pierwszym gestem, jakim Aleksander stwierdził swą niezależność od Napoleona, było zasugerowanie królestwu pruskim, że byłby szczęśliwy, gdyby zechcieli go odwiedzić w stolicy. Fryderyk Wilhelm wraz z królową skwapliwie przyjmują niespodziewane zaproszenia, które wiążą z nowymi nadziejami i 7 stycznia 1809 r. przybywają do Petersburga.

Tu oczekuje królewską parę wspaniałe przyjęcie. Trzydzieści tysięcy ludzi stanęło pod bronią. Przez dwa tygodnie tysiąc robotników pracowało dzień i noc nad przygotowaniem pałacu Szepielewa, przyłączonego do Ermitażu, aby z całym przepychem urządzić gościom apartamenty meblami, zwiezionymi z cesarskich pałaców. Rozpoczęły się zaraz wspaniałe uroczystości, zaaranżowane z tak niesłychanym zbytkiem, jakiego nie widziano od czasów carowej Elżbiety Piotrówny albo Katarzyny Wielkiej. Car chciał przypomnieć światu, że Hohenzollernowie pomimo swych nieszczęść mają jeszcze prawa do aureoli, jaka winna otaczać stare dynastie.

Sosjeta rosyjska również niczego bardziej nie pragnęła, jak rzucić się w wir zabaw i przyjęć. Na przekór klęskom pod Austerlitz, Friedlandem oraz upokorzeniom w Tylży i Erfurcie okazywano ofiarom Napoleona tysiączne objawy serdeczności, a zwłaszcza królowej Ludwice, tyle razy publicznie zohydzanej przez Korsykanina.

Dwadzieścia cztery dni trwały szaleństwa, bale, kuligi i zabawy. Nawet sprawy publiczne zostawiono na boku. Car i obie carowe, wielcy książęta, wszystkie wielkie księżne, cała magnateria, stawali na głowie, ażeby wymyślić nowe programy uroczystych przyjęć; starano się na wyścigi, aby goście zapomnieli o biedzie i kłopotach, które zostały za nimi w Królewcu. Królem Fryderykiem Wilhelmem zajmowano się mniej — wydał się nieraz śmiesznym i niezdarnym w swych staroświeckich strojach, wymuszony, zakłopotany i jąkający się. Wszystkie oczy ściągała na siebie królowa. Patrzono na nią z wielką sympatią, z którą łączyła się ciekawość, a czasem może nieco złośliwości.

— Nareszcie zobaczono tę piękną Armidę!... Jak się cesarz zachowa przy niej na oczach carowej Elżbiety i pani Naryszkin i wobec licznych przygodnych faworyt, którym kapryśnie rozdawał swe łaski.

Te przygotowania do królewskiej wizyty nie poszły w smak Caulaincourtowi, czego nawet nie umiał ukryć. Obawiał się, że Napoleon właśnie na niego zrzuci całą odpowiedzialność. Pewnego wieczoru u księżnej Dołgoruki rozdrażnienie ambasadora przekroczyło granice. Dowodem tego jest list de Maistre'a do swojego ministra, kawalera de Rossi:

Z trudnością przychodzi mi przelać na papier słowa ambasadora Francji, jakie mu się wyrwały u księżnej Dołgoruki; niestety muszę pana poinformować o tym. Powiedział po prostu: „Czyż cel tej podróży to taka tajemnica? Królowa Prus przybyła odwiedzić cara w jego sypialni".

Niestety język francuski jest za ubogi, aby napiętnować tego rodzaju wyrażenie.

W petersburskich salonach słowa Caulaincourta rozeszły się szybko. Mimo że nie wierzono w to oszczerstwo, to jednak plotkowano na temat niektórych dwuznacznych spostrzeżeń, zbyt drogich podarunków, jakie królowa Ludwika znalazła w swych apartamentach w pałacu Szepeliewa, jak na przykład serwisu toaletowego z masywnego złota, prześlicznej kolekcji perskich i tureckich szalów i tuzina sukien, z których jedna wyszyta perłami kosztować miała — jak mówiono — coś 100 000 rubli. — Istotnie królowa, będąca bez grosza, potrzebowała, aby jej odnowiono suknie i stroje, mógł jednak Aleksander uczynić to dyskretniej. Rozprawiano na dworze z dużym ożywieniem: „Czy królowa Ludwika zasługuje w istocie na miano piękności?... Czy nasza carowa Elżbieta dorównywa jej pięknością rysów, wytwornością postawy i królewskim obejściem?"

Tym razem „Armida" nie wyglądała jak dawniej. Ciężkie przeżycia ostatnich trzech lat, cały łańcuch doświadczeń, jak Poczdam, Jena, Kłajpeda, Friedland, Tylża i Królewiec, wyryły głębokie bruzdy na twarzy i duszy tej kobiety. Świadectwo temu daje list de Maistre'a:

Królowa Ludwika jest naprawdę piękna... niejednokrotnie porównywano ją z carową, jest ona może piękniejszą kobietą, carowa jednakże wydaje się piękniejszą jako monarchini.

Sama carowa pisze o niej do matki:

Trzeba stanowczo przyznać, że królowa jest piękną kobietą, tyje jednak zanadto, co ma zapewne związek z odmiennym stanem, w jakim się znajduje, a który źle wpływa na nią i gasi jej oczy.

Najwymowniej przedstawia się sama królowa Ludwika w swych pamiętnikach.

Pod datą 8 stycznia 1809 pisze: „Noc spędziłam bezsennie — czuję się chorą; boję się, żem zaszła w ciążę, mam silne boleści i wyglądam okropnie..." — 10 styczeń: „znów nie spałam, miałam gorączkę, ból zębów, straszne bicie serca..." — 17 styczeń: „umieram ze znużenia; jeśli tak dłużej potrwa, to pochowają mnie tu na cmentarzu św. Aleksandra Newskiego..." — Dnia 16 stycznia dalsze wynurzenia: „w Ermitage, w teatrze *Mlle* Georges jest boska i zadziwiająco piękna; przez cały wieczór miałam gorączkę..." — 20 styczeń: „czuję, że mam piersi zajęte katarem" — i tak bez końca skarży się przed sobą. Mimo to wszystko, mimo złego wyglądu, bladej twarzy i „przygaszonych oczu", mimo wielu nieoczekiwanych zmartwień, o które wcale jej nie podejrzewano, królowa Ludwika bohatersko walczy broniąc swej urody. Na jednym z wieczorów cała w klejnotach pozwala sobie na zbyt śmiały dekolt, co jednak nie czyni takiego wrażenia, jakby biedna Armida chciała.

W wirze zabaw bez końca i uroczystości intrygowało dwór i złośliwych plotkarzy pytanie, czy za kulisami car i królowa nie spotykają się potajemnie.

Poza tym samo zachowanie się carowej Elżbiety wobec Ludwiki i względy, jakich jej nie szczędziła wraz z objawami sympatii, okazywanej przy każdej sposobności, podniecały jeszcze bardziej ciekawość. Czyżby nie

BIBLJOTEKA Koła Tow. Wiedzy Wojsk.

była zazdrosną o tę, którą powszechnie nazywano jej rywalką i która bez wątpienia kochała Aleksandra?

Głównym powodem tych uprzejmości był zapewne fakt, że Elżbietę mało wtedy obchodził jej własny małżonek, sama bowiem była pogrążona po uszy w tajemniczym romansie. Tylko Naryszkinowej znieść nie mogła i z kobiecą satysfakcją cieszyła się przykrością, jaką sprawiać muszą tej nienawistnej Polce lansady i nadskakiwania Aleksandra pięknej Prusaczce.

Lecz i w tym się myliła. Pani Naryszkinowa dłuższy czas była nieobecna w Petersburgu i siedziała u siebie na wsi w Kurlandii. Po powrocie odzyskała bez trudu władzę nad carem, gdyż oboje przecież kochali się wzajemnie.

Niemniej przyjazd królowej Ludwiki, a głównie komentarze tej wizyty miłe jej być nie mogły. Jeden z przyjaciół Marii Antonówny wspomina, że była „wściekła" o ten przyjazd. — Niebawem jednak spostrzegła, że nie ma się co bać Armidy. Toteż im więcej królowa Ludwika stroiła się, uciekała do szminki i obwieszała klejnotami, aby podnieść gasnącą urodę, tym bardziej pani Naryszkin uderzała prostotą. W wieczór nieudanego dekoltażu królowej Maria Antonówna miała na sobie białą gładką sukienkę atłasową, bez pereł, bez klejnotów, a jedyną ozdobą był bukiecik *„Vergissmeinnicht"*, niezapominajek, przypięty do kruczych włosów. Zauważył to car i dał jej uśmiechem znać, że ją rozumie.

Jeżeli królowa Ludwika sądziła, że nad brzegami Newy znajdzie znów „boskie wzruszenia" i „złudy" z Kłajpedy i Poczdamu, to grubo się myliła; Aleksander, mimo że się szarmancko cały rozpływał w hołdach, to jednak do *„tête à tête"* nie miał wcale ochoty.

Opuszczając Petersburg 31 stycznia, aby wrócić na wygnanie do Królewca, królowa Ludwika uwieczniła znów w pamiętnikach swe rozczarowania:

Te wspaniałe uroczystości i zabawy nie przyniosły mi nic prócz zmęczenia i przykrości..., wracam z tym, z czym wyjechałam..., nic już mnie nie potrafi olśnić; — królestwo moje nie jest z tego świata.

U kresu podróży, w przejeździe przez Kłajpedę odzywają się w Ludwice wspomnienia Petersburga, daje się znów unieść uczuciu miłości i wdzięczności dla Aleksandra. Pisze do swego najdroższego przyjaciela:

Nigdy nie potrafię znaleźć słów, które by mogły wyrazić moje uczucie dla Ciebie. Wdzięczność ma za Twą dobroć, której tyle dowodów znalazłam w Petersburgu, nie powinna być tajemnicą dla Ciebie, który mnie przecież znasz dobrze i głęboko, od sześciu prawie lat, wiesz zatem również, że Cię bez granic uwielbiam...

Jeszcze raz przypominam Ci króla i przyszłość moich dzieci oraz dobro całych Prus. Ściskam Cię w myślach i wierz mi, że Ci jestem na śmierć i życie oddaną i wdzięczną przyjaciółką".

Ludwika.

Przypisek:

Wszystko w Petersburgu było cudowne, tylko za rzadko Cię widywałam.

Z punktu widzenia polityka wizyta monarszej pary pruskiej na dworze rosyjskim dała nikłe, bez głębszego znaczenia wyniki; toteż szczerze mógł car powiedzieć Caulaincourtowi: „król i ja mówiliśmy o polityce tylko dwa razy".

Jednakowoż za każdym razem car przekonywał Fryderyka Wilhelma, że zarówno w interesie Prus, jak i całej Europy trzeba się tymczasem zgodzić na przewagę francuską, nie sprzeciwiać się i czekać lepszych czasów.

Dnia 10 lutego monarsza para pruska powraca w minorowym nastroju do Królewca, gdzie tak upokarzające wygnanie miało się ciągnąć jeszcze cały rok, póki Napoleon nie zgodził się zwrócić Berlina. Lecz od chwili zwycięstwa pod Wagram i od dnia ślubu Napoleona z Marią Ludwiką, co było szatańską apoteozą jego władztwa w świecie, biednej Armidzie zabrakło sił do życia. Jej serce, z którego dobyła tyle gorących uczuć, odmówiło posłuszeństwa. Zgasła 19 lipca 1810 roku przeżywszy lat trzydzieści cztery.

* * *

Teraz po pilnych sprawach Aleksander przystępuje do dzieła, które jeszcze w zaraniu panowania namiętnie go zajmowało. Wojna i dyplomacja uniemożliwiały dotychczas wykonanie zamiarów, obecnie jednak znajduje człowieka, którego uważa za jedynie zdolnego, który może zrozumieć jego sny i potrafi wykonać jego wolę. Wspaniałe reformy, których wysoko urodzeni jego przyjaciele z roku 1802, jak Czartoryski, Koczubej i Strogonow nie umieli urzeczywistnić, przeprowadza chwalebnie Sperański.

Urodzony w 1772 r. Michał Michajłowicz Sperański był synem popa, co było w Rosji wówczas nader lekceważone, gdyż popów uważano za najniższy szczebel ludzi wolnych.

Chcąc uczynić z niego również wiejskiego popa, biednego „świaszczennika", uczono go w seminarium we Włodzimierzu. Michał Sperański jednak, choć podle urodzony, posiadał niezwykłą inteligencję i zdolności a przede wszystkim pracowitość. Świetnie władając słowem jak

i piórem umiał wybić się szybko o własnych tylko siłach na najwyższe szczeble hierarchii urzędniczej, przy czym kark miał giętki i wiele tupetu. Car obdarzał go łaską od chwili poznania, a wkrótce nawet przyjaźnią. Był on do tego stopnia pod wpływem swego skromnego pracownika, że zabrał go ze sobą do Erfurtu i przedstawił Napoleonowi i Talleyrandowi. Po powrocie Michał Sperański zostaje ministrem sprawiedliwości.

Doszedłszy do szczytu dostojeństw Sperański szybko okazuje się w całym tego słowa znaczeniu mężem stanu i odtąd jest prawą ręką cesarza Aleksandra w dziedzinie polityki wewnętrznej.

Pierwszym zadaniem, jakie mu jego władca powierza, jest ułożenie projektu konstytucji. Sperański zabrał się do tej pracy pełen zapału i z rozmachem zdając sobie głęboko sprawę z rzeczywistości, jaką zastał.

Już prace przedwstępne przekonały go, że aby dokonać wielkiego dzieła, „trzeba ciąć żywcem i przez środek sukna". Rozumiał doskonale, że chcąc przemienić absolutyzm carski w konstytucyjną monarchię, należy ograniczyć władzę samowładztwa i stworzyć choćby podstawy powszechnego przedstawicielstwa.

Aleksander podziela jego przekonanie. W dniu 13 stycznia otwarto Radę Stanu jako organ doradczy cesarstwa.

Jest to jednak zaledwie pierwszy krok na drodze reform. Sperański przystępuje teraz do dalszych, jeszcze ważniejszych zagadnień, mających na celu odnowienie rosyjskiego gmachu, nie wyłączając rozwiązania dręczącego zagadnienia pańszczyzny. Ta olbrzymia praca reformatorska Sperańskiego, mianowanego tymczasem sekretarzem cesarstwa, praca, którą porównać można do

katorgi, wywołuje ze zrozumiałych powodów ze wszystkich stron gwałtowną reakcję i dziką nienawiść.

Aleksander otacza jednakże Sperańskiego serdeczną przyjaźnią, gdyż znajduje w tym synu popa najgłębsze zrozumienie swych najbardziej nawet utopijnych zamierzeń.

Jednak podczas obsypywania zaszczytami i wzrostu zakresu działania dawnego seminarzysty z Włodzimierza wylazł jakby „spod ziemi" człowiek, który już za panowania cara Pawła I osławił się arbitralnością i okrucieństwami. Był to hr. Arakczejew.

Piastując wysokie stanowiska wojskowe potrafił on zdobyć ślepe zaufanie szalonego i niepoczytalnego samowładcy, tak że drżeli przed nim wszyscy. Joseph de Maistre uważał go za „Sejana Rosji", a familiarnie nazywano go — ale po cichu i to bardzo po cichu: „potworem, buldogiem i hieną".

W początkach roku 1801 Arakczejewa nie było w Petersburgu, nie brał więc żadnego udziału w spisku z dnia 23 marca, który zawsze głośno potępiał.

Od tego dnia schował się w swoich dobrach w Gruzinie pod Nowogorodem, o sto wiorst od stolicy, we wspaniałej siedzibie, która była niegdyś własnością księcia Mieńszykowa, wszechpotężnego ulubieńca Katarzyny I. Miejscowość ta winna mu była przypominać, co znaczą kaprysy i niestałość fortuny; Mieńszykow w r. 1727 popadł w niełaskę Piotra II, który go brutalnie zesłał w mroźne tundry Berezowa na kraniec północnej Syberii, w lodowate bagna, skąd już nigdy nie wrócił.

Arakczejew rzadko pokazywał się w Petersburgu. Nie ciągnięto go tam zresztą, gdyż wywoływał odrazę.

Był to człowiek prosty jak kij, przysadkowaty, zawsze zjeżony, patrzył wilkiem, a zacięte usta, przez które cedził cierpkie słowa i latające nozdrza mówiły o jego nieugiętej energii.

Na temat jego rozrywek w Gruzinie urosła wokoło jego osoby ponura legenda.

Po stracie młodej żony Arakczejew żył z rozpustną cyganką, gwałtowną i chciwą, która przez lat dwadzieścia wnosiła w jego dom atmosferę orgii i brudów. Chłopi w Gruzinie uważani byli za najnieszczęśliwszych poddanych z całej Rosji; ich „baryń" i jego kochanka kazali pracować im nad siły i nękali bez litości okrutnymi karami. Aż nareszcie nadszedł dzień, kiedy zrozpaczeni chłopi nie mogąc znieść dalszych krzywd napadli na cygankę i udusili ją, za co Arakczejew pomścił się tak srodze, że wieś cała spłynęła krwią.

Pomimo tych niskich instynktów, które go często doprowadzały do szaleńczego sadyzmu, okazał się Arakczejew jeszcze za panowania Pawła I człowiekiem wielkiej pracy i autorytetu, gdyż posiadał w wysokim stopniu trzeźwy umysł, ten chłopski rozum, orientujący się zawsze trafnie, poza tym był prawie do przesady służbistą, co łączył jednak z dużą dozą inicjatywy. Jednym słowem, umiał rządzić.

Jakież więc powody sprawiły, że Aleksander wezwał go z Gruziny, mianując jednocześnie ministrem wojny i generalnym inspektorem artylerii oraz piechoty i czyniąc go absolutnym panem armii.

Niepewne położenie polityczne Europy, przygotowania wojenne Austrii i Francji zmuszały Rosję do szybkiej odbudowy armii, czego od bitwy pod Friedlandem niestety zaniedbano. Nikt lepiej od Arakczejewa nie mógł

się podjąć tego ciężkiego zadania, które przypominało wysiłki Herkulesa w stajni Augiasza.

Była też bez wątpienia inna jeszcze przyczyna, dla której car obdarzył nowego ministra tym samym zaufaniem i takimi łaskami jak Sperańskiego, chociaż nic nie łączyło dusz tych dwu ludzi — tak biegunowo odmiennych. — Ich współpraca była naprawdę paradoksem!

Sperański, zatopiony całkowicie w liberalizmie, obojętny na wszelkie zaszczyty, o nieskalanych obyczajach, głębokiej pobożności, pełnej mistycyzmu, zamyślał o stopniowej zmianie układu społecznego w Rosji — Arakczejew natomiast, lubieżny satrapa z Gruzina, nieugięty obrońca starych moskiewskich zasad, uznawał w rządach tylko pięść i siłę. Toteż w ciągu kilku lat zaprowadził najpotworniejszy system policyjny gwałtów i represji, jakiego lud rosyjski nie doznał od czasów Iwana Groźnego aż do bolszewizmu.

Jego opryskliwe obejście, brutalny temperament, dzikie i plugawe orgie „buldoga" razić musiały zapewne nieraz subtelnego cara, ale... Tylko taki charakter, takie usposobienie jak Aleksandra, połączone z chwiejnością i mętnością pojęć, mogły skłonić do dobrania na stałych swych współpracowników w najważniejszych i najpoufalszych sprawach państwa dwóch ludzi, tak rażąco odmiennych, jak Arakczejew i Sperański.

Dla wytłumaczenia tego pociągnięcia trzeba też uwzględnić fakt, że Arakczejew nigdy się nie krępował w piętnowaniu publicznie zamachu z dnia 23 marca 1801 r. którego najgłośniejsi aktorzy: Wołkoński, Bennigsen i Uwarow opływali w łaski cesarza. Wiedziano również, że w cerkwi w Gruzinie na złotych wrotach wisiał portret cara Pawła I, co znaczyło, że Aleksy Andrze-

jewicz Arakczejew zachował religijną cześć dla pamięci „cesarza-męczennika". On by go był obronił przed siepaczami, gdyby był wtedy w Petersburgu. W służbie swego uwielbianego monarchy zachował zawsze „prawą duszę i czyste sumienie".

Dla Aleksandra I Arakczejew był zawsze żywym wyrzutem sumienia. Może chciał, postanawiając okropną pokutę, mieć stale przed oczyma takiego człowieka, który pomimo całej swej nikczemności umiał otwarcie potępić ohydne królobójstwo.

Zresztą powodów było aż nadto, żeby zaczęła działać silna ręka. Pamięć o Austerlitz, o Friedlandzie, Tylży i Erfurcie, a bardziej jeszcze dolegliwe skutki blokady, rozniecały — co nieraz sprawdził sam Aleksander — we wszystkich warstwach społeczeństwa niechęć ku niemu, która przybierała nieraz drastyczne oblicze. De Maistre pisze w tym czasie:

Nie można sobie wyobrazić bardziej niebezpiecznego stanu rzeczy — mówi się wokoło, że panowanie to jest przeklęte, gdyż od morderstwa się zaczęło...

Co dzień coś nowego — to policja wpadła na ślad sprzysiężenia w trzech pułkach gwardii, które miało za cel detronizację Aleksandra i wyniesienie na carową wielkiej księżny Katarzyny, to znów serdeczny przyjaciel, hrabia Tołstoj, o którego głębokim przywiązaniu ani na chwilę nie wątpił, rzuca mu w twarz uwagę: „Niech się Wasza Cesarska Mość ma na baczności, gdyż może skończyć jak ojciec...".

W korespondencji carowej Elżbiety z matką znajdujemy, że każdego 23 marca car załamywał się duchowo i panichida za cara Pawła I w soborze fortecznym pogrążała go w bolesne wspomnienia.

Chcąc się uchronić zatem przed zemstą nieczystych sił, których groźba nieustannie nad nim wisiała — czyż mógł znaleźć lepszą obronę niż kły „buldoga" i drapieżne spojrzenie „hieny".

* * *

W kilka dni po wyjeździe monarszej pary pruskiej przybył kurier wprost z Valladolid i przywiózł dla Caulaincourta pilne instrukcje.

Napoleon, który już nie miał wątpliwości, że Austria się zbroi, polecił swemu ambasadorowi, aby przypomniał carowi układy zawarte w Erfurcie i żądał energicznego poparcia we Wiedniu. Takie wspólne i ostrzegawcze wystąpienie miało na celu wywarcie nacisku na rząd austriacki, żeby przestał powiększać armię, a gdyby odpowiedź nie była pod każdym względem zadowalająca, wybuchnąć miała natychmiast wojna.

To brutalne wezwanie do przestrzegania zasad przymierza z Francją wywołało gniew Aleksandra, lecz nie zawahał się ani na chwilę. Rozumiał dobrze, że Austria była jeszcze zbyt słabą, aby się porwać na Napoleona, który mimo trudności, jakie miał w Hiszpanii, zawsze jeszcze był silnym i zwycięskim wodzem. Nowa klęska Austrii byłaby dla Rosji „wielkim nieszczęściem", zatem o zerwaniu z Napoleonem nie mogło być mowy, a wszelkie wystąpienia łatwo mogły przyśpieszyć i wywołać odwet cesarza Francuzów.

Przede wszystkim zatem należało uspokoić Caulaincourta, względnie postarać się, aby on uspokoił straszliwego despotę, toteż Aleksander znów zapewnia o swej wierności i przyjaźni: „Cesarz Napoleon może na mnie liczyć... — mówi do Caulaincourta — nie zapomniałem

o mych zobowiązaniach wobec niego i wypełnię je z całą sumiennością; drogo zapłacą nam Austriacy za samochwalstwo i szaleństwo".

Caulaincourt z radością notuje ten szczery wylew uczuć wspaniałomyślnej duszy. „Odkąd mam zaszczyt traktować z cesarzem Aleksandrem — pisze — to nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie tak serdecznie..."

Aleksander ostrzega równocześnie nowego ambasadora cesarza Franciszka I księcia Schwarzenberga:

„Wydziwić się nie mogę, że Austria może wdawać się znowu w tak niebezpieczną awanturę"; przypomina zatem, że z Francją łączy go przymierze i dodaje: „Znam me zobowiązania i na pewno im nie uchybię..."

Ks. Schwarzenberg, potomek jednej z najstarszych rodzin Świętego Cesarstwa, znamienity żołnierz i dyplomata, a przy tym magnat, łączył z wielkopańską godnością umysł poważny, spostrzegawczy i przewidujący. W słowach cesarza Aleksandra uderzała go przede wszystkim uprzejmość i życzliwość, bez śladu nieprzyjaźni i chęci zastraszenia.

Caulaincourt natomiast doniósł Napoleonowi, że car ostro strofował Schwarzenberga. Przytoczył słowa cara rzekomo dosłownie: „Jeśli się ruszycie — to was zaatakuję..."

A tymczasem dochodzą wieści, że Napoleon zaniechał na razie operacyj w Kastylii i wrócił nagle do Paryża, a pierwszym jego krokiem po powrocie była dymisja Talleyranda, którego przy tym obrzucił gradem obelg.

Dla Aleksandra jest to ostrzeżeniem niezwykłej wagi, która nie uchodzi jego baczności; jak wiadomo bowiem, od czasu Erfurtu pozostawał w ścisłym porozumieniu z księciem Beneventu bądź to przez Caulaincourta, bądź

też bardziej poufnie przez księżnę Kurlandii i jej córkę księżnę de Sagan. Kilkakrotnie Aleksander polecał ambasadorowi francuskiemu przesłać Talleyrandowi parę ciepłych słówek, jak: „Cesarz raczy często pytać o pana"... „wysoko ceni pański rozum i lubi pana serdecznie...". Aleksander pojmuje więc z łatwością ogrom niełaski, która jak piorun musiała spaść na dawnego ministra spraw zagranicznych. Pamięta dobrze mądre zlecenia, których udzielił mu książę Beneventu przed pięciu miesiącami podczas nocnych rozmów w salonie księżnej Turn-Taxis.

Staje się zupełnie jasne, że całe zajście z dnia 28 stycznia to dopiero przygrywka, że Napoleon dąży do zniszczenia Austrii, którą Talleyrand chciałby ocalić.

Aleksander utwierdza się też coraz bardziej w przekonaniu, że uczynić winien wszystko, co jest w jego mocy, aby nie dopuścić do wojny; a jeśli mimo to jej wybuch nastąpi, zapobiec katastrofie dynastii Habsburgów, z której by już pewnie nigdy się nie podniosła.

Napoleon nie znajdując w optymistycznie nastrojonych raportach ambasadora odpowiednio ścisłych zapewnień, jakie mu są potrzebne, nakazuje Caulaincourtowi usilnie zabiegać o przyspieszenie rosyjskiej mobilizacji. 23 marca pisze do Caulaincourta:

Stanowczo nie chcę atakować, póki nie otrzymam od Ciebie wiadomości... Nie mogę uwierzyć, żeby Austriacy byli na tyle szaleni i wszczęli działania wojenne mając na tyłach armię rosyjską.

W Wiedniu panuje ogólne mniemanie, że Rosja pozostanie neutralną. — Najistotniejszą sprawą dla mnie jest pewność, co zamierza uczynić Rosja, więc niech się decyduje jak najprędzej... Czyż w wyniku naszego przymierza sam mam podbić całą Austrię?...

Pożerany niecierpliwością i oburzony na brak energii swego ambasadora, Napoleon poczyna bezpośrednio naglić Aleksandra!

Nie ma już ani chwili do stracenia; koniecznie trzeba, aby Wasza Cesarska Mość natychmiast zgromadził swoje wojska nad granicą naszego wspólnego wroga. Liczę na przymierze Waszej Cesarskiej Mości — trzeba działać.

I kiedy list ten dąży z Paryża do Petersburga, Austriacy dnia 12 kwietnia wkraczają do Bawarii. W dziewięć dni później marszałek Davout, książę Auerstaedt, gromi ich za to zuchwalstwo, odnosząc zwycięstwo pod Eckmühl.

Napoleon przyspiesza wówczas swój marsz na Wiedeń, do którego wkracza w dniu 13 maja.

Cóż porabia tymczasem armia rosyjska?

Pozwalając Austriakom na wkroczenie do Księstwa Warszawskiego car daje rozkaz wysłania na granice Austrii sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Idzie to zresztą bardzo wolno. Rozkaz wymarszu, naznaczony solennie na dzień 27 kwietnia, wysłany zostaje w dniu 18 maja. „Jesteśmy może powolni — mówi kaclerz Rumiancow do Caulaincourta — ale chodzimy prostymi drogami".

Jakie to były proste drogi, widać z raportu księcia Schwarzenberga z dnia 15 kwietnia, w którym pisze: „Cesarz powiedział do mnie, że daje wielki dowód zaufania zapewniając o gotowości uczynienia wszystkiego, co w ludzkiej leży mocy, aby uchronić nas od klęski. I dodał jeszcze, iż chociaż tak się dziwnie składa, że stoi po przeciwnej stronie, to jednak właśnie nam życzy zwycięstwa".

Caulaincourt nie wyraża żadnego zdziwienia z powodu faktu, że pomimo rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich

ambasador austriacki pozostaje dalej na swojej placówce i nie wspomina nawet o powrocie do Wiednia. Przeciwnie, po cóż miałby się tym niepokoić? Przecież „drogi Aleksander" nigdy go bardziej nie darzył serdecznościami jak właśnie teraz. W jednym ze swych raportów pisze: „Jego Cesarska Mość raczyła uściskać mnie po dzisiejszej rozmowie".

Ale na polu walk wyniki tych wszystkich pochlebstw i czułości — które tylko na miano zdrady zasługują — nie każą długo na siebie czekać.

W dniu 22 maja Napoleon, który od miesiąca gorliwie szukał możliwości stoczenia decydującej bitwy, nowego Austerlitz, wspaniałego zwycięstwa, które by za jednym uderzeniem zakończyło wojnę, ponosi pod Essling pierwszą porażkę. Zmuszony do opuszczenia zdobytego już terytorium na lewym brzegu Dunaju, cofa swe wojska ku wyspie Lobau.

Potrzeba mu było całych czterdziestu dwu dni, aby mógł pomścić swą klęskę i wziąć odwet.

„Rzeź" pod Essling wywołuje w Europie niezwykłe wrażenie. To już nie francuscy generałowie zostają pobici, jak pod Baylen lub Cintra, lecz on sam — Napoleon!

Natychmiast powstaje Tyrol i Westfalia, całe Niemcy się burzą. Oficer pruski, major Schill zbiera partyzantów i wznieca wrzenie w Brandenburgii, w Saksonii i nad brzegami Elby. „Zdawało się — pisze współczesny autor — że bitwa pod Essling zwulkanizowała wszystkich Niemców"...

A co się dzieje z armią rosyjską?

W dniu 23 czerwca, a więc w pięćdziesiąt dwa dni po rozpoczęciu działań wojennych, książę Sergiusz Golicyn wkracza do Galicji.

Czy może w tym celu, by przyjść z pomocą Francuzom, którzy powstrzymują gwałtowny napór nad Dunajem? — Bynajmniej — wojska rosyjskie idą walczyć z wojskami Wielkiego Księstwa Warszawskiego, które są sprzymierzeńcem Francji i pod wodzą księcia Poniatowskiego tak zręcznie działają, że budzą we wszystkich sercach polskich nadzieję wskrzeszenia Ojczyzny.

Na wieść o klęsce Bonapartego pod Essling w salonach i na dworze w Petersburgu zapanowała radość. Poprawny jak zawsze, lecz nieszczery car Aleksander pisze do Napoleona: „Austriacy rozpuszczają wieści o jakichś sukcesach, które ostatnio mieli odnieść: Przyzwyczajony liczyć na geniusz Jego Cesarskiej Mości, nie przywiązuję do tego wagi".

I kończy zapewnieniem o swej wierności, której żadna przeciwność zmienić nie może.

Sam Caulaincourt poczyna się wreszcie oburzać na tak nędzną pomoc, której Rosja udziela Francji w wojnie przeciw Austrii. Lecz gdy się skarży na niezrozumiałą taktykę armii ks. Golicyna w Polsce, która miast podejść do Ołomuńca idzie w inną stronę, otrzymuje od kanclerza Rumiancewa brutalną odpowiedź: „Francja musi wybrać między przymierzem rosyjskim a wskrzeszeniem Polski..."

Jest to pierwszy cios, jawnie wymierzony w dzieło Tylży i Erfurtu.

W ciągu czerwca 1809 r. Napoleon dokonuje cudów pracy organizacyjnej, aby na wyspie Lobau zgromadzić środki, które mu pozwolą z honorem zmazać klęskę. Jest przy tym przygnębiony i wściekły na swojego wiarołomnego przyjaciela z Petersburga.

Czując za plecami wzburzenie całej Europy i opór „zgrai austriackiej", jakiego się nie spodziewał, Napoleon ma jakby przedsmak 1813 roku.

Wspomnienia ks. de Rovigo malują nastrój cesarza w kilku zdaniach, jak następuje:

Było to 5 czerwca. W miasteczku Ebersdorf, położonym na prawym brzegu Dunaju, naprzeciwko Essling, umiera po długiej i straszliwej agonii marszałek Lannes, który mimo amputacji obu nóg musiał ulec skutkom straszliwych obrażeń. Napoleon przybył, aby go pożegnać, i długo patrzył z boleścią na zwłoki nieustraszonego towarzysza broni, który był zawsze przy nim w ciągu wspaniałych dni wielkiej epopei: Montenotte, Millesimo, Arcole, Rivoli, Campo-Formio, Piramidy, Abukir, 18 Brumair, Montebello, Marengo, Ulm, Austerlitz, Saalfeld, Jena, Prentzlow, Pułtusk, Friedland, Tudela, Madryt, Eckmühl, Ratyzbona. Serce cesarza ścisnęło się boleśnie.

Przez wiedeńskie przedmieścia powrócił do odległego o trzy mile pałacu w Schoenbrunie.

Ten dzień 5 czerwca był niezwykle upalny. Napoleon jechał stępa drogą zalaną słońcem puściwszy luźno wodze. Aby uchronić się od kurzu, nakazał adiutantom i eskorcie postępować za nim w pewnym oddaleniu, po czym mnie przywołał; cesarz odjechał ze mną daleko od eskorty, więc domyśliłem się, że chciał coś mówić o Rosji, i rzeczywiście poruszył ten temat, zapytując, co myślę o wyprowadzeniu go w pole przez cara. Wreszcie dodał: „Dobrze zrobiłem, żem nie liczył na takich sprzymierzeńców!... Co mi z aliansu z Rosją, która nie jest w stanie zapewnić mi spokoju w Niemczech? Być może, że oni sami wystąpiliby przeciw mnie, gdyby ich nie powstrzymywała przed złamaniem mi wiary, którą zaprzysięgli, obawa potępienia ze strony opinii publicznej. Nie ma się co łudzić, wrogowie naznaczyli sobie spotkanie na moim grobie; zobaczymy jeszcze, który z nich zjawi się pierwszy"? Po tych słowach Napoleon znów zamilkł i jechał dalej stępa w zamyśleniu.

Gdy dojeżdżali do przedmieść wiedeńskich, cesarz przywołał eskortę i adiutantów, po czym pogalopował znowu z paradą do Schoenbrunu.

Nazajutrz po proroczym monologu, jaki Rovigo usłyszał na słonecznej szosie z Ebersdorfu, Napoleon

wysyła do Caulaincourta stanowcze instrukcje, które dyktuje osobiście swemu ministrowi spraw zagranicznych, panu de Champagny'emu, następcy Talleyranda.

Caulaincourt niszczy pismo natychmiast po otrzymaniu.

Cesarz nie chce nadal ukrywać — pisze w pamiętnikach — że ostatnie wydarzenia wpłynęły na utratę zaufania, jakie miał dotąd do przymierza z Rosją, a której postępowanie jest dla niego dowodem złej woli jako aliantki. Nikt jeszcze nie widział, aby jakieś państwo tolerowało u siebie przedstawicielstwo mocarstwa, z którym prowadzi wojnę... sześć tygodni minęło, a wojsko rosyjskie nie ruszyło krokiem... Cesarz jest tym boleśniej dotknięty, że nie pisze już nawet do cesarza Aleksandra, gdyż nie może mu okazywać nadal dawnej ufności, którą już utracił. Cesarz przestał już liczyć na przymierze z Rosją i mimo że nie wspomina o tym ani słowa, życzy sobie, aby uważał wszystkie poprzednie jego instrukcje za niebyłe: „Zachowaj odpowiednią godność osobistą, bądź na pozór zadowolony, aby nikt nie dostrzegł zmiany w twoim postępowaniu". — „Niech dwór rosyjski będzie z pana zadowolony, jak waszmość z dworu rosyjskiego". Właśnie dlatego, że cesarz nie wierzy już w przymierze z Rosją, zależy mu, aby Europa była nadal przekonana o trwałości aliansu. — „List ten zniszcz, by z niego nie pozostało ani śladu".

Tak więc przymierze francusko-rosyjskie stało się odtąd fikcją i bezwartościowym świstkiem, jednakowoż obaj monarchowie mając ukryte zamysły wyrażają się podobnie. Napoleon zwierza się hrabiemu de Rovigo: „wrogowie, naznaczyli sobie spotkanie na moim grobie, lecz zobaczymy, który z nich zjawi się pierwszy?". Aleksander zaś do Schwarzenberga: „Musimy — powiada — oszczędzać się na przyszłość i być gotowi na lepszą sposobność ; trzeba czekać, aż wybije godzina odwetu!

5 lipca armia austriacka zostaje rozgromiona pod

BIBLJOTEKA
Koła Tow. Wiedzy Woj

Wagram. Wspaniałe to zwycięstwo odniósł Napoleon kosztem wielkich ofiar. Austria nie przestaje jeszcze być groźną. W roku 1805 cesarz Franciszek I zmuszony był podpisać pokój w dwadzieścia cztery dni po klęsce pod Austerlitz — w roku 1809 podpisuje pokój, ale dopiero w sto dni po klęsce pod Wagram.

Mimo wszystko jednak w oczach całej Europy traktat zawarty 14 października w Wiedniu zdaje się być końcem francuskiej przewagi. Monarchia Habsburgów, chociaż terytorialnie traci wiele i w Galicji, i w okręgu Salzburga, i w swych prowincjach iliryjskich, to jednak nabrała odtąd przekonania, że imperium napoleońskie nadmiernie rozrosłe, posiada za mało sił do dalszego istnienia i może pewnego dnia runąć.

Za cenę pozornego współdziałania przyznano Rosji tymże traktatem skromny napiwek — okręg tarnopolski w Galicji, liczący czterysta tysięcy dusz, ,,dokładnie to samo, czym carowa Katarzyna obdarzała swoich faworytów, gdy zmieniała kochanka i rzucała mu coś na pociechę".

W Petersburgu przekonują się, w jakim stopniu ostatnia kampania obnażyła kruchość gmachu napoleońskiego. Joseph de Maistre jest wyrazem powszechnej opinii, gdy pisze:

Mimo wszystko Austria jest w pogotowiu, Rosja na nogach, Anglia stoi z karabinem w garści, Hiszpania nie zdobyta... Cesarz Aleksander może sobie powinszować rzadkiej zręczności, z jaką prowadził swoją politykę, toteż słusznie powiada: ,,Niech tam mówią, co chcą, lecz zdobyłem Mołdawię i Wołoszczyznę, zyskałem też czterysta tysięcy poddanych w Galicji, zgasiłem nadzieje Polaków i moim wpływem ocaliłem Austrię"!

W stosunku do Caulaincourta car nie zmienia swojej uprzejmej łaskawości, lecz społeczeństwo rosyjskie jawnie okazuje austriackie sympatie, a zwłaszcza piękna faworyta Maria Antonówna, która śmiało je podkreśla. Świadectwo Józefa de Maistre i tym razem okazuje się bardzo cenne:

Minionej niedzieli odbyło się wspaniałe przyjęcie na wsi u faworyty. Bal, ognie sztuczne na Newie i bankiet na dwieście nakryć. Byliśmy zdumieni niezmiernie nie widząc ani ambasadora Francji, ani żadnego Francuza; wszystkie apartamenta były otwarte i oświetlone a giorno, a w wytwornym buduarze pięknej pani ujrzeliśmy wiszący nad sofą portret, zgadnijcie czyj? — księcia Schwarzenberga! Trącano się łokciami: idźcie zobaczyć! idźcie!...

* * *

W dniu 10 grudnia 1809 r. cesarz Aleksander udał się do Tweru, gdzie przebywała jego ukochana siostra, wielka księżna Katarzyna, zaślubiona od 11 miesięcy księciu Jerzemu Oldenburskiemu, po czym miał zamiar odwiedzić Moskwę.

Niewielkie miasto Twer, stolica gubernii, leży nad brzegiem Górnej Wołgi o czterysta pięćdziesiąt wiorst od Petersburga, a sto sześćdziesiąt od Moskwy. Założony w XII wieku przez księcia Wsiewołoda Włodzimierskiego, Twer posiadał w swych murach wielką ilość cerkwi, grobowców, monasterów, które pobożność rosyjska otaczała wyjątkową czcią. W okresie pielgrzymek można było łatwo wyczuć, że serce prawosławnej Rosji właśnie tutaj bije najżywiej.

Małżonek Katarzyny Pawłówny, książę Jerzy Oldenburski, generał-gubernator, był źle zbudowanym czło-

czyną, niezgrabnym i jąkałą, gdy młoda jego żona zwracała uwagę tak bystrością umysłu jak żartobliwą werwą i dowcipem. Ożywiona i ruchliwa umiała zawsze odciąć się z jakimś błyskiem w oczach. Nie była klasycznie piękna, nos miało nieco krótki i rysy zbyt grube, lecz cerę posiadała młodzieńczej świeżości, wspaniałe sploty włosów, wysmukłą figurę, miękkie ruchy i wdzięk dziwnie upajający, o czarze którego przekonała się nieraz. Trudno było zliczyć jej miłosne intrygi. Dla brata Aleksandra była „najrozkoszniejszą istotą na świecie"... powtarzał jej to często. „Wiem, że mnie kochasz i jest mi to niezbędne do szczęścia, ale ja Cię uwielbiam jak szalony, jak opętaniec, jak maniak!..." Posuwał się jeszcze dalej!

W Twerze, tym ognisku konserwatyzmu narodowego i religijnego, wielka księżna Katarzyna żyła na wielkiej stopie, gdyż lubiła przepych, a brat płacił wszystkie jej zachcianki.

Złe języki Petersburga szeptały, że miała także ambicje rządzenia, posądzano ją, że liczy na koronę carską w wypadku, gdyby jej drogi Aleksander skończył tragicznie, tak jak ojciec. Zresztą w tych marzeniach o władzy nie byłoby nic dziwnego ani też niezwykłego, co najwyżej to samo, co w carycy Katarzynie Aleksiejewnie w roku 1762.

Interesowanie się sprawami państwa, pełne zapału, nie ulegało zresztą żadnej wątpliwości. Katarzyna łączyła w sobie męską roztropność z pełnym poczuciem dumy i odpowiedzialności monarszej. Zbawienie dla Rosji widziała tylko w samowładztwie, nienawidziła liberalizmu, który uważała za zbyt mglisty i urojony. Również nie mogła znieść przymierza z Francją. Znane były jej słowa „Wolę być żoną popa niźli panującą w kraju

zależnym od Francji". Na ten temat zawsze spierała się z bratem.

Liczne grono — mówiono nawet o koterii — wybitnych ludzi bywało na jej dworze, jak książę Bagration, znany z bohaterstwa w latach 1805—1807, którego podobno miała kochać; historyk Karamzin, głowa reakcji i nacjonalizmu, gwałtowny obrońca „absolutum dominium" i z tej racji śmiertelny wróg Sperańskiego; wreszcie znany z okrucieństwa i samolubstwa hr. Fiodor Wasiliewicz Roztopczyn, który raz urażony mścił się bezlitośnie, posuwając się w gwałtach aż do zbrodni — przebiegły, przy tym nienawidził straszliwie Francuzów; bożyszcze patriotów moskiewskich.

Często też widywano w Twerze wyniosłą cesarzową Marię Fiodorówną, która swą córkę Katarzynę kochała nad wszystko, pozwalając traktować się jej nieledwie po przyjacielsku z miną kapryśnego dzieciaka. — Czasami niecierpliwiło ją to zachowanie, ale udawała, że bierze je za „oryginalność — córki".

Aleksander po pięciu dniach pobytu, poświęconych — jak mówił — „zaznaczeniu swej władzy nad najładniejszym stworzeniem pod słońcem", razem z siostrą udał się do Moskwy.

Oczekiwało go tam entuzjastyczne przyjęcie.

U podnóża Kremlu, na Czerwonym Placu, pod bramą Zbawiciela i przed Uspieńskim Soborem ścisk był tak straszny, że orszak cesarski musiał się co krok zatrzymywać; wreszcie stanął w miejscu, bo mużyki wyli z radości rzucając się pod nogi konia, niosącego święty majestat Rosji.

— Rozstąpcie się dzieci — woła Aleksander co chwila. — Puśćcie mnie dalej...! — Lecz tłumy, padając

na oblicze krzyczą bezustannie: — Batiuszka — ojcze — jedź po nas — potratuj!

Aleksander jest wzruszony do łez. To samo dzieje się i dni następnych.

27 grudnia jest znowu z powrotem w Petersburgu.

Ta krótka wizyta w Twerze i Moskwie wywarła na Aleksandrze niezatarte wrażenie. Poczuł jakieś nowe siły w sercu, gdy zetknął się blisko z przeszłością starej Moskwy, błogosławionej, w aureoli bizantynizmu, gdy odetchnął powietrzem wielkich carów, którzy zgarniali ruskie ziemie pod swe panowanie — i po raz pierwszy może w życiu poczuł swą władczą i mistyczną moc, która pod nogi rzuca mu całą duszę narodu.

* * *

Nazajutrz po powrocie cesarz przyjmuje Caulaincourta, który prosi o natychmiastową audiencję w sprawach arcytajnych i wielkiej wagi. Ambasador Francji ma zlecenie zakomunikować carowi, że: 1. Cesarz Napoleon, który przygotował już rozwód, pragnie wiedzieć w terminie nie dłuższym jak „dwu dni", czy może liczyć na rękę wielkiej księżniczki Anny, młodszej siostry cara. — 2. Cesarz gotów „uzgodnić" ze swoim aliantem z Tylży sprawę „wymazania wspomnienia o Polsce z serc jej dawnych mieszkańców" *(pour effacer le souvenir de la Pologne dans les coeurs de ses anciens habitants)*. Jest gotów nawet, aby „słowa: Polska i Polacy znikły nie tylko ze wszelkich aktów politycznych, lecz nawet z historii" *(que les mots de Pologne et de Polonais disparaissent non seulement de toutes les transactions politiques, mais aussi de l'histoire)*. Oznaczało to po prostu, że „za cenę wielkiej księżniczki Napoleon oddaje carowi nie

tylko Polskę, lecz przyrzeka, że nie pozwoli się jej podnieść z grobu, tym samym odbiera jej nadzieję zmartwychwstania; Francja zatem przyjmuje rolę wspólniczki i gwarantki zbrodni rozbiorów...

Bolesne jest to doprawdy, że podobnie haniebny akt znajduje się w archiwach francuskiej dyplomacji.

Przeciw małżeństwu wielkiej księżniczki Aleksander nic nie ma i czułby się szczęśliwym jako szwagier drogiego sprzymierzeńca! Liczyć się jednak musi ze zdaniem swej matki, której testament cesarza Pawła przyznał całą władzę w sprawie zamążpójścia córek. Lecz teraz cesarzowa Maria Fiodorówna bawi właśnie w Gatczynie, więc termin oznaczony przez Napoleona — czterdzieści osiem godzin — wydaje się za krótki, „abym mógł zasięgnąć rady mej matki, potrzebuję co najmniej dziesięciu dni czasu".

Caulaincourt nie spostrzegł się, że zwłoka była tylko wykrętem i wstępem do odmowy; przeciwnie, jest przekonany, że chodzi naprawdę o tych kilka dni.

Natomiast co do sprawy polskiej nie traci ani chwili; Napoleon dał mu zresztą zupełnie wolną rękę do załatwienia tej kwestii według życzenia Aleksandra.

Nie wolno Ci się cofnąć przed niczym — pisał w swoich instrukcjach — aby rozwiać raz na zawsze wszelkie złudzenia odbudowy Polski.

4 stycznia 1809 r. Caulaincourt podpisuje z kanclerzem Rumiancowem tajną umowę, streszczającą się w przewodniej klauzuli: „Państwo polskie nigdy nie będzie wskrzeszone". Przy tym Caulaincourtowi ani na chwilę nie przyszło do głowy, że Napoleon może rozmyślnie chciał związać swoje małżeństwo ze sprawą Polski, gdy zgodę na tak nieodwołalne przekreślenie bytu na-

rodu polskiego uzależnił od otrzymania ręki wielkiej księżniczki.

Tymczasem po upływie 10 dni car prosi o dziesięć dalszych, gdyż cesarzowa Maria Fiodorówna pragnie zasięgnąć rady wielkiej księżnej Katarzyny Oldenburskiej. Jednym słowem, Aleksander zasłonił się matką, a matka córką.

Caulaincourta to zupełnie nie zadziwia i w dalszym ciągu zapewnia Napoleona o życzliwości Aleksandra, który gorąco życzy sobie tego małżeństwa, pragnąc zacieśnić przymierze węzłami rodzinnymi. Do Talleyranda nawet pisze ten tak pewny siebie swat:

Nigdy żaden ambasador nie był tak dobrze widziany, jak ja jestem tutaj; Cesarz i kanclerz okazują mi więcej niż zaufanie, bo nawet przyjaźń.

Napoleon natomiast odgadł zaraz na wstępie grę Aleksandra i zrozumiał, że car pod pięknymi słowami i odkładaniem ukrywał odmowę. Nie posiadał się więc z gniewu, że jego ambasador w tak głupi sposób dał sobie wyrwać z ręki atut, jakim była Polska w uzyskaniu zgody na małżeństwo. Toteż Napoleon nie ratyfikował później umowy z dnia 4 stycznia.

Tymczasem czekał i nie chciał tracić za wcześnie nadziei — przecież nie było jeszcze ostatecznej odpowiedzi cesarza Aleksandra. A jednak głos wewnętrzny zdawał się potwierdzać, że instynkt go nie myli. — Caulaincourt zapewne jeszcze raz dał się wyprowadzić w pole! — Wreszcie Napoleon przestał wątpić w podejrzenie, że car szuka jedynie słów, żeby mu dać kosza... Czuje, że ma już rozwiązane ręce i zaraz układa w myśli ciętą odpowiedź za obelgę oraz wykręty, na jakie sobie pozwolił ten wiarołomny sprzymierzeniec!

ALEKSANDER I

CESARZ WSZECHROSJI, KRÓL POLSKI

Według litografii Aschenbrennera ofiarowanej przez Aleksandra I królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi III. — Muzeum Wojska w Warszawie.

Toteż podobnie jak na placu boju przeprowadza na wszelki wypadek kontruderzenie, co sam nazywa „odwróceniem karty". Korzystając z przewagi, jaką posiadał w Wiedniu i z pewnych niejasnych zresztą propozycyj, rozpoczął natychmiast wstępne rokowania ze zwyciężonym pod Wagram cesarzem Franciszkiem I i już po kilku dniach, nieledwie w kilka godzin, otrzymuje rękę arcyksiężniczki Marii Ludwiki. Oficjalnie kroki w tej sprawie rozpoczął 6 lutego ks. Eugeniusz porozumiewając się z ks. Schwarzenbergiem, wówczas już ambasadorem austriackim w Paryżu, a zakończył je 8 lutego, tj. po trzech dniach. Intercyza, wzorowana na kontrakcie ślubnym Ludwika XVI i Marii Antoniny, tegoż dnia odchodzi na dwór wiedeński!

W tym samym czasie, gdy sklecano na prędce tę umowę, specjalny kurier z „decyzją cara" opuścił Petersburg.

Okazało się, że instynkt Napoleona był i tym razem nieomylny. Aleksander usprawiedliwiał się uporem matki, którego niby nie mógł przełamać. W odpowiedzi przytacza jako jedyny powód odmowy zbyt młody wiek księżniczki Anny. Jeżeli chodzi o fizyczną stronę tego małżeństwa: „to jest prawie dojrzałą od pięciu miesięcy, co widać zresztą już po jej figurze, piersiach itp.". Lecz zaczyna zaledwie szesnasty rok życia. Oczywiście cesarzowa Maria Fiodorówna czułaby się wielce zaszczyconą łącząc swą córkę ze sławnym cesarzem Francuzów, „lecz żadne perswazje nie potrafiłyby jej skłonić do przezwyciężenia obawy o życie młodziutkiej księżniczki; lęka się małżeństwa swej córki w tym wieku, gdyż opłakuje przecież śmierć dwu starszych córek, które straciła wydawszy je za mąż zbyt młodo".

Gdy się czyta te słowa i te określenia dojrzałości Marii Pawłówny, to ma się wrażenie, że dopiero teraz odkryto jej metrykę i całych czterdzieści dni potrzeba było, ażeby się upewnić, czy jej przypadkiem ciąża nie zaszkodzi...

List kończy się pięknymi słowy, zapewnieniem przyjaźni i żalu, że chociaż byłby nadzwyczaj szczęśliwy zostać szwagrem cesarza, to jednak nie pozostaje nic innego jak z serca „życzyć mu szczęścia".

Wiek wielkiej Księżniczki był tylko pretekstem; nie tylko cesarzowa matka była przeciwna temu małżeństwu. Od pierwszej chwili tak Aleksander jak i jego siostra Katarzyna zgadzali się z nią zupełnie, że należy odrzucić te nieprzystojne — ich zdaniem — oświadczyny, które głęboko raniły dynastyczną dumę: „Małżeństw monarchów nie improwizuje się w dwadzieścia cztery godziny, winno być ono należycie przygotowane przez dłuższe starania". Odrazę w nich budziła sama myśl, aby córka dynastii Romanowów poślubić miała parweniusza rewolucji, łupieżcę koron, heretyka, odstępcę, zbrodniarza, który depcząc zarówno tak boskie jak i ludzkie prawa nie cofał się nawet przed świętokradztwem. — Czyżby sumienie Romanowów było takie czyste?... Czyż nie wyrzucało im śmierci carewicza Aleksego i carów, jak Iwana IV, Piotra III, wreszcie Pawła I?

Nie trudno zrozumieć, dlaczego Aleksander początkowo przyjął oświadczyny Caulaincourta, serdecznie zapewniając ambasadora, że nie wątpi w ich pomyślny wynik, a potem się zasłaniał „uporem" matki, aby zyskać na czasie. Była to gra w nadziei, że Napoleon będzie natychmiast ratyfikował umowę w sprawie Polski chcąc uniknąć podejrzenia, że istnieje jakaś łączność pomiędzy

ręką wielkiej księżniczki a poświęceniem bytu Polski. W ten sposób car spodziewał się wygrać wszystko, nic w zamian nie dając.

Tak naiwnym Napoleonem jednak nie był.

Depeszę z wiadomością o austriackim małżeństwie, wysłaną z Paryża w dniu 7 lutego, otrzymuje Caulaincourt już 23.

Aleksander był zbyt dumnym, aby zdradzić, że ta wiadomość sprawiła mu najmniejsze choćby niezadowolenie. Bez drgnienia w twarzy — mówi do Caulaincourta:

— Niech pan złoży cesarzowi moje życzenia z powodu wyboru żony. Pragnie przecież mieć dzieci, pragnie tego cała Francja. Postanowienie to bardzo rozumne i dla Austrii szczególnie szczęśliwe. Daje też przy tym daleko sięgające gwarancje pokoju w Europie. Proszę mi wierzyć, że mię ta wiadomość naprawdę ucieszyła... a także proszę podziękować swemu monarsze, że raczył mnie pierwszego o tym zawiadomić!

Po czym uważając, że tymi słowy dostatecznie podkreślił swą godność, lecz nie chcąc, aby Napoleon pomyślał, że dał się wyprowadzić w pole, dodaje jeszcze:

— Widocznie Wasz monarcha postanowił poślubić arcyksiężniczkę austriacką, zanim otrzymał moją ostateczną odpowiedź. — Oczywiście czynił starania równocześnie na obie strony, skoro już 7 lutego otrzymał jej rękę.

W końcu z naciskiem wyraża zdziwienie, że dotąd nie ma jeszcze potwierdzenia umowy w sprawie Polski: — Co się z nią stało? — Cóż za powód? — bo czy chcecie, czy też nie chcecie załatwić tę sprawę, tak mi solennie obiecaną, to przynajmniej należałoby dotrzymać terminu odpowiedzi, a — jak widzę — kurierów nie oszczędzacie. — Termin — to rzecz święta!.

Wiadomość o austriackim małżeństwie spadła na towarzystwo rosyjskie jak grom z jasnego nieba, wzbudziła też powszechnie obawy, przypuszczano bowiem, że będzie to przygrywka końca francusko-rosyjskiego przymierza. Co dalej? Czego się jeszcze można spodziewać? Wszyscy przecież godzą się na jedno, że: „obecnie Napoleon, oparty o Austrię, napadnie wkrótce na Rosję".

To pierwsze wrażenie ustępuje niebawem miejsca oburzeniu, zwłaszcza gdy poznano kulisy całej sprawy i chybionych rokowań. Grę Napoleona, który tajemnie prowadził układy z Habsburgami, starając się zarazem jawnie wejść do rodziny Romanowów i nie czekał na odpowiedź cara, odczuto jako śmiertelną obrazę.

Miarę przepełniła wiadomość o pogardliwej odmowie ratyfikowania umowy, którą sam Napoleon proponował, podpisanej już nawet przez ambasadora francuskiego, a która miała na celu uchronić Rosję przed odbudową Polski. Oburzenie było powszechne.

Nie uszło też uwagi dworu, że car połknął tę gorzką pigułkę i że był tym mocno przygnębiony. Wiedział dobrze — przez szpiegów, że go oskarżają w salonach: „Nieudolny do wojny — nieudolny i do układów... On wiedzie Rosję do upadku i ku hańbie. Czego zresztą oczekiwać można po rządach, które poczęła zbrodnia ojcobójstwa" — mówią nawet o spiskach. W chwili szczerości, nieszczęśliwy car zwierza się przyjaciołom: „Widzę dobrze, że wszystko to skończy się moją śmiercią!... Bądźcie tylko cierpliwi."

ROZDZIAŁ X

Wiosna roku 1810 stanowi przełom w rządach Aleksandra, który przejrzał na wylot Napoleona, jak i kruchość jego dzieła. Wpływy Józefa de Maistre, posła Sardynii, na petersburskim dworze — ... „Myślę nieraz, od jakich właściwie drobnych spraw zależna jest ta groźna potęga, przed którą drży teraz cała Europa..." — Car przewiduje, że wojna z Francją jest nieunikniona, a poza tym wszystkie niebezpieczeństwa, jakie się z nią wiążą. Pragnie zjednać sobie Polaków, nawiązuje zatem ponownie stosunki z Czartoryskim. — „Błędne spojrzenie spod Austerlitz". Pod żelazną ręką Arakczejewa armia rosyjska wzrasta z dniem każdym. Plan szybkiej ofensywy poprzez Polskę — potajemne rozmowy między Petersburgiem a Wiedniem, „Oba dwory powinny rozumieć konieczność wzajemnego ratunku". — Optymistyczne raporty Caulaincourta; w dalszym ciągu potwierdza on w Paryżu lojalność cara. Zaślepienie czy mistyfikacja?. Odwołanie Caulaincourta; następcą generał de Lauriston. Car osobiście prowadzi tajne układy; zabiega o pomoc w Londynie, Berlinie i Sztokholmie. — Rady oficerów pruskich, generała von Phull i pułkownika von Klausewitz. Aleksander porzuca myśl o nagłej ofensywie przez Polskę, postanawia natomiast wciągnąć Napoleona możliwie najgłębiej do Rosji cofając się wolno i nieustannie w niezmierzone dzierżawy swego olbrzymiego państwa: „Między armią Napoleona i moją stworzę pustynię". — Nieustanny wzrost naprężenia dyplomatycznego pomiędzy Francją i Rosją. Niezrównana służba wywiadowcza w Paryżu. Pułkownik Czerniszew, mistrz szpiegostwa, przyjaciel Pauliny Borghese. Caulaincourt, popadłszy w niełaskę od chwili swego powrotu do Paryża, ulega wpływom Talleyranda: obaj regularnie udzielają hrabiemu Nesselrode, pierwszemu sekretarzowi ambasady rosyjskiej, cennych wiadomości o politycznych zamiarach cesarza, o stanie i ruchach wojsk francuskich. — Przyłączenie księstwa Oldenburg do Francji — zniewagą dla Romanowów. Fatalne skutki blokady kontynentalnej dla handlu rosyjskiego. — Odwet celny i przywileje dla Anglików. — Dnia 15 sierpnia 1811 wobec całego korpusu dyplomatycznego Napoleon wymyśla ambasadorowi Rosji, księciu Kurakin. „Choćby nawet wasze wojska stały na wzgórzach Montmartre!" — Ostatnie przygotowania Aleksandra; wygnanie Sperańskiego. Roztopczyn gubernatorem Moskwy. Napoleon myli się w ocenie Aleksandra — łudzi się jeszcze, że posiada na niego wpływ, że mu się uda go zwieść lub uspokoić! — Na progu wojny.

W tym czasie, gdy Napoleon obchodził uroczyście swój ślub z „piękną jałówką" — jak mawiał ks. de Ligne —

„jałówką, którą mu jak Minotaurowi na ofiarę rzuciła Austria" — Aleksander powrócił już do równowagi.

— Potrafił się znowu opanować w mowie i zapałach i zabrał się też dzielnie do pracy. Jego decyzje nabierają siły — w ogóle daje się w nim zauważyć głęboka wewnętrzna przemiana.

Marzec i kwiecień roku 1810 — to przełom w jego rządach.

Po raz pierwszy zrywa ze złudzeniami i rezygnuje z dawnych utopii; poznał bowiem na wylot chamstwo Napoleona i kruchość jego dzieła.

Przez całe następne pięć lat prawie Aleksander nie zmieni się pod tym względem. — Celuje zresztą jak i przedtem w nieszczerości i fałszu — lecz na arenie świata towarzyszą tym cnotom dyplomaty takie cechy, jak rozum i konsekwencja w czynach, których dawniej wcale nie przestrzegał, umie się mistrzowsko kryć i maskować, jest przezorny przy dużej dozie energii i wytrwałości; decyduje się szybko, patrzy w dal — czasem nawet poza dostrzegalny dla wszystkich widnokrąg, co przyniosło mu później miano „Agamemnona królów". Wysiłek to jednak duży jak na jego siły i wciąż musi się pilnować, żeby go nie uniosła zapalna wyobraźnia a czasem i dobre serce.

Zmiana zapatrywań na kwestię napoleońskiego imperium zrodziła się w duszy Aleksandra już w kilka miesięcy po spotkaniu w Tylży, wzrosła znacznie po rozmowach erfurckich, aby się ostatecznie skrystalizować w początkach roku 1810 pod tajemnym wpływem Józefa de Maistre, czego nikt ze współczesnych nawet nie dostrzegł.

Hrabia Józef de Maistre był posłem pełnomocnym

króla Sardynii, Wiktora Emanuela I, przebywającego w Cagliari od czasu, gdy Francja zagarnęła mu Piemont i Sabaudię. De Maistre w Petersburgu bawił od dawna i potrafił wyrobić sobie wyjątkowe stanowisko w świecie rosyjskim ciesząc się wielkim uznaniem. Pozycję swą zawdzięczał jedynie sobie samemu, swoim poważnym zapatrywaniom i niezwykle miłemu obejściu. Korespondencję z Cagliari z trudem tylko udawało mu się utrzymywać, a ponieważ nie posiadał żadnego majątku, skazany był na życie w wielkim niedostatku, troskliwie zresztą ukrywanym. Zdarzało się, że „zmuszony byłem czasem dzielić chleb sługi swego"... przyznaje otwarcie w swoich pamiętnikach i listach.

Oto już druga zima — pisze raz w grudniu — którą spędzam bez futra, co tutaj znaczy mniej więcej to samo, co w Cagliari nie mieć koszuli. Gdy wychodzę z dworskiego przyjęcia lub od kanclerza, gdzie zdumiewa azjatycki wprost przepych, mizerny mój lokaj zarzuca mi na plecy tandetny płaszczyk.

Mimo to proszą go wszędzie i wielce cenią w salonach stolicy oraz wszędzie tam, gdzie o publicznych sprawach szczerze można było rozmawiać, jak np. u hr. Rumiancewa lub u hr. Potockiej. Przyjmuje go serdecznie Strogonow i księżna Waldemar-Golicyn, hrabina de Liewen, Aleksy Razumowski, gości hr. Gołowin, księżna Aleksowa Golicyn, bratowa gwałtownego Roztopczyna, i wielu innych.

Józef de Maistre korespondował z dworem Sardynii na chybił trafił czasem przez Wiedeń, czasem przez Konstantynopol lub Londyn; przekonał się też szybko, że wszystkie jego raporty były czytane, a nieraz i przepisywane w czarnych gabinetach Petersburga i tym sobie

nawet tłumaczył życzliwość i szczególny szacunek, który mu okazywał Aleksander.

Kilkakrotnie kanclerz Rumiancew, a także i inni ministrowie prosili go, aby zechciał napisać to, co przed chwilą od niego usłyszeli „aby słowa te doszły do Jego Cesarskiej Mości". Pewnego dnia, a było to w początkach r. 1812 — hr. Tołstoj, wielki marszałek dworu, zaproponował mu nawet, „aby podczas nadchodzącej wojny, która zdaje się być nieuniknioną, zechciał się podjąć roli tajnego redaktora oficjalnych pism Jego Cesarskiej Mości i był wyłącznie tylko do dyspozycji cara lub kanclerza".

21 kwietnia, gdy cesarz Aleksander po uroczystym nabożeństwie w soborze Kazańskim udał się do armii, Józef de Maistre pisze:

Wczoraj miałem nową konferencję z cesarzem, lecz tym razem w jego prywatnym gabinecie. Ta rozmowa może mieć poważne następstwa. Żegnając się cesarz uściskał mnie serdecznie.

Dnia 17 maja, gdy wojska francuskie zbliżają się do Niemna, Józef de Maistre notuje: „Jutro wyjeżdżam, wezwany do Połocka, prawdopodobnie na służbę cesarską". — Zażyłość z Aleksandrem poczęła się coraz więcej zacieśniać.

W jego raportach urzędowych i zapiskach z tych czasów spotyka się niezmiernie ciekawe uwagi, pisane jakby był natchniony proroczym duchem:

Nadludzki geniusz Napoleona — pisze na przykład — sprawia, że ten człowiek nieustannie musi stawiać wszystko na jedną kartę... póki Napoleon na widowni, to nikt rozsądny nie będzie mógł pomyśleć nawet o jakimś pokoju... Napoleon

chcąc świat urządzić wedle swoich planów nie może dobrowolnie dopuścić, aby potęga taka jak Rosja pozostała od niego niezależna. Dlatego też zmuszony jest atakować. Wojna z Rosją jest nieuniknioną, a kością niezgody, która ją rozpali, stanie się Polska... Często rozmyślam nad tym, jakie nieraz nieprzewidziane przyczyny zachwiać mogą potęgą, przed którą drży dziś cała Europa... A jednak tych przyczyn niezawodnego upadku, mimo pozorów potęgi, domyślić się można. Szukać ich jednak poza Francją byłoby błędem, gdyż leżą one tylko we Francji. Całe dzisiejsze powodzenie Napoleona, cała jego sława nie zmienią mego zdania, a na pytanie „gdzież widzę siłę, która by była zdolna tego olbrzyma powalić?" zawsze odpowiem: „Ta siła powstać może w Paryżu w jeden wieczór, w chwili gdy znajdzie się trzech lub czterech ludzi zdecydowanych na wszystko."

Francji nikt nie pokona, lecz Francja może się pokonać sama. Dziś jeszcze rozum ludzki nie odgadnie, kiedy to ma nastąpić.. jednakowoż rozwiązanie kwestii polega tylko na tym, ażeby: przekonać Francuzów, że wojnę toczymy tylko z Bonapartem i że pod jego władzą nigdy nie zaznają spokoju. Zrozumieć też winni, że nikt na granice Francji nie czyha...

Te same przekonania podzielali również Metternich i Talleyrand. Napoleon zaiste przekroczył już granice ludzkich możliwości, upadek jego stał się nieuchronny, od chwili gdy niejednolitość i zbytnia rozległość jego państwa skazywały go wciąż na nowe zwycięstwa i na ciągłe podboje. Lecz ani Talleyrand, ani Metternich nie przewidywali klęski z taką bystrością jak de Maistre; żaden z nich bowiem nie umiał określić „chwili" tej nieuchronnej katastrofy, żaden też nie przewidział, że bezpośrednie przyczyny ostatecznego bankructwa wzbierały, rodziły się i mnożyły w samej Francji.

* * *

W połowie marca 1810, w dwa miesiące po ogłoszeniu małżeństwa Bonapartego, Aleksander zdecydował się ostatecznie na wojnę, widział bowiem jak na dłoni, że uniknąć jej nie zdoła.

Zwierzył się z tym otwarcie przed ks. Adamem Czartoryskim, z którym znów nawiązał dawne przyjacielskie stosunki, oziębione w okresie niełaski datującej się od spotkania w Tylży. Obecnie po roku spędzonym w Polsce książę powrócił do Petersburga.

Są i tacy, którzy przyczyn tego powrotu nad Newę dopatrują się w nader tajemniczych powodach, mianowicie w nawiązaniu z powrotem dawnego romansu z cesarzową Elżbietą.

A może — odżyła serdeczna przyjaźń tych dwóch ludzi, tak do siebie podobnych z wielu względów jak i zupełnie różnych.

Dość, że odżyły znowu dawne rozmowy i dyskusje, trwające godzinami, oraz narady, żywo przypominające rok 1804.

Aleksander, aby zyskać zupełne zaufanie dawnego druha, zataił przed nim, że na żądanie Napoleona zgodził się, aby „słowa Polska i Polacy zniknęły nie tylko ze wszystkich politycznych układów, lecz nawet z historii". Czartoryski jednak, chociaż nie znał dokładnie szczegółów umowy z 4 stycznia, był o niej o tyle poinformowany, że bez ogródek wyraził carowi swoje zdziwienie i ból, z jakim to odczuł. Czyż władca tak wspaniałomyślny, którego opatrzność przeznaczyła tylko do rycerskich czynów, mógł być tak nieubłaganym wrogiem narodu polskiego i w ogóle imienia Polski?

Aleksander nie mógł zaprzeczyć, że prowadził z Napoleonem układy w sprawie Polski; twierdził przecież, że

wina leży po stronie francuskiej, która narzuciła tę bezwzględną i tak głęboko bolesną dla Czartoryskiego klauzulę. Zresztą rokowania te jeszcze nie skończone, więc wydaje polecenie, żeby Rumiancew redakcję ich odpowiednio zmienił:

A zatem nabierz otuchy! — mówił — moja miłość do Polski nie zmieniła się wcale. Wiesz dobrze, że zamiarem moim jest wskrzeszenie Polski, związane jednak z koroną rosyjską. — Widzisz więc, że mych pierwotnych planów nie zmieniłem.

I bez wynurzeń cara Czartoryski wiedział, jaka to ma być Polska, planowana przez dostojnego przyjaciela. — Wiedział, że chodzi o „Polskę rosyjską", która by w przyszłości wchłonęła „Polskę francuską", utworzoną nad Wisłą przez Napoleona jako Wielkie Księstwo Warszawskie. Nie wiedział jednak ks. Adam i nigdy by w to wówczas nie uwierzył, że w tej samej godzinie, w której przed nim rozwijał zamiar wskrzeszenia Polski pod berłem Romanowów, samodzierżca rosyjski czynił ostatnie wysiłki u Napoleona, aby „węzły przymierza zacieśnić" przez dwustronne zobowiązania, że „państwo polskie nie zostanie nigdy odbudowane". Wspaniałomyślność zatem, z jaką się car odnosił do rodaków Czartoryskiego, była nie bez kozery — ot bał się po prostu, że jego przyjaciel z Tylży i Erfurtu lepiej i łatwiej od niego może wygrać „atut Polski".

O możliwości wojny z Francją Aleksander zwierzał się przed Czartoryskim kilkakrotnie. Wierzył, że jest nieunikniona i dla tego pragnął dobrze się przygotować. Nie ukrywał też bynajmniej straszliwego ryzyka tej wojny... Był przekonany, że zagłada cesarstwa Napoleona zbliża się gwałtownie, równocześnie zdawał sobie

sprawę, że byłoby błędem nie widzieć, do jakiego stopnia ta potęga jest dziś jeszcze groźną!... a zresztą gdyby Napoleon stanął nawet na skraju przepaści, kto wie, czy jakimś nowym czynem nie zadziwi świata...!

Pewnego dnia Czartoryski zapytał przyjaciela, ile prawdy istotnej tkwi w rozsiewanych wieściach o zaburzeniach umysłowych, o napadach szału i atakach epilepsji, na które Bonaparte podobno zapada.

Aleksander zaprzeczył z oburzeniem:

— Bonaparte wariatem!... Co za szalony pomysł!... Aby w coś podobnego uwierzyć, trzeba go chyba nie znać!... Przecież to człowiek, który wśród największych wstrząśnień zachowuje zawsze zimną krew i spokojną głowę. Jego wybuchy to czysta komedia — lubi straszyć... U Napoleona wszystko jest przewidziane, wszystko ułożone, on wszystkie swoje pociągnięcia przemyśla, nawet takie, które na pozór są najmniej spodziewane, najbardziej zuchwałe i gwałtowne... Poza tym zdrów jak ryba, nigdy nie chorował, nikt lepiej od niego nie umie znosić pracy i zmęczenia.

Czy Napoleon równie dobrze znał psychikę i temperament Aleksandra?

Przed samym wyjazdem do Polski w pierwszych dniach maja Czartoryski jeszcze raz miał sposobność usłyszeć wynurzenia swego przyjaciela.

Nie kryjąc przed nim nawet najtajniejszych zamiarów cesarz przedstawił mu cały plan strategiczny — a mianowicie nagły atak przez Polskę. Obliczał przy tym zupełnie poważnie, że godzina dramatu wybije za osiem lub dziewięć miesięcy. Na samą myśl o tym zadrżał.

Gdy wspominał to — pisze Czartoryski w pamiętnikach — wzrok jego nabrał stalowego i surowego błysku, co mi przy-

pomniało jego błędne spojrzenie w czasie bitwy pod Austerlitz. Pożegnałem go, mocno niepewny co do nadchodzących wypadków.

W kilka dni później, 23 maja, Caulaincourt wydał z okazji zaślubin Napoleona z Marią Ludwiką wspaniałe przyjęcie, aby „pokazać się" Moskalom. „Ich Cesarskie Moście cesarz i obie cesarzowe wyraziły ambasadorowi Francji swą radość z tego ewenementu. Ich Cesarskie Moście wzięły również łaskawy udział w zabawie i raczyły na balu pozostać od wieczora aż do drugiej godziny nad ranem..."

Jak widać, pozory przymierza utrzymywano nadal. Jednak nazajutrz komunikuje car Caulaincourtowi:

— Cesarz Napoleon prawdopodobnie zauważył, że moja lojalność w przymierzu jest szczera i konsekwentna, czemu więc każe mi tak długo czekać na obiecaną odpowiedź w sprawie Polski? Jeśli cesarz nie nosi się z zamiarem odbudowania tejże, to czemu codziennie w publicznych dokumentach stale wymienia „Księstwo Polski", „Wielkie Księstwo Warszawskie?"... Czy może wy chcecie ją odbudować? Jeżeli tak, to mówcie od razu i dajcie odpowiedź definitywną, chcę bowiem wiedzieć, czego mam się trzymać...!

Caulaincourt w raporcie o tym dorzuca jeszcze komentarz następujący: „Istotnie nie trudno spostrzec, że czują się tu obrażeni brakiem odpowiedzi i dają mi nawet do poznania, że jest to bezprzykładnym nietaktem".

Odpowiedź tak bardzo oczekiwana i upragniona nie nadchodzi jednak, gdyż małżonek Marii Ludwiki przeżywa właśnie miodowe miesiące i oprowadza swą „piękną jałówkę" po pastwiskach Belgii i Flandrii; dumny jest przy tym, że może córkę Habsburgów pokazać pro-

wincjom, które jeszcze nie tak dawno należały do domu austriackiego.

Odtąd Aleksander nie wracał więcej do sprawy Polski, co Caulaincourt dobrze przejrzał, i pragnąc jak najprędzej zrzucić ze siebie odpowiedzialność za ewentualne następstwa tego nietaktu, nieustannie prosił o odwołanie go z Petersburga. Zasłaniał się fatalnym wpływem już trzeciej zimy, spędzonej w rosyjskim klimacie i twierdził, że czwartej już nie zniesie. Narzekał na płuca, gardło, na reumatyzm. Gdy jednak Napoleon okazuje się mało wrażliwym na takie argumenty, Caulaincourt wysuwa inne, które, jak się spodziewał, znajdą większe może zrozumienie. Narzeka więc, że osobisty jego „prestiż" na dworze carskim zachwiał się od kilku miesięcy:

Przez długi czas grałem tu pierwszą rolę — pisze — byłem tu naprawdę wicekrólem cesarza Napoleona w Petersburgu!..., to zdanie, choć mocne, nie jest jednak przesadą, gdyż opinia publiczna bardzo wysoko stawiała moje znaczenie i zaufanie, jakim się cieszyłem w otoczeniu dworu. Cesarz Aleksander okazywał mi wyraźnie swą bezgraniczną ufność, a nawet dużo przyjaźni... To wszystko dziś uległo zmianie. Jeśli chodzi o sprawy mniejszej wagi, o względy należne mi jako ambasadorowi, to przestrzegają ich tu z całym ceremoniałem i każdy naśladuje w tym cesarza, lecz serdeczność, zaufanie, znaczenie, to wszystko przepadło... i pod tym względem się nie mylę.

Ten argument był już poważny, Caulaincourt wytacza jednak jeszcze jeden, nieco silniej działający na Napoleona. Kreśli mianowicie, po raz pierwszy zresztą, prawdziwy charakter samowładcy Rosji:

Car nie jest takim, jakim się na pozór wydaje. Uważają go wszyscy za słabego, i mylą się. Umie znieść wiele niepowodzeń, dużo przeciwności, a jednocześnie ukryć swe niezadowolenie..., lecz to jego umiejętne panowanie nad sobą

ma pewne ściśle określone granice. Nigdy nie przekracza on zakreślonych przez siebie granic, które obręcz tworzą z żelaza, co nie gnie się nigdy. Jego towarzyska gładkość, dobroć i udana lojalność są tylko pokrywką uporu, którego nikt nie złamie.

Zwrot ten zrobił silne wrażenie, lecz mimo to przecież Napoleon zatrzymał Caulaincourta na zajmowanym stanowisku aż do maja 1811 r., tj. do momentu, gdy zastąpił go generał Lauriston, zwykły statysta, który stał się niebawem zabawką w rękach Aleksandra. W ostatnich miesiącach swego urzędowania Caulaincourt mógł był uważyć wiele rzeczy ciekawych, których jednak wolał widzieć — lub które usprawiedliwiał albo ukrywał pod suknem, gdy rekoszetem doszły doń z Paryża.

Od maja 1811 r. Aleksander pracuje nad wzmocnieniem swej potęgi militarnej. Dzieło to prowadzi systematycznie i w wielkiej tajemnicy „buldog" Arakczejew, wspierany głową przyszłego wodza naczelnego, generała Barclaya de Tolly. Cesarz osobiście pilnuje podniesienia liczby wojska, należytego wyszkolenia oraz próbnych mobilizacji. W arsenałach wre praca, powstają wielkie składy amunicji i żywności, rosną fortyfikacje na granicy, a zwłaszcza na odcinku od Dźwiny do Dniepru „w najczulszym punkcie państwa". Niebawem jednak porzuca myśl o walce obronnej przeciw ewentualnej francuskiej napaści; sam myśli atakować, aby zaskoczyć Napoleona, zanim ten zdąży wyrwać się z Hiszpanii.

Dzień po dniu drobnymi grupami, batalion za batalionem, podsuwa swe wojska ku Dźwinie, ku Niemnowi, Berezynie, nad Dniepr. W początkach roku 1811 car rozporządza już armią 225 000 ludzi, dobrze uzbrojoną i umiejętnie rozlokowaną, której Napoleon może, i to dopiero w kilka miesięcy, przeciwstawić co najwyżej.

60 000 żołnierzy, rozproszonych w Niemczech, oraz niepewne wojska konfederacji reńskiej.

Mimo tajnych i najsurowszych rozkazów, ruchy wojsk dostają się do wiadomości publicznej wzbudzając w petersburskich salonach głęboki niepokój. Cała stolica o tym mówi. Jeden tylko Caulaincourt nie czuje niepokoju, gdyż car mu wyjaśnił, że są to tylko zwykłe przesunięcia wojsk, stosowane przez wszystkie państwa, nawet najbardziej pokojowo usposobione.

— Zmiany te nie wpływają na wzrost sił wojskowych... Nie zaciągnąłem ani jednego żołnierza więcej, nie mam więcej ani o jeden bagnet. Każde ze swych wyjaśnień podkreśla Aleksander nieśmiertelną zwrotką: — Jestem i pozostaję dzisiaj takim, jakim mnie widział cesarz Napoleon w Tylży i w Erfurcie, zawsze jednakowo szczery w mym przymierzu... Zapewnij pan swego cesarza, że nie ma sprzymierzeńca, który by bardziej jego sprawie był oddany... Nie chcę nic kryć przed panem, panie generale, i nie mam zresztą nic do krycia, pragnę tylko przymierza i pokoju!... Jednocześnie przemyśla, jak wciągnąć Polaków do swych planów i wywołać zaraźliwym przykładem powstanie w Niemczech, gdzie grunt był niezwykle podatny.

Czartoryskiego nie ma już w Petersburgu — przebywa w swej książęcej siedzibie, w Puławach nad Wisłą. W dwóch listach z dnia 25 grudnia 1810 i 31 stycznia 1811 roku odkrywa Aleksander księciu swe zamysły, których podstawą jest odbudowa Polski. „Połączenie wszystkich ziem, wchodzących niegdyś w skład Polski wraz z krajami ruskimi z wyjątkiem Białorusi". Tak odbudowane „Królestwo Polskie, aż do Dźwiny, Berezyny i Dniepru", zostanie na zawsze złączone z Rosją,

której cesarz odtąd będzie nosił tytuł „cesarza Wszechrosji i króla Polski"... Dla Polaków jest to jedyna sposobność wskrzeszenia ojczyzny, gdyż prawdopodobnie i Galicja niedługo zostanie przyłączona...

Car proponuje Czartoryskiemu nawiązanie poufnych stosunków z najwybitniejszymi kierownikami narodu i armii polskiej. Każe przedstawić swoje plany i wybadać, czy byliby gotowi i zdecydowani wesprzeć armię rosyjską celem zniszczenia potęgi napoleońskiej i wyzwolenia Europy?... „Jestem zdecydowany nie wszczynać wojny z Francją, dopóki nie będę pewnym współdziałania Polski". List kończy się zwrotem: „Jeśli Polacy mnie wesprą, powodzenie sprawy i zwycięstwo jest niezawodne, gdyż nie polega ono na nadziei przewyższenia talentu Napoleona, lecz na braku sił, których cesarz Francuzów dziś nie posiada, oraz na wrzeniu, jakie panuje w Niemczech, gdzie w każdej chwili może wybuchnąć powstanie".

Kiedy Czartoryski bada teren w Polsce, Aleksander tymczasem pracuje nad pozyskaniem Austrii na wypadek zerwania z Napoleonem.

W tych poufnych układach, tkanych misternie, a tak pełnych niedomówień i krętactwa, Aleksander celuje nade wszystko.

Małżeństwo Marii Ludwiki daje mu sposobność pierwszego zbliżenia się do Wiednia. Poleca też zaraz zawiadomić dwór habsburski, że żaden „evenement" nie mógłby go bardziej uszczęśliwić, gdyż Rosja teraz dopiero może być otwarcie przyjaciółką Austrii. Małoż to domy Romanowów i Habsburgów mają powodów do wzajemnej miłości i współpracy?

„Ktoś mniej roztropny obawiałby się skutków tego

małżeństwa, a może zazdrość by go gryzła, Aleksander jednak uważa ten fakt za dobrą sposobność pokumania się na nowo".

Wkrótce też pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem pędzą kurierzy.

Posłem nadzwyczajnym Austrii był wówczas znakomity i bystry dyplomata generał de Saint Julien, który się doskonale orientował w sprawach rosyjskich. Car oficjalnie traktował go uprzejmie, ale bez czułości — potajemnie jednak przyjmował go dość często, zwykle u Tołstoja, marszałka dworu.

Na jednym z takich spotkań 16 lipca 1811 r. Aleksander powiedział do generała:

— Pański monarcha wie zapewne, że od zawarcia pokoju z Francją robię wszystko, co mogę, żeby zażegnać nowy wybuch. Niemniej ostatnie wydarzenia mogą doprowadzić do wojny. Zrozumiałe, że będę jej unikał — jeśli jednak wymagać tego będzie godność Rosji, jeżeli mnie zmuszą, to na pewno dobędę szabli. Dziś już mam 200 000 ludzi, których mogę rzucić, gdzie będzie trzeba, a w odwodzie jeszcze 130 000 dla poparcia armii pierwszej linii! Pragnę, aby pański monarcha wiedział, co mogę przeciwstawić nieprzyjaciołom. Proszę nie sądzić z tego, iż zamiarem moim w tej chwili czynić wiedeńskiemu dworowi jakiekolwiek propozycje, gdyż dobrze znam położenie Austrii, lecz... — i tu idąc śladem swych planów nie zapomniał zwyczajem Katarzyny Wielkiej mignąć przed oczami Habsburgów jak zwierciadełkiem łakomą obietnicą za współpracę — możliwością „daru" w postaci „Wołoszczyzny, Mołdawii oraz Serbii."

Z tych poważnych rozmów nic się nie przesącza na zewnątrz, ale Józef de Maistre, który zawsze patrzy

z uwagą na wszystko, coś przewąchał, bo pisze w tym czasie:

Sposób, w jaki się odnoszą do posła Austrii, wyraźnie zdradza, że obydwa dwory już się porozumiały, że dawne urazy puściły w niepamięć, że zamierzają wspólnie pracować nad ratunkiem.

Caulaincourt zaś raportuje w tym samym czasie Napoleonowi coś wręcz przeciwnego o stosunkach Austrii z Rosją:

Cesarz Aleksander — pisze — powiedział mi przed kilku dniami: „Tak przed małżeństwem cesarza jak i potem wyłożyłem już panu me zapatrywania na Austrię, toteż z zadowoleniem patrzę na stosunki, które nas teraz wiążą". Również i kanclerz Rumiancew oznajmił mi, iż Rosja porozumiała się niedawno z Austrią w sprawie Serbów, i dał wyraz radości, gdyby Austria coś uczyniła dla tego narodu. Czyż z tego można wnioskować, że Rosja porozumiała się z Austrią, aby zagarnąć Serbię? Najwyżej mogę to przypuszczać... Otrzymałem też pewne wiadomości z Niemiec o zamiarach Austrii, które by mogły zaniepokoić Rosję, jednakże widzę — rząd rosyjski nie wziął tego do serca. Poseł de Saint Julien od dłuższego czasu nie wysyłał kurierów ani ich nie przyjmował, wnoszę więc, że nie prowadzi żadnych poważniejszych układów i nie ma nowych instrukcji.

Caulaincourt pisze dalej:

De Saint Julien zwykle rzadko przyjmuje kurierów, zdaje się, że bardziej zajmują go drobnostki niż sprawy poważne. Jego jakieś dziwne uroszczenia, zachowanie i próżność, zyskały mu w tutejszym świecie więcej opinii śmieszności, aniżeli względów.

W jednym z dalszych raportów czytamy znowu:

Dziś był kurier u posła, lecz były to tylko wiadomości o ostatnich zarządzeniach skarbowych, o niczym więcej nic nie wiadomo...

Innym razem Caulaincourt informuje:

M. de Saint Julien powtarza tu przy każdej sposobności, że Austria nigdy nie była wrogiem Rosji i że nie ma żadnego celu, aby jej szkodzić, że zapomina o całej krzywdzie, jakiej doznała w ostatniej wojnie od Rosji; twierdzi również, że cokolwiek by zaszło, zostanie tylko neutralną. Kanclerz Rumiancew wspomniał mi, że również otrzymał przez kuriera pismo z Wiednia, lecz że było to tylko rozporządzenie skarbowe.

Oto wszystko, co od swego ambasadora Napoleon wie o knowaniach między Wiedniem a Petersburgiem.

Z Londynem również toczą się układy poufne, Aleksander zawiadamia, że dąży do wycofania się z francuskiego przymierza i obiecuje rządowi angielskiemu rychłe zerwanie celnych barier blokady kontynentalnej.

Caulaincourt i tego nie spostrzega.

Mimo jednak kłamliwej polityki i zwodzenia, mimo gęstych i nieprzejrzystych mgieł, jakimi się Aleksander otaczał, Napoleon oszukać się nie dał. W pierwszych dniach grudnia 1810 roku otrzymał pewne ostrzeżenia z Polski, które zmusiły go do zdwojenia czujności. Toteż ostro wyrzuca Caulaincourtowi, że źle go informował o ruchach wojsk rosyjskich na Litwie. Dalekim jest jednak jeszcze od przypuszczeń, że Rosja powzięła już nieprawdopodobny zamiar, by go zaatakować. Posądza ją przecież, że wzmacnia swe siły, aby bezkarnie wypowiedzieć blokadę kontynentalną i pogodzić się z Anglią.

Potwierdzenie tych ostatnich przypuszczeń wstrząsnęło Napoleonem do głębi, gdyż przekonany był wówczas, że jest w przededniu złamania potęgi angielskiej, tym bardziej, gdyby rosyjskie porty miały zostać zamknięte dla angielskich statków.

Nim jeszcze minął grudzień, w przymierze tylżyckie u erza ponownie, i to już nie w cieniu gabinetów, lecz publicznie — podwójny cios, który w oczach ogółu staje się niechybną wróżbą zerwania.

Ażeby nie zostawić rządowi w Londynie żadnej wątpliwości, że zmierza nieubłaganie do zniszczenia handlu angielskiego, Napoleon anektuje za jednym pociągnięciem pióra wszystkie ziemie hanzeatyckie od Ems do Wezery zapewniając sobie tym sposobem ścisłe wykonywanie blokady.

Aneksja ta obejmowała także małe księstwo oldenburskie, stanowiące uposażenie starej rodziny niemieckiej, której gałąź von Holstein-Gottorp połączyła się z dynastią Romanowów. Owczesny książę panujący był właśnie teściem Wielkiej księżny Katarzyny Pawłówny.

Ta aneksja Oldenburga, mimo że społeczeństwo rosyjskie przywykło już od dawna do zamachów napoleońskich, przyjęta została jako „obelga publiczna", jako „policzek wymierzony sprzymierzonemu państwu". Są to wyrażenia Aleksandra, skierowane do Caulaincourta. Car zakończył rozmowę w tej sprawie słowami: „Żądam sprawiedliwości!"...

Drugi cios Tylży wymierzył Aleksander, gdyż na kilka dni jeszcze przed nadejściem wiadomości o aneksji ziem hanzeatyckich wydał ukaz, wprowadzający zmianę taryf celnych w ten sposób, aby angielskie towary pod neutralną flagą miały wjazd wolny do portów rosyjskich, francuskie natomiast, idące lądem, musiały opłacać cło prohibicyjne.

To było kresem złudzeń Napoleona. W tym celnym zarządzeniu spostrzega jasno przekreślenie układów w Tylży i unicestwienie blokady, widzi rosyjską dłoń

wyciągniętą ku Anglii oraz wstęp do nowych powikłań na Wschodzie.

— Widocznie nauczka dana pod Friedlandem poszła w las...

* * *

W styczniu 1811 r. car postanawia nieodwołalnie rozstrzygnąć nieporozumienia z Napoleonem drogą walki orężnej. Zanim jednak powziął tę decyzję, długo się zmagał ze sobą.

Ogarniała go rozpacz. — Ponury wyraz twarzy, „błędne oczy", małomówność, szukanie samotności, niezwykłe podniecenie całej jego istoty, zwracały powszechną uwagę.

W chwilach przygnębienia uciekał do Tweru, gdzie siostra Katarzyna zawsze mu dodawała otuchy. Tryskała z niej przecież energia, granicząca z zuchwalstwem; że zaś posiadała przy tym chłodny i trafny sąd, świetną pamięć i zmysł polityczny, zdobyła więc ogromny wpływ na brata: „Mądra to jest główka — mawiał on — wszystko umie przewidzieć, na wszystko się waży".

Przy boku Aleksandra spełniała Katarzyna tę samą rolę podpory moralnej i źródła energii, jaką odgrywała przy cesarzu Franciszku I Małgorzata Nawarska lub margrabina de Bayreuth przy Fryderyku Wielkim; sama zaś ulegała łatwo bezczelnemu Roztopczynowi, który uosabiał wybujałą zachłanność rosyjskiego patriotyzmu.

Katarzyna była nieprzejednaną nieprzyjaciółką Napoleona, toteż parła do wojny z całym zapałem.

W początkach maja car przestał się już wahać, aby po raz trzeci spróbować zrzucić jarzmo napoleońskie i zbawić Europę.

Na to postanowienie cara wpłynął bez wątpienia podsunięty mu plan rozstrzygnięcia przyszłej wojny, w której miał postawić na kartę nie tylko życie, lecz dobrobyt, wielkość i przyszłość Rosji.

Piorunujący atak, o którym myślał pierwotnie, wydał mu się przecież zbyt niebezpieczny, szczególniej, że warunkiem powodzenia było szybkie wkroczenie do Polski i czynna pomoc ze strony Polaków. Po zbadaniu tej sprawy przez Czartoryskiego pomoc ta okazała się co najmniej wątpliwa. Poza tym noty z Wiednia i Berlina przyniosły wprawdzie aprobatę, ale bardzo nieokreśloną i lękliwą, pełną przy tym dwuznacznych przemilczeń.

Przebywało wówczas w Petersburgu dwóch pruskich oficerów, którzy po pokoju tylżyckim nie mogąc pogodzić się z klęską swej ojczyzny wstąpili do wojska rosyjskiego. Byli to generał von Phull i pułkownik von Klausewitz. Obaj znakomici stratedzy — a zwłaszcza von Klausewitz. — Oni to ułożyli plan kampanii, oparty na nieocenionych, naturalnych warunkach Rosji, to znaczy na klimacie i na jej obszarze. Postanowili przede wszystkim nigdy nie dać Napoleonowi sposobności stoczenia bitwy rozstrzygającej, jak pod Austerlitz, Jeną, Friedlandem lub Wagram. Byli również zdania, że trzeba się wymykać przed atakiem — niech uderza w próżnię, niech wydłuży tabory w nieskończoność, a tymczasem niepokoić go na flankach i czekać na dzień klęski, gdy go ostra zima złamie wreszcie i zniszczy.

W dwa lata później, 12 grudnia 1813 r,, Aleksander bawiąc we Frankfurcie, złożył generałowi v. Phull podziękowanie za ten plan w następujących słowach: ,,Przybywszy z Moskwy aż nad Ren czuję się w obowiązku skreślenia do pana tych kilku wierszy. — Jeśli posiadam

trochę wiedzy wojskowej, to Panu ją zawdzięczam, lecz zawdzięczam coś więcej jeszcze. Pan to ułożył plan, który z pomocą Opatrzności ocalił Rosję, a w rezultacie całą Europę".

Rozważając ten strategiczny problem Aleksander pisał w owym czasie:

Z początku spodziewam się niepowodzeń, lecz to mnie nie zniechęca. Cofając się stworzę pustynię między armią Napoleona a moją, zabiorę ze sobą mężczyzn, kobiety, dzieci, bydło — wszystko...

I Roztopczyn myślał podobnie: „Cesarz Rosji pozostanie zawsze groźny, w Moskwie , w Kazaniu będzie już straszny, a w Tobolsku niezwyciężony!...

* * *

Napoleon tymczasem rozgniewany, że go Caulaincourt stale mylnie informował o wydarzeniach w Rosji, odwołał go nareszcie, a następcą naznaczył generała de Lauriston.

Caulaincourt do końca swej misji, tj. do 19 maja 1811 r., nie przestawał w Paryżu ani na chwilę ręczyć za pełną lojalność Aleksandra oraz szczerość jego pokojowych zamiarów. Nie taił wprawdzie, iż w Petersburgu zdają sobie sprawę, że przyjaźń obu państw nie jest już tak serdeczna i pełna ufności, jak była dotąd — szczególnie aneksja Oldenburga dotknęła bardzo miłość własną rosyjskiej socjety; w antyfrancuskich kołach mówiło się nawet otwarcie o możliwości napadu Francji na Rosję. Pisze w jednym z raportów, że cesarz Aleksander zaniepokoił się nieco, gdyż doszło już do jego wiadomości, że wojska francuskie, artyleria i ciągłe transporty

amunicji przechodzą przez Ren, kierując się ku Odrze. Pewnego dnia nawet zagadnął ze smutkiem: „Czyż cesarz Napoleon chce ze mną wojny? Jeśli tak, to wypowie ją chyba bez żadnej przyczyny. Dzielni Rosjanie z konieczności bronić się będą i na pewno potrafią umrzeć z bronią w ręku walcząc o swą niepodległość".

Słowa te miały przekonać Napoleona, że Aleksander jest mu głęboko oddany. W ostatniej swej relacji z Petersburga Caulaincourt posunął się do tego, że bez żadnych uwag i zastrzeżeń przesłał do Paryża oświadczenie kanclerza Rumiancewa,: „W przymierzu Rosja jest zawsze szczerą i niepokalaną jak dziewica".

Odwołanie ambasadora wywołuje duże wrażenie w salonach Petersburga. Nikt ani na chwilę nie przywiązywał wagi do przyczyn, które przytaczał na usprawiedliwienie swego wyjazdu tłumacząc się chorobą.

Zdanie ogółu o tym fakcie powtarza w swych pamiętnikach Józef de Maistre:

Podobno cesarz Napoleon czyni swemu ambasadorowi zarzuty, że nie uprzedził go dość wcześnie o olbrzymich przygotowaniach nad granicami Polski!

A w kilka dni później notuje dużo znaczące słowa:

Caulaincourt wyjechał... kto zgadnie, co dzieje się w jego sercu, co sądzi o swym władcy i czego się lęka? Po otrzymaniu depeszy miał się on podobno odezwać do jednej z dam; „Są chwile, gdy człowiek uczciwy pragnąłby nie żyć". — Czemu nie umarł kilka miesięcy wcześniej! — kończy de Maistre.

* * *

Do końca roku 1811 Aleksander czyni bez wytchnienia i w najgłębszej tajemnicy przygotowania, tak dyplo-

matyczne jak i wojskowe, chociaż jasno zdaje sobie sprawę z tego, że następstwa groźnego starcia będzie musiał wziąć tylko na siebie. Stara się jednak tak postawić sprawę, ażeby w oczach świata odpowiedzialność za wybuch wojny spadła tylko na Napoleona. Mimo to nigdy nie prowadzono bardziej ożywionej korespondencji pomiędzy Petersburgiem a Paryżem, jak wtedy właśnie; żadna ze stron jednak nie brała poważnie tej „kancelaryjnej pisaniny" tego „jałowego mięsa", jak ją nazwano.

Prolog dramatu rozgrywał się w tajemnicy również i w Wiedniu, w Berlinie i w Londynie, wreszcie w Sztokholmie, gdzie Bernadotte, będąc już następcą tronu Szwecji śnił jeszcze i o tronie Francji. — Nawet Neapol nie pozostał w tyle, gdyż Murat również miał dość napoleońskiego jarzma, nie mówiąc już o Hiszpanii, gdzie narodowa regencja w Kadyksie oglądała się za sprzymierzeńcami chcąc doprowadzić do końca dzieło wyswobodzenia kraju.

Aleksander kierował wszystkim osobiście, i to najczęściej bez wiedzy ministrów i ambasadorów; taka gra, pełna matactw, powikłań i sekretów zawsze mu sprawiała przyjemność. Tajna dyplomacja Ludwika XV, słynna „tajemnica królewska", nigdy nie święciła piękniejszych dni.

Naiwny optymizm Lauristona naturalnie tego wszystkiego nie spostrzega. Jest ślepy, może nie z rozmysłu, jak Caulaincourt, jednakowoż usprawiedliwia powiedzenie Napoleona: „Ci, których trzymam w Petersburgu to nie ambasadorowie — to zwykłe kurtyzany cesarza Aleksandra".

W czasie tej wytężonej pracy, konsekwentnie zmierzającej do celu, czuje się Aleksander doskonale. Minął

jego niepokój oraz przygnębienie z okresu zeszłej zimy — przeciwnie, teraz żyje w podnieceniu, jak o tym świadczą nowe przygody i miłostki. Zdradza panią Naryszkin, tak zresztą jak ona jego, kocha jedną, porzuca drugą, uwielbia jednocześnie piękną panią Zerebcow i francuską aktorkę, frywolną *Mlle* Bourgoin. W objęciach jego mdleją po kolei panie Bakarath, żona kupca, „boska" panna Murawiew, dama dworu wielkiej księżniczki Katarzyny i wiele innych. Te miłosne perypetie cara wpływają dodatnio na jego dziwną umysłowość i dzięki nim może Aleksander zdołał zachować swobodę oraz spokój w sprawach większej wagi. — Potrzebował — widać — miłości i dreszczów rozkoszy, aby uspokoić myśli i wyładować napięte nerwy.

Podczas całej swej pracy nie spuszcza przede wszystkim z oka Paryża, gdzie zorganizował znakomitą służbę wywiadowczą.

Jednym z jego agentów w Paryżu jest pułkownik Czerniszew, świetny oficer gwardii. Nazywano go tam „pocztylionem", gdyż ciągle był w drodze z Petersburga do Paryża albo też na odwrót. W służbie był niestrudzony, nie wiedział nigdy, co to odpoczynek, chyba w pocztowej karecie. Podróżował z szybkością godną podziwu. Pewnego razu potrafił nawet w ciągu trzydziestu czterech dni przebyć przestrzeń z Petersburga do Bayonne tam i z powrotem, to jest prawie 7 000 kilometrów!

Napoleon lubił Czerniszewa jako świetnego oficera o dużej bystrości umysłu, pojmującego wszystko w lot, o niezawodnej wprost pamięci. Każdą rozmowę raz posłyszaną umiał zupełnie dokładnie powtórzyć, co jest pierwszą zaletą każdego adiutanta.

Czerniszew niebawem zagospodarował się na dworze

w Tuileriach na dobre, cesarz rozmawiał z nim całymi godzinami, zapraszał go na obiad, zabierał ze sobą na polowania, obsypywał łaskami, wreszcie począł mu powierzać najtajniejsze zlecenia dla Aleksandra.

Niestety Napoleon nie potrafił go przejrzeć; widział w nim jedynie świetnie wytresowanego pośrednika, poza tym uważał go za lalkę sztabu i lwa salonów, który z chwilą ukończenia urzędowych spraw przestaje się zupełnie zajmować wojną czy polityką, a interesują go tylko bale i kobiety.

Czerniszew, 30-letni postawny mężczyzna, był dobrze ułożony i ujmujący w obejściu. Bujna jego czupryna, kuszące usta i piękne skośne oczy, które zdradzały w nim kałmuckie pochodzenie, jednały mu wszędzie liczne wielbicielki. Księżna d'Abrantes zapewniała, że jego magnetycznej sile żadna kobieta nie umiała się oprzeć. „Nie wszystkie zapewne umierały z miłości, lecz wszystkie się w nim durzyły"... Chodziły słuchy, że zachował rozkoszne wspomnienia nawet o Paulinie Borghese.

Pod takimi to pozorami lekkoducha i don Juana krył się niebezpieczny szpieg. Będąc mistrzem w knuciu intryg oraz znając się na przekupstwie otoczył on Tuilerie siecią szpiegów i zdrajców; kochanką jego miała być „kobieta, której mąż znał najskrytsze tajemnice cesarza". Kim była ta kobieta nie wiadomo. Wymieniają ich kilka.

Czerniszew działa jednak nie tylko w salonach i buduarach kobiet, ma wspólników i w biurach ministerstwa wojny, znalazł nawet sposób zdobycia dokumentów, do których Napoleon przywiązywał największą wagę; były to tzw. „Komentarze sytuacji", z których się cesarz dowiadywał codziennie o liczebności i miejscach postoju poszczególnych oddziałów armii. Na nich opierał głównie

swoje wyrachowania, one były kluczem wszelkich jego zamierzeń.

Nie można się też dziwić, że Czerniszew z każdej podróży przywoził swemu władcy obfity zapas wiadomości, zaczerpniętych u najlepszego źródła.

Poza tym wiadomości o położeniu we Francji dostarczał mu jeszcze pierwszy sekretarz ambasady rosyjskiej, hrabia de Nesselrode, przyszły kanclerz Rosji. Nawiązał on bliższe stosunki z Talleyrandem i z kilkoma osobistościami z opozycji, rosnącej powoli przeciw ambicjom Napoleona. Dzięki rozmowom z księciem Beneventu, który powrócił znów do łask cesarza, Aleksander zna doskonale linię polityki francuskiej.

Naturalnie tego wszystkiego nie ma ani śladu w „urzędowej" korespondencji ambasadora rosyjskiego; książę Kurakin — człowiek zresztą już stary — nie wiedział absolutnie o niczym.

Nesselrode przez specjalnych kurierów koresponduje umówionym szyfrem z ulubieńcem cara, ministrem Sperańskim, dostarczając mu bezcennych informacji i przypuszczeń, z których się dowiedziano, że „Napoleon nie będzie czekał na ostateczne uspokojenie w Hiszpanii, lecz ma zamiar natychmiast rzucić wojska nad Wisłę i odbudować Królestwo Polskie"... Rosja winna zatem jak najprędzej i w jakikolwiek bądź sposób zakończyć wojnę z Turcją i zawrzeć jednocześnie przymierze z Austrią, za cenę chociażby odstąpienia Serbii... to przymierze Rosji i Austrii jest nieodzowne dla utrzymania równowagi w całej Europie... Wojna w Hiszpanii potrwa jeszcze co najmniej rok, tak że około kwietnia 1812 r. armie francuskie poczną działać nad Wisłą i Niemnem... Rosja nie może też odkładać rokowań z Anglią, aby to

wszystko, co dotyczy pomocy finansowej i współpracy angielskiej, mogło być zakończone ściśle na dzień 1 kwietnia 1812 r.

Oczywiście książę Beneventu wymagał wysokiej nagrody za swą pomoc i, jak wiadomo, zapłacono mu „przywilejami w handlu z Anglią", które ułatwiały omijanie zakazów blokady kontynentalnej w portach rosyjskich.

Pewnego jednakże dnia Talleyrand przekroczył wszelkie granice, pisząc do Aleksandra:

Potrzebuję stu pięćdziesięciu tysięcy franków... Wprawdzie znalezienie tej kwoty nie jest dla mnie rzeczą zbyt trudną, to jednak teraz muszę być bardzo ostrożny w wyborze środków. Zwracając się więc do Waszej Cesarskiej Mości, składam jedynie hołd Jego wspaniałomyślności...

Car, który zapewne uśmiechnął się otrzymawszy tę bezwstydną prośbę, odpowiedział mu z lekką ironią:

Mości Książę Beneventu, znam pańskie dla mnie przywiązanie, za które Panu z wielkim zadowoleniem dziękuję. Lecz czyż mogę spełnić pańskie życzenie? Na stanowisku, na którym stoję dzięki Opatrzności, muszę niestety w stosunku do Pana jako cudzoziemca, w takim stopniu wpływającego na bieg spraw swej ojczyzny, kierować się innymi pobudkami niż głosem uczucia... Dlatego z wielkim żalem muszę sobie samemu odmówić przyjemności przysłużenia się Panu.

Talleyrand pocieszył się zatem tylko „licencjami handlowymi", które mu zresztą dobrze nabijały kieszeń na londyńskich rynkach.

Działalność hrabiego Nesselrode, prowadzona od marca 1811 roku, wzmogła się jeszcze bardziej z chwilą, gdy Caulaincourt powrócił do Paryża. Udawał on nadal, że wierzy w solidność Aleksandra i jeszcze raz zapewnia o tym Napoleona, lecz cesarz przyjął go niełaskawie i zmył mu głowę w dosadny sposób:

— Aleksander chce wojny ze mną... — krzyknął. — Zostałeś przez Aleksandra i Rosjan wystrychnięty na dudka... Rosjanie bardzo shardzieli; czy im się zdaje, że będą mną rządzić, jak rządzili królem polskim za Katarzyny? Nie jestem Ludwikiem XV, lud francuski nie zniósłby podobnego upokorzenia... powtarzam ci, że Aleksander jest równie fałszywy jak słaby; to grecki charakter!...

I dodaje zaraz: — Ty już mówisz jak Rosjanin!... Rosjaninem się stałeś!

Caulaincourt do głębi urażony ostrą naganą zamyśla z początku wycofać się ze służby i złożyć godność wielkiego koniuszego, lecz Talleyrand, ten „kulawy diabeł", szybko sprowadził go na właściwą drogę. Dzięki ich porozumieniu Nesselrode wie zawsze odtąd, co się święci, nie tylko kiedy patrzy własnymi oczami lub węszy za kulisami Tuillerii, lecz równie dobrze i o tym, co się przygotowuje nawet w biurach spraw zagranicznych i wojskowych.

* * *

W tę sielankę gabinetów Petersburga i Paryża, wzajemnie się bałamucących, nagle uderzył piorun.

Na uroczystym przyjęciu u dworu dnia 15 sierpnia 1811 r. wśród tłumu wysokich dygnitarzy cesarstwa, zebranych koło tronu, w obecności kardynałów, ministrów i całej gromady „czerwonych wstążek i wstążeczek", cesarz Napoleon rzuca w twarz księciu Kurakinowi stek obelg:

— Zostaliście pobici pod Ruszczukiem, gdyż mieliście za mało wojska, a wiecie dlaczego? bo aż pięć dywizji wycofano z waszej armii naddunajskiej, by je pchnąć do Polski. Znam wasze podstępy... Niech pan de Caulain-

court mówi, co chce — a ja wiem dobrze o tym, że cesarz Aleksander chce na mnie napaść.

Udając przy tym, że nie jest w stanie opanować gniewu, wymyśla dalej nieszczęsnemu księciu, który cały drży i siódme poty czuje pod haftami munduru. Koledzy stojący w pobliżu nie wierzyli własnym uszom.

— Nie jestem tak głupi, aby przypuszczać, że wam chodzi o Oldenburg, o Oldenburg nikt się bić nie będzie... Wiem dobrze — wam chodzi o Polskę i naprawdę dochodzę do przekonania, że chcecie ją zagarnąć... Otóż wiedzcie, że nie dostaniecie ani jednej wioski, ani jednego młyna z Wielkiego Księstwa; choćby wasze wojska obozowały na wzgórzach Montmartru, nie odstąpię wam ani cala ziemi warszawskiej... Nie wiem, czy was pobiję, ale bić się będziemy... Mam 800 000 ludzi i co roku będę posiadał o 250 000 więcej. Na sprzymierzeńców liczycie? Gdzież oni? Austria — której w Galicji zagrabiliście czterysta tysięcy dusz? Prusy — którym zabraliście okrąg białostocki? Szwecja, którą okaleczyliście, odbierając jej Finlandię? Czyż można zapomnieć o tych wszystkich krzywdach! Dziś macie przeciw sobie całą Europę!

Wreszcie wybucha dosadnym zwrotem:

— Wyglądacie jak zając, który dostał w łeb śrutem i kręci się w kółko nie wiedząc, gdzie ma zmykać.

Wychodząc z Tuilerii biedny Kurakin, cały roztrzęsiony i zdyszany, że łzami w oczach mógł zaledwie wyjąkać:

— U Jego Cesarskiej Mości dziś gorąco...

Świadkom tego zajścia stanęły zapewne żywo w pamięci podobne rozmowy Napoleona z lordem Whitworth w dniu 13 marca 1803 i z Metternichem 15 sierpnia 1808 r.

* * *

Pogróżki z 15 sierpnia 1811 r. oznaczają nie tylko wojnę w roku 1812, lecz tłumaczą również wszystkie jej koleje.

„Napoleon oszalał" — mówią w Petersburgu, w Londynie, w Berlinie, w Wiedniu, gdy nadeszła wiadomość o tej scenie.

Tymczasem nigdy nie był on bardziej trzeźwy i zrównoważony, mówił tylko to, co przemyślał — jowiszowe gromy były dla oka i kryły głęboko zimne wyrachowanie.

Czy już wtedy wierzył, że zerwanie ze sprzymierzeńcem z Tylży jest nieuniknione? Przypuszczać należy, że nie — nie sądził również, aby nawet zerwanie pociągnęło za sobą wojnę, zwłaszcza tak wielką wojnę i prowadzoną do ostateczności. Napoleon nie wierzył, aby Aleksander ośmielił się z nim zmierzyć; postępowanie cara w ostatnich czasach — uważał za przechwałki, które łatwo ukróci. „Aleksander — powtarzał — nie ma pojęcia o siłach, jakie mogę mu przeciwstawić"... Gdy ujrzy na granicy pół miliona ludzi Wielkiej Armii, to mina mu zrzednie. Prosić będzie wówczas o pokój i błagać o łaskę; gdyby zaś „poddać się" nie chciał, to pierwszym uderzeniem zmuszę go do kapitulacji.

Napoleon niestety się łudził. Miał jeszcze nadzieję, że presją lub groźbą strasznej klęski zmusi Aleksandra do nowych, bezpośrednich układów i że uda mu się znów odbudować Tylżę, to poronione dzieło, tym razem na innych już podstawach.

Myśli swe odkrył, gdy 25 lutego 1812 mówił do Czernyszewa:

— Upewnij pan cesarza Aleksandra, że jeśli przeznaczenie zechce, byśmy walczyli, będę prowadzić tę walkę po rycersku, bez żadnej nienawiści, bez gwałtów, a nawet,

gdy się nadarzy sposobność, pozwolę sobie prosić go na śniadanie na forpocztach.

Napoleon liczy więc na moralne załamanie się cara, które miało wnet sprawić, że będzie on szukać francuskiego przymierza. Łaciński jego atawizm, jego prosty i logiczny sposób myślenia i brak znajomości duszy rosyjskiej były powodem, że popełnił kapitalną omyłkę w ocenie psychiki Aleksandra.

Jeśli go nawet uważał za fałszywego i krętacza, to tylko dlatego, że car mu się wydaje słaby i zmienny. — „Zając, który w łeb dostał śrutem i kręci się w kółko, nie wiedząc gdzie ma zmykać". — Takie określenie wydaje mu się słuszne jeszcze w sierpniu 1811 r., a tymczasem sprawa przedstawiała się wręcz odmiennie. — Aleksander już od czterech lat, od chwili zatem, gdy się pozbył złud i miraży Tylży, trwał niewzruszenie w zamiarze zniszczenia francuskiej potęgi.

Przecież Aleksander jeszcze 25 sierpnia 1808 r., w przededniu wyjazdu do Erfurtu pisał do swej matki: „Udawajmy, że pragniemy wzmocnić przymierze, aby uśpić czujność sprzymierzeńca. Zyskam w ten sposób na czasie, a tymczasem się przygotowuję"... Należy również pamiętać, co pisał do wielkiej księżnej Katarzyny już po czułościach i uściskach w Erfurcie: „Bonapartemu się wydaje, że jestem głupcem, lecz ten się śmieje lepiej, kto się śmieje ostatni..."

Od tej chwili jego plany i linia postępowania nie ulegają zmianie i nieraz mawia do otoczenia i współpracowników: „Idę drogą wytkniętą z całą wytrwałością". I pomimo częstych chwil słabości i załamań trwał niezachwianie w swych postanowieniach.

Józef de Maistre notuje następujące słowa Aleksan-

dra: „Przypominam sobie, co mówił do mnie cesarz Napoleon w Erfurcie: — Na wojnie rozstrzyga upór i temu właśnie zawdzięczam moje zwycięstwa. Otóż ja go teraz przekonam, że zapamiętałem jego nauki!"

* * *

W pierwszych dniach maja 1812 r. Aleksander prowadzi gorączkowo rozmowy dyplomatyczne i organizuje armię.

Nie jest jeszcze zdecydowany, czy obejmie naczelne dowództwo osobiście, lecz chcąc być zawsze blisko działań wojennych mianuje Sołtykowa przewodniczącym rady cesarstwa i komitetu ministrów, udzielając mu wyjątkowej władzy i pełnomocnictw. Następnie koncentruje wszystkie trzy armie, razem 500 000 ludzi, pomiędzy Niemnem i Dźwiną, każdą pod osobnym dowództwem: ministra wojny Barclaya de Tolly, ks. Bagrationa i generała Tormasowa.

Mimo gorących krytyk sztabu Aleksander obstaje przy planie, zaleconym przez generała Phulla, to znaczy decyduje się na odwrót strategiczny w miarę potrzeby, aż ku Berezynie i Dźwinie. Buduje więc pośpiesznie wielki obóz nad Dryssą, między Dynaburgiem a Witebskiem, który ma być punktem oparcia wielkich działań wojennych. Zdaje sobie przy tym bez wątpienia sprawę, że cofając się wystawia na rabunek i zniszczenie olbrzymie obszary, lecz ta bolesna ofiara będzie zdaniem jego nieodzowną, gdyż od niej zależy ratunek Rosji.

W grze dyplomatycznej Aleksander stosuje również cały swój makiawelizm, aby zniszczyć traktaty przymierza, które pod przymusem Austria i Prusy zawarły z Napoleonem.

Dnia 24 lutego król Fryderyk Wilhelm III, schwycony za gardło, związał się ze zwycięzcą spod Jeny i zobowiązał wystawić przeciw Rosji 20-tysięczny korpus posiłkowy.

Mimo to z Petersburga wysłano do Berlina jakiś wielce dyplomatyczny list, bo 31 marca Hohenzollern pisze do rycerskiego przyjaciela swej zmarłej małżonki:

Jeżeli wojna wybuchnie, nie będziemy sobie wzajemnie czynić nic złego, nic poza koniecznością. Będziemy pamiętać, że zawsze jesteśmy w porozumieniu i że pewnego dnia znów będziemy mogli stać się sprzymierzeńcami. Niestety, teraz musimy się pogodzić z losem, jednak przyjaźń zachowajmy bez zmiany. Sire, proszę być pewnym moich uczuć. Jestem dumny pozostając przez całe życie Waszej Cesarskiej Mości najlepszym bratem, sprzymierzeńcem i przyjacielem z serca i duszy.

Pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem rokowania natrafiły już na większe trudności, lecz Aleksander potrafił znaleźć takie argumenty, które przekonały ministrów cesarza Franciszka: „cele nasze są wspólne; jeśli moje cesarstwo upadnie, jak będzie wówczas wyglądało położenie Austrii?"... Metternich bez zwłoki powołał się również na „niewzruszone zrządzenie losu i najwyższą konieczność", aby wytłumaczyć przymierze podpisane przez Schwarzenberga w Paryżu w dniu 14 marca, dodając równocześnie, że: „Austria i Rosja powinny mimo wszystko porozumiewać się nadal w tajemnicy" i że 30 000 Austriaków, którzy tworzyć będą na Bukowinie prawe skrzydło Wielkiej Armii, zachowa się identycznie, jak korpus rosyjski, który w okresie bitwy pod Wagram udawał tylko, że walczy w Galicji!

Dnia 5 kwietnia Aleksander zapewnia sobie również zaczepno-odporną pomoc Szwecji; Bernardotte udziela mu nawet cennych wskazówek, jak pokonać Bonapartego.

Wiarołomny Gaskończyk zapominając, że urodził się Francuzem i że wszystko zawdzięcza swemu dawnemu towarzyszowi broni, pełen zazdrości i urazy, tak ośmiela się radzić:

Należy przeciągnąć wojnę w nieskończoność, unikać większych bitew, nużyć wroga marszami oraz kontrmarszami, gdyż to właśnie najbardziej wyczerpuje francuskiego żołnierza. Trzeba ich zewsząd otoczyć chmarami kozaków. W razie niepowodzenia zachować wytrwałość, choćbyście nawet musieli się cofnąć za Newę. Wszystko się odmieni, byle się nie zniechęcać i nie tracić odwagi, Napoleon skończy jak Karol XII pod Połtawą... Zresztą, gdy Napoleon widzi, że przegrywa, to traci głowę i jest wówczas zdolny wszystko porzucić, a nawet odebrać sobie życie...

Dnia 28 maja car ulegając ustawicznym radom Talleyranda i za pośrednictwem Anglii zawiera z Turcją pokój, armia naddunajska powraca natychmiast na północ.

Jak na „zająca ugodzonego w łeb śrutem" Aleksander niezgorzej pokierował swymi sprawami w początkach 1812 r. Lecz to jeszcze nie wszystko.

W polityce wewnętrznej decyduje się również na poważne posunięcia, które wyglądają nawet na zamach stanu.

Ni stąd ni zowąd zwalnia nagle bez podania powodów generalnego sekretarza cesarstwa, pierwszego ministra i najlepszego swego współpracownika, Sperańskiego.

Wieczorem 29 marca car wezwał swego faworyta do pałacu, gdzie całe dwie godziny spędzili na rozmowie. Po skończonej audiencji, gdy otwarły się drzwi carskiego gabinetu, oficerowie służbowi ujrzeli Sperańskiego bladego i przybitego. W momencie gdy chował pośpiesznie papiery do teki, otwarły się powtórnie drzwi do gabinetu

i car, również pobladły, wyrzekł zdławionym głosem: Jeszcze raz żegnam cię, Michale Michajłowiczu!

Zwolniony minister powraca do domu, gdzie zastaje ministra policji, generała Bałachowa, który na mocy „najwyższego rozkazu" poleca Sperańskiemu wyjechać natychmiast do Niżnego Nowogrodu. Oficer żandarmerii czekał już na niego przed domem w powozie. Z Niżnego Nowogrodu Sperański wysłany został dalej do Permu na Uralu.

Niełaskę tę otacza głęboka tajemnica.

Twierdzą, że Aleksander w korespondencji Sperańskiego miał jakoby znaleźć dotkliwą krytykę swej osoby oraz złośliwe żarty na temat jego próżności i komedianctwa, nieustannego zajmowania się swą osobą, tracenia w śmiesznych miłostkach czasu, tak potrzebnego dla spraw państwa. — Może — a jednak w ostatniej rozmowie car zapewniał go niewątpliwie o swej życzliwości i szacunku: „Gdy go żegnałem — mówił wygnaniec — widziałem na policzkach ślady łez".

Niełaska faworyta wywołała w salonach złośliwą radość. Nie cierpiano sekretarza generalnego powszechnie, gdyż pracował bez wypoczynku i bez lęku, wprowadzając porządek w finansach, karząc nadużycia, ograniczając przywileje — na nowe tory chciał skierować Rosję i lud rosyjski.

Aby wytłumaczyć tak bezwzględną dymisję ministra-nowatora, rzucono na niego podejrzenia o najstraszniejszą zbrodnię: „Nawiązał, szeptano, konszachty z Bonapartem; nie dosyć mu było truć świętą Rosję utopiami, ale jeszcze ją zdradzał". Ten jednak zarzut sam car odparł stanowczo: „Michał Michajłowicz — mówi — zdradził tylko mnie osobiście — lecz nigdy nie zdradził Rosji"...

Chociaż nagły upadek faworyta pozostaje nie wyjaśniony — nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że spowodowały go przyczyny natury politycznej. W oczach ogółu skromny syn popa, wyniesiony przez Aleksandra tak wysoko, uchodził za zwolennika francuskich idei, na których się nieustannie wzorował, a w początkach 1812 roku całe społeczeństwo rosyjskie nastawione było przeciw Francji. Wrogowie reformatora skorzystali z odpowiedniej chwili, aby mu skręcić kark.

Spisek, mający na celu obalenie Sperańskiego powstał w Twerze, w ultranacjonalistycznym otoczeniu wielkiej księżnej Katarzyny. Pod opieką tej młodej a zapalczywej kobiety intrygę prowadził „buldog" Arakczejew z pomocą ministra policji Bałachowa, starego marszałka Sołtykowa i historyka Karamzina; wreszcie przyłożył do tego rękę i Roztopczyn, najzawziętszy przedstawiciel moskiewskich zachowawców.

W krótkim przeciągu czasu nagonka przeciw Sperańskiemu staje się tak gwałtowna, że Aleksander napierany i prawie zmuszony przez Katarzynę, czując nad swoją głową groźbę zamachu, widział się zmuszonym rzucić ofiarę na łup nacjonalizmu i dać „ludowi dowód lojalności".

Aleksander poszedł jeszcze dalej, aby okazać, że już ostatecznie wyrzeka się Tylży oraz Erfurtu i mianował Roztopczyna generał-gubernatorem Moskwy.

Ten podwójny triumf jest dla Katarzyny Pawłówny jakby wstępem do jeszcze bardziej odpowiedzialnej roli, jaką miała niebawem odegrać.

ROZDZIAŁ XI

Aleksander w Wilnie — misja hr. de Narbonne. — W dniu 12 czerwca 1812 r. Wielka Armia przekracza Niemen znajdując po drodze kraj opustoszały i wszystko spalone. Postępowanie Aleksandra wprowadza Napoleona w błąd: „Moje posunięcia pomieszały Rosjanom szyki; za miesiąc legną u mych stóp". Misja generała Bałachowa; droga do Moskwy; „Karol XII zdobył ją bitwą pod Połtawą". — Nieustanny odwrót Rosjan — wyczerpanie Wielkiej Armii. — „Plan Phulla" wykonano z precyzją. Opuszczenie Witebska, pożar Smoleńska. Napoleon zaczyna sobie zdawać sprawę ze stanu rzeczy i nadaremnie usiłuje nawiązać z carem korespondencję. — Ustawiczne posuwanie się wroga naprzód wywołuje w Rosji szał oburzenia i obelgi na monarchę — kłótnie generałów — intrygi w naczelnym dowództwie. Opinia publiczna narzuca samowładcy starego generała Kutuzowa jako naczelnego wodza. — Aleksander w Moskwie; jego mistyczne uniesienie pod sklepieniem uspieńskiego soboru. — Powrót do Petersburga, postanowienie cara prowadzenia walki do ostateczności. — Niespodziewana wizyta pani de Staël. Nierozstrzygnięta bitwa pod Borodinem w dn. 7 września — przerażające straty. — Wejście Francuzów do Moskwy 14 września. Miasto opuszczone przez mieszkańców stało się pastwą płomieni. Napoleon z Kremlu obserwuje pożar Moskwy. „To wróży wielkie nieszczęścia". — Przerażenie. — „Moskwa została zniszczona, Rosja ginie"! Popłoch w Petersburgu; Aleksander chory i znękany panuje jednak nad nerwami. Spisek pałacowy — podejrzana rola wielkiej księżniczki Katarzyny w „piekielnym planie". Męstwo cesarzowej Elżbiety: „Choćby Petersburg podzielić miał losy Moskwy, cesarz nie pomyśli o pokoju"... — Zaniepokojony bezowocnym zwycięstwem i widząc nadchodzącą zimę Napoleon próbuje jeszcze dwukrotnie nawiązać z Aleksandrem rokowania; próby te jednak pozostają bez odpowiedzi. — 18 października Wielka Armia opuszcza Moskwę. — Nieśmiertelny odwrót. — 28 listopada klęska nad Berezyną.

Dusza rosyjska budzi się. — Epopeja chłopa. Tołstoj i Lenin.

Tymczasem Wielka Armia kończy koncentrację sił na lewym brzegu Niemna i Bugu. 554 000 ludzi, w czym 50 000 Austriaków i Prusaków, ciągnie od Bałtyku po Wołyń.

16 maja Napoleon przybył do Drezna, gdzie z pompą odbył cercle z zebranymi tamże królami i książętami, z których jeden bardziej od drugiego tchórzem trącił

i w pas się kłaniał. Nigdy widok napoleońskiej potęgi nie wzbudzał podobnej grozy. Cesarz przypuszczał, że i Aleksander przerażony szukać będzie sposobów, aby bez narażenia swego honoru przebłagać go za brak uległości i uniknąć ostatecznej katastrofy. Ciągle się jeszcze łudził, że w ostatniej chwili wszystko się pomyślnie ułoży „podczas śniadania na forpocztach, gdy z Aleksandrem będzie sam na sam!".

Chcąc ułatwić carowi pierwsze kroki, Napoleon posyłał doń jednego ze swych adiutantów, generała de Narbonne. I doprawdy nie mógł wysłać lepszego wysłańca pokoju. Dawny minister Ludwika XVI, były członek świty królewny Adelaidy, uosobienie subtelności i wykwintu, hrabia de Narbonne był znakomitym typem prawdziwego szlachcica i dworaka, epigonem ostatnich pięknych dni Wersalu.

Otrzymał polecenie wyjazdu do Wilna, głównej kwatery carskiej, gdzie winien się był postarać zostać jak najdłużej i ująć Aleksandra wymową i obejściem, dając do zrozumienia, że jego cesarz, mimo ogromu swej potęgi, zawsze jest chętny do układów.

Przyjęty z wyszukaną grzecznością, Narbonne, który liczył, że w Wilnie przepędzi kilka dni, już nazajutrz po przybyciu spotkał się z zapowiedzią, że konie pocztowe będą gotowe o 6 wieczorem! Na mgliste i uspokajające wypowiedzi cesarskiego adiutanta Aleksander bez wahania oraz bez cienia chełpliwości odparł: — Powiedz pan cesarzowi Napoleonowi, że pierwszy nie wyciągnę szpady — nie chcę brać w oczach świata odpowiedzialności za krew, która się lać będzie w tej wojnie... Nie mogę jednak postąpić w ten sposób, który by memu państwu przyniósł jakąś ujmę. Naród rosyjski nie należy

do tych, który by zadrżał przed niebezpieczeństwem. Choćby wszystkie bagnety Europy zostały razem zgromadzone na mojej granicy, to postanowienia mego nie zmienię!

Po tych słowach rozłożył mapę i wskazując palcem na najbardziej odległy kraniec azjatyckiego imperium, tj. na półwysep Kamczatkę, dodał car z powagą:

— „Jeśli wojna wybuchnie, a los mi nie dopisze, to cesarz Napoleon tam będzie musiał mnie szukać, aby uzyskać pokój".

* * *

Dnia 24 czerwca Wielka Armia przekracza Niemen. Na wschód od tej rzeki Napoleon znajduje kraj zupełnie pusty, wsie wszędzie popalone i żadnego oporu ze strony armii rosyjskiej.

Napoleon nie wierzy jednak, aby wojsko rosyjskie oddało bez wystrzału całą Litwę oraz całą Polskę i przypuszcza, że bitwa wydana mu zostanie pod samym Wilnem. Nie wątpi też ani na chwilę, że odniesie znowu wspaniałe zwycięstwo, toteż powtarza do Caulaincourta, Berthiera, Duroca i Savary'ego: — Gdy tylko Aleksandra pobiję, zaraz pospieszy prosić mnie o pokój.

28 czerwca Napoleon wkracza do Wilna. Wymykając się napastnikowi nieprzyjaciel cofa się szybkimi marszami w kierunku Dźwiny i Dniepru. I znowu rozwiewa się nadzieja na jakąś walną bitwę. Napoleon bierze to bardzo do serca, tym bardziej, że już od Niemna odbywa marsz wśród nieznośnych upałów, to znów okropnych ulew — ciągle przez niezmierzone obszary lotnych piasków. Utrudnia to transporty tak dalece, iż w końcu nie wystarczało już żywności i furażu, a wyczerpuje

wojska niesłychanie; artyleria i konnica straciły 7000 koni.

Nagle dowiaduje się, że car powodowany wzajemną kurtuazją wysłał do niego z osobistym zleceniem adiutanta, generała Bałachowa, ministra policji.

Napoleon cały promienieje:

— Mój brat Aleksander — powiada — który tak dumnie przyjął de Narbonne'a, pragnie się już układać. Boi się... Moja taktyka pomieszała mu szyki. Za miesiąc padnie mi do kolan!...

List cesarski, doręczony przez Bałachowa, jest w istocie ostatnią próbą pojednania, lecz rzuciwszy okiem na papier Napoleon krzyknął:

— Aleksander kpi sobie ze mnie!

Gdyż przeczytał, co następuje:

Jeśli Wasza Cesarska Mość wyrazi zgodę na wycofanie wojsk z ziemi rosyjskiej, uważać będę obecne wydarzenia za niebyłe i wtedy — możemy się porozumieć.

Jakto — żądać od niego opuszczenia Wilna i odwrotu całej jego armii — postawić podobne żądanie jemu, zwycięzcy spod Austerlitz i Friedlandu, który rozgromił wroga w stu bitwach. Nie, tego za wiele! Toteż rozmowa cesarza z rosyjskim adiutantem zmienia się wkrótce w spór i kłótnię.

Wieczorem, na kilka godzin przed odjazdem, Bałachow siedzi na obiedzie obok cesarza. Napoleon patrzy na niego z góry, jest przykry, zaczepny, a nawet niegrzeczny, pozwalając sobie na kpiące aluzje o miłostkach cara.

Znany jest ogólnie finał rozmowy z Bałachowem, gdy z gromami w oczach cesarz rzucił gościowi pytanie:

— Jaka droga prowadzi do Moskwy?

Bałachow odrzekł po chwilowym namyśle:

— Pytanie Waszej Cesarskiej Mości wprawia mnie w kłopot. Rosjanie mówią podobnie jak Francuzi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Jednak aby dojść do Moskwy, wybiera się drogę według swej woli — Karol XII wybrał kierunek na Połtawę!

* * *

W ustach Napoleona to ostatnie pytanie o „drogę do Moskwy" miało być ruchem strategicznym i ukrytą groźbą, która zdaniem jego — miała rzucić grozę na małoduszność Aleksandra.

Ani na chwilę nawet nie przypuszczał jeszcze, że zmuszony będzie zagłębić się w serce Rosji, aby dyktować pokój wymykającemu się przeciwnikowi. Liczył na pewno, że już niezadługo dosięgnie wroga i połamie mu kości, przewidywał nawet, że rozstrzygająca bitwa odbędzie się pomiędzy Dźwiną i Dnieprem, gdzieś między Witebskim a Smoleńskiem, na otwartej nizinie, którą pierwsi kronikarze słowiańscy nazwali: „bramą i kluczem Świętej Rosji".

Lecz jeszcze sto mil dzieliło Wilno od Smoleńska, a drugie sto jeszcze Smoleńsk od Moskwy.

W pośpiechu zdążał ku Smoleńskowi. Marsz był wyczerpujący, kolumny rozciągały się w nieskończoność, od maruderów roiło się po drodze. Artyleria i kawaleria straciła znowu trzecią część koni, trudno by zliczyć porzucone wozy i jaszcze. Tymczasem w opuszczonych siołach nie znaleziono ani śladu żywności. „Ten marsz — mówi jeden z uczestników — kosztuje nas już więcej niż dwie przegrane bitwy!". 27 lipca w pobliżu Witeb-

ska nieprzyjaciel udał, że myśli o przyjęciu bitwy, nazajutrz jednak ze świtem już i śladu po nim nie zostało i nikt nie umiał zgadnąć, gdzie się wszystko podziało. Napoleon wściekły, zawiedziony, przypuszcza:

— Prawdopodobnie pod Smoleńskiem wydadzą nam bitwę, armia Bagrationa nie zdążyła się jeszcze połączyć z armią Barclaya, zacznę ich przeto atakować...

10 sierpnia Napoleon dowiaduje się, że obu armiom udało się połączyć i że oczekują go pod murami Smoleńska.

17 sierpnia rozpoczęła się zacięta i mordercza walka, lecz wieczorem nieprzyjaciel ulotnił się zręcznie, podpaliwszy bez skrupułów święte miasto, słynne z cudownych ikon.

Wyszedłem na dwór około drugiej nad ranem — pisze Caulaincourt — pożar s p ł o m i e n i ł całe niebo... Był to widok przerażający i okrutny, przygrywka do tego, co mieliśmy widzieć w Moskwie. Nagle cesarz uderzył mnie po ramieniu mówiąc:

— To przypomina mi wybuch Wezuwiusza !... co za wspaniały widok, panie wielki koniuszy !

— Okropny — Sire ! — odpowiedziałem.

— Dlaczego okropny — przypomnijże sobie słowa któregoś tam z rzymskich cesarzy, że: „trup wroga zawsze dobrze pachnie !".

Nazajutrz po dłuższym namyśle Napoleon oznajmił sztabowi: — „Za miesiąc będziemy w Moskwie, a za sześć tygodni zawrzemy pokój".

Na widok dymiących zgliszczy Smoleńska postanowił nie zatrzymywać się aż u bram Moskwy. Zimnym wzrokiem mierzył wszelkie trudności tego ostatniego etapu. — Sto mil przez opustoszały kraj, pod grozą nieustannych napaści, z chmarą kozaków na flankach —

i co najwięcej go jednak niepokoiło to to, że linie łączności nadmiernie się rozciągną. Był już 120 mil od Niemna, gdzie zostawił żywnościową bazę, a 260 mil od Odry, gdzie miał zgromadzone arsenały i najbliższe składy, 470 zaś mil od Renu. Przez 10 dni zatem przegrupowywał siły i tabory. Stał się przy tym posępny, kłótliwy, srogi, skarżył się na wszystko i na wszystkich. Zdawał sobie już jasno sprawę z tego, co się ma stać, jakby sam osobiście ułożył „plan Phulla"; a może przypomniał sobie ostrzeżenie zawarte w notatniku, który zabrał ze sobą wśród bagaży i niedawno czytał; dziwną analogię do obecnej chwili określił tam doskonale Montesquieu: „Położenie geograficzne, obszar i niska kultura sprawiają, że Rosja może się czuć zabezpieczona przed inwazją; jej wrogowie nie byliby szczęśliwsi niż Rzymianie w walce przeciwko Scytom lub Partom".

Pewien epizod rzuca ciekawe światło na ówczesne myśli cesarza. Gdy do francuskiego sztabu przybył jako parlamentarz młody oficer gwardii hr. Orłow-Dawidow, aby zasięgnąć wiadomości o swym ciężko rannym generale, Napoleon kazał go wezwać do siebie i przyjmując niezwykle łaskawie, prosił o zapewnienie cesarza Aleksandra o jego niewygasłej przyjaźni.

— Wojna jest tylko polityką... — mówił — wasz cesarz jest zabawką w rękach Anglików. Oni go przekonali, że chcę mu odebrać polskie ziemie... Popełnił błąd, że się do mnie nie zwrócił z ufnością, lecz ja mu przecież źle nie życzę. Bez obawy mógłby przysłać kogoś do mnie lub napisać; co do mnie jestem zawsze gotów do przymierza.

Kości były jednak rzucone, Napoleon i tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi z Petersburga.

* * *

Od chwili opuszczenia Wilna, 27 czerwca Aleksander przeżywał ciężkie dni jako człowiek dzierżący najwyższą władzę.

W carskiej kwaterze panował nastrój zgiełkliwy, nieporządek, spory, kłótnie i ustawiczne intrygi. Oficjalnie car nie był naczelnym wodzem, toteż dowódcy trzech wielkich armii, generałowie Barclay de Tolly, Bagration i Tormasow nieustannie wiedli spory, skacząc sobie do oczu. Aleksander co chwila łagodził kłótnie, dawał rady, starał się godzić nieporozumienia, lecz nie znając się zupełnie na prowadzeniu wojny, pogłębiał jeszcze bardziej nieład oraz zamieszanie. Nikt w sztabie nikogo nie słuchał, bo też i nikt nie posiadał dostatecznie silnej ręki.

Wielka księżna Katarzyna była mocno niespokojna i zmartwiona, że brat jej wziął się do rzeczy, o których nie miał pojęcia, z czego sam zresztą zdawał sobie doskonale sprawę. Błaga go więc, by zaniechał tej roli:

Na Boga — pisze — nie obejmuj osobiście naczelnego dowództwa!... Tam jest niezbędny wódz, do którego wojsko miałoby zaufanie, a Ty przecież pod tym względem nie wzbudzasz żadnego.

Tymczasem Wielka Armia parła wciąż naprzód. Wojska rosyjskie musiały wycofać się z obozu pod Dryssą, który wydawał się opinii jako niezdobyty. Korpus Bagrationa cofał się od Berezyny ku Dnieprowi. Nieprzyjaciel zbliżał się do Witebska i wkrótce zjawił się pod Smoleńskiem. — Oto los Rosji po dwudziestodwudniowej wojnie.

Oburzenie rośnie w całym państwie. Społeczeństwo rosyjskie nie mając pojęcia o „planie Phulla", przeklina tak haniebny odwrót, w którym widzi jedynie nieudolność i zdradę. Aleksander, nękany nieustannie skargami generałów, gnębiony nowinami z pola walki, widząc

coraz to nowe obszary, ogarnięte przez wroga, nie śpi i nie je... Zalewa się łzami, dręczą go złowieszcze przeczucia, czuje się złamany. Chwilami brak mu wprost sił, wcale jednak nie myśli o przerwaniu lub o zmianie swego planu i, pomimo rozbitych nerwów, nie okazuje żadnego osłabienia swej woli.

Dnia 14 lipca na usilne nalegania generała Arakczejewa i admirała Szyszkowa zdecydował się opuścić front udając się do Moskwy, aby tam ogłosić uroczyście „wojnę o ojczyznę" ... „wojnę świętą i narodową — wojnę na śmierć i życie".

Na Kremlu powitał go nowy generał-gubernator Roztopczyn, który pełniąc władzę w Moskwie już od dwóch miesięcy, rozpalił do białości wśród mieszkańców Moskwy fanatyzm bojowy i nienawiść do Francji.

Podczas swego ostatniego pobytu w Moskwie, w grudniu 1809 r., Aleksander zrozumiał, co może mu dać „dusza" ludu, jakie to siły groźne i tajemne w niej drzemią. Obecnie doznał jakby objawienia, poczuł się znowu silny i niejako odrodzony.

Pod sklepieniem uspieńskiego soboru, wśród tylu relikwii i grobów patriarchów, rozpiera mu duszę nowy, wielki zapał — czuje jakąś dziwną jasność w duszy, w umyśle, w sercu. Czuje w sobie działanie boskiego pierwiastka, spływającą łaskę. Przekonywa się teraz, że przeznaczono go, aby stał się wybawcą swego ludu z woli Opatrzności.

Aleksander nigdy dotąd nie przeżywał w takim stopniu uniesień ducha jak właśnie teraz. Głęboki mistycyzm, który w dwa lata później stał się jednym z powodów utworzenia Świętego Przymierza, począł się w Kremlu w lipcu 1812 r.

Z Moskwy udał się car Aleksander dnia 21 lipca do Tweru, gdzie Katarzyna Pawłówna umocniła go jeszcze bardziej na duchu. Nad Newą natomiast, gdzie patriotyzm był jeszcze w stanie początkowym, gdzie wszechwładnie panuje tylko obłudna i ostra krytyka, car spotykał nieżyczliwe spojrzenia i powszechne objawy wściekłości. Dzień i noc przeklinają tam obu wodzów armii, Bagrationa i Barclaya de Tolly, których małoduszne współzawodnictwo paraliżowało z góry całą taktykę wojny. Za wszelką cenę trzeba ratować honor oręża Rosji.

I wtedy wysuwa się na czoło jako jedynie odpowiedni człowiek — stary Kutuzow, uczeń Suworowa. Książę Michał Hilarowicz Kutuzow Goleniszczow w młodych latach dzielnie wojował z Polską i Turcją; był jednym z bohaterów spod Oczakowa, Izmaiłu i Rymnika. Kiedy go w roku 1805 Aleksander bez należytego przemyślenia sprawy wysłał na pomoc Austrii, potrafił się Kutuzow zgrabnie wycofać z Bawarii na Morawy; nie umiał jednak nakłonić naiwnego cara, aby „zmiażdżył Napoleona za jednym zamachem", chociaż miał dość czasu na to, gdy w ostatnich dniach listopada siedział skryty za armatami Ołomuńca. Zemściło się to na nim, gdy bezradnie przypatrywał się pogromowi pod Austerlitz, który zresztą doskonale przewidział.

W roku 1807, w rozpaczliwych chwilach Iławy i Friedlandu Kutuzow nie odgrywał już w działaniach wojennych prawie żadnej roli. Dopiero z wiosną 1812 roku wsławił się zwycięstwami w kraju naddunajskim i potrafił narzucić Turcji traktat w Bukareszcie.

Kutuzow liczył już lat sześćdziesiąt siedem. Trudy wojenne i rany, których mu nie oszczędziły liczne kampanie, nie przemogły w nim jeszcze tężyzny, zarówno

ciała jak i ducha, ale lubił nierzadko pohulać sobie, dlatego też czasem był ociężały i chętny do spania.

Francuski emigrant w służbie rosyjskiej, generał hrabia Langeron, żyjący blisko z Kutuzowem, maluje jego doskonały portret:

Trudno chyba bardziej być rozumnym od księcia Kutuzowa i posiadać jednocześnie mniej charakteru, umieć łączyć chytrość z zręcznością, tak małe zdolności z brakiem poczucia moralnego. Przy tym niezwykła pamięć, duże wykształcenie, uprzejmość i elokwencja, nieco sztucznej dobroduszności, oto dodatnie cechy Kutuzowa. Natomiast wyłaziły z niego niepohamowana gwałtowność i chamstwo, gdy się unosił gniewem lub gdy mógł kogo potraktować z góry; za to umiał się mistrzowsko płaszczyć przed wybrańcami łaski carskiej; należy do tego jeszcze dodać skrajny egoizm i rozwiązłość oraz bezceremonialność w zdobywaniu pieniędzy, a będziemy mieli pełny obraz tego bitego lenia, któremu było zawsze wszystko jedno — naplewat'!

Aleksander długo nie mógł mu wybaczyć upokorzenia, jakiego doznał pod Austerlitz, toteż Kutuzow dłuższy czas był w niełasce. Trudno mu było jednak odmówić wytrwałości, znakomitej orientacji i wielkiego doświadczenia wojennego jak również magicznego wpływu na duszę żołnierza. Skoro więc cały dwór i wojsko widziały w Kutuzowie jedynego zbawcę, car bez namysłu mianował go wodzem naczelnym.

Równocześnie Aleksander czyni usilne starania, by w Berlinie, w Wiedniu, Sztokholmie i Londynie wiedziano o nieugiętej jego woli „zagrzebania się raczej pod gruzami Rosji niż paktowania ze współczesnym Attylą!"

W nowej roli zbawcy, jaką Aleksander odgrywa odtąd w oczach Europy stając się rzecznikiem europejskiej wyprawy krzyżowej przeciwko tyranii Bonapartego, spot-

kał szczęśliwym trafem na swej drodze osobę, która umiała wzrok jego zwrócić na moralną stronę jego własnego rycerskiego apostolstwa. Była to pani de Staël, którą Napoleon nienawidził i przepędzał z jednego wygnania na drugie.

Właśnie uciekła z Austrii do Rosji, udając się do Sztokholmu, gdzie liczyła na serdeczne przyjęcie u Bernadotte'a, przez pamięć dni Fructidora.

„Prześladował mnie ból — i przed tym bólem uciekałam" — usprawiedliwiała swą ciągłą tułaczkę.

Car oczarował panią de Staël przyjmując ją z wyszukaną grzecznością, nie szczędząc komplementów:

„Cesarz Aleksander zaszczycił mnie rozmową... — pisze — i wcale nie ukrywał żalu, że tak długo potrafił podziwiać Napoleona".

— Po tak szczerym wyparciu się Tylży i Erfurtu Aleksander roztoczył przed sławetną córką Neckera swoje wielkie plany na przyszłość. Już po pierwszych serdecznych słowach pani de Staël pozbyła się swych strasznych wspomnień, wszystkich cierpień i upokorzeń, jakie musiała znosić od Bonapartego. Była tak oczarowana carem, że nie wiedziała, co bardziej podziwiać w samodzierżcy, tak pełnym uroku: cnotę czy szlachetność, geniusz, prostotę czy wreszcie szczerość przekonań. Raczył z nią mówić o najważniejszych zagadnieniach państwowych i ze „swobodą angielskich mężów stanu"... Czemu to niegdyś korsykański cezar nie raczył z nią podobnie rozmawiać? Byłaby za to paliła przed nim kadzidła zachwytów. — Niestety postąpił z nią niegodnie — nazwał ją „spiskującą intrygancką sroką!" Milczeć jej kazał!!

Oboje z Aleksandrem serdecznie nienawidzili Napo-

leona; tak car jak i Korynna pielęgnują wzajemnie to wrogie uczucie i wzajemnie się admirują.

Pani de Staël wyidealizowana już od dawna przez wielu i sławna, sztucznie romantyczna, ni to Egeria, ni Sybilla, odpowiadała szczególnie rodzajowi marzeń Aleksandra, które rozbujały w czasie jego pobytu na Kremlu. Rozkoszował się jej słowami czując jakby przedsmak triumfów i zachwytów, jakie upoić go miały w Paryżu w roku 1814.

O uporze, z jakim Aleksander zdecydował się zniszczyć Napoleona pod wpływem pani de Staël, świadczy niewątpliwie list carowej do matki, pisany w chwili, gdy Francuzi zbliżali się już pod mury Moskwy i gdy rozstrzygająca bitwa wisiała w powietrzu.

Droga i dobra Mamusiu! Jestem przekonana, że Was tam w Niemczech zapewne mylnie informują o tym, co się tu u nas dzieje. Pewnie opowiadają, że uciekliśmy już na Syberię, gdy tymczasem nawet nie ruszyliśmy się jeszcze z Petersburga. Jesteśmy przygotowani na wszystko, tylko nie na układy. Im dalej Napoleon się posuwa, tym więcej jest nadziei na pokój. Tak przewiduje cesarz i cały naród, i to we wszystkich warstwach społecznych... Napoleon z pewnością tego nigdy nie przypuszczał — i popełnił omyłkę, jak mu się to nieraz już zdarzało. Każdy jego krok w głąb naszej niezmierzonej Rosji zbliża go ku przepaści; zobaczymy, jak zniesie zimę.

7 września Kutuzow stara się zagrodzić wojskom francuskim drogę do Moskwy. Bitwa się toczy pod Borodinem, na lewym brzegu Kołoczy, dopływie rzeki Moskwy.

Bitwę tę opisuje Caulaincourt tak:

Nigdy żadna bitwa nie kosztowała życia tylu generałów i oficerów. Żadne pozycje nigdy nie były zacieklej zdobywane,

jak i uporczywiej bronione... Rosjanie w porządku opuszczali fortyfikacje, z których musieli ustępować — nigdzie śladu ucieczki. Masakrowani artylerią, rąbani przez jazdę, kłuci bagnetami naszej piechoty, ginęli bohatersko, stojąc w zbitych gromadach, prawie że na miejscu. Cesarz nie mógł pojąć, że w redutach tak dzielnie zdobywanych tak mało było jeńców. Powtarzał kilkakrotnie: „Ci Rosjanie giną jak maszyny, nie bierze się ich do niewoli, nie widzę postępu naszej akcji. To są fortece, które trzeba armatami burzyć".

Mimo wszystko bitwa pozostała nierozstrzygniętą, chociaż Napoleon sobie przypisywał zwycięstwo; armia rosyjska opuściła swoje stanowiska i wycofała się w zupełnym porządku na Możajsk.

Ażeby wyolbrzymić w oczach świata ten nikły wynik krwawej całodziennej walki, przebiegły zwycięzca twierdził, że bitwa ta przejdzie do historii, jako „bitwa pod Moskwą", mimo że stoczona była właściwie nad dopływem rzeki tej nazwy, w odległości dwudziestu pięciu mil od miasta.

W siedem dni później, 14 września, w południe, w blasku słońca przednia straż armii francuskiej, rozsypana w tyralierkę, ujrzała ze stoków Wróblej Góry przepiękną sylwetę świętego miasta — o tysiącach cerkwi, pałaców i klasztorów — o rozlicznych lazurowych kopułach, krytych miedzią, wieżycach i złotych baniach cerkiewnych.

Wojska olśnione tym wspaniałym widokiem stają jak wryte — zewsząd słychać okrzyki: „Moskwa, Moskwa"... Napoleon nadjechał galopem i spojrzawszy na rozciągający się przed nim widok, sam nie potrafił się wstrzymać od okrzyku radości: „Otóż to słynne miasto!"... przy czym jednakże dodał: „Był to już czas najwyższy". Tę scenę malowniczo i romantycznie opisał Chateaubriand:

Moskwa wydała się jakby jakąś księżną, która przybyła z niezmierzonych rubieży swego państwa, strojna w całe bogactwo Azji, by poślubić Napoleona.

Lecz radość oblubieńca nie trwała długo; miasto było opustoszałe. Ani jeden bojar, ani jeden mieszczanin nie został na miejscu, żadnego kupca, żadnego urzędnika, ani śladu jakiejkolwiek władzy lub służby bezpieczeństwa. W mieście pozostało tylko trochę biedoty, co węszyła sposobność rabunku i rozboju.

W trzecim dniu wybuchł pożar, który zniszczył całe miasto, pożar straszny — dzieło Roztopczyna. Napoleon patrzył na płonącą Moskwę ze stopni czerwonych schodów na Kremlu i mierzył cały ogrom tej katastrofy — padły wtedy słowa:

„Wszystko to wróży wiele nieszczęść!"...

Czyż odczuł może wówczas podziw dla tej strasznej i złowróżbnej hekatomby?...

Kiedy Holendrzy w r. 1672, w czasie wojny o Niderlandy, pragnąc obronić za wszelką cenę Amsterdam zdobyli się na otworzenie wielkich śluz pod Muyden, aby „zatopić" cały kraj powyżej Utrechtu, to znaczy najbogatsze swoje prowincje, wtedy Ludwik XIV, zatrzymany w zwycięskim pochodzie i uznając ofiarę, przyznał im słuszność mówiąc: „Zaiste niesłychany to czyn, lecz do czegóż się jest zdolnym, aby uniknąć hańby i niewoli".

Pożar Moskwy wywołał w sercach Rosjan jeden okrzyk rozpaczy: „Rosja ginie. — To koniec Rosji!...

Cała Europa jest również tego samego zdania.

W Petersburgu popłoch; nikt nie wątpi, że Napoleon wnet ruszy na stolicę cesarstwa. Skarb państwa wywożą do Petrozawodzka, do Wołogdy, do Wiatki. Zewsząd słyszy się głośne wołania „pokoju"... W kołach dworskich

defetystyczna grupa żąda, aby natychmiast nawiązano z Napoleonem układy. Brat cara, wielki książę Konstanty, nieobliczalny i unoszący się bardziej niż zwykle, głośno zaleca kapitulację. Jeden tylko Józef de Maistre umiał patrzeć w przyszłość i widział, podobnie jak i Napoleon na stopniach Kremlu, że nadchodzi cały łańcuch wydarzeń, których biegu nic już nie powstrzyma!:

W ogniu Moskwy spłonęło szczęście Napoleona; — sądzę, że nawet sam Richelieu, idąc za namową Makiawela, nie potrafiłby wymyślić straszniejszego i bardziej skutecznego pociągnięcia!...

A Aleksander? — Zamknął się na Kamiennej Wyspie, w pałacyku oblanym zewsząd Newą; czuł się chory, paliła go gorączka, cierpiał przy tym na różę na nodze. Przyjmował tylko Arakczejewa, Bałachowa i księcia Golicyna, z którymi załatwiał bieżące sprawy. Jego siostra Katarzyna, która schroniła się do Jarosławia nad Wołgą, pisała doń wówczas: „Moskwa została wzięta, nie zapomnij jednak o twym postanowieniu, że nie ma pokoju! a gdybyś był zmuszony uciekać nawet do Kazania, to i wtedy jeszcze pomnij, że „nie ma pokoju".

Rada była zbyteczna. Pomimo wyczerpania, wywołanego chorobą, Aleksander był nieugięty, jak o tym świadczy list carowej Elżbiety do matki:

Układać się obecnie o pokój byłoby dla Rosji wyrokiem śmierci, cesarz nawet na chwilę o tym nie chce myśleć. Zresztą nie mógłby już tego uczynić. Jeżeli Napoleon przypuszczał, że wzięcie Moskwy nas złamie, to się grubo mylił — przeciwnie, podniecił patriotyzm i wzbudził wściekłość rosyjskiego ludu; a więc wojna toczyć się będzie nadal, „armia Kutuzowa doskonale przyczaiła się w pobliżu drogi, którą idzie nieprzyjaciel" i w stosownej chwili rozpocznie natarcie. Mogę Ci

zaręczyć, że postanowienie cesarza pozostanie bez zmiany. I gdyby nawet Petersburg miał podzielić los Moskwy, nie zgodzi się on nigdy na hańbiący pokój...

W bezpośrednim otoczeniu cara snuły się tymczasem jakieś dziwne intrygi. Nie znane są bliżej szczegóły wydarzeń, jednak jest rzeczą oczywistą, że knuły je te same moce, które tylokrotnie w dziejach Romanowów wywoływały rewolucje pałacowe i które dotrwały aż do panowania Mikołaja II.

W zacytowanym wyżej liście do brata wielka księżna Katarzyna błaga go i zaklina, by nie przystał na pokój, „nawet, gdybyś uciekać musiał do Kazania" i dodaje niezrozumiałe słowa:

„Teraz masz jeszcze możność odzyskania honoru!"

Kiedyż to Aleksander okrył się niesławą?

Utrata i zniszczenie Moskwy rozpętały przeciwko nieszczęsnemu carowi istny huragan złorzeczeń. On to i on tylko wyłącznie winien jest nieszczęściu. Ci sami, którzy przed dwoma miesiącami błagali cara, aby się nie mieszał do dowództwa, obwiniali go teraz, że opuścił wojsko. Czemuż to nie był pod Borodinem? Czemu nie zmusił Kutuzowa, aby stoczył decydującą bitwę pod murami Moskwy? Zarzuty te byłyby może bez znaczenia, gdyby nie kryły ciemnych machinacji, w których wielka księżna Katarzyna odgrywała — być może bezwiednie — główną rolę.

W dniu 18 września pisze do brata:

Mimo przykrości, jaką Ci sprawię, nie mogę dłużej milczeć. Upadek Moskwy przepełnił miarę rozjątrzenia. Powszechne niezadowolenie dochodzi już do ostatecznych granic, a twojej osoby bynajmniej tu nie oszczędzają. Skoro podobne wieści mogły dojść aż do mnie, to resztę sam sobie dośpiewaj. Oskar-

żają Cię głośno, że jesteś przyczyną nieszczęść państwa, ruiny ogólnej i każdego z nas, że hańbą okryłeś kraj i siebie. Wszystkie warstwy społeczne zgodnym chórem Cię przeklinają... Zarzucają Ci głównie, żeś Moskwie słowa nie dotrzymał. Tam właśnie oczekują na Ciebie z niecierpliwością, gdyż podejrzewają, żeś ich zdradził. Jeszcze może ostatecznej klęski w rodzaju rewolucji nie potrzebujesz się obawiać, lecz sam osądź swe położenie w kraju, który dziś swym władcą pogardza...

Aby wyrzuty te nabrały dosadniejszego znaczenia, załącza również dopisek męża:

Nie trać szacunku ludu, który dotąd zawsze zwykł cara ubóstwiać... Myśl o własnym honorze!

Na te wyrzuty, tak nieprawdopodobnie ostre, przychodzi odpowiedź Aleksandra spokojna i pełna godności:

Zwykła to rzecz, że ludzie nie są sprawiedliwi, gdy ktoś padnie w nieszczęściu, że znieważa się go i miesza z błotem. Co do tego nie miałem złudzeń nigdy. — Z pogardą oddala oszczerstwa godzące w jego honor i odwagę. „Moi grenadierzy mogą zaświadczyć, że w ogniu stoję tak spokojnie jak każdy inny żołnierz"... W Wilnie opuścił wojsko jedynie na nalegania Katarzyny, która twierdziła wtedy, że nie potrafi być dowódcą. Jeśli nie udał się do Moskwy po utracie Smoleńska, to ustąpił tylko na prośby Roztopczyna i Kutuzowa, którzy błagali, aby nie powracał na front, póki położenie nie poprawi się. Po wyłuszczeniu argumentów obrony Aleksander w swym liście przechodzi prawie do oskarżeń. Wyjaśnia Katarzynie, że to Napoleon „piekielny plan ułożył", aby go zniesławić w oczach ludzi i siać niezgodę w najbliższej rodzinie carskiej; pragnie on doprowadzić do złożenia go z tronu: „Uprzedzano mnie, że Ty będziesz właśnie narzędziem działań moich wrogów i nie szczędzono Ci barw najgorszych, aby mnie w Twoich oczach zniesławić. Bunt miał wybuchnąć w dniu, w którym jedna ze stolic wpadnie w ręce wroga. Mogłem się dowodnie przekonać, że ostrzeżenia, jakie otrzymałem, były najzupełniej dokładne i prawdziwe. W tych nieszczęsnych

okolicznościach, jakie przeżywamy, intrygi podobne trafiają zwykle na podatny grunt i łatwo mogą odnieść pożądany skutek".

Takimi to słowy, z których wielu, niedomówionych jedynie domyślić się można, kończy Aleksander swój list prosząc siostrę serdecznie o wytrwałość i trochę cierpliwości.

Katarzyna w odpowiedzi stara się uniewinnić i tłumaczy bratu, że jedno tylko pragnienie wypełnia jej duszę, tj. aby mu służyć nadal z tym samym bezgranicznym przywiązaniem jak dotąd.

W niewiele dni po tym znalazła się zresztą w położeniu, które ją rzuciło na klęczki przed carem. Książę Bagration, dowodzący drugą armią, ciężko ranny pod Borodinem zmarł 24 września w Simie, w guberni włodzimirskiej. Był to jej kochanek. I wtedy wielka księżna pisze do swego brata:

Wiesz dobrze, jakie nas stosunki łączyły i pamiętasz, jak wspominałam, że „on" posiada dokumenty, które mogą mnie poważnie skompromitować, jeśli się znajdą w cudzych rękach. Przysięgał mi stokrotnie, że je już zniszczył, lecz znając go dobrze wątpię jednak w prawdziwość jego słów. Proszę Cię więc, zażądaj, by Ci wydano wszystkie pozostałe po nim papiery i daj mi możność ich przejrzenia, aby usunąć z nich to, co moje.

Aleksander prośbę spełnił natychmiast; list, w którym donosi siostrze o przesłaniu cennych papierów, kończy słowami: „powiedz droga przyjaciółko, czyż można Cię więcej kochać ode mnie".

Że w tym okresie istniał zamiar zrzucenia Aleksandra z tronu i zastąpienia go przez Katarzynę, nie ulega żadnej wątpliwości; głównym twórcą tego „piekielnego

planu" był prawdopodobnie Roztopczyn. Zresztą nie było dla nikogo tajemnicą, że na wypadek jakiegoś nieszczęścia Aleksandra opinia publiczna widziała Katarzynę Pawłównę na tronie Rosji.

Jedna z pań z arystokracji, która mieniła się najbliższą znajomą wielkiej księżnej — a była to hrabina de Liewen — maluje ją „jako bezgranicznie pragnącą władzy" i bardzo pod tym względem pewną siebie.

Nigdy nie widziałam kobiety — pisze — tak ruchliwej i tak spragnionej działać, wyróżniać się, wreszcie zaćmiewać innych. Ma ona wiele uroku w spojrzeniu i w obejściu, ruchy zdecydowane i w postawie nie brak jej dumy, przy tym uprzejmości... umie być niesłychanie miła dla otoczenia, nie lubi się jednak za wiele rozwodzić, chociaż rozmawia zawsze czarująco, nigdy też nie przestaje być tą, której trzeba słuchać.

Podobnie w r. 1762 mówiono o tej, która później została Katarzyną Wielką.

* * *

Tymczasem Napoleon począł się niepokoić, czy nie zajdzie potrzeba przezimowania w Moskwie. Trapiły go myśli, jak będzie z zaopatrywaniem wojska w furaż i amunicję? Co będzie z łącznością? Armia rosyjska z każdym dniem silniejsza niezawodnie usiłować będzie przeciąć i uniemożliwić mu odwrót. Nie był również pewnym, czy sprzymierzeńcy austriaccy i pruscy, których zadaniem było pilnować flanków jego armii, nie skorzystają teraz z trudnej sytuacji i nie zdradzą go? Z całym więc zapałem, podobnie jak i poprzednio, szukał rozstrzygającej bitwy, a jednocześnie starał się nawiązać rokowania. 20 września pisze do cara i tłumaczy się prawie ze spalenia Moskwy:

Wspaniałe to miasto przestało istnieć; spalił je Roztopczyn. Czterystu podpalaczy zostało zatrzymanych na gorącym uczynku, a wszyscy zeznali, że podkładali ogień na rozkaz gubernatora. Takie metody widzę już od Smoleńska. Poczucie ludzkości, dobro Waszej Cesarskiej Mości jak i samego miasta wymagały, abym je zajął; nie zostawiono w nim ani zarządu, ani urzędników, ani nawet straży cywilnej. W Wiedniu, Berlinie czy Madrycie zawsze o to dbano...

I w ostatnich wierszach końcowego ustępu listu brzmi jakby nuta dawnej przyjaźni — Napoleon wspaniałomyślnie wyciąga rękę do cara:

Wojnę tę prowadzę z Waszą Cesarską Mością bez zawiści, kilka słów Waszych, skierowanych do mnie przed albo i po ostatniej bitwie, powstrzymałoby mój pochód; naprawdę z całą ochotą byłbym oszczędził Waszej Cesarskiej Mości zajęcia Moskwy.

Na list ten odpowiedzi nie było!

4 października Napoleon wysyła generała de Lauriston do marszałka Kutuzowa,[1] aby doręczył nowe pismo do cara, w którym raz jeszcze czynił próbę pojednania.

I znowu nie było żadnej odpowiedzi!

— Aleksander jest, jak widzę, uparty — zawołał Napoleon po powrocie Lauristona — i pożałuje tego... Nigdy już nie uzyska równie dobrych warunków jak te, które mu dzisiaj przesłałem... Nie zajdzie on daleko tą drogą z człowiekiem mojego pokroju!...

Istotnie nie daleko doszedł Aleksander, gdyż tylko do Paryża!

W tych pojednawczych pismach Napoleona car widział tylko wyznanie niemocy lub puste „przechwałki"

[1] Kutuzow został mianowany marszałkiem po bitwie pod Borodinem.

i fanfaronadę. Toteż nakazuje Kutuzowowi, aby obwieścił wojsku, że zajęcie Moskwy to jeszcze nie podbój Rosji. Przeciwnie, walka rozpocznie się na nowo i to bez wytchnienia, bez pardonu, dopóki choćby jeden żołnierz francuski pozostanie na rosyjskiej ziemi. Wówczas to Aleksander wypowiedział historyczne słowa: „Napoleon lub ja!... ja lub on!... ale równocześnie panować nie możemy... poznałem go dobrze; już on mnie więcej nie oszuka!..."

18 października Wielka Armia opuszcza Moskwę. Rozpoczął się nieśmiertelny odwrót, który zakończyła 28 listopada klęska nad Berezyną.

Napoleon, powiadomiony 5 grudnia w Smorgoniach o spisku generała Malet, postanawia z największym pośpiechem powracać do Paryża. „W obecnym położeniu — mówi — rządzić mogę Europą tylko z Tuillerii".

Kutuzow zajmuje z powrotem Wilno dnia 10 grudnia. Car podąża do niego w triumfie już w dniu 23 grudnia. Pierwszym jego krokiem było nawiązanie układów z generałem von York, dowódcą korpusu pruskiego, którego zadaniem było krycie odwrotu tylnych straży francuskich. Umowa w Taurogach podpisana 30 grudnia zadała pierwszy cios sojuszom napoleońskim i uderzyła jak dzwon alarmowy w całych Niemczech... i Austrii.

Wybiła godzina, którą przepowiedział Klausewitz, godzina, w której nadużycie metody ataku wywołać musi „odwrócenie się sił".

* * *

Nazajutrz po bitwie nad Berezyną, w krwawej jutrzence i pierwszej radości swego cudownego zwycięstwa Aleksander pisał do siostry:

Bóg to wszystko uczynił, to On zmienił nagle oblicze wydarzeń i rzucił na głowę Napoleona te wszystkie nieszczęścia, które ten ostatni dla nas przeznaczył.

Katarzyna odpowiedziała mu z subtelną ironią:

Tak, złóżmy dzięki Opatrzności, lecz fortunę Ty przemogłeś, aby była dla nas łaskawszą, głównie przez odmowę zawarcia pokoju. Swoją nieugiętością zdobyłeś sobie chwałę nieśmiertelną.

Pisząc w ten sposób Katarzyna, ta „słodka wariatka" — miała słuszność: Zasługą Aleksandra w wojnie 1812 roku jest niezaprzeczenie to, że poruszył sumienie narodu. Rosję ocalił lud rosyjski, podobnie jak ją uratował w wieku XV przed najazdem Tatarów i w wieku XVII, gdy polskie zastępy sięgały bram Świętej Moskwy. Niemniej jednakże jest chlubą Aleksandra, że stał się wówczas rdzeniem duszy swego ludu.

W początkach wojny masy nie odczuwały jeszcze patriotyzmu. Aby opór objął masy, aby partyzantka stała się zażarta jak w Hiszpanii, musiała spłonąć Moskwa. Trzeba było, ażeby każdy Moskal, czy bojar, mieszczanin, czy też zwykły chłop przekonał się naocznie o strasznym fakcie, że: „Napoleon jest na Kremlu". Przyczyniły się do tego, jako nie ostatni z powodów klęski, bezprawia wielkiej armii, zmuszonej do rabunku wskutek coraz to straszniejszego braku żywności.

Z niezwykłym artyzmem opisuje Tołstoj w swej powieści „Wojna i pokój" to obudzenie się duszy ludu. Nie zaspały Kutuzow ani mądre plany świetnych sztabowców zwyciężyły, ale bohaterstwo upodlonego „chłopstwa":

Pomimo skarg Francuzów, że Rosjanie nie stosują się do prawideł walki, pomimo że dostojnicy sztabu rumienili się

za tego chłopa, co przechodził od bagnetu do kija, bo chcieli, żeby koniecznie stanął w pozycji en quart lub en tierce — to jednak właśnie ten kij chłopski podniósł się i całą siłą, nie pytając o niczyje gusta ani smaki, grzmocił tak długo karki wroga, aż wymiótł doszczętnie i wygubił najeźdźców!

Lenin wyraził się dużo prościej: „Cały lud rzuciliśmy swym ciężarem na szalę".

ROZDZIAŁ XII

10 grudnia 1812 roku Kutuzow odbiera Wilno, gdzie w kilka dni później car urządza główną kwaterę. Czy prowadzić dalej wojnę? Kierowany egoizmem narodowym Kutuzow opowiada się za natychmiastowym zaprzestaniem działań wojennych. Lecz upojenie zwycięstwem wywołuje w Aleksandrze głębokie uczucie mistycyzmu i bohaterską egzaltację. Pragnie on wyzwolić Europę całkowicie spod francuskiego jarzma i doprowadzić aż pod mury Paryża zniweczenie potęgi napoleońskiej. — 21 stycznia 1813 r. wojska rosyjskie wkraczają do Polski. — Dwaj mistycy — powiernicy samowładcy: książę Aleksander Golicyn i Rodion Koszelew; — „Całej mej sławy użyję, aby przyśpieszyć Królestwo Chrystusowe". — Rokowania z dworem berlińskim. Zręczność i przenikliwość cara. Traktat kaliski zawarty 28 lutego przypieczętował na lat osiemdziesiąt przymierze Hohenzollernów z Romanowami. Przebiegłość i rezerwa Austrii: „System ubocznych umów i pośrednich kroków". Aleksander wodzem tworzącej się koalicji. — „Sława Bogu"!... — 15 kwietnia Rosjanie i Prusacy przekraczają Odrę; kampania saska. — 24 kwietnia, w przeddzień Wielkiejnocy Aleksander i Fryderyk Wilhelm wkraczają uroczyście do Drezna. „Hymn Zmartwychwstania, śpiewany nad brzegami Elby". — Piorunujące uderzenia Napoleona pod Lützen 2 maja i 21 maja pod Budziejowicami. — Pośpieszny odwrót Rosjan i Prusaków ku Odrze, — Napoleon pragnąc zyskać na czasie i chcąc ściągnąć posiłki proponuje rozejm. — „Największy błąd w mej karierze". — Rokowania w Pleiswitz. Zdrada Caulaincourta. — Kongres w Pradze — „najmniej poważny z kongresów". Wielka księżna Katarzyna i Metternich — decydujące argumenty. Austria przystępuje do koalicji 10 sierpnia, działania wojenne ponownie rozpoczęte. — Zwycięstwo Napoleona pod Dreznem 27 sierpnia. Sprzymierzeni monarchowie zacieśniają swój sojusz w Cieplicach. — Bitwa pod Lipskiem 18 października. Odwaga

Aleksandra; wojska francuskie w rozsypce cofają się za Ren. Aleksander pragnąc wykazać swą wyższość wobec cesarza Austrii i króla Prus, wyprzedza ich we Frankfurcie, mieście koronacyjnym cesarzy niemieckich. Głuche współzawodnictwo cara i Metternicha. Sprzymierzeńcy proponują Napoleonowi rozpoczęcie pertraktacji pokojowych.

Aleksander powraca do Wilna, które pod złą wróżbą opuścił przed sześciu miesiącami. Bawił tam sześć tygodni, naradzając się ze swym sztabem i obmyślając plany przyszłych działań wojennych.

Jaką drogą pójść dalej? Rozsądny Kutuzow wypowiadał się stanowczo za zakończeniem wojny — co również podzielał kanclerz Rumiancew, a nawet najbardziej zaciekli gallofobi, jak Arakczejew i Roztopczyn. Po nadzwyczajnym wysiłku, na jaki zdobyły się wojska i lud rosyjski, Rosja miała prawo myśleć tylko o sobie. Natychmiastowy honorowy pokój przyniósłby państwu cara Księstwo Warszawskie i wszystkie polskie prowincje. Szaleństwem dla Rosji byłoby prowadzić dalszą walkę tylko dla ratowania Europy. Na pierwszy plan wysuwano narodowy egoizm.

Lecz car myślał inaczej. Podniecony cudowną wprost odmianą fortuny, upojony zwycięstwem, dał się raz jeszcze porwać marzeniom o sławie i nadziei, że pobije Napoleona, że pomści w Paryżu hańbę Moskwy i zapisze swe imię na karcie historii jako wybawca Europy. Sny z roku 1808 miały przybrać realne kształty w roku 1812.

Do utwierdzenia cara w zamiarach i słuszności jego przewidywań przyczyniły się wymowne rady członka cesarskiej świty, barona Steina, którego w swoim czasie Napoleon despotycznie wygnał „jako hultaja" z Prus i wyjął spod prawa.

WIELKA KSIĘŻNA KATARZYNA PAWŁÓWNA

Według miniatury Bennera. — Portraits Russes.
Muzeum Narodowe w Warszawie.

Już w drodze do Wilna Stein bez przerwy ponawiał prośby i błagania, aby Aleksander ujął w swe ręce oswobodzenie i odrodzenie Niemiec i wyrwał świat germański spod wpływu Francji, żeby dopomógł strząsnąć tyranię książąt niemieckich, którzy już od trzydziestoletniej wojny sprzedawali i wyzyskiwali swoją ojczyznę. Twierdził, że tylko Aleksander potrafi stworzyć w sercu Europy wielkie ognisko światła i postępu! Pochlebca wiedział, że dla wielkodusznego i nade wszystko miłującego wolność władcy, dla dziedzica Piotra Wielkiego i Katarzyny, czyż mogło istnieć wspanialsze zadanie?

Płomienne namowy barona Steina olśniły Aleksandra, podobnie jak słowa Napoleona w Tylży.

* * *

Wojna rozgorzała na nowo. Wojska rosyjskie przeszły Niemen i wkroczyły do Prus Wschodnich.

Armię rosyjską poprzedziła odezwa generała Kutuzowa, z której widać niedwuznaczne cele polityki rosyjskiej:

Opatrzność błogosławiła wysiłkom cesarza, mego władcy — brzmią słowa odezwy — celem jej jest pokój i niesienie wolności... Jego Cesarska Mość ofiaruje swą pomoc wszystkim ludom, które porzucą stronę Napoleona i pójdą drogą swego własnego szczęścia. Dotyczy to przede wszystkim Prus, którym obiecuje całe poparcie. Wielki to będzie zaszczyt dla Jego Cesarskiej Mości móc ukoić cierpienia tego narodu, przywrócić monarchię Fryderyka, jej blask i granice i dać przez to królowi pruskiemu dowód swej nigdy nie zapomnianej przyjaźni.

* * *

W ryzykownych pociągnięciach cara, od których na próżno starają się go odwieść wszyscy doradcy, grały rolę przyczyny nie tylko polityczne.

Od chwili gdy w moskiewskich cerkwiach odczuł łaskę Boga, stał się dziwnie pobożny i skory do rozmyślań mistycznych, w których jeszcze utwierdzają go dodając podniety dwaj przyjaciele. Jednym z nich był książę Aleksander Golicyn, dawny oficer gwardii, potem szambelan carski, wielki hulaka, póki kaprys cara nie wyniósł go w roku 1803 na generalnego prokuratora Świętego Synodu. Golicyn, który do tej chwili nigdy nie czytał, a nawet nie przeglądał Pisma Świętego, pod wpływem urzędowych obowiązków i rozmów z duchownymi oraz z mnichami zmienił się do niepoznania i z wolteriańskiego niedowiarka stał się nagle zapalonym mistykiem. Drugi z przyjaciół, Rodion Koszelew, były rotmistrz, człowiek bywały w całej Europie, zetknął się jeszcze za młodu z Swedenborgiem, Lavaterem i Saint Martinem, „nieznanym filozofem", który wtajemniczył go w najgłębsze arkana duszy i śmierci.

Koszelew z rozkazu cara pełnił czas jakiś sekretne funkcje w Wiedniu, po czym mianowany wielkim ministrem dworu, służył do specjalnych poruczeń.

W dniu 21 stycznia 1813 r. w chwili, gdy wojska rosyjskie przeszedłszy przez Prusy Wschodnie wkroczyły do Polski, Aleksander pisze do Golicyna:

„Więcej niż kiedykolwiek poddaję się dziś woli Boga i ślepo przyjmuję Jego wyroki".

Ze swej głównej kwatery w Płocku nad Wisłą w chwili, gdy przednie straże są już pod Warszawą, pisze car 6 lutego do Koszelewa:

Szczerze się cieszę, żeś mnie zrozumiał. Wierzę dziś naprawdę mocno i co dzień więcej. Dzięki temu zaznaję roz-

koszy, o których dotąd nie miałem pojęcia... Od kilku lat czekałem na ten głos prawdy. Czytanie Pisma Świętego, które znałem dotychczas tylko powierzchownie, w taką wprawia mię błogość, że słów brak po prostu... Modlę się do Boga wszechmocnego, do Pana Naszego Jezusa Chrystusa oraz do Ducha Świętego, który pochodzi z nich obu, aby mię prowadzili i utwierdzali na jednej drodze, jaka prowadzi do zbawienia. Całą swą sławę pragnę poświęcić, aby przyśpieszyć panowanie Jezusa Chrystusa na ziemi.

* * *

Wojska rosyjskie niebawem dochodzą do Odry; kwatera cesarska mieści się w Kaliszu.

Wielka chwila dziejowa nadchodzi. —Toczą się układy o utworzenie wielkiej koalicji, która jedna tylko może złamać potęgę Bonapartego na zawsze. Aleksander prowadzi rokowania osobiście, z wielką pracowitością i energią. Nie można mu odmówić zręczności i taktu, umie też przewidywać, czym wzbudza ogólny podziw. — Na te prace rzuca nam światło list cara do siostry Katarzyny:

„Droga moja przyjaciółko. Zdawało się, że dziś mi głowa pęknie, gdyż nagle spadła na mnie praca ponad siły. Opracowałem tekst przymierza z Prusami i wynikające z tego umowy wojskowe, równocześnie przybył generał Scharnhorst, dalej ambasador Anglii oraz trzej kurierzy z Kopenhagi, Sztokholmu i Londynu. Na to wszystko licho przyniosło jeszcze posła austriackiego Lebzelterna i adiutanta króla pruskiego Wrangla, a w końcu nadeszła wiadomość o zajęciu Berlina. To chyba wystarczy, aby nie móc wstać od biurka. Muszę bezustannie konferować z tymi panami. Teraz dopiero udało mi się znaleźć chwilkę, aby do Ciebie słów parę napisać, choć to już dobrze po północy. Dopiero co wyszedł z tego gabinetu ostatni z tych panów po obradach, które ciągnęły się od ósmej wieczorem. Oczy mi się już kleją, a napisać muszę jeszcze do matki.

Prace te jednak przynoszą rezultaty. Traktat kaliski zawarty dnia 28 lutego 1813 r. utwierdza między Romanowami i Hohenzollernami sojusz, który od tego czasu zaciąży nad całą polityką europejską przez lat osiemdziesiąt, to jest do chwili zawarcia przymierza francusko-rosyjskiego. Tekst traktatu zamyka odezwa do narodu niemieckiego:

Ich Moście cesarz rosyjski i król pruski przybywają na pomoc książętom i ludom Niemiec w celu odzyskania niepodległości i wolności. Niech hasłem wszystkich stanie się honor i ojczyzna! Każdy Niemiec winien się łączyć z nami, każdy obywatel, książę, szlachcic czy syn ludu niechaj wspomaga i niesie w ofierze swe życie za wyzwoleńczą walkę Rosji i Prus!...

W tym tonie jeszcze żaden rząd nie przemawiał do ludu od czasu rewolucji francuskiej, tj. od września 1792. Tym razem hasło niepodległości i wolności rzuca dwu suwerenów. Odezwa głosi dalej, że: „traktaty przestały być świstkiem papieru, będą one odtąd nietykalne i święte, śmiało opierać na nich będzie można siłę i trwałość państw".

Takie to były słowa świętego aliansu, mgliste i niejasne, jakby wypisane z apokalipsy.

Austrii wtedy jeszcze brakło w tej wyprawie krzyżowej — przecież ojciec Marii Ludwiki zmuszony był swemu zięciowi okazywać pewne względy; zresztą Napoleon, choć ciężko doświadczony, na pewno nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa. Po tym strasznym człowieku można się było spodziewać przecież wszystkiego, Metternich pragnie zatem zyskać na czasie i tak pokierować sprawą, „aby przez szereg ubocznych pociągnięć i pośrednich kroków" cnotliwa monarchia Habs-

burgów mogła przejść zgrabnie od dotychczasowego przymierza z Francją do przymierza z Rosją i Prusami przeciwko Francji. Właściwie jednak w owym czasie była pozyskana już dla koalicji.

16 maja Aleksander udaje się z Kalisza do Wrocławia, gdzie oczekuje go Fryderyk Wilhelm. Powitanie było czułe i patetyczne, a królowa Ludwika błogosławiła je zapewne z nieba.

Właściwym przywódcą i arbitrem tworzącej się koalicji staje się w tym czasie car. W roli tej czuje się dobrze i wyobraża sobie już zawczasu, jak to on niby święty Jerzy, patron Słowian, pobije na głowę szatańskiego potwora.

W listach jego do Golicyna i do Koszelewa brzmi nuta pobożności i jakby styl psalmów dziękczynnych. Zwroty: „Sława Wszechmocnemu"... „Chwała Ojcu i Synowi" znaleźć można w tych listach na każdej stronicy.

Jednym słowem, Aleksandra ogarnia coraz bardziej mistycyzm — całymi godzinami zatapia się w rozmyślania i popada w ekstazę. Pracuje przy tym gorączkowo, konferencje polityczne, rewie i przeglądy wojsk zapełniają mu dzień za dniem. Żelazną jego wolę widzi się wszędzie.

A jednak na dnie duszy, jak zwykle, światło walczy u niego z cieniem, wielki cel z drobiazgami.

Wśród zajęć bez liku i uniesień mistycznych znalazł jeszcze czas na bardzo czuły flircik z pewną, zresztą bardzo uroczą, Polką.

* * *

Tymczasem Napoleon opuszcza Paryż i w Weimarze obejmuje dowództwo nad zreorganizowaną i odmłodzoną Wielką Armią, liczącą wtedy trzysta tysięcy ludzi.

Rosjanie i Prusacy gotują się do bitwy w Saksonii pod wodzą Wittgensteina.

Kutuzowa tam już nie było. Stary marszałek, wyczerpany nadmiarem trudów, z których wiele i to może najniebezpieczniejszych mógł sobie za młodu a nawet i później oszczędzić, umarł prawie nagle na Śląsku, w Buntzlau, w okolicznościach, które mu wcale nie przysporzyły wawrzynów.

Sprzymierzone wojska 15 kwietnia przekraczają Odrę, a w osiem dni później Elbę kierując się ku Saali.

24 kwietnia car i król pruski wjeżdżają triumfalnie do Drezna, gdzie ludność wita ich owacyjnie. Tłum oklaskuje i obrzuca kwiatami Aleksandra, ciśnie się pod konia chcąc z bliska ujrzeć bohatera, który wyrósł na zbawcę Niemiec.

Od chwili pobytu w Moskwie nie spotkało go nic podobnego. Toteż przejął się tym do głębi, tym bardziej że był to dzień przed rezurekcją według starego stylu.

Korzystając z wolnej chwili pisze o tym do swego pobożnego druha, Golicyna:

W sobotę po nabożeństwie wkroczyliśmy do Drezna..., o północy zaś nad brzegami Łaby wojsko śpiewało pieśni Zmartwychwstania. — Słów mi brak, aby opisać to wrażenie i uczucie, jakie rozpierało mi serce, gdym myślał o wszystkim, co się stało w ciągu jednego roku i dokąd nas zaprowadziła Opatrzność... Jednak, mimo radości i wdzięczności, jaką dla Zbawiciela odczuwam, wiem doskonale, że czeka nas jeszcze ciężka próba, której z pokorą musimy się poddać...

Na próbę tę sprzymierzeni długo nie czekali. Geniusz Napoleona niebawem przypomniał się światu walną wiktorią pod Lützen w dniu 2 maja, a w krótki czas potem pod Budziejowicami. Wojska sprzymierzonych zostają

odrzucone znad Saali ku Odrze, grozi im nawet utrata całego Śląska i odwrót, może aż nad Wisłę.

Fryderyk Wilhelm stracił głowę: „Boże mój, to przecież znowu Jena i Auerstaedt!... Pewnie będzie trzeba uciekać z powrotem do Kłajpedy!..." narzekał głośno.

Aleksander jednak nie zniechęcił się tym niepowodzeniem, nie widać w jego oczach „błędnego spojrzenia", jakie miał niegdyś pod Austerlitz lub pod Friedlandem. Wierzy niezachwianie, że Bóg prowadzi go do niewątpliwych zwycięstw, toteż rozważa na chłodno ze swym otoczeniem dalsze zarządzenia.

Najbardziej dręczy go jednak myśl, że klęski sprzymierzonych opóźnią przystąpienie Austrii do przymierza; śle więc list do cesarza Franciszka, w którym zapewnia go, że:

Nic nie potrafi ugiąć mojej wytrwałości, liczę więcej niż kiedykolwiek na szybką współpracę Austrii.

W międzyczasie na radzie wojennej w Świdnicy postanowiono wycofanie się na razie ze Śląska i rozpoczęto dalszy odwrót ku Wiśle.

* * *

Nagle zupełnie niespodziewanie Napoleon prosi o rozejm. Dlaczego? Zwycięzca spod Lützen i spod Budziejowic wyznawał dotąd zasadę wyzyskiwania zwycięstwa do końca, aż do zupełnego zmiażdżenia zwyciężonego przeciwnika. Tego się właśnie najbardziej obawiali sprzymierzeni.

Tym razem jednak oczekuje posiłków, zwłaszcza jazdy oraz amunicji, bez której trudno by mu było zniszczyć armię rosyjską i pruską, nawet przed wystąpieniem Austrii.

Co skłania mnie do przerwania walki mimo obu tych zwycięstw? — pisze do księcia Eugeniusza, wicekróla włoskiego — to zbrojenia Austrii. Chcę zyskać na czasie, byś ze swoją armią zdążył na czas do Lublany. Trzeba się liczyć z tym, mój kochany, że bezczelność Austrii jest wprost niesłychana...

Napoleon pragnął bitwy rozstrzygającej, nowego Austerlitz. Po raz pierwszy jednak nie chce igrać z fortuną i próbuje paktować z nią, jakby już od Moskwy i od Berezyny nie ufał sobie, jakby mu w ostatniej chwili zbrakło odwagi.

Pożałował jednak niebawem tego kroku i spostrzegł niestety za późno, że było to zbyt niebezpieczne posunięcie i wcale nie w porę. Już jako więzień na Świętej Helenie wyrzucał sobie nieraz potem ten krok uważając, że był to wielki błąd polityczny i wojskowy z jego strony. W nim widzi nawet przyczynę wszystkich późniejszych swych nieszczęść, „fatalny węzeł, który powikłał wszystkie szanse i losy te kampanii". — Na usprawiedliwienie swe przytacza, że: „Berthier i Caulaincourt tak silnie na mnie naciskali, że musiałem ustąpić"..

Była to niestety smutna prawda. W kwaterze cesarskiej sprawy dyplomatyczne dzierżył wtedy Caulaincourt, duc de Vicence. Jego więc Napoleon wysłał do awangard rosyjskich z poleceniem, aby oznajmił, że gotów jest rozpocząć układy o pokój na warunkach zaszczytnych dla obu walczących stron.

Głównym celem rokowań było pozyskanie cara. W liście do niego pisze wówczas, że chce zbudować „złoty most" i uchronić go od intryg Metternicha... Zapewnia go, że zawarcie pokoju będzie tylko jego zasługą...

Zresztą — pisze — w osobistych rozmowach szybko osiągniemy porozumienie. Te rozmowy w kwaterze Waszej Cesar

skiej Mości doprowadzą na pewno do tego, że świat cały podzielimy pomiędzy siebie.

Napoleon widocznie, mimo rozczarowań w stosunku do Aleksandra, nie przestawał się łudzić, że odrobiną zręczności potrafi go ująć tak jak niegdyś w Tylży.

W sztabie rosyjskim sprawy dyplomatyczne prowadził młody hr. de Nesselrode, który już w roku 1811 jako poseł w Paryżu słuchał rad Talleyranda i od niego oraz od Caulaincourta otrzymywał wiele tajnych i cennych wiadomości.

Tymczasem duc Vicence'y, ufny w tę starą znajomość, pisze 28 maja do grafa Nesselrode:

Mam nadzieję, że nie będzie chyba przeszkody, żeby mnie cesarz Aleksander osobiście raczył przyjąć.

Mylił się jednak, przyszła bowiem odpowiedź, że car bawi na froncie, gdzie odbywa inspekcję wojsk, nie można się zatem z nim porozumieć. Jest to jednak w tej chwili bez znaczenia, bo pełnomocnicy zostali już desygnowani. O pokój pertraktować mają: hrabia Szuwałow, generał, adiutant Jego Cesarskiej Mości, cesarza Wszechrosji, oraz generał von Kleist, w służbie Jego Królewskiej Mości, króla Prus. W dalszym ciągu odpowiedzi Nesselrode dodaje radę, aby Caulaincourt jako pełnomocnik Napoleona poparł Austrię, która by przecież była najwłaściwszą mediatorką przy rozpoczęciu układów o pokój. — Jednym słowem, odesłano Caulaincourta do Metternicha.

Pełnomocnicy spotkali się 30 maja w opactwie Waldstadt. Układy szły ciężko i ciągnęły się prawie cały tydzień, jeszcze na zamku w Pleiswitz, o sześć mil na zachód od Wrocławia.

Rozejm podpisano 4 czerwca. Było to właściwie tylko

zawieszenie broni i, aby je uzyskać, Napoleon musiał się wyrzec Wrocławia, odstąpić od Odry i zgodzić się, aby jego zwycięskie wojska cofnęły się o 15 mil ku Lignicy.

Caulaincourt kilkakrotnie prosił o audiencję u cara, lecz ten zawsze znajdywał wymówkę. Widząc, że czeka bezskutecznie, postanowił otwarcie rozmówić się ze Szuwałowem.

Autentyczność ówczesnych wynurzeń Caulaincourta, które trwały aż trzy dni, potwierdzają w całej pełni oryginalne dokumenty, znajdujące się w rosyjskim archiwum. Z tego to źródła dowiadujemy się więc, że pełnomocnik Napoleona bez skrupułów odkrył wszystkie słabe strony armii francuskiej:

Nasze wojska są wyczerpane i rozproszone... — mówił — kolumna generała Bertranda, maszerująca na Strigau, ma was oskrzydlić... Książę Reggio posiada tylko dwanaście tysięcy ludzi, a wy nie kiwnęliście nawet palcem przeciw niemu!... Korpus marszałka Marmont, liczący początkowo 28 000 ludzi, posiada już teraz tylko połowę... Z wielkim trudem otrzymujemy też amunicję. Gdyby Kozacy zaczęli energicznie działać na naszych tyłach, mogliby nam przeciąć wszelkie połączenia, wyrządzając nieobliczalne szkody. Niech Wasza Książęca Mość zapamięta to, co mówię. Niedługo otrzymamy znaczne posiłki, a jeśli wkroczymy do Księstwa Warszawskiego, to wojna potrwa jeszcze lata. Wiedzcie o tym, że gdy my będziemy górą, to wasze argumenty będą wtedy na nic. Jeżeli więc macie jakie pretensje, to czemu ich teraz nie poprzeć silnym atakiem? Jeśli jesteście pewni, że Austria z wami pójdzie, to nie zawierajcie dziś z nami pokoju, jeśli natomiast nie macie tej pewności, to czasu do stracenia już nie ma![1]

[1] Wydaje się koniecznym, aby w myśl zasady *„audiatur et altera pars"* przeciwstawić tym słowom, wyjętym z listów Szuwałowa, to, co sam Caulaincourt pisze w swoich pamiętnikach, zresztą bardzo dokładnych i ścisłych. Niestety książę de Vicence pominął w nich zupełnie kampanię saską, a co za tym idzie, również i rozejm w Pleiswitz,

Hrabia Szuwałow, jak wiemy z jego listów nie wierzył własnym uszom. Podejrzewał w tych słowach jakiś fortel wojenny lub pułapkę, przygotowaną z „piekielną przebiegłością", którą „trudno zrozumieć". Niemniej jednak powoli doszedł do wniosku, że Caulaincourt życzy armii francuskiej wielkiej klęski, aby jak najprędzej mógł nastąpić pokój.

Tym razem margrabia Caulaincourt, książę de Vicence, generał dywizji, senator cesarstwa, wielki koniuszy korony, ambasador Francji i kawaler wielkiego orła legii honorowej, naprawdę upodlił się zdradą do cna; uczeń Talleyranda przeszedł swego mistrza.

Układ z 4 czerwca Napoleon określił krótko: „Rozejm ten nie jest dla mnie zaszczytny".

Zawieszenie broni zawarte zostało na sześć tygodni i przedłużone być miało do 10 sierpnia.

Aleksander czytając treść układu, który mu wręczył generał Szuwałow, natychmiast zauważył z radością: „jak bardzo to różni się od rozejmów, dotychczas zawieranych z Napoleonem". Wyznania Caulaincourta nie zdziwiły go wcale. Wyciągnął z nich wniosek, że sprawa aliantów bierze dobry obrót, skoro wśród otoczenia Napoleona są tacy sprzymierzeńcy.

* * *

Po rozejmie zawartym w Pleiswitz nastąpiło zwołanie kongresu na 16 czerwca w Pradze.

---

o którym zupełnie nie wspomina. Widać więc, że w tych nieszczęsnych dniach 7 czerwca 1813 r., gdy wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za układy tak wielkiej wagi, po raz pierwszy sprzeniewierzył się swemu zwyczajowi notowania wszystkiego „codziennie o każdej porze, nawet na biwaku".

Kongres ten jednak, „najbardziej szyderczy z kongresów", jak mówił Nesselrode, stanowił tylko dekorację do dyplomatycznej komedii. Wymieniono tam wiele słów pustych i ugrzecznionych not, tymczasem ani jedna, ani druga strona nie myślały naprawdę o pokoju, z góry bowiem wiedziano, że zerwanie będzie nieuniknione.

Duc de Vicence za kulisami grał nadal swą rolę, którą wziął na się w Pleiswitz. Zwierzenia jego wobec Metternicha potwierdzają wyznania uczynione Szuwa owowi: „Moim jedynym poleceniem, jakie otrzymałem, jest emablowanie kanap... Czyż mało macie wojska, aby nas zmusić nareszcie do rozwagi? Zepchnijcie nas znowu do Francji wszystko jedno czy wojną, czy przez pokój. Będzie was błogosławić trzydzieści milionów Francuzów, a nawet każdy z obecnych przyjaciół cesarza, o ile ma trochę oleju w głowie". W urzędowym raporcie Caulaincourt notuje równocześnie. „Zachowywałem ściśle zleconą mi rezerwę".

Przebiegły Metternich nie potrzebował tej zachęty, aby zdecydować się wreszcie na wystąpienie przeciwko Francji. Było to tym bardziej na czasie, że nadeszły wieści o nowej klęsce wojsk francuskich w Hiszpanii pod Vittoria, gdzie Wellington odniósł wspaniałe zwycięstwo. Zaraz potem nastąpiła ucieczka króla Józefa z Madrytu, toteż droga aż do Pirenejów stanęła dla Anglików otworem.

Od sześciu miesięcy Metternich prowadził po mistrzowsku sztukę „ubocznych pociągnięć i pośrednich kroków" starając się zachować pozory, że Austria uczyniła wszystko ze swej strony, aby Napoleona nad brzegiem przepaści powstrzymać.

Przed kilku tygodniami, gdy wahał się jeszcze przy-

łączyć do koalicji — mimo że całym sercem pragnął uwolnić Europę od Francuzów, to jednak stanowczo był przeciwny, aby losy Polski i Niemiec pozostawić w rękach Romanowów i Hohenzollernów. Te ostatnie jego wątpliwości rozproszyło jednak spotkanie się z ukochaną siostrą Aleksandra w Cieplicach.

Katarzyna Pawłówna owdowiawszy w grudniu 1812 r., oglądała się właśnie za nowym małżonkiem i pod pozorem kuracji bawiła we Franzensbadzie. Aleksander dowiedziawszy się o tym naznaczył siostrze spotkanie w Cieplicach, dokąd z kwatery cesarskiej było niedaleko.

Nadzieja — pisze do niej — że się zobaczę z tobą, napełnia mnie nieopisaną radością... z niecierpliwością czekam na tę chwilę, gdy będę mógł Cię przycisnąć do serca...

Po długiej rozłące, która obfitowała w tyle poważnych zmian, oboje odczuwali potrzebę zwierzeń i czułości.

Już podczas kongresu w Pradze w końcu lipca, gdy Austria wahała się jeszcze, czy rzucić swój miecz na szalę, Aleksander przemyśliwał,by użyć wdzięków siostry, tej „szalonej czarodziejki", do ostatecznego pozyskania Metternicha. 1 sierpnia pisze do siostry list, który nie potrzebuje komentarzy:

Wzruszają mnie bardzo twe zabiegi dla wspólnej sprawy. Nie umiem Ci nawet podziękować za to wszystko, coś już uczyniła... Szkoda jednak, że nic mi jeszcze nie donosisz o Metternichu jak i o tym, co należy przedsięwziąć, aby go całkowicie pozyskać. Dosyć mam środków na ten cel, więc oszczędzać nie potrzebujesz. Upoważniam Cię przeto do tej taktyki, która nigdzie i nigdy jeszcze nie zawiodła.

Katarzyna natychmiast zabrała się do dzieła. Lepszej pośredniczki Aleksander nie mógłby znaleźć, gdyż jak

powiada La Rochefoucauld o pięknej księżnie de Chevreuse: „umiała użyć wszystkich swoich wdzięków, gdy chciała cel osiągnąć". Już 2 sierpnia Katarzyna otrzymuje „niezbędne środki", w osiem dni później Austria wypowiada wojnę Francji.

Gdy więc Napoleon uniósł się w Dreźnie 28 grudnia i zarzucił Metternichowi przedajność, to miał do tego poważne podstawy. Mógł też bez ogródek rzucić mu w twarz obelgę: „No — Metternich, ileż ci obiecała Anglia, za wypowiedzenie mi wojny?.

* * *

Działania wojenne rozpoczęły się ponownie 16 sierpn a. Armia francuska liczyła wtedy 280 000 ludzi. Koalicja zaś rozporządzała siłą 484 000. Dnia 27 sierpnia Napoleon odniósł zwycięstwo pod Dreznem, lecz nie dało mu ono pożądanych wyników, ponieważ jego generałowie ponieśli prawie równocześnie porażki pod Grossbeeren, Katzbach, Kulm i Dennevitz. Stracił zatem swobodę ruchów i zmuszony był ustępować przed ks. Schwarzenbergiem, generalissimusem koalicji.

Trzej sprzymierzeni monarchowie, pełni dobrych przeczuć, spotkali się tymczasem w Cieplicach, aby rozszerzyć i umocnić podstawy wzajemnego porozumienia, do którego wciągnięto i Anglię. W planie jest przebudowa całej Europy na „skalę z 1805 roku" i stworzenie potężnych barier przeciwko Francji. W czasie rokowań Aleksander coraz bardziej wyróżnia się rozumem oraz szerokim i rzeczowym ujmowaniem sprawy, wreszcie forsuje niezłomne postanowienie dalszego prowadzenia wojny aż do chwili detronizacji Bonapartego. Nieraz wtedy powtarzał:

„Pamiętam, co mi w Erfurcie mówił Napoleon, że na wojnie rozstrzyga upór. Dzięki niemu odnosiłem zawsze zwycięstwa... dowiodę mu teraz, że nauki jego w las nie poszły!".

* * *

Dnia 15 października w Lipsku Napoleon zrozumiał jasno, że osaczono go wokoło, pragnął więc zapewnić sobie chociaż „zaszczytny odwrót". Wiedział, że siły wroga liczyły w tej chwili 349 000 ludzi, w czym było 54 000 jazdy; dla ich zwalczenia zdołał zgromadzić zaledwie 155 000 ludzi, w czym 22 000 jazdy. Mimo tak olbrzymiej przewagi nie zwątpił w swoją gwiazdę, toteż bez wahania przechodzi do ataku, lecz gdy go bawarskie oraz saskie pułki zdradziły, po czterech dniach, 18 października zaprzestał działań zaczepnych. Następnego dnia zaczyna się nie odwrót, ale ucieczka.

4 listopada Napoleon, wraz z niedobitkami swej armii, przeprawia się pod Moguncją za Ren.

W ostatnim dniu bitwy pod Lipskiem, w chwili gdy ważyły się szale, Aleksander odważnie nadstawiał głowę osobiście podtrzymując odwagę swych żołnierzy w najbardziej zagrożonych miejscach, dokąd rzucał nadwornych kozaków.

Wieczorem na kwaterze oblicza skutki gigantycznych zmagań, serce rozpiera mu uczucie, że to Opatrzność go powołała do spełnienia jakiegoś nadludzkiego posłannictwa.

21 października pisze do Golicyna:

Wszechmocny Bóg zesłał nam wspaniałe zwycięstwo, odniesione po czterodniowej bitwie pod murami Lipska nad tym, tak sławnym Napoleonem. Istota Najwyższa dała dowód, że

wobec Niej nic się nie ostoi, że wszelka wielkość niczym na tym świecie. To tylko wielkie, co sam Bóg podniesie...

...27 generałów, blisko 300 armat i 37 000 jeńców — oto plon tych pamiętnych dni. Jesteśmy oddaleni od Frankfurtu nad Menem tylko dwa dni marszu. Możesz sobie zatem wyobrazić, co się we mnie dzieje!

* * *

„Dwa dni marszu od Frankfurtu". — Słowa te odsłaniają zamiary Aleksandra, kiełkujące już od dawna w jego mózgu.

Frankfurt to dawna stolica świętego imperium niemieckiego, miasto koronacyjne cesarzy niemieckich, z którym od lat tysiąca związana była myśl o cesarstwie rzymskim.

Aleksandrowi niezmiernie zależało na tym, aby być pierwszym we Frankfurcie. Niech wie Europa, że to on wiedzie koalicję, a za nim dopiero cesarz Austrii z królem pruskim. Wyobraża już sobie, z jaką dumą przyjmie w pałacu Roemer dziedzica Habsburgów, który w 1792 wybrany tam „Cesarzem Niemiec", w roku 1806 haniebnie musiał zrezygnować z tej wspaniałej korony, korony Augusta i Trajana, Konstantyna i Teodozjusza, Karola Wielkiego i Ottona, Fryderyka Rudobrodego, Maksymiliana i Karola V. Cóż to za upojenie pychy Romanowa!

Znalazł się jednak ktoś, kto przejrzał cara.

Metternich uznał, że przystojniej będzie, gdy cesarz Franciszek pierwszy wkroczy do Frankfurtu przed innymi panującymi, wezwał więc ks. Schwarzenberga naczelnego wodza, aby tak pokierował wojskiem, żeby czoło kolumny rosyjskiej i pruskiej dosięgło bram Frankfurtu dopiero

w dwa lub trzy dni po wejściu do miasta przednich straży austriackich.

Gdy rozkazy te nadeszły do rosyjskiej kwatery, Aleksander zostawił piechotę oraz artylerię i zebrawszy pospiesznie swe najpiękniejsze pułki jazdy, ruszył w skok do Frankfurtu, gdzie znalazł się już 5 listopada. Usadowiwszy się jak władca w Roemerze, w dwa dni później przyjął uroczyście dziedzica Habsburgów, Franciszka I, mało zresztą orientującego się w sytuacji, któremu nigdy zapomnieć nie mógł, że córę germańskich cezarów rzucił na łoże Bonapartego!

Samowolne i wyzywające zachowanie się cara wywołało zniecierpliwienie sprzymierzonych, nadto zaczęło ich niepokoić; Napoleon bowiem, choć zwyciężony nad Berezyną i pod Lipskiem, nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa, a fortuna mogła się doń jeszcze uśmiechnąć. Austria przypuszczając nawet, że Bonaparte jest już zgubiony, chętnie liczyła na oddanie regencji Marii Ludwice. Kawaler von Gentz, przewidujący doradca Metternicha, bynajmniej tego nie ukrywa w swych zapiskach. „Gdy się zważy — powiada — do jakiej potęgi mogłaby dojść Austria, gdyby szczerze poparła syna Napoleona, to zrozumiałe będzie zdziwienie potomności, dlaczego dzisiaj nie wzięto takiej możliwości pod uwagę..." Zobaczycie — pisze dalej — że Austria pod naciskiem Anglii pracować jeszcze gotowa, i to z całego serca, aby przywrócić tron Bourbonów!

Dzięki zręcznemu manewrowi, który był iście szarlatańską sztuczką, Metternich skłonił sprzymierzonych do oficjalnego ogłoszenia warunków powszechnego pokoju, w których pierwszy artykuł „gwarantuje Francji jej naturalne granice".

Akcja Metternicha trafiła na grunt podatny, gdyż o pokoju myśleli właśnie wszyscy oprócz Aleksandra i byliby go zawarli nawet na polu bitwy. O detronizacji Napoleona nikomu wtedy jeszcze się nie śniło, szczególnie, gdyby oddał pośrednictwo w pertraktacjach w jakieś odpowiednie ręce, i tu wszyscy myśleli o panu de Caulaincourt.

Napoleon pragnął pokoju niemniej od sprzymierzonych tym bardziej, że opinia Francji z każdym dniem odnosiła się do niego coraz nieprzyjaźniej; toteż gotów był zgodzić się nawet na „warunki, dyktowane z Frankfurtu". Niejasność jednak i wiele niedopowiedzeń, jakich było pełno w deklaracji pokojowej, a zwłaszcza „dwuznaczna formuła granic naturalnych" przemówiły do niego tak logicznie, że momentalnie spostrzegł genialne oszustwo Metternicha. Wreszcie w tym czasie Napoleon, więcej niż kiedykolwiek, wierzył znowu w swoją szczęśliwą gwiazdę. Do pokoju zatem nie przyszło.

ROZDZIAŁ XIII

Kampania francuska, strategiczny plan sprzymierzonych, nagła inwazja, 29 styczeń i luty 1814 roku, Napoleon ponosi poważne porażki pod Brienne i La Rothiere.

5 lutego otwarcie kongresu w Châtillon-sur-Seine, przygnębienie Caulaincourta — tragiczna godzina Napoleona — nocne rozmyślania o dumnym postąpieniu Ludwika XIV w r. 1712; Caulaincourt uzyskuje „ wolną rękę" w pertraktacjach. — Nagłe ocknienie się geniuszu cesarza — znowu błysnął jak w czasach Arcole i Rivoli. — W ciągu 5 dni, tj. od dnia 10 do 14 lutego, atakuje odzielnie sprzymierzonych i bije na głowę pod Champaubert Montmirail, Chateau Thierry i Vauxchamps. — „Lew jeszcze żyje..." — Zamęt wśród sprzymierzonych — zerwanie kongresu. — Nie rozstrzygnięte bitwy pod Craonne, Laon i Arcis-sur-l'Aube ponownie osłabiają położenie Napoleona —

Paryż zagrożony. — Napoleon niezwykle odważnym manewrem usiłuje przedrzeć się na tyły sprzymierzonych, aby ich odciąć od Renu. — Trwoga sprzymierzonych. — Nagła zmiana. — Natchniony „skinieniem Bożym" car nakazuje natychmiastowy marsz na Paryż. — Narada wojenna w polu, na drodze z Sommepuis do Vitry. — 29 marca sprzymierzeni stoją pod Paryżem. — Następnego dnia wielka bitwa. — Na szczycie Butte Chaumont Aleksander wpada w ekstazę. — „Jam to uczynił z woli Opatrzności"...

Kapitulacja Paryża 31 marca. — Wkroczenie sprzymierzonych — Car u Talleyranda; gniazdo intryg w pałacu przy ulicy Saint Florentin. — Aleksander w roli wspaniałomyślnego twórcy pokoju. — Talleyrand nakłania go do przywrócenia tronu Bourbonom. — Zdrada Marmonta pod Essone pociąga za sobą upadek Napoleona. Ludwik XVIII przybywa do Compiégne. — Car przyjmuje go wyniośle i niezbyt uprzejmie. — „Można by sądzić, że chce zasiąść na moim tronie". Aleksander kokietuje napoleonidów. — Uprzejme ukłony w stronę cesarzowej Józefiny i królowej Hortensji. — Pochlebstwa pani Staël. — Dyplomatyczne konferencje; pojednawcza akcja Aleksandra — traktat z 21 maja 1814 r. Z Paryża Aleksander udaje się do Londynu, aby uzyskać na przyszłym kongresie w Wiedniu poparcie przeciwko Austrii. — Niepowodzenie jego planów, sukces Metternicha. — Triumfalny wjazd Aleksandra do Petersburga w dniu 19 lipca.

W czasie od 21 grudnia 1813 do 1 stycznia 1814 r. sprzymierzone wojska przekraczają Ren pomiędzy Koblencją a Bazyleją w sile 250 000 ludzi, która niebawem wzrosła do 480 000.

Głównymi siłami, tak zwaną „armią czeską", dowodzi Schwarzenberg posuwając się przez Szwajcarię i Góry Jurajskie; Blücher dowodzi „armią śląską", która wkracza do Alzacji i Lotaryngii; trzecia armia, „armia północna" tworzy się w Holandii, pod rozkazami Bernadotte'a, następcy tronu szwedzkiego.

Dało się wonczas słyszeć echo uderzeń ostatnich godzin epopei.....

Nieszczęsny cesarz czuł bliski upadek, lecz duch w nim był mocny — a geniusz jego zrywał się do lotu — wyżej — jak nigdy przedtem. — Ale zmienna fortuna

odwróciła się teraz — Talleyrand zwał to „początkiem końca" knując i ryjąc w Paryżu.

Napoleon się cofał. Jakiż był plan sprzymierzonych...? Nie było żadnego, a raczej — jak we wszystkich koalicjach — każdy partner miał plan odrębny.

Z początku nie spotykając nigdzie oporu szli po prostu naprzód, przed siebie, lecz 26 stycznia, gdy swe szeregi rozwijali już nad Sekwaną, Aube i Marną, słuchy, że Napoleon nadchodzi — zwarły ich na nowo i zmusiły do porozumienia.

Wśród kłótni i intryg sztabów Aleksander uparcie wypowiada się za bezzwłocznym marszem na Paryż. Ostrożny i nie zdecydowany Schwarzenberg nie chciałby się zbytnio narażać, stary Blücker, pełen zapału, popiera jednak energicznie cara, Fryderyk Wilhelm nie śmie się sprzeciwiać. Cesarz Franciszek i Metternich w porozumieniu ze Schwarzenbergiem proponują jednak, aby nie atakować zbyt gwałtownie i nawiązać nowe rokowania z Napoleonem, na zasadach frankfurckich. Chcieli się ograniczyć na „zepchnięciu potęgi francuskiej w granice takie, jakie odpowiadają równowadze Europy".

* * *

W tym właśnie czasie przybył do przednich straży koalicji Caulaincourt z oficjalną misją i zaanonsował się do austriackiego ministra osobnym listem: „Mój pobyt w Pradze — pisze — pozwolił mi tak dobrze poznać wzajemne nasze stosunki, że z całą przyjemnością staram się je zawsze odnawiać. Pragniemy teraz pokoju i mam wrażenie, że Wasza Ekscelencja uwierzy w szczerość tego pragnienia, chociażby dlatego tylko, że wychodzi ono właśnie z moich ust..."

Aluzja do rozmów praskich jest zupełnie wyraźna.

Metternich nalega, aby nie spieszyć się z odmowną odprawą. Przecież Caulaincourt w czerwcu ubiegłego roku mówił do niego tak przekonująco: „Czyż mało macie wojska, aby nam dać nareszcie dobrą nauczkę? ... Wciśnijcie nas z powrotem w granice Francji; obojętne, czy dokonacie tego wojną czy pokojem, trzydzieści milionów Francuzów będzie Was błogosławić".

Aleksander, który znał na wylot „znamienity rozum" Caulaincourta, zgadza się więc, ale pod naciskiem i bez ochoty na tego rodzaju załatwienie sprawy. Zastrzega się jednak równocześnie, że pertraktacje pokojowe nie wstrzymają w zasadzie dalszych działań wojennych.

Zastrzeżenie to okazuje się zupełnie usprawiedliwione, gdyż już 29 stycznia Napoleon ponosi pod Brienne, w dolinie Aube, a 1 lutego pod Rothière na Aube, dwie dotkliwe porażki, które wśród sprzymierzonych wywołują niezwykłą radość, gdyż są dowodem, że nawet na ziemi francuskiej zwyciężony spod Lipska nie odnalazł już swego szczęścia. Mają przy tym nadzieję, że te ostatnie klęski nauczą wreszcie Napoleona rozumu.

* * *

Nowe pertraktacje rozpoczęły się 5 lutego w Châtillon-sur-Seine. Sprzymierzeni monarchowie, ich ministrowie i sztaby, pozostali natomiast w Langres. Hr. Razumowski reprezentuje Rosję, hr. Stadion Austrię, br. Humboldt Prusy, a lord Cathcart oraz lord Castlereagh Anglię. Niepokój i przygnębienie Caulaincourta zwraca ogólną uwagę. Według słów Stadiona, robi on wrażenie człowieka złamanego przez nieszczęsne okoliczności, który za każdą cenę pragnie zakończenia wojny chętnie zgadza-

jąc się na wszystkie żądania, by móc jak najprędzej przedstawić swemu władcy do podpisu jakikolwiek bądź układ.

Zaraz od pierwszego wrażenia zorientował się on w nastrojach, panujących pośród sprzymierzonych, a zwłaszcza u Aleksandra zauważył jakąś mściwą zaciekłość. Jego złudzenia frankfurckie rozwiały się zatem zupełnie:

Wszyscy pełnomocnicy — pisze do cesarza Napoleona — wyrazili zgodę na szybkie zawarcie pokoju, lecz przecież mam wrażenie, że mimo tych jednomyślnych zapewnień, będą teraz stawiali wysokie wymagania. Przewiduję konieczność „wielkich ofiar", których najeźdźcy będą żądać, przy czym nie zadowolą się już „wciśnięciem Francji do naturalnych granic", lecz żądać będą może zepchnięcia jej do granic z roku 1792.

Caulaincourt przerażony tym, co zauważył, i tym, co przewiduje, obawiał się, że może utracić sposobność, która zapewne nigdy by się już nie powtórzyła, toteż usilnie prosi Napoleona o pełnomocnictwa.

Dla Napoleona była to tragiczna godzina, a jednak jedna z najbardziej wielkodusznych godzin w jego życiu.

List Caulaincourta doszedł go w Troyes w nocy. — Chcąc skrócić chwile oczekiwania i dodać sobie otuchy przeglądał zwyczajem swoim jeden z tomów Monteskiusza, które woził ze sobą. Przed chwilą właśnie przeczytał zdanie tego mistrza prozy francuskieij o Ludwiku XIV i jego pamiętnym wielkodusznym postanowieniu z roku 1712. „Nie znam chyba bardziej szlachetnego postanowienia, jak jednego z monarchów naszych czasów, który wolał był raczej zginąć pod gruzami tronu niż zgodzić się na hańbiące warunki. Był on zanadto dumny, aby uchylić głowę przed nieszczęściem".

Może wspomnienie tej okropnej nocy dało Napoleonowi prawo na Świętej Helenie wyrzec słowa: „Sama natura — zdaje się — przygotowała mnie już do znoszenia wielkich prób losu. Nieszczęścia jednak uderzały zawsze o marmur, który noszę w duszy, tak że nawet piorun go się nie imał i przyszło mu tylko ześlizgnąć się po nim".

Na usilne prośby otoczenia Napoleon udzielił Caulaincourtowi „carte blanche", dodał jednak kilka zastrzeżeń, które równocześnie silnie ograniczyły zbyt może szerokie pełnomocnictwo.

Caulaincourt czuje się przygnębiony tą niby „carte blanche", którą mu dano i cofnięto jednocześnie, toteż denerwuje się i narzeka: „Jestem wprost zmuszony iść po omacku, bez przewodnika", tym bardziej, że wokoło nie widzi „ani jednego sprzymierzeńca, ani przyjaciela, a nawet chociażby tylko kogoś obojętnego".

Ze wszystkich posłów koalicji najbardziej nieugięty i wrogo usposobiony jest Razumowski. Nienawidzi on Caulaincourta: „Gdy stykam się z księciem de Vicence — mówił — zawsze widzę za nim widmo księcia d'Enghien". Poza tym podzielał on zdanie swego władcy, że „nie można zawierać pokoju z Napoleonem w przededniu jego upadku".

Do rozmów poufnych Caulaincourt znalazł jednak wśród delegacji rosyjskiej powiernika, a był nim ulubiony współpracownik cara, Karol de Nesselrode, wielki przyjaciel Talleyranda, którego zresztą w swoim czasie umiał pozyskać za łapówkę.

* * *

Tymczasem działania wojenne toczą się nieprzerwanie na całym froncie, nad Marną, nad Sekwaną i rzekami Aube i Ourcq. Sprzymierzeni prą naprzód. Patrole kozackie dotarły nawet do Melun. Napoleon tym razem naprawdę „jest w przededniu upadku".

O czwartej nad ranem 8 lutego, po nocy pełnej udręczeń, Napoleon pisze z Nogent-sur-Seine do swego brata Józefa:

Paryża nie oddam, póki żyję... Jeśli otrzymasz wiadomość o klęsce i mej śmierci, wyślij cesarzową i króla Rzymu do Rambouillet. W tym wypadku rozkaż również Senatowi, Radzie Stanu oraz wojsku, aby się zebrali nad Loarą... Nie pozwól nigdy na to, aby cesarzowa i król Rzymu wpadli w ręce wroga... Wolę, by syn mój był zamordowany, niż patrzeć, jak wychowują go w Wiedniu na austriackiego księcia. Patrząc na Andromachę nie mogę się niestety powstrzymać, żeby nie żałować losu biednego Astianaksa i zdaje mi się, że zbyt wielkim nie byłoby szczęściem dla niego przeżyć ojca... Zresztą możliwe jeszcze, że nieprzyjaciela idącego na Paryż pobiję.

To ostatnie zdanie było jakby zapowiedzią, że twórczy geniusz Napoleona budzi się nagle, znowu olśniewa, jak niegdyś w czasach Arcole, Rivoli, Marengo, Ulm, Austerlitz lub Jeny. Karta zdaje się znów odwracać.

Sprzymierzeni pragnąc jak najśpieszniej dostać się do Paryża popełnili błąd rozpraszając swe siły. Między 10 a 14 lutego Napoleon uderza na ich wojska, na każde oddzielnie i zadaje im ciężkie klęski pod Champaubert, Montmirail, Chateau-Tierry i Vaux-Champs.

Upojony dumą i pełen nadziei czuje się znowu bogiem wojny. Nie wątpi, że zwycięży i że zniszczy koalicję. Księciu Bassano, który go mityguje, zniecierpliwiony rzuca trywialnie, ale dosadnie i dowcipnie: „Lew jeszcze

nie zdechł, trochę jeszcze za wcześnie zesz.... się na niego". Wieczorem po zwycięskiej bitwie pod Champaubert mówi do swoich marszałków: „Jeżeli jeszcze jutro odniesiemy takie zwycięstwo, to wygnam sprzymierzeńców za Ren... a od Renu do Wisły jest tylko jeden krok!".

* * *

Nagły uśmiech fortuny w stronę Napo'eona wywołuje zamieszanie wśród sprzymierzonych. Austriacy i Anglicy myślą już nawet o rokowaniach osobnych na wypadek, gdyby Aleksander trwał nadal w szalonym, ich zdaniem, zamiarze marszu na Paryż. Posłowie angielscy zaklinają cara, „aby nie czekał aż będzie musiał wrócić za Ren" i by się zgodził „na zawarcie pokoju na warunkach, które by teraz były do przyjęcia". Aleksander odmawia, uważa bowiem, że pokój z Napoleonem nigdy nie będzie niczym innym jak tylko krótkotrwałym zawieszeniem broni a nieprędko nadejdzie sposobność taka, abym mógł czterysta mil spieszyć na ratunek Europy. „Nie zawrę pokoju tak długo, póki Napoleon siedzi na tronie"...

Koalicja coraz więcej zmienia się na osobisty pojedynek Napoleona z Aleksandrem. Wzajemna nieustępliwość doprowadza kongres w Châtillon do fiaska, po powzięciu kilku nic nie znaczących uchwał. Nieszczęsny Caulaincourt jest bezradny, błaga Napoleona, aby się co prędzej układał, widzi bowiem, że ostateczna klęska jest nieunikniona. Ośmiela się nawet wspomnieć o możliwości przywrócenia tronu Bourbonom.

Rady Caulaincourta były nie w porę, gdyż 17 i 18 lutego Schwarzenberg poniósł klęskę pod Mormant, pod Nangis i pod Montereau i cofnął się pospiesznie na Langres.

Napoleon ostro strofuje niefortunnego tym razem doradcę: „Uważam, że sprawę pokpiłeś i zupełnie nie wiesz, o co mi chodzi. Nałykałeś się bajek. Ja sam postawię ultimatum. Wolałbym widzieć Paryż w rękach wroga niż niesławę i zniszczenie Francji. Twoje łajdackie propozycje oburzają mnie. Hańbą byłoby godzić się na coś takiego. Kłujesz mnie w oczy Bourbonami. — Niech przyjdą — ułożę się z nimi, wolę to niż Twoje bezczelne namowy". Zaiste Caulaincourt wikłał się coraz bardziej. — Rola siedzenia na dwóch stołkach stawała się coraz to trudniejsza.

Czy można go rozgrzeszyć? —

Był wrogiem Napoleona, lecz podobno kochał Francję — wszelkie drogi prowadzą do Rzymu. — Takie to może było podłoże jego roli w Petersburgu i w Erfurcie. — Może? — jak dla kogo! — a jego wiarołomstwo w Pleiswitz i w Pradze?

Pamiętać trzeba również, że Aleksander w jakiś czas potem wspomniał Ludwikowi XVIII o Caulaincourcie i o wyjątkowych przysługach, jakie ten dyplomata wyświadczył Bourbonom... — Co może oznaczać ta aluzja? Czyżby Caulaincourt odegrał jakąś rolę w układach z hr. Artois a sprzymierzonymi, które nawiązały się w owym czasie za pośrednictwem barona de Vitrolle i które były pierwszym krokiem Bourbonów na drodze do restauracji?

* * *

Zacięte, choć nierozstrzygnięte 22 marca potyczki, pod Craonne, Laon, Arcis-sur-Aube, poprawiły nieco położenie sprzymierzonych umożliwiając im rozpoczęcie natarcia.

Paryżowi zagraża powtórnie niebezpieczeństwo.

Wówczas to przyszedł Napoleonowi na myśl ryzykancki plan, jakiego chyba nigdy w życiu nie powziął: prześlizgnąć się między wojskami na tyły wroga, rzucić się na linie łączności i odciąć go od Renu. Wiedział, że tym manewrem odsłoni Paryż, lecz był za to spokojny, że alianci nie ośmielą się ruszyć na stolicę czując go za sobą. Spodziewał się, że gdy w Lotaryngii oprze się o Metz, to już łatwo zakończy wojnę zwycięsko za jednym zamachem.

Pierwsze swe poruszenia przeprowadził Napoleon tak niezwykle zręcznie, że po prostu znikł z oczu sprzymierzonym. Nie mieli oni nawet pojęcia, w jakim kierunku się cofnął. Chmary kozaków napróżno przeszukiwały drogi w pobliżu Châlons, Sézanne i Montmirail, a nikt nie przypuszczał, że Napoleon idąc na Saint-Dizier, Bar-le-Duc i Toul jest już na drodze ku Mozie i Mozeli.

Niestety już 24 marca kurierzy francuscy przejęci przez Schwarzenberga wydali, że Napoleon znajduje się pomiędzy Vitry i Saint-Dizier oraz że zamierza rzucić się na armię rosyjsko-pruską w miejscach zaopatrzenia i odciąć jej odwrót.

W kilka godzin później w ręce sprzymierzonych wpadł bezcenny dokument, bo własnoręczny list Napoleona do Marii Ludwiki, w którym wprost w niesłychanie lekkomyślny sposób, odsłaniał tej aż nadto naiwnej i nierozważnej kobiecie cały sekret swego mądrego podstępu — zamiar zaskoczenia wroga na tyłach, odciągnięcia go do Paryża i pobicia pod osłoną twierdz w Lotaryngii. Przerażony takim odkryciem generalissimus austriacki zwołał natychmiast radę wojenną w Pougy, pomiędzy Arcis i Brienne. Aleksander i Fryderyk Wilhelm wzięli

w niej udział, cesarz Franciszek przybyć nie mógł, gdyż znajdował się wtedy zbyt daleko, aż w Bar-sur-Aube.

Schwarzenberg widząc że jest już odcięty od Szwajcarii i od Renu, proponuje, aby drogę otworzyć ku Belgii przez Châlons, Reims, Maubeuge. Obydwie armie, śląska oraz czeska, winny się jego zdaniem połączyć zaraz nad Marną, aby wspólnymi siłami móc powstrzymać uderzenia Napoleona. Manewr ten wskazany koniecznością, który aliantom dawał jeszcze niejakie szanse, przyjęli wszyscy. Toteż odpowiednie rozkazy zostały natychmiast wydane.

Tegoż dnia wieczorem do rosyjskiej kwatery, mieszczącej się we wsi Sommepuis o pięć mil od Vitry, przypłynęła istna fala nowin. Kozacy znowu pochwycili sztafetę jadącą z Paryża do Napoleona. W rosyjskie ręce wpadła tym razem cała paczka listów i tajnych depesz od ministra policji i najwyższych urzędników cesarstwa, które donosiły o niepokoju i przygnębieniu w Paryżu, o rosnącej nędzy i zaburzeniach na prowincji, o pustkach w skarbie i w arsenałach, o powszechnym pragnieniu pokoju oraz o braku jakichkolwiek środków materialnych i moralnych do dalszego prowadzenia wojny.

Aleksander spędza całą noc nad tymi rewelacyjnymi dokumentami.

Na kilka dni przedtem w Troyes Nesselrode przedstawił mu emisariusza Talleyranda i rojalistów, barona de Vitrolles. Car zimno przyjął tego, jak się wyraził, „dyplomatycznego komiwojażera". Aleksander nigdy nie zachwycał się Bourbonami, uważał ich za zbyt zarozumiałych i tępych, może z powodu utraty tronu i niezdolnych już do zrozumienia nowej Francji.

Tej nocy przypomniał sobie usilne nalegania barona de Vitrolles, który tak mówił wówczas:

„Zmieńcie panowie wasze metody, wojnę strategiczną odłóżcie, a rozpocznijcie wojnę polityczną... Idźcie prosto na Paryż, tam nikt walczyć nie pragnie, tam was oczekują, wzywają i przyjmą z otwartymi rękami"...

Depesze przejęte przez kozaków potwierdzały słowa rojalisty, toteż prysły wszelkie wątpliwości.

Ze świtem car zawezwał swego szefa sztabu i najbliższego z powierników ks. Piotra Wołkońskiego oraz adiutantów i generałów Barclaya de Tolly, Dybicza i Tolla.

Kładąc palec na mapie — rozpoczął naradę:

— Nasze połączenie z Blücherem już przywrócone, co dalej czynić? Czy iść śladem Napoleona i zaatakować go wspólnymi siłami, które dziś zresztą przewyższają już jego siły, czy też ruszyć na Paryż? Co o tym sądzicie, panowie?".

Zmieszani powagą zapytania oficerowie milczą, żaden z nich nie śmie się pierwszy odezwać.

Aleksander zwraca się do Barclay'a de Tolly:

— Jesteś tu najstarszy, mów!

Barclay rzucił okiem na mapę i rzekł:

— Trzeba nam złączyć wszystkie siły i iść za Napoleonem, a z chwilą gdy go dopadniemy, wsiąść mu na kark.

Nie zdradzając swych myśli car daje znak Dybiczowi. Ten niezdecydowanie, nieśmiało i nadto ostrożnie podsuwa plan pośredni, by stworzyć dwie armie, z których jedna poszłaby na Paryż, a druga ścigała Napoleona.

Toll, który słuchał niecierpliwie, żywo protestuje.

— Toż to najgorsza kombinacja, dzięki niej będziemy wszędzie słabi i wszędzie pobici... w obecnej chwili ist-

nieje tylko jeden możliwy manewr: z całym pośpiechem i z całą naszą potęgą ruszyć na Paryż, pozostawiając dwie lub trzy dywizje kawalerii, aby Napoleon za późno się spostrzegł, że nie idziemy za nim.

Carowi można było wyczytać z twarzy, że podzielał to zdanie, ale złośliwy Dybicz zaraz dorzucił:

— Zaiste, jeśli Wasza Cesarska Mość pragnie przywrócić tron Bourbonom, nie możemy lepiej postąpić jak bez zwłoki i wszystkimi siłami ruszając na Paryż.

Lecz car przerwał ostro:

— Tu nie chodzi o Bourbonów, lecz o obalenie Napoleona.

Barclay de Tolly próbował jeszcze protestować:

— Napoleon spostrzeże się szybko, że go już nie ścigamy i zawróci natychmiast, zgniecie naszą jazdę i napadnie z tyłu na nasze wojska. A zresztą, kto nam zaręczy, że Paryż nie będzie się bronił rozpaczliwie, że nasza armia nie wyczerpie się w ulicznych walkach? Wreszcie wzięcie Paryża nie uczyni nas panami Francji. Pamiętajmy o przykładzie, jaki dała nam Moskwa... Nie — wszystkie nasze wojska musimy rzucić na Napoleona.

Dyskusja między generałami ożywia się. Wszyscy pochylają się nad mapą, mierzą odległości, szacują iczbę wojsk, tymczasem car, który wydaje się bardziej stroskany i niespokojny, opuszcza na chwilę pokój, gdzie odbywa się rada wojenna.

Gdy po kilku chwilach powrócił, dziwny blask bił z jego oczu; zaraz oświadcza stanowczo:

— Postanowiłem ruszyć natychmiast na Paryż!

Kazał też natychmiast podawać sobie konia, aby powiadomić o swym postanowieniu Schwarzenberga, który

stał w odległości dwóch lub trzech mil, na drodze z Sommepuis do Vitry.

Co mogło zajść w ciągu tych kilku chwil, które Aleksander spędził samotnie w sąsiednim pokoju? Aleksander pisze o tym do księcia Golicyna:

Uczułem w głębi serca jakieś nieokreślone uczucie jakby oczekiwania oraz nieodparte pragnienie powierzenia wszystkich spraw w ręce Boga, opuściłem więc obrady na chwilę, by samotnie móc skupić myśli. Ugięły się wtedy pode mną kolana i otwarłem przed Panem całe moje serce!

W tej poważnej chwili duchowej rozterki, w chwili wahania decyduje uniesienie mistyczne.

Niebawem z całym sztabem pędził wyciągniętym kłusem ku Vitry do Schwarzenberga, gdzie stanął w samo południe. Był tam już i król Fryderyk Wilhelm.

Wszyscy zsiadają z koni i odbywają w szczerym polu, na skraju drogi jedną z najważniejszych narad.

Car rozwinąwszy mapę szybko przedstawił swój plan. Król pruski przyjął go całkowicie, ale Schwarzenberg i jego generałowie uznali za zbyt ryzykowne, żeby: „ruszyć na Paryż mając za plecami Napoleona"; „toć przecież szaleństwo!"... — mówił austriacki generalissimus; po długiej jednak dyskusji zdanie Aleksandra przeważyło.

Postanowiono, że na Paryż ruszą niezwłocznie armie czeska i śląska, gdy tymczasem jazda niepokoić będzie nieprzyjaciela w pobliżu Saint-Dizier, aby odwrócić jego uwagę.

Napoleon teraz jest zgubiony, a ostatni cios zadaje mu — Aleksander!

* * *

Dnia 25 marca sprzymierzeni stanęli pod Paryżem. Pod wieczór car kwateruje w zamku Bondy o trzy mile od rogatek miejskich.

Nazajutrz koło pierwszej po południu, kiedy na północnym froncie szaleje bitwa, gdy 110 000 ludzi walczy przeciwko 40 000, Aleksander wjeżdża galopem na wzgórze Butte Chaumont, skąd z zachwytem ogarnia wzrokiem sławne miasto, w którym panowali tacy monarchowie, jak Clodwig, Ludwik Święty, Henryk IV, Ludwik XIV, a wreszcie Napoleon — trzynaście wieków dziejów i to jakich dziejów!... Adiutant Aleksandra, emigrant de Rochechouart, który wówczas był na służbie tuż obok, tak maluje tę chwilę:

Wściekłe klekotanie karabinów i nieustanne detonacje ciężkiej artylerii słychać było po prawej stronie od Montmartre i z lewej od Vincennes. Cesarz zsiadł z konia, aby lepiej widzieć wspaniałą panoramę roztaczającą się wokoło. Po chwili zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy znam Paryż i czy potrafię mu wskazać najważniejsze gmachy? Objaśniłem mu wszystko, lecz nagle musiałem przerwać, zauważyłem bowiem, że piękne oblicze cesarza spochmurniało. Zamyślił się i nie pytał już więcej. O czym dumał?... Ocknął się dopiero, gdy działa zagrzmiały tuż obok". Mówił zapewne do siebie, podobnie jak Napoleon przed piętnastu miesiącami na widok Moskwy: „Otóż to słynne miasto!... Już czas najwyższy!"...

Z listu cara do matki i do Golicyna wiemy, że opanowało go wtedy wielkie wzruszenie. W osłupieniu powtarzał: „Niezbadanie mądre wyroki Boże — Boska Opatrzność sprawiła, że ja tego dokonałem".

31 marca o drugiej godzinie nad ranem Paryż się poddał.

Zwycięski Aleksander przybrał się w togę twórcy

pokoju i uniesiony szlachetnością pragnął oszczędzić mieszkańcom Paryża represji i gwałtów, nie chciał nawet przyjąć kluczy od bram miasta, by nie upokorzyć Paryżan możliwością znalezienia kiedyś tych kluczy w jakimś muzeum europejskim. Rajcy miasta Paryża nie wierzą własnym uszom, gdy car do nich przemówił z prostotą:

— Nie lękajcie się o swe domy i gmachy publiczne... Nie pozwolę żołnierzom kwaterować w mieście, dostarczycie tylko żywności... Niech wasza żandarmeria i gwardia narodowa pomaga naszej policji... Biorę waszą stolicę pod moją opiekę... Nie widzę we Francji wrogów lub raczej jednego tylko, lecz ten już dziś nie panuje... Niosę wam pokój!"

O godzinie 11 z eskortą czerwonych gwardyjskich kozaków i białych kirasjerów gwardii pruskiej we wspaniałym mundurze kawalergardy wjeżdża car do Paryża od rogatki Pantin.

Pięknie i wytwornie wyglądał na arabskiej klaczy „Eclipse", lekkiej i nerwowej, którą otrzymał w darze od Napoleona w Erfurcie.

Jedzie stępa mając po lewej stronie króla Prus, który robi wrażenie pionka, po prawej zaś naczelnego wodza, księcia Schwarzenberga, zastępującego dziś osobę swego władcy, cesarza Austrii. Franciszek I pozostał jeszcze w Chaumont, nie kwapił się zbytnio pokazać w stolicy zwyciężonego zięcia i kochanej córki Marii Ludwiki, w chwili gdy musiała uciekać z Paryża.

Za carem liczny sztab i 30 000 wojska, Rosjanie, Tatarzy, Kirgizi, Niemcy, Austriacy, Kroaci i Węgrzy, jeszcze wczoraj ciężko walczący, ale dziś dumni, z minami jak na paradzie, bez śladu zmęczenia.

Na przedmieściu Saint-Martin gapiów mało, w oknach

i na chodnikach pustawo, przyjęcie milczące, twarze na ogół chmurne albo przerażone.

Za bramą Saint-Denis tłum nieco liczniejszy. Słychać już z początku rzadkie, a później zaś częstsze okrzyki: „Niech żyje cesarz Aleksander!... Niech żyje król pruski!... Niech żyją sprzymierzeni!... Niech żyją nasi zbawcy!... „A gdzieniegdzie, jakby nieśmiało: „Niech żyją Bourboni...“ W miarę jak orszak posuwał się naprzód, tłum rósł coraz większy, a coraz gorętsze powitania przechodzą w końcu w owację. Na balkonach, w oknach wszędzie białe chorągwie, a widzowie — ku niezapomnianej w dziejach hańbie Paryża — witają, wkraczających najeźdźców gromkimi okrzykami.

Na polach Elizejskich monarchowie przyjmują defiladę swych wojsk. Entuzjazm tłumu wybucha ponownie. Aby lepiej zobaczyć czarującego Adonisa, jakim niezaprzeczenie jest dziś car, promieniejący radością, podobny do półboga, kilka młodszych pań z najlepszego towarzystwa Paryża, których nazwisk jednak lepiej nie wymieniać, wślizgnęło się pomiędzy czerwonych kozaków ze świty carskiej i dosiadło koni za jeźdźcami; niejedną z nich kozak i na kark koński posadził.

Aleksander na widok ten uśmiechnął się do Schwarzenberga: „No, no — żeby tylko moi kozacy nie porwali tych nowych Sabinek“.

Wreszcie monarchowie pożegnali się. Fryderyk Wilhelm zamieszkał w pałacu księcia Eugeniusza przy ulicy de Lille. Dla cesarza Franciszka, który za kilka dni miał przybyć, przeznaczono jako kwaterę pałac księcia Neuchatelu przy bulwarze de Capucinnes, zaś książę Schwarzenberg wraz ze sztabem zamieszkał w pałacu Saint-Cloud. Jeśli kiedykolwiek Aleksander zasłużył na nazwę —

„Talmy północy" — jaką mu nadał Napoleon, to w tym właśnie dniu!

Ale nie koniec na tym.

Aleksander kierując się wrodzonym taktem nie chciał zamieszkać w Tuilleriach; chciał się odróżnić od Bonapartego, który się zwykle szczycił, że gdy wziął stolicę obcego państwa, to tej samej nocy spał w łożu wygnanego monarchy. Na kwaterę wybrał spokojny pałac Elizejski. W ostatniej chwili jednak na zaproszenie Talleyranda, który zdążył już odbyć długą i owocną naradę z hrabią de Nesselrode, car zgodził się zamieszkać w pałacu przy ulicy Saint-Florentin, co pozwoliło mu codziennie w ogrodzie Tuilleryjskim i na placu Zgody pokazywać się paryżanom, patrzącym nań z otwartymi ustami.

Tegoż jeszcze dnia Aleksander przyjął hołd całej czeredy dworaków, z niecierpliwością oczekujących na wiadomość, jaka ma być w przyszłości forma rządu, i pragnących jak najprędzej wyciągnąć z tego dla siebie korzyści. Najbardziej nadskakiwali ci właśnie, których najprostsza przyzwoitość winna powstrzymać była od tego. W antykamerze cara wrzało po prostu od tysiącznych intryg wywołanych chciwością i zaparciem się tego, który ich obsypywał godnościami.

Sarkastycznie, ale dowcipnie maluje tych panów Chauteaubriand słowy, godnymi Tacyta lub Saint-Simona: „Wszystkie te łajdaki kupczyli swymi brudnymi łapami losem jednego z największych ludzi w historii i dziejach świata!...

Jeszcze lepszym terenem matactw tych nędzników był pałac księcia Beneventu.

Aleksander, który wziął na się rolę głównego arbitra aliantów, znalazł się niespodziewanie przed koniecznо-

ścią natychmiastowej decyzji w trzech problemach o niesłychanej wadze, od których zależała przyszłość Europy. Były to sprawy: detronizacji Napoleona, restauracji Bourbonów, wreszcie ustalenia warunków pokoju. Roli tej umiał Aleksander sprostać z wyszukaną kurtuazją i prostotą. Nie oglądał się na nikogo, a decydując okazał się daleko i szeroko przewidującym mężem stanu.

Wzbudzał też podziw wszystkich.

Była to piękna, a może najpiękniejsza godzina jego życia.

Za Goethem powtarzać można było: *Der Mann steigt mit seinem Ziel.* („Człek wzrasta razem z celem, do którego dąży").

Jego ówczesny stosunek do Napoleona charakteryzuje najlepiej okrzyk gniewu, który wyrwał mu się z piersi na wieść, że Moskwa padła. „On lub ja, ja lub on!... Dwu nas na świecie jest za wiele!"

Wspomnienie jednak płonącej Moskwy nie było jedyną przyczyną nienawiści Aleksandra. On, wielki reformator zapatrzony w ideały ludzkości, nie chce zapomnieć dzisiaj zwyciężonemu tych trzech milionów istnień ludzkich, które tamten poświęcił dla szaleństwa, chciwości, kłamstwa i pychy: „Upadek Napoleona, mówił, był nie tylko wynikiem obecnej polityki, lecz nastąpić musiał chociażby ze względu na sprawiedliwość chrześcijańską, której należało się to zadośćuczynienie. Świat cały winien dowiedzieć się o tym.

Możliwe, że w głębi duszy odezwały się motywy bardziej osobiste i mniej budujące, może się wstydził sam przed sobą i chował urazę, że niegdyś w Tylży dał się wziąć Napoleonowi tak łatwo na lep uścisków i złudnych obietnic.

Po odprawieniu zgrai byłych dworaków Bonapartego z pałacu przy ulicy Saint-Florentin rozpoczęto historyczne narady nad losem eks-boga wojny. Wzięli w niej udział: król pruski, książę Schwarzenberg, Talleyrand, książę Dalberg, generał ks. Pozzo di Borgo, ksiądz de Pradt oraz Nesselrode.

Aleksander ujął całość problemu w trzy wyraźne pytania: „czy zawrzeć pokój z Napoleonem unieszkodliwiając go raz na zawsze, czy też ogłosić regencję Marii Ludwiki, wreszcie czy przywrócić królestwo Bourbonów?"... Widać było, że nie chciał urazić Francji i narzucić jej władzy wbrew jej woli, odnosił bowiem wrażenie, że mimo rewolucji w Bordeaux mimo białych kokard, które wszędzie widać było w Paryżu, mimo ostentacyjnych wystąpień pięknych Paryżanek na placu Zgody, Francja wcale nie była zachwycona powrotem dawnych władców.

Jednakowoż pan Talleyrand, oddany teraz całą duszą Bourbonom, chłodno, zwięźle i jasno dowodził, że dzisiaj nie może być mowy o innym rozwiązaniu jak tylko o takim, które by zapewniło przede wszystkim pokój. Takim rozwiązaniem może być tylko przywrócenie tronu Bourbonom, oni bowiem mają za sobą słuszność i uosabiają pewną zasadę:

— Kierując się tą zasadą będziemy silni — opozycja szybko zamilknie, a bądź co bądź nie ulega wątpliwości, że Ludwik XVIII jest prawowitym królem Francji.

To zdanie przekonało ostatecznie Aleksandra, toteż kończąc obrady powtórzył dobitnie:

— Żadnych zatem układów; zresztą pokój z Napoleonem, najbardziej nawet zawarowany, byłby zawsze

tylko zawieszeniem broni. Regencję uważam za zupełnie niemożliwą. Trzeba przecież zdać sobie sprawę z tego, że ojciec zawsze stałby na drodze do tronu synowi.

* * *

Co zatem zrobić z Napoleonem?...

Lew uwięziony w Fontainebleau jest pokonany, lecz żyje jeszcze. Nawet nie rozbrojono go dotąd. Rozporządza jeszcze siłą 60 000 ludzi. Wprawdzie sprzymierzeni mogą mu przeciwstawić armię 140 000, lecz czyż ostatnia rozpaczliwa walka z nim nie ruszy sumieniem Francji i nie skieruje jej przeciw najeźdźcom?

Trzeba więc Bonapartego przekonać i nakłonić, żeby się zrzekł tronu. Żeby zachować przy tym pozory legalności, należy uzyskać zgodę Senatu na ogłoszenie detronizacji i na objęcie władzy przez tymczasowy rząd. Talleyrand, mistrz zaprzańców i obłudy, szybko potrafił uzyskać potrzebną uchwałę.

Dnia 30 kwietnia pomiędzy Paryżem a Fontainebleau nawiązują się nici układów, a głównym reżyserem tego dzieła stał się Caulaincourt. Napoleon jest pod naciskiem swoich marszałków, którzy już roszczą sobie prawo narzucania mu woli, z rezygnacją więc zgadza się opuścić tron, abdykuje jednak tylko na rzecz syna. Uchwała senatu, który ogłosił złożenie go z tronu, jest w jego oczach nieważna i bezprawna. Ostatnie jego jednak słowo to nadzieja odwetu: „sprzymierzonych zmiażdżę jeszcze pod Paryżem".

Akt abdykacyjny wiozą natychmiast do Paryża Caulaincourt, Macdonald oraz Ney i z uderzeniem północy stają w pałacu przy ulicy Saint-Florentin.

Członkowie tymczasowego rządu natychmiast odbywają naradę.

Myśl, że „regime" cesarski mógłby się ostać, sieje wśród zebranych przerażenie i trwogę: „Regencja byłaby przecież tylko pokrywką cesarstwa, tylko chwilowym bezkrólewiem... Przecież za nią byłby ukryty tygrys".

Wszyscy jak jeden mąż zaklinają cara, aby jeszcze tej nocy uznał Bourbonów. Czyż nie obiecał uroczyście 31 marca, że więcej nie będzie pertraktował z Bonapartem i z nikim z jego rodziny?... Na tym przecie tylko oświadczeniu cara oparli się członkowie tymczasowego rządu godząc się przyjąć swoje obowiązki. Gdyby Napoleon w jakiejkolwiek formie zachował chociaż najmniejszą władzę, to grozić im będzie straszliwa zemsta.

Aleksander się waha i jest widocznie zakłopotany. Prosi, aby go pozostawiono samego, gdyż sam chce się naprzód porozumieć z pełnomocnikami Napoleona.

Caulaincourt, Macdonald i Ney widząc w jego oczach brak decyzji popierają z zapałem sprawę dynastii cesarskiej napomykając także o uczuciach wojska, które jest oddane swemu ukochanemu cesarzowi, a on w rozpaczy na pewno nie omieszka rzucić resztę szans na szalę. Dowodzą też, że regencja odpowiada w najszerszej mierze głębokim pragnieniom całego narodu francuskiego.

Argumentem, który wywarł na Aleksandrze największe wrażenie, jest wojsko, którym Napoleon jeszcze rozporządzał i które dla ukochanego wodza zdolne jest na wszystko się ważyć: 60 000 ludzi, skupionych za Essonne!... Czy alianci mogą się zdecydować na wielką bitwę pod Paryżem?... Czy Bourboni, ci antypatyczni Bourboni warci są takiego ryzyka?... Przecież i tak pokonał i pozbawił tronu Bonapartego, czyż to nie wystarczy,

aby pomścić klęski spod Austerlitz i Friedlandu, zmazać hańbę Tylży i Erfurtu i zbezczeszczenie Moskwy?... Zresztą czy Schwarzenberg odważy się przyjąć wielką bitwę nad Essonne mając za sobą Paryż? Na pewno zażą a on opuszczenia stolicy, żeby zapewnić sobie odwrót do Belgii przez dolinę Oisy. .

Te wątpliwości nie dodały odwagi carowi i w oczach jego było widać przestrach. Kiedy Macdonald spostrzegł tę zmianę, zaczął tym silniej nalegać. W pewnej chwili komisarzom Napoleona zdaje się nawet, że już sprawę wygrali.

5 kwietnia jednak o drugiej nad ranem przybył do cara adiutant Schwarzenberga z nowiną, że 6 korpus francuski marszałka Marmonta, znajdujący się nad Essonne, przeszedł na jego stronę.

— Jak to! Więc i armia wypowiada się przeciwko Napoleonowi?... Zatem niech ginie i ustępuje miejsca Bourbonom.

Aleksandrowi jakby kamień spadł z serca — odetchnął.

— Palec to Boży — stań się wola Jego!...

Wyrok był gotów.

Chciał się jednak car okazać choć trochę wspaniałomyślny. Pewna wrodzona jego dobroć, a bardziej może chęć pięknego gestu, dyktują mu te szlachetne słowa:

— Byłem ja przyjacielem i wiernym sprzymierzeńcem cesarza Napoleona. On zmusił mnie jednak do wojny, teraz — gdy jest pobity wybaczam wszelkie zło, jakie wyrządził memu państwu, i chcę do niego wyciągnąć dłoń... Życzę sobie, żeby zachował tytuł cesarski — damy mu wyspę Elbę wraz z nieograniczoną na niej władzą i dwa miliony franków renty. Rodzinie jego trzeba dać również odpowiednie uposażenie. Gdyby się Bonaparte

nie zgodził na Elbę i nigdzie schronienia nie znalazł, to niech przyjedzie do Rosji. Przyjmę go z przepychem i wszystko uczynię, co w mej mocy, aby złagodzić los tego wielkiego a tak nieszczęśliwego człowieka. Napoleon może liczyć na słowa Aleksandra. .

I nie były to puste słowa. Zmusiły one cara do przykrych targów z dotychczasowym rządem i ministrami aliantów, aby uzyskać dla Napoleona władzę nad Elbą oraz obiecane uposażenie.

Talleyrand, Hardenberg i Castlereagh żądali, aby go osadzić na Wyspach Azorskich, na pełnym oceanie, o 450 mil od brzegów Portugalii. Mściwe ich zamiary już wtedy miały na oku Wyspę Św. Heleny.

Natomiast Aleksander w tych dniach intryg, sporów i krętactwa, umiał zachować wiele taktu oraz umiar i przenikliwość. Siły moralne czerpał on w tych znojnych godzinach w modlitwie i ekstazie. Z dziwnym uśmiechem patrzył nieraz w niebo, a był to tydzień Wielkiej Nocy. Gorliwe modły w kaplicy rosyjskiej ambasady trwały codziennie — bezustannie miał przed oczami obraz boskiego Odnowiciela.

* * *

Droga do Francji stanęła dla Bourbonów otworem. 6 kwietnia senat z bezprzykładnym cynizmem ugiął karku i obwieścił światu, że „lud francuski z własnej woli powo' ie na tron — Ludwika Stanisława Ksawerego, księcia Francji, brata ostatniego króla".

V sześć dni później hrabia d'Artois, „Monsieur" przybywa tryumfalnie do Paryża w otoczeniu pięknej eskorty złożonej z samych Rosjan, Austriaków i Prusaków, a senat nadaje mu godność namiestnika królestwa.

Ludwik XVIII, który zległ na podagrę w Anglii, przybył do Compiègne dopiero 29 kwietnia. Trzeciego dnia przyjął cara.

Od pierwszej chwili obaj monarchowie odczuwali grubą niechęć ku sobie. Aleksander przed przyjazdem przesłał kurtuazyjnie odręczny list, w którym kończy swe gorące życzenia wyrażeniem nadziei, że rządy we Francji będą zapewne nadal liberalne i uszanują wspomnienie ćwierćwiecza chwały.

Tymczasem dziedzic Ludwika Świętego, niezwykle pewny siebie i swych praw, uważając za święty i nietykalny dogmat pierwszeństwo swej korony ponad wszystkimi koronami świata, ocenił powyższe zdanie listu za wprost nieprzyzwoite.

Car odczuł to od razu:

„Król nie powstawszy nawet z fotela, wskazuje Aleksandrowi zwykły stołek — potem nastąpiło kilka zimnych uśmiechów — kilka nieokreślonych uprzejmości — powierzchowna rozmowa o polityce — kilka pytań bez odpowiedzi — no i wszystko.

Po takim to wstępie Ludwik XVIII zaprosił swego gościa, by się rozgościł w przygotowanych dlań apartamentach. Z komicznym rytuałem przestarzałej etykiety prowadzą Aleksandra przez całą amfiladę wspaniałych salonów, przyznanych hrabiemu d'Artois, księciu i księżnej d'Angoulême i księciu de Berry, do przeznaczonych mu apartamentów, które znalazły się wreszcie, gdzieś za ciemnymi krużgankami, a były najskromniejsze ze skromnych. Było to po prostu mieszkanie odstąpione przez zarządcę pałacowego.

Takie przyjęcie ubodło cara do żywego, toteż chociaż zamierzał pozostać w Compiègne do dnia następnego, po-

stanowił wyjechać jeszcze tego samego wieczoru. Adiutant jego, generał Pozzo di Borgo, dawny rywal Bonapartego na Korsyce błagał Aleksandra, by zaniechał tego zamiaru i próbował wytłumaczyć króla pewną ociężałością i kalectwem.

Toż to zgrzybiały starzec — mówił — nie może się zatem zająć gośćmi".

Aleksander odpowiedział mu na to złośliwie:

„Niech więc pozwoli się wyręczyć przez księżnę d'Angoulême, która przecież wygląda nawet na gospodynię!...

Podczas obiadu również nie lepiej potraktowano cesarza Wszechrosji. Ludwik XVIII wszedł do sali jadalnej pierwszy, a widząc, że marszałek dworu, który kierował półmiskami, zawahał się od kogo zacząć — krzyknął nań ostro: — Zaczynaj Waść ode mnie. Zdało się, że to sam Agamemnon zatrząsł się z gniewu, jakby mu kto odbierał berło i koronę.

Po obiedzie Aleksander, dotknięty do żywego, powraca do Paryża. Miał tego wszystkiego dosyć — wybucha też wobec świty:

— Ludwik XIV nie potrafiłby mnie chyba inaczej przyjąć w Wersalu w czasach swej największej potęgi"... Można by sądzić, że to on mi tron zwrócił!... Przyznać muszę, że jego przyjęciem zachwycony nie jestem — jakby im kto na głowę wylał kubeł wody.

Przypomniał sobie też wtedy niezbyt przyjemne dla siebie powiedzenie Ludwika XVIII, skierowane do księcia regenta w chwili gdy opuszczał ziemię angielską: „Po Bogu tylko Waszej Królewskiej Mości zawdzięczać będę przywrócenie memu domowi tronu mych przodków".

Ukłucie w Compiègne dotknęło cara najczulszą

strunę. Chateaubriand, który mieszkał wówczas przy ulicy Rivoli w pobliżu ulicy Saint-Florentin, wyczuł prawdopodobnie zły humor Aleksandra i pisze, że:

Aleksander wydawał się spokojny, ale przy tym jakiś przygnębiony, spacerował po Paryżu bez świty piechotą a czasem konno. Zdawało się, że dziwił go własny triumf. Patrzył na ludność spode łba, a przy tym, jakby mu było jej żal. Zresztą zawsze uważał ją za stojącą wyżej od siebie. Można by powiedzieć, że jakiś dzikus zabłąkał się wśród nas — a może jak Rzymianin czuł się nieswojo w Atenach.

Aleksander nigdy nie zapomniał upokarzającego przyjęcia, jakie go spotkało u „królewskiego kaleki".

* * *

W krótkim czasie Aleksander znienawidził Bourbonów do reszty i chcąc im okazać swą niechęć zaczął wyróżniać napoleonidów.

Najprzód złożył wizytę w Rambouillet, gdzie tymczasowo mieszkala Maria Ludwika, chcąc wyrazić jej szacunek i współczucie. — Tego mu zresztą nikt za złe nie wziął, bo była to tylko przecież banalna uprzejmość wobec córy Habsburgów. — Ale to był tylko wstęp.

Niebawem kazał zapowiedzieć swą wizytę w Malmaison u cesarzowej Józefiny, a zaraz potem i w pałacu Cerutti u królowej Hortensji. Od tego czasu staje się ich stałym, codziennym prawie gościem. „Panie Bauharnais", jak o nich mówią na dworze w Tuilleriach, którym ze wszystkich stron zagrażała teraz ruina, znalazły w Aleksandrze czynnego obrońcę. I nie poprzestał wyłącznie na oficjalnych i sztywnych stosunkach. Wrodzony romantyzm Aleksandra znalazł wiele powabu tak w matce jak i w córce one zaś nie były dalekie od nawiązania

flirtu. Józefina mimo 51 lat nie zrezygnowała jeszcze z swych wdzięków. Umiała ona doskonale grać rolę twierdzy niezdobytej, ale pełnej obietnic, była w miarę zalotna i melancholijnie uśmiechnięta. Hortensja, młodsza od matki o jakieś lat 20, nigdy może nie wyglądała piękniej i nigdy nie pragnęła bardziej miłości jak wtedy; toteż bez skrupułów chciała awanturkę z carem doprowadzić do możliwie najdalszych granic.

Flirt rozwijał się zatem nienajgorzej, przerywany czasem przez Aleksandra, ku zdziwieniu i zakłopotaniu nowych przyjaciółek, ekstazami i mistyką.

Ale jak to na tym świecie bywa, nic wiecznie nie trwa...

25 maja Józefina niespodzianie umarła. Nie chciała podobno odwołać balu na cześć cara, mimo że czuła się cierpiącą. Nie odmówiła sobie również przyjemności, aby mu się pokazać w prześlicznej toalecie, niestety zbyt lekkiej i zbyt wydekoltowanej. Podczas przechadzki nocą, wsparta na ramieniu zwycięskiego uwodziciela, wśród zapachu róż parku Malmaison zaziębiła się bardzo poważnie. Agonia nie trwała długo. Aleksander przebywał często podczas jej krótkiej choroby w sąsiednim pokoju. — Ta, która czarowała tylu ludzi, odeszła do lepszego świata naprawdę pięknie i z uśmiechem na ustach. W dzień jej pogrzebu przed kościołem w Rueil wspaniały pułk rosyjskiej gwardii oddał honory zmarłej cesarzowej, a Hortensji dla osłody bólu car przesłał upragniony patent królewski, przyznający jej tytuł „księżnej de Saint Leu" oraz czterysta tysięcy franków renty. Patent ten Aleksander musiał prawie siłą wyrwać od nieużytego i pełnego pogardliwej niechęci Ludwika XVIII.

Wśród takich romantycznych nieraz epizodów Aleksander rozkoszował się w paryskich salonach atmosferą

dymu kadzideł, pochlebstw oraz sławy, bez której odtąd obejść by się już nigdy nie potrafił.

W tym również czasie powróciła do Paryża pani de Staël po dziesięciu latach wygnania. Wynosi ona pod niebiosa zbawcę Europy. Dnia 25 kwietnia pisze do cara:

Sire, dotąd jako najwyższy szczyt doskonałości, który osiągnąć mogło ludzkie społeczeństwo, uważano zawsze konstytucję angielską. Podobne zasady zaleciłeś Wasza Cesarska Mość i Francji — i to w chwili, gdy po najeździe tylko wszystkiego najgorszego można się było spodziewać. Tyś zwrócił jej prawowitego króla i liberalne rządy. Twa zbrojna dłoń to sprawiła. — Czyn tego rodzaju jest pierwszym w historii. — A mnie wolno mówić o tym... Wielkim widziałam Waszą Cesarską Mość w chwilach przeciwności i teraz Cię wielkim widzę na szczycie chwały.

Pani de Stael, gdy tylko zdążyła otworzyć salon w Paryżu, zaraz zaprosiła do siebie Aleksandra wraz ze wszystkimi ówczesnymi znakomitościami politycznej socjety oraz literatury, jakie można wtedy było zgromadzić. Car spotkał w salonach pani de Staël obu Humboldtów, Mateusza de Montmorency, księcia de Laval, pana de Gentz, Talleyranda, księżnę Kurlandzką, księżnę de Luynes, Camille Jordana, panią Récamier, był tam i Sismondi, Lally-Tollendal, naturalnie Caulaincourt, wreszcie La Fayette.

Pewnego wieczora Aleksander puścił wodze swej nienawiści ku Bourbonom:

— Żaden z nich — mówił — nie potrafił mnie zrozumieć, gdyż na wskroś tkwią w staroświeckich przesądach... Nieszczęścia i wygnanie niczego ich dotąd nie nauczyły... Jeden tylko książę Orleański posiada bardziej liberalne przekonania i rozumie Francję, gdyż posiada

otwartą głowę i oczy... Reszta? — niczego od nich spodziewać się nie można!...

„Wywodów tych słuchano w milczeniu całe trzy godziny z niesłabnącym zaciekawieniem" — jak to jeden z obecnych zanotował.

Zdawałoby się, że w takim to wirze zajęć Aleksander grając stale rolę naczelną nie znajdzie chwili czasu na poważne zajęcie się polityką i problemami, z których najważniejszym było przecież samo zawarcie pokoju.

Znajduje jednak czas i na to. Po długich, a czasem ostrych dyskusjach, doprowadza on do traktatu w dniu 30 maja.

Traktat ten nosi niezaprzeczone piętno jego osobistej pracy, pracy pojednawczej i twórczej, patrzącej w przyszłość, która zawsze wychodzi z założenia, że silna Francja jest niezbędna dla równowagi europejskiej. Nie dopuszcza więc, aby jak tego pragną Castlereagh, Metternich, Stein, Hardenberg i cała klika wojskowa, sprzymierzeni zbytnio mogli wyzyskać zwycięstwo.

Zapewne — traktat z 30 maja zadał Francji straty bolesne, gdyż odebrał jej wszystkie zdobycze od roku 1792. Sprowadził ją do granic dawnej monarchii poza przyłączeniem miasta Philippeville i Marienbourga, okręgów Landau i Sarry, wreszcie Annecy i Chambéry, natomiast nie obarczał państwa ani kontrybucją wojenną, ani żadnym odszkodowaniem. Francja, zdaniem Aleksandra, a nawet Talleyranda, nie zapłaciła zbyt drogo za dwadzieścia lat wojen i iluzorycznych zdobyczy.

Dnia 2 czerwca alianci opuścili Paryż, 5 opuszczają miasto również resztki sił zbrojnych. Ludwik XVIII staje się nareszcie panem swego królestwa.

* * *

Z Paryża udaje się car do Londynu, gdzie się już hucznie bawi Katarzyna Pawłówna. Pragnienie ujrzenia „rozkosznej trzpiotki" nie jest jednak jedyną przyczyną tej podróży. — Są inne kłopoty polityczne.

Alianci nie mogą dojść do porozumienia w podziale olbrzymich obszarów zwolnionych spod okupacji francuskiej. Co zrobić z Polską, Saksonią, Hannowerem, Nadrenią, Holandią i scalonymi Włochami? Oto pytania dręczące polityków. — Stwierdziwszy ogólny brak zgody i odgadując wzajemną zawiść, postanowiono odroczyć rozwiązanie tych zagadnień aż do kongresu, który zebrać się ma w Wiedniu jeszcze nadchodzącej jesieni,

Cesarza Rosji wszyscy uważali za wodza koalicji, niemniej książę Metternich stał się jej ministrem. Współzawodnictwo tych dwóch ludzi datuje się już od dawna. Zrodziło się ono jeszcze w Kaliszu, wzrastało w Cieplicach, we Frankfurcie, w Chaumont, a w Paryżu dojrzało i stało się zjadliwe, w końcu zaś zamieniło się w pojedynek. Car pragnął nadal zastrzec dla siebie kierowanie nadchodzącymi obradami, Metternich działał tymczasem w tajemnicy bojąc się, aby upadek hegemonii francuskiej w Europie nie zamienił się w nową supremację tym razem rosyjską.

Aleksander udał się do Londynu głównie w tym celu, aby uzyskać poparcie przeciwko podejrzanym zamiarom Austrii. Szczęście mu nie sprzyjało, a nietakty ekscentrycznej siostry i jej długi języczek zraziły na dobre już po kilku dniach regenta i wszechmocną wtedy metresę księcia, Lady Hertford, wreszcie wszystkich ministrów korony. Metternich, który również bawił w Londynie, miał więc niezwykle ułatwione zadanie, aby wyzyskać tę tradycyjną nieufność, jaką Anglia zawsze czuła do Rosji.

— Ukrytą myślą Aleksandra — dowodził Metternich — jest odbudowa Królestwa Polskiego, co znowu zniszczyłoby równowagę Europy; jedynie ścisły sojusz Austrii z Anglią może powściągnąć ambicje rosyjskie.

Minister Franciszka I miał już niebawem sposobność donieść swemu władcy:

Jego Królewska Wysokość Książę Regent przyjął mnie z wielką łaskawością... Zdaje mi się, że polityka nasza jest teraz na najlepszej drodze... Cesarz rosyjski z każdym dniem traci coraz bardziej w oczach Księcia Regenta, ministrów oraz całego tutejszego społeczeństwa... Jednocześnie zwiększa się znacznie powaga Austrii... Książę Regent nalega, abym mu towarzyszył do Portsmouth i abym do Londynu powrócił jeszcze co najmniej na dwa dni, w celu ostatecznego dojścia z nim oraz z kanclerzem Hardenbergiem do porozumienia i ustalenia naszego wspólnego stanowiska na kongresie.

Tak więc wiedeńskie obrady nie zapowiadały się pomyślnie dla Agamemnona rosyjskiego.

* * *

Po tak przykrym rozczarowaniu Aleksander wsiadł na okręt w Dowrze 26 czerwca. Przejeżdża potem wśród nieustannych owacji przez Belgię i udaje się na krótki odpoczynek na dwór badeński, gdzie przebywała u matki carowa Elżbieta, której od dwudziestu miesięcy nie widział.

Tutaj przybywa także delegacja Świętego Synodu i Rady Cesarstwa i kornie bijąc czołem błaga cara, by zechciał przyjąć tytuł „Błogosławionego" oraz by zezwolił na wystawienie pomnika, na którym chcą wyryć dedykację: „Temu, co trony przywrócił monarchom, wdzięczna Rosja". Z przyrodzoną umiejętnością koja-

rzenia skromności i próżności Aleksander przyjął tytuł, ale na pomnik nie zgodził się.

20 lipca przybył nad brzegi Newy, gdzie cesarzowa matka zgotowała dla niego wspaniałe przyjęcie.

Można by sądzić, że po tak ciężkich przejściach, uwieńczonych walnym zwycięstwem, cieszyć się będzie powrotem do pałacu, w którym przetrwał tragiczne godziny 1812 roku. Przeciwnie — staje się małomówny, niecierpliwy, nerwowy, jakby coś tłumił w duszy; trują go jakieś smutne myśli i troski. Przejęty pokorą i zupełną abnegacją, „całą swą sławę przypisuje tylko Bogu Wszechmocnemu".

Na to ówczesne jego usposobienie należy zwrócić całą uwagę, żeby zrozumieć splot przyszłych wypadków.

Znany to objaw depresji fizycznej i moralnej u ludzi przewrażliwionych, następujący z chwilą nasycenia pychy i podziwu dla samego siebie. — Życie wydaje się mu nudne i bezbarwne, gdy szary dzień na nim zaciąży.

ROZDZIAŁ XIV

Kongres wiedeński — plany Aleksandra i marzenia o zjednoczeniu Polski pod berłem Romanowów. W konsekwencji konieczność nowej przebudowy Europy — gwałtowny opór Metternicha, Talleyranda i Castlereagha. — Burzliwa polemika, sprzeczki — animozja do Talleyranda i Metternicha — pogróżki — „dwieście tysięcy moich ludzi stoi między Odrą a Wisłą, spróbujcie mię wypędzić"... — Autorytet Talleyranda wzrasta; jego plan tajnego przymierza Francji, Austrii i Anglii przeciw Rosji i Prusom. Traktat z 3 stycznia 1815 r. — Aleksander zrażony zmową Francji, Austrii i Anglii przestaje interesować się kongresem. — Miłosne intermezza. — Kongres tańczy. — Carowa Elżbieta w Wiedniu — powtórne nawiązanie romansu z Czartoryskim. — Przesyt, zmęczenie i mistycyzm cara. Dama dworu carowej, Roksandra Sturdza wprowadza Aleksandra w świat proroctw baronowej Krü-

dener: „Biały anioł i czarny anioł". — Piorun z 7 marca; „Napoleon opuścił Elbę". — Strach — i szybkie pogodzenie się „wysokich układających się stron". Aleksander się trzyma: „Nie ma pokoju z Napoleonem". Praca sztabów nad wojną — dyplomaci tymczasem kończą pospiesznie umowę kongresową. Aleksander lojalnie zgadza się na okrojenie Polski — zgoda w sprawach Niemiec i Włoch — Napoleon szachuje cara — zna bowiem tajne układy z 3 stycznia. Wściekłość Aleksandra — organizuje spiesznie przymierze. Strategiczne plany sprzymierzonych. — Car widzi, że armia rosyjska, która w tym czasie znajdowała się między Niemnem a Wisłą, nie zdąży na czas i że rola jej w tej kampanii będzie tylko pomocniczą, a sprzymierzeńcy będą szczęśliwi, że „zwyciężą Napoleona bez niego." — 25 maja Aleksander opuszcza Wiedeń, by nad Neckarem czekać na swe wojska. — Brak mu radości życia i patrzy na świat przez czarne szkła. — W Heilbrunie poznaje panią Krüdener — całonocna rozmowa — Inflancka Debora[1] rzuca uroki.

Dnia 12 września Aleksander wyjechał z Petersburga dążąc do Wiednia na kongres.

Po drodze zatrzymał się w Puławach u ks. Adama Czartoryskiego. Chciał, żeby wiedziano, że Polska zawsze może liczyć na jego łaskę, mimo że wrogą mu była w latach dwunastych. Zamiar wskrzeszenia Polski zjednoczonej pod berłem Romanowów przyświecał mu jeszcze w Paryżu. — Nie doszło wówczas do tego. — Teraz myśl stworzenia wielkiego słowiańskiego imperium wraz z całą Polską wysuwała się na plan pierwszy i górowała nad całą przyszłą przebudową Europy.

Zamiarów tych jednak Aleksander nie zdradzał nikomu. Na każdym kroku schlebia wprawdzie Polakom, ale kropki nad „i" nie stawia i uchyla się od zobowiązujących obietnic. Umie ich jednak ująć i łudzić mistrzowsko, tak że jeden z Rosjan, który był w Puławach, pisze o tym z przekąsem: „Słysząc, co wtedy mówił, nie mo-

[1] Wróżka hebrajska.

głem wyjść z podziwu, — ręce mi opadły, gdy spostrzegłem, że naprawdę mu wierzą".

W dwanaście dni później Aleksander zaaranżował uroczysty wjazd do Wiednia.

* * *

Kongres wiedeński bezsprzecznie zaćmił wszystkie dotychczasowe „synody polityczne", jakie dyplomacja kiedykolwiek przed nim i po nim urządziła, nie wyłączając nawet czasów ostatnich. Brak logiki i niesłychana krótkowzroczność szły tam w parze z bezprzykładną wprost sprzedajnością.

Pominąwszy wszystko było to widowisko wspaniałe, na które tylko taki dwór jak Habsburgów mógł sobie pozwolić, by całe pięć miesięcy z hiszpańską etykietą i niesłychaną pompą oraz przepychem aranżować setki zabaw, bali i festynów, podczas których miłostki, rozpasanie i zgorszenie publiczne szły w zawody z intrygą i przebiegłością targów politycznych.

Na rzeczników rosyjskich spraw wyznaczył Aleksander ks. Andrzeja Razumowskiego, byłego ambasadora rosyjskiego przy cesarzu Franciszku, hrabiego Stackelberga— ówczesnego ambasadora w Wiedniu oraz ministra spraw zagranicznych, hrabiego Nesselrode. — Brali też udział w świcie baron d'Anstett, dyplomatyczny doradca cara, dwaj adiutanci, panowie Pozzo di Borgo oraz Capo d'Istria — wreszcie jako znawca spraw polskich książę Adam Czartoryski.

W tym składzie ludzi o świetnych nazwiskach, którym powierzono interesy Rosji wobec Europy, jeden Razumowski był czystej krwi Rosjaninem, reszta to aż

trzech Niemców, jeden Korsykanin, jeden Grek i wreszcie Polak.

Suwereni powoli napływali do Wiednia — a więc przede wszystkim król pruski i król duński, nowi królowie Bawarii i Wirtembergii, wielcy książęta Hessen-Cassel, Hessen-Darmstadt, Saxen-Koburg i inne pomniejsze książątka germańskie. Zdawało się, że to znowu wielkie przyjęcie jak w Erfurcie w roku 1801 albo w Dreznie w 1812, gdyby nie brakło tego, który hen — daleko — na wyspie Elbie bawił się w „Robinzona Kruzoe", jak mówił złośliwie książę de Ligne, i gdyby nie Maria Ludwika, która wstydliwe spędzała dni w Schoenbrunie pod ujarzmiającym okiem cyklopa Neipperga.

Całą tę czeredę królów i książąt przerasta o głowę Aleksander. Zresztą wcale nie taił, że osobiście poprowadzi sprawy swego państwa i przypilnuje swoich praw i swej władzy. Kiedy więc inni suwereni trzymali się z dala i śledzili tylko obrady kongresu, car rzucił się w wir walki bezpośrednio i starł się na samym wstępie z księciem Metternichem i panem de Talleyrand, dwoma groźnymi rywalami, którym rozumu oraz przebiegłości odmówić było trudno, a którzy po mistrzowsku potrafili krzyżować dyplomatyczne szpady.

Car obu serdecznie nie lubił, miał bowiem do nich dawne urazy. W swoim czasie kupił ich wprawdzie płacąc właściwą cenę, to znaczy bardzo drogo, jednak obecnie nie wypadało im jeszcze pamiętać o tym. — Zresztą — czyż kupiec może pamiętać o kliencie, gdy załatwił sprawę i otrzymał towar w porządku?...

Czyżby ich teraz znowu nie kupić?... Zdaje się, że starania cara nie osiągnęły celu, bo obaj mieli wtedy skądinąd pełne ręce i kieszenie. Zdaje się, Nesselrode

zrobił *faux pas* — był jeszcze zbyt młodym dyplomatą nowicjuszem. Nie wolno było mając tak ważne zadanie być zbyt szczodrym na prawo i lewo. — Wiedziano o tym i to mu nieco zaszkodziło.

A jednak były to dobre czasy, prawdziwy „wiek złoty" dla dyplomatów.

Metternicha Aleksander nienawidził bardziej niźli Talleyranda, gdyż ten austriacki laluś, sztuka zarozumiała o lisiej przebiegłości, śmiał cara dopingować nawet w miłosnych podbojach. Współzawodnictwo to niebawem nabrało w Wiedniu pikantnego posmaku.

Talleyrandem Aleksander pogardzał bardziej niż Metternichem, gdyż książę Beneventu, którego takt i poczucie smaku niektórzy mieli jeszcze w estymie, przekroczył wobec Romanowów wszelkie granice bezczelności i wstydu, kiedy chciał się im swego czasu pochlebić.

Przed czterema miesiącami, dnia 13 czerwca 1814 r., Talleyrand zapewniał przecież cara „o szczerym i prawdziwym przywiązaniu", gdy pisał:

Sire, raczysz zapewne pamiętać o głębokim uczuciu, jakie czuję do Waszej Cesarskiej Mości. Dowodem tego jest szacunek, z jakim się Wasza Cesarska Mość do mnie odnosiłeś. Zawsze przeczuwałem, żeś do wielkich spraw przeznaczony, i dlatego chociaż jestem Francuzem, popierać mogłem i popierałem Jego wspaniałomyślne plany! Nie myliłem się. Wypełniłeś swoją misję nad wyraz dobrze. — To moje zapatrzenie się w Ciebie, to pójście za Tobą winno być w jakiś sposób nagrodzone — zatem proszę o tę nagrodę zasłużoną, — a zwracam się z tym do bohatera mej duszy i, ośmielam się dodać, bohatera serca mego...

Tak to żebrał Talleyrand o napiwek, a równocześnie, aby pozyskać względy Ludwika XVIII oraz przeprosić za swe dawne haniebne odstępstwo, były biskup z Au-

tun nie omieszkał powtarzać, gdzie się tylko dało, że dynastia Romanowów dopiero w roku 1613 ujrzała światło dzienne i jest zerem wobec Capetów; nawet z Perigordami równać się nie może. Przecież już pierwszy z tej wielkiej rodziny na zapytanie Hugona Capeta: „Kto nadał Ci hrabiostwo?", mógł odrzec zuchwale: „A kto Cię królem uczynił?"

Sprawa polska stała się bolączką kongresu zaraz na wstępie.

Rosja zażądała wszystkich ziem, które tworzyły Wielkie Księstwo Warszawskie, Prusom zaś, które straciły większą część prowincji, zagarniętych w rozbiorach, obiecano w rekompensacie całe Królestwo Saskie, którego król, zbyt długo wierny Napoleonowi, był mniej szczęśliwym, siedząc jako jeniec wojenny w Berlinie. Austria w zamian za Galicję miała otrzymać Lombardię. Wenecję, Illirię oraz dalmatyńskie wybrzeża.

Hojnie to wówczas dzielono się cudzą własnością!

Aleksander chcąc mocniej podkreślić swoje wielkie plany traktował innych z góry, nieledwie z napoleońskim tupetem i tonem.

— Dwieście tysięcy — mówił — moich ludzi stoi nad Odrą i Wisłą, popróbujcie mnie ruszyć!... To, co trzymam, to moje — chcecie wojny — proszę! — Za darmo nic nie oddam! Jeśli król saski nie chce zrzec się tronu, to zabierzemy go do Rosji i umrze tak jako ostatni król polski. Niech więc Fryderyk August będzie na tyle mądry i pamięta o Stanisławie Auguście Poniatowskim!...

Austria jednak opierała się temu energicznie. Skóra cierpła na niej na myśl, że sąsiedzi, gdy jeden połknie Polskę, a drugi Saksonię, usadowią się w samym środku Europy:

„Rosjanie w Warszawie i w Karpatach, Prusacy w Lipsku i na granicy Czech — to byłaby ładna historia — przenigdy — myślał Metternich. — „Włoskie kraje — pal licho — Austria zawsze miała z nimi kłopoty i troski, no i ciężar niemały".

Talleyrand, który w owym czasie uzyskał duże wpływy oraz znaczenie i umiał żonglować kilkoma maksymami o pozorach słuszności i racji, sekunduje całą swoją powagą Metternichowi. Walczył nimi przy każdej sposobności. Przemawiał zawsze głosem dobitnym mentora i patrzył na wszystkich z zarozumiałym sarkazmem:

— Przede wszystkim na jedno zgodzić się musimy — twierdził — trzeba raz na zawsze zniszczyć mniemanie, że siłą można zdobyć prawa.... Francja znajduje się w tym szczęśliwym położeniu, że pragnie tylko sprawiedliwości. Nie ma zamiaru wyzyskać swoich zdobyczy — dla siebie niczego nie żąda... Zasadą winna być równowaga mocarstw i świata oraz prawomocność układów. Nie może Rosja wchłonąć Polski ani Austria uzyskać zbyt wielkiej przewagi we Włoszech lub Prusy w Niemczech.

Poza tym zresztą Talleyrand nie mógł się zgodzić na odbudowę Polski pod berłem Romanowów, gdyż warunkiem tego miało być przyłączenie Saksonii do Prus. Byłby to przecież brutalny rabunek na dziedzictwie Fryderyka Augusta, nie tylko dlatego, że przed kilku dniami otrzymał od tego nieszczęsnego króla znaczniejszą sumę — o skrupuły tego rodzaju Talleyrand nie dbał nigdy — ale matka Ludwika XVIII, Maria Józefa, była przecież córką Augusta III, elektora saskiego i króla Polski. Król francuski był zatem ciotecznym bratem Fryderyka Augusta i zależało mu bardzo na tym, aby

KSIĄŻĘ ADAM CZARTORYSKI

Litografia Geigera według rysunku Abela. — Muzeum Narodowe w Warszawie.

zagwarantować prawa swemu krewniakowi. W instrukcjach przeto danych Talleyrandowi zaznaczył bez obsłonek: „że gotów chwycić za broń nawet — i to bez namysłu, aby tylko dopiąć celu".

Pełnomocnicy angielscy, lord Castlereagh i lord Clancarty, popierali Talleyranda ze wszystkich sił i notowali skrzętnie jego piękne frazesy i morały, których nie omieszkali użyć potem broniąc swej polityki przed parlamentem w Westminsterze.

Takie i tym podobne urzędowe dysputy kończyły się nieraz oficjalnymi kłótniami i przenosiły za kulisy kongresu, trwając całymi tygodniami.

Gdy wszystkim już sprawa polska stanęła kością w gardle, rozpoczęły się nowe kłótnie, niemniej nieprzyzwoite, o losy Neapolu, Toskany, Modeny, o całość państwa papieskiego, Lukkę, Parmę, Hanower, Szwajcarię, Belgię, nadreńskie prowincje i różne niemieckie państewka... I tak bez końca.

Aleksander mając już dosyć sporów i sprzeciwów, jakie napotykał zewsząd, odczuł z goryczą, że przestał już być wodzem krucjaty i arbitrem koalicji; postanawia zatem nie brać nadal udziału w ohydnych targach.

Najbardziej irytowała go bezczelność Talleyranda. „On doprawdy myśli, że jest ministrem przynajmniej Ludwika XIV". Z tego okrzyku widać rozdrażnienie cara i piekące jeszcze ukłucie z Compiègne — *Manet alta mente repostum.*[1]

Pewnego razu gdy ks. Beneventu zapominając o własnych zdradach i odstępstwach, trzęsąc się niby z pogardy, z całą powagą wygłaszał tyrady o świętych i szla-

[1] Pozostaje (gniew Junony) w głębi serca.

chetnych zasadach prawa i słuszności, Aleksander przerwał mu z oburzeniem wzruszając ramionami:

— Prawa? — słuszność? — stanowczo jestem zbyt przyzwoity...

Równocześnie psują się coraz bardziej stosunki cara z Metternichem i czuć nadciągającą burzę. Car wiedział, że ten knuje „coś" ciągle przeciwko niemu wraz z Talleyrandem i Castlereaghem.

Pewnego dnia, rozdrażniony bardziej niż zwykle, zwymyślał „Austriaka" w sposób tak arogancki, w jaki nie beszta się nawet swego lokaja. Niebawem wybucha do tego stopnia, że Metternich pisze w swoich pamiętnikach:

„Nie wiedziałem w końcu, czy zamiast drzwiami nie wylecę przez okno".

Awantura ta nie skończyła się na tym. Aleksander uważając się za obrażonego wyzwał Metternicha na pojedynek. Dopiero sam cesarz Franciszek wdał się w tę sprawę. Był on nie tylko zgorszony tym ewenementem, ale i niebywale zdumiony. Pojąć wprost nie mógł, żeby monarcha z Bożej łaski i cesarz Rosji mógł bić się ze zwykłym szlachcicem, którego przodkowie, wprawdzie byli baronami czy hrabiami Świętego Cesarstwa, to jednak on sam zaledwie od roku nosił tytuł księcia:

— Mój Boże — rozpaczał — w jakich to czasach dziś żyjemy!...

Aby zaskoczyć tę całą historię, adiutant cara, hrabia Ożarowski udał się służbowo do „księcia kanclerza" i przyjął jego wykrętne ekskuzy, poparte odpowiednio smutną miną — za przeprosiny.

Aleksander bynajmniej się nie omylił podejrzewając Metternicha o knucie „czegoś" wraz z Talleyrandem i Castlereaghem.

To „coś", o czym się dowiedział dopiero w trzy miesiące potem, było ni mniej, ni więcej, tylko ściśle tajnym sojuszem Austrii, Anglii i Francji na wypadek ewentualnych zbrojnych zamierzeń Rosji w Polsce lub Prus w Saksonii.

Zasługę opracowania i doprowadzenia do skutku nowego paktu Talleyrand przypisuje sobie. Pakt ten był częściowo dawną, antynapoleońską koalicją, zwróconą ku Wschodowi. Pisze o tym do Ludwika XVIII:

Francja nie jest już osamotniona... Wasza Królewska Mość idzie już teraz w parze z dwiema największymi potęgami w Europie.

Tajny traktat z 3 stycznia 1815 roku świadczył bez wątpienia o wzroście francuskiego prestiżu w Europie. Na szczęście nigdy nie został wykonany, gdyż byłby zmusił wyczerpaną i zwyciężoną Francję do ponownego chwycenia za oręż, aby zabezpieczyć swym zwycięzcom ziemie, które jej tak niedawno wydarli.

Tajna zmowa Austrii, Anglii i Francji nie pozostała bez wpływu na dalszy tok obrad kongresu. Toteż Aleksander, gdzie tylko palcem ruszy i bez względu na dyplomatyczne wybiegi, jakich się chwyta, natrafia na wznoszącą się wszędzie potrójną zaporę. Jego spostrzeżenia sprawdzają się w ciągu kilku dni. Milczenie i porozumiewawcze spojrzenia trzech spiskowców, ich szybkie i prawie identyczne odpowiedzi potwierdzają istnienie porozumienia, a systematyczny opór jest tylko wyrazem wspólnego planu. Car czuje doskonale, że bez nowej walki celu nie dopnie i musi zrezygnować ze swych pięknych marzeń o wskrzeszeniu Polski, dokonanym ręką wnuka Katarzyny Wielkiej, Polski, która by znów

obejmowała należne jej miejsce wśród słowiańskiej rodziny narodów pod egidą Rosji.

Odtąd nie ma on już co robić w pracach kongresu, pozostawia zatem całą resztę niesmacznej roboty swym dyplomatom, Razumowskiemu, Stackelbergowi i Nesselrodemu, którzy robili co mogli, aby osłonić odwrót cara i podpisywali nie dające się już uniknąć pakta.

Rozdrażnienie na tle niepowodzeń wywołuje u Aleksandra głęboką moralną depresję, a zagadkowe i nieobliczalne jego usposobienie występuje znów w całej pełni.

O ile z początku ogarniała go chęć gorączkowej pracy i nie mógł sobie znaleźć miejsca, wpadając w irytację nieraz z lada powodu, to teraz zmiana zajęcia i projektów działa na niego deprymująco, tak że chwilami sam nie wie dobrze, co z sobą począć. Trwa to jednak niedługo — wnet bowiem rzucił się w wir zabaw i hulanek, z których niejedna wywołała zdumienie tych, co znali jego romantyzm oraz subtelny smak.

Tylekroć opisywano już życie Wiednia w epoce kongresu, że trudno cośkolwiek jeszcze dodać, a szczególnie o wspaniałościach cesarskich przyjęć, których koszt wynosił dziennie średnio licząc 220 000 florenów.

Zakulisowe sprawy wonczas były bardzo ciekawe, ale zaszczytu chyba nie przyniosły uczestnikom i pionkom tego szalonego karnawału. Wyższy urzędnik policji i totumfacki Metternicha, baron von Hager, nie omieszkał oplątać całego kongresu siecią szpiegowską, tak rozległą i przenikliwą, że dzięki niej możemy dziś odsłonić całe kulisy prywatnego życia głównych ówczesnych aktorów, a więc i Aleksandra.

Rozmaitych miłostek cara na kopie palców by nie

zliczył. Do najciekawszych zaliczyć należy nocne wizyty i flircik cara z dumną księżną de Sagan oraz z piękną księżną Bagration, zwaną „nagim aniołem", który przez czas dłuższy był na ustach wszystkich. Flirt ten podobno wpłynął na zerwanie Metternicha z księżną de Sagan i na nowy jego romansik z prawdziwie „idealną" hrabiną Julią Zichy.

Namiętne zmysły cara musnęły kolejno księżnę Auersperg, hrabinę Szechenyi, hrabinę de Saaran, było również kilka rozkosznych chwil z hrabiną Orczy, hrabiną de Wrbno — no i z kilkoma ładnymi Wiedenkami o mniejszych splendorach rodowych.

W tej atmosferze miłosnych upojeń rekorduje „najdroższa szczebiotka", Katarzyna Pawłówna, która prowadzi flirt pod okiem brata z księciem Wilhelmem Wirtemberskim, chce nawet wyjść za niego za mąż. Podobnie już kiedyś małżeńską obietnicą pokrywała wstydliwie zażyłość swoją z dukiem de Clarence.

Carowa Elżbieta Aleksiejewna przybyła właśnie do Wiednia. Aleksander chciał ją mieć przy sobie i pochwalić się jej urodą i wdziękiem, który umiała łączyć z godnością carowej. Na życzenie małżonka przerwała pobyt w Karlsruhe. Zamieszkawszy w Hofburgu stroniła jednak, o ile mogła, od całego gwaru rozrywek i spraw publicznych, który koło niej wciąż szumiał. Zbyt wiele rzeczy jej się nie podobało, toteż oburzała się i gorszyła tym wszystkim.

Wzajemna sympatia zbliżyła carową do cesarzowej Marii Ludwiki z Modeny, trzeciej żony Franciszka I, nieugiętej nieprzyjaciółki Napoleona, osoby na ogół poważnej i szlachetnej, którą wątłe zdrowie skazywało na długie chwile bezczynności.

Przeczulona Elżbieta w godzinach samotności, które z trudem udaje jej się czasem zdobyć, wraca do swej dawnej miłości. Odczuwa na nowo nieprzezwyciężony pociąg ku człowiekowi, który niegdyś przed laty piętnastu wrósł jej głęboko w duszę. Wspomnień tych przeżyć nie zapomniała nigdy. — Nawet, gdy była zajęta kim innym—zawsze w sercu jej pierwszym był Adam Czartoryski.

W istocie nad Wiedniem unosiło się w onych czasach niby tchnienie Afrodyty. Jakiś niewytłumaczony magnetyzm łączył miłosne pary.

Młoda Dorota Kurlandzka, hrabina Perigord, a przyszła księżna Dino, królująca pięknością na wszystkich przyjęciach w ambasadzie francuskiej w rozkwicie 21 wiosny życia, po raz pierwszy wówczas odsłoniła swe wdzięki przed grafem Clam-Gallas, co zwiastowało dziwną karierę i było pierwszym zwiastunem jej przyszłości. Krok ten był początkiem późniejszego stosunku, który rozpalił ogień w sercu starego Talleyranda, jej wuja, dla niego została osłodą do końca życia, poświęcając dlań inne miłostki.

Takie to było życie, w którym się pławił Aleksander.

Gdzież podział się wówczas jego mistycyzm? Myślałby kto może, że liczne miłostki tak mu głowę zawrócą, że na Boga już czasu nie stało?

Zawsze jest pobożny jak dawniej i słucha chętnie Bożych słów jakby poszumu wiatru z Jeruzalem albo Tyberiady. A może właśnie nadmiar rozkoszy, przesyt, a nawet obrzydzenie budzą w nim tęsknotę do wzruszeń nieziemskich?

Zamyka się wówczas z panną Roksandrą Sturdza, damą respektową cesarzowej, mieszkającą w skromnym pokoiku w Hofburgu na czwartym piętrze.

Była to dziewczyna jeszcze nie zepsuta, przeciwnie bardzo idealna, a przy tym piękna i różna od innych. Głos miała melodyjny i pieszczący, uśmiech poranka. Pani Sweczyn, serdeczna przyjaciółka Roksandry i tak jak ona pełna ideałów, pisała do niej pewnego dnia: „I nie masz w oczach twoich innego spojrzenia, jak tylko echo pięknych twoich myśli".

Nie bez kozery drapie się Aleksander na czwarte piętro do Roksandry — zostawmy jednak na boku złośliwość — boska Roksandra czyta mu tam „wzniosłe" listy, które otrzymywała z Inflant od baronowej Krüdener, „prorokini ewangelii". Książę Golicyn wspomina niejednokrotnie Aleksandrowi o tej natchnionej damie, „będącej napewno narzędziem Opatrzności, która potrafi rozwiewać wszelkie cienie duszy".

Pani Krüdener, wdowa po dyplomacie, kobieta już pod pięćdziesiątkę, wydała w roku 1804 romans pod tytułem *Valerie*, owiany tchnieniem Wertera i Rene'go. Była to wonczas książka bardzo modna.

Powodzenie przewróciło w głowie autorce, która chciała zdobyć sławę za wszelką cenę, nie wyłączając autoreklamy a nawet i szarlatanerii. Nie mogła nigdy usiedzieć na miejscu, gnało ją z Paryża do Berlina, to znów z Genewy do Badenu. Często też znajdywała się w trudnej sytuacji, lecz zawsze umiała sobie radzić i zdobywała wielkie powodzenie. Nic dziwnego była jeszcze wcale ładna, pociągała swym wdziękiem i rzekomą niedostępnością — miała też dużą dozę tkliwości. Otaczała się nimbem tajemniczości, a przy tym była to sprytna baba. Zdawało jej się, że jest nie do zdobycia i że każdy dla niej w łeb sobie co najmniej palnie z miłości. Często też musiała wielu z tych niedoszłych samobójców ratować...

Pewnego dnia, zdaje się, że w roku 1808, „Bóg odszukał ją też na ziemskim padole, gdzie byłaby zaczęła już więdnąć w objęciach rozkoszy". Nagle przebudziła się — jakby ją ochrzczono po raz wtóry. Jakieś światło cudowne z nieba olśniło ją. Zaczęła nosić w sobie żywe słowo — Odkupiciela".

Aleksander był wprost wzruszony, że kobieta, której Bóg okazuje tak szczególne łaski, jest rosyjską poddaną, i to tym bardziej jeszcze, że o nim myśli i widzi w nim „odrodziciela swych ludów... Chrystusowego Ulubieńca", którego ręką kieruje sam Boski Mistrz... Nazywa go również „białym aniołem" w przeciwieństwie do „czarnego anioła", którym jest Napoleon.

Mademoiselle de Sturdza pragnęła, aby car nawiązał stosunki z tą Deborą germańską, ale gdy była już prawie pewną, że go na właściwą drogę skierowała, on zawsze jej się w ostatniej chwili potrafił wymknąć dając posłuch także i innym syrenom.

* * *

Uraza do Bourbonów musiała Aleksandrowi dać się dobrze we znaki, gdy razu pewnego wyrwała mu się z ust pogróżka:

— Zdaje się, że oni zmuszą mnie do tego, abym na nich poszczuł znowu tego potwora.

Nie lada też osłupienie ogarnęło Wiedeń, gdy 7 marca doszła tam wieść, że potwór nie czekając na nikogo sam zerwał się z łańcucha i uciekł z Elby!

Jakie wieść ta wywarła wrażenie, czytamy w pamiętnikach Metternicha:

W nocy z 6 na 7 marca było u mnie zebranie pełnomocników pięciu mocarstw, a obrady przeciągnęły się aż do go-

dziny trzeciej nad ranem. Toteż zapowiedziałem kamerdynerowi, aby mię nie budził, chociażby nawet kurier jaki przybył zbyt późno. Mimo mego zakazu tenże sam służący przyniósł mi już o szóstej rano depeszę z dopiskiem „pilna". Na kopercie zauważyłem słowa: „od konsula w Genui". Ponieważ położyłem się spać zaledwie przed dwoma godzinami, rzuciłem depeszę nie otwierając jej na stolik koło łóżka i próbowałem zasnąć ponownie. Lecz raz ze snu wyrwany nie mogłem więcej usnąć. Około wpół do ósmej otworzyłem depeszę. Zawierała ona następujące słowa:

„Komisarz angielski Campbell zawinął do portu, aby zasięgnąć wiadomości, czy nie widziano tam Napoleona, który zniknął z wyspy Elby. Po otrzymaniu odpowiedzi przeczącej angielska fregata natychmiast wypłynęła na morze z powrotem".

W mgnieniu oka byłem ubrany i przed ósmą stawiłem się już u Jego Cesarskiej Mości. Cesarz przeczytawszy depeszę, zwrócił się do mnie z najzupełniejszym spokojem, którego nigdy nie tracił w poważnych chwilach:

— Napoleon widocznie chce się znów wdawać w awantury — zresztą to jego rzecz — naszą rzeczą jest zabezpieczyć spokój świata. Idź natychmiast do cesarza Rosji oraz do króla Prus i powiedz im, że gotów jestem wydać mym wojskom rozkaz natychmiastowego ruszenia na powrót do Francji. Nie wątpię, że obaj monarchowie podzielą moje zdanie".

W kwandrans po ósmej byłem już u cesarza Aleksandra, który powiedział mi dosłownie to samo, co cesarz Franciszek, a o wpół do dziewiątej król Fryderyk Wilhelm złożył podobne oświadczenie. O dziewiątej byłem już z powrotem u siebie i poprosiłem feldmarszałka księcia Schwarzenberga, aby zechciał do mnie natychmiast przybyć. O dziesiątej ministrowie czterech mocarstw przybyli również na moje zaproszenie i zebrali się w moim gabinecie. Nie upłynęła nawet godzina, a adiutanci dążyli we wszystkich kierunkach, niosąc cofającym się korpusom armii rozkaz zatrzymania się w miejscu. Wojna została zatem zdecydowana w niecałą godzinę".

Przez pięć dni nie było w Wiedniu żadnych wiadomości o Bonapartem. Mimo niepokoju, malującego się na twa-

rzach wszystkich, wznowiono natychmiast przyjęcia, przedstawienia i tańce.

Wtem nowe uderzenie piorunu:

— Bonaparte wylądował 2 marca w zatoce Juan i maszeruje na Grenoble witany z zapałem przez ludność. Ludwik XVIII i jego dwór uciekają w stronę Belgii. Nikt nie stanął w ich obronie. „Orzeł przelatuje z wieży na wieżę".

Triumfalny powrót Napoleona wywarł na Aleksandrze duże wrażenie, i to tym głębsze, że adiutant cara, Pozzo di Borgo, od chwili ucieczki „potwora" zapewniał stanowczo:

— Skoro tylko Bonaparte postawi nogę we Francji, powieszą go na pierwszej gałęzi.

Car nie wahał się ani chwili nad powzięciem decyzji:

— Nie ma pokoju z Napoleonem!... Przede wszystkim należy go obalić, później zaś ustalimy formę rządu Francji.

W tych ostatnich słowach widać jeszcze wahanie cara, czy w ogóle przywrócić znów tron Bourbonom. Czuł do nich zawsze odrazę i pogardę.

Lord Clancarty, pełnomocnik angielski, nalega, aby sprzymierzeni wydali odezwę do ludu francuskiego, zaczynającą się od słów: „Wrogiem naszym jest tylko Bonaparte. Uwolniwszy was od niego zapewnimy Francji wszystkie dobrodziejstwa ojcowskiego rządu pod prawowitym królem". Ten argument „prawowity" mocno zirytował Aleksandra. Widzi w nim niejako obelżywą aluzję do korony carów. Odżyły mu w pamięci spiski, morderstwa, detronizacje, rewolucje koszarowe i tragedie pałacowe w Rosji, cała ta seria „azjatyckich środków", które wycisnęły tak haniebne piętno na historii Romanowów.

Odrzuca więc propozycję lorda Clancarty:

— Naród francuski nie chce już Bourbonów; spójrzcie, jak pozwolili im uciec... Czyż znowu chcecie narzucić Francji rząd, który przestał istnieć. Czyż narzucicie go siłą?... Poza tym skąd ta pewność, że tron Ludwika XVIII będzie równie trwały w przyszłości?... Zeszłego roku w Paryżu można było ustanowić jeszcze regencję Marii Ludwiki. Czyż jest to jeszcze dzisiaj możliwe? Nie — arcyksiężna, z którą o tym mówiłem, nie chce za żadną cenę wrócić na chwiejny tron Francji. Wie o tym, że jej syn zajmie w Austrii stosowną pozycję i niczego więcej dla niego nie pragnie. Ażeby zaś którego z marszałków na tronie osadzić jako następcę Bonapartego, na to nie pozwolę nigdy. Wywołać by to mogło jedynie dalsze zakłócenie pokoju w Europie. Gdyby natomiast Francuzi zapragnęli księcia Orleańskiego jako króla rewolucji, sprzeciwiać się nie będę. Książę Orleański wszystkich pogodzi — jest Francuzem i jest Bourbonem, ma synów, w swej młodości służył sprawie konstytucji, wreszcie nosił trójkolorową kokardę, której nie powinno się było nigdy porzucać.

Dnia 13 marca mocarstwa podpisane na traktacie paryskim ogłosiły, że Bonaparte zerwał „z jedynym legalnym tytułem, do którego przywiązane było jego istnienie, że zostaje wyjęty spod prawa i że należy z urzędu ścigać go jako przestępcę".

Talleyrand, pozbawiony już roli „ministra Ludwika XIV", spokojnie położył piękny swój podpis pod tym manifestem, który zawiązał na nowo koalicję Europy przeciwko Francji. W liście do Ludwika XVIII formułę „o ściganiu przestępcy z urzędu" przypisuje sobie. Jeszcze i tym razem książę Beneventu sprzeniewierzył się swemu

„umiarowi oraz taktowi", gdyż przyrównuje „wyprawę Bonapartego" do wyprawy „bandyty" i kończy słowami: „wszelkie środki stosowane przeciwko rozbójnikom są przeciwko niemu dozwolone".

Kiedy sztaby porozumiewały się na gwałt, jak rozpocząć nowe kroki wojenne, dyplomaci klecili w pośpiechu końcowy akt kongresu, traktat z dnia 9 czerwca 1815 r.

W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa, stworzonego przez powrót uzurpatora, zgoda pomiędzy mocarstwami nastąpiła automatycznie. Car dla świętego spokoju zgodził się na ofiary terytorialne w sprawie polskiej. Wielkie Księstwo Warszawskie przyłączono w całości do Rosji, Prusy natomiast zatrzymały Poznań, Bydgoszcz i Toruń, poza tym i nadreńskie prowincje w rekompensacie za utrzymanie nienaruszonych granic Saksonii. Austria włączyła z powrotem do Galicji powiat tarnopolski, ustąpiony Rosji po bitwie pod Wagram, i otrzymała ponadto Lombardię, Wenecję, Triest, Dalmację i Istrię.

Ustaliwszy w ten sposób los Polski na kongresie Aleksander pisze co rychlej do hr. Ostrowskiego, marszałka senatu w Warszawie:

Przyjmując tytuł króla polskiego pragnąłem zadość uczynić życzeniom narodu. Królestwo Polskie połączone będzie z cesarstwem Rosji na zasadzie konstytucji, na której pragnę oprzeć szczęście kraju... Ponieważ utrzymanie powszechnego pokoju nie dozwoliło niestety, aby wszyscy Polacy złączeni zostali pod jednym berłem, to jednak starałem się przynajmniej złagodzić w miarę możności złe strony tego rozdzielenia i uzyskać dla Polaka wszędzie prawo zachowania na przyszłość swej narodowości.

Jaką Aleksander obiecuje narodowi polskiemu konstytucję? Wymarzoną — opartą na liberalnych zasadach,

wszczepionych mu jeszcze przez dawnego preceptora, La Harpe'a, zasadach, które sam starał się stosować przy pomocy Sperańskiego w Rosji. Umysł Aleksandra zdolny był zawsze do łączenia wszelkich sprzeczności. Nie kłopocze się on bynajmniej nadając Polsce najbardziej współczesne, liberalne prawa, podczas gdy masy ludu rosyjskiego pozostały pogrążone „w nieprawdopodobnej ciemnocie", jak później kiedyś wyraził się o tym wielki książę Mikołaj Michajłowicz.

Końcowych obrad i prac kongresu o mało nie rozbił pewien incydent, który naruszył mocno świeżo skleconą zgodę sprzymierzonych.

Napoleon natychmiast po przybyciu do Tuillerii usiłował nawiązać bezpośrednio rozmowy z carem, miraże bowiem Tylży i Erfurtu nie rozwiały, niestety, jeszcze jego złudzeń. Do pośrednictwa użył, jak mu się przynajmniej zdawało — bardzo zręcznie — swej romantycznej pasierbicy, Hortensji, którą w ubiegłym roku Aleksander był tak zajęty, i przesłał przez nią dawnemu przyjacielowi zapewnienia o swej przyjaźni z obietnicą, „że nigdy go nie będzie zaczepiał w sprawie Polski".

Wybór Hortensji w roli pośredniczki nie był najszczęśliwszy. Aleksander bowiem zupełnie już o niej zapomniał — kochanki wiedeńskie umiały poić czarem równym, a nawet i większym. Jednak w pomoc przyszła tu nowa jeszcze sprawa, która stała się w ręku Napoleona bezcennym atutem.

Hr. de Jaucourt opuszczając 20 marca pałac spraw zagranicznych pozostawił w szufladzie ściśle tajny traktat z 3 stycznia, w którym Austria, Francja i Anglia wiążą się wzajemnie w celu ograniczenia rosyjskich apetytów. Gdy Napoleon zapoznał się z treścią tego doku-

mentu, zaraz wręczył go jadącemu do Wiednia Butiaginowi, *charge d'affaires* Rosji w Paryżu.

Aleksander otrzymawszy list Bonapartego o mało się nie wściekł ze złości. Capo d'Istria, adiutant cara, przeląkł się po prostu, gdy go zobaczył mierzącego gabinet wielkimi krokami. Twarz Aleksandra pokraśniała z gniewu, a wzrok miał straszny. Rozmowa, jaką natychmiast odbył z twórcami tej ohydnej zdrady, była krótka i zarazem patetyczna. Wyniosłym ruchem ręki car wskazał im traktat.

— No, panowie — znacie wy ten dokument?

I nie słuchając usprawiedliwień jąkających się i drżących ze strachu winowajców zakończył wyniośle z królewską godnością:

— Nie chciałbym już więcej — dopokąd żyję, rozmawiać z wami na ten temat! Macie panowie szczęście — czekają nas dziś ważniejsze sprawy i na razie myślmy tylko o aliansie przeciwko Napoleonowi.

* * *

Dni następne również nie przyniosły carowi nic pomyślnego. Na radzie wojennej w dniu 19 kwietnia, na której osobiście przewodniczył, ustalono rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich na dzień 1 czerwca. Wojska sprzymierzonych zebrać się miały nad Renem pomiędzy Bazyleją i Koblencją. Armia angielsko-pruska stanowić miała prawe skrzydło i napierać w kierunku Namur, armię austriacką przeznaczono jako lewe skrzydło do ataku pod Langres. Armia rosyjska, która biwakowała w okręgu Moguncji, stać miała w rezerwie i wziąć udział w walce dopiero w miarę rozwoju wypadków.

Ta pomocnicza rola, czyniąca z armii rosyjskiej armię

drugorzędną, głęboko zraniła miłość własną Aleksandra, ale musiał się na to zgodzić, gdyż tylko część jego wojsk stała pomiędzy Wisłą a Niemnem, reszta powróciła już do Rosji. Mimo więc największego pośpiechu nie zdążyłaby przybyć na front przed pierwszym lipca. Tak więc samodzierżca przestał być *de facto* naczelnym wodzem koalicji.

Spostrzegł też od razu, że zarozumiali wodzowie Wellington, Blücher i Schwarzenberg w strategicznych swych planach chcieli sami „połamać kości Bonapartemu" i wkroczyć do Paryża, zanim Rosjanie choć jeden wystrzał oddadzą.

Ta nowa francuska kampania zapowiadała byłemu „Oswobodzicielowi świata" i „Agamemnonowi królów" tylko upokorzenia i troski. Aby chociaż zachować pozory wobec Europy, że dzierży jeszcze naczelne dowództwo, Aleksander nie czekał na koniec kongresu. Opuścił więc Wiedeń 25 maja i aby się przybliżyć do nadreńskiej strefy, udał się do Heilbrunu nad Neckarem, gdzie obrał swą główną kwaterę.

Po drodze zatrzymał się i przepędził kilka dni na zamku Nymfenburg u królestwa bawarskich. Gospodarzy uderzył zły humor cara, pesymizm i nerwowość. Wymyślał i klął bez ogródek niedołężnych Bourbonów, którzy zdaniem jego sami sobie winni przypisać winę nowego upadku, nie dobierał też słów, gdy mówił o swych sprzymierzeńcach, a najbliższą przyszłość malował w bardzo ciemnych barwach.

W Heilbrunie stanął 4 czerwca i postanowił oczekiwać tam na swoje wojska.

Koło drugiej nad ranem nie mogąc zasnąć wziął jakąś książkę do ręki. Chciał w niej znaleźć może uko-

jenie lęku, który mu się po sercu kołatał, lecz wnet ją rzucił.

W tej chwili wszedł do sypialni pierwszy adiutant carski, książę Wołkoński, i zameldował, że jakaś dama, która podaje się za baronową Krüdener, nalega, aby raczył ją przyjąć mimo tak późnej i na wizyty niestosownej pory.

Przez jakiś dziwny zbieg okoliczności Aleksander myślał właśnie o niej w tej chwili, gdyż nieraz przedtem pragnął poznać tę, podobno tak niezwykłą kobietę.

„Ona chyba czytać potrafi w mej duszy — żeby mnie tak odgadnąć", przemknęło mu przez głowę... i kazał wprowadzić zagadkowego gościa.

Rozmowa z panią Krüdener przyniosła Aleksandrowi ukojenie — i natchnęła go jakby jakąś nadziemską siłą.

Jest całkiem jasne, że wydarzenie to, jeżeli je bliżej rozważyć, nie było znowu tak całkiem przypadkowe. „Debora Północy" doskonale wiedziała, że przednie straże rosyjskie mają tego dnia stanąć pomiędzy Heidelbergiem a Heilbrunem, toteż zręcznie wybrała na letnisko właśnie okolice Menu i Neckaru, aby znaleźć się jak najbliżej wielkiego ołtarza. Dzięki listom wiernej Roksandry znała też wszystkie szczegóły ciężkiej walki psychicznej Aleksandra. Instynkt miała dobry, a zuchwałość i szarlataneria dokonały reszty.

Po kilku dniach Aleksander przenosi się z Heilbrunu do Heidelbergu, gdzie przebywa również cesarz austriacki i król pruski. Wzywa też tam natychmiast panią Krüdener, która zamieszkała przy jego boku. Co wieczór prowadzą równie interesujące rozmowy jak pierwsza. Zaczynają je o dziesiątej wieczór a kończą czasem i o drugiej nad ranem. Aleksander czuje się błogo i spokój mu wraca.

Dzięki namiętnym oraz tajemniczym natchnieniom i proroctwom mocno egzaltowana i romantyczna Sybilla, a przy tym komediantka pierwszej klasy, uzyskuje przemożny wpływ na umysł nowego wyznawcy. Przemiana duchowa Aleksandra, która tliła w nim od dawna, całkowicie dokonuje się teraz.

Jego duszę ogarnia zupełny mistycyzm i wyciska na niej piętno aż do ostatniego tchnienia — przez całych lat dziesięć. Mistycyzm ten przybrał swoisty i ostateczny wyraz w owych heidelberskich nocnych rozhoworach.

ROZDZIAŁ XV

Na wiadomość o bitwie pod Waterloo Aleksander pospieszył do Paryża mając ze sobą zaledwie sotnię Kozaków. — 25 lipca doszła go wiadomość, że Wellington i Blücher na własną rękę przywrócili już tron Bourbonom — Zamieszkał w pałacu Elizejskim. — Ludwik XVIII, lepiej usposobiony niż dawniej, składa carowi uprzedzająco grzeczną wizytę. — Car marzy o sojuszu francusko-rosyjskim. — Układy pokojowe — niesłychane żądania Prus — rozczłonkowanie Francji — „arcydzieło zniszczenia". — Ludwik XVIII apeluje do cara: „Z goryczą w sercu odwołuję się do Waszej Cesarskiej Mości...! — Wsp iałomyślność Aleksandra, który w zamian żąda odwołania Talleyranda — Komedia zwolnienia księcia Beneventu — książę Richelieu, dawny gubernator Nowej Rosji, przyjaciel cara, zostaje prezydentem Rady Stanu i ministrem spraw zagranicznych, — ocalenie Francji. — Kiedy dyplomaci opracowywali „drugi traktat paryski", Aleksander tworzy nową koncepcję polityczną, o której z dawna już myślał. — „Święte Przymierze". Rola pani Krüdener przy poczęciu paktu. — Zażyłość jej z Aleksandrem. — Wieczory w pałacu Montchenu. „Sabat Aniołów" — „Święte Przymierze" niepokoi sprzymierzonych. Opinia Metternicha: „Wiele hałasu o nic". Konszachty cara — chęć zaimponowania swą armią w imię pokoju. Teatralny przegląd wojsk rosyjskich na równinie de Vertus koło Châlons — 180 000 ludzi — wspomnienie Attyli. Ostatni triumf pani Krüdener. 29 września, Aleksander wraca do domu: „A więc nareszcie jestem poza tym przeklętym Paryżem!..." Znużenie fizyczne, zgryźliwość, przygnębienie moralne — niepokojące objawy.

Trzej sprzymierzeni monarchowie otrzymali wiadomość o bitwie pod Waterloo dnia 21 czerwca w Heidelbergu. Tym razem Napoleon był już bezpowrotnie zgubiony. Był to koniec jego niezwykłej kariery.

Aleksander chciał natychmiast wyjechać do Paryża. Lecz jakże się tam udać bez wojska. Niestety tworzący straż przednią czwarty korpus rosyjski zmęczony i wyczerpany mógłby zaledwie za siedem lub osiem dni przekroczyć Ren pod Manheimem, a dopiero koło 20 lipca stanąć nad Marną. Tymczasem Anglicy i Prusacy będą już niezawodnie do tego czasu w Paryżu.

Zniecierpliwienie cara nie miało granic, toteż zostawiwszy panią Krüdener oraz ukoronowanych towarzyszy ruszył w drogę biorąc ze sobą zaledwie sotnię Kozaków. Było to zuchwałe przedsięwzięcie, charakteryzujące odwagę Aleksandra, gdyż przecież bez żadnej prawie osłony musiał przebyć 80 mil w kraju, który nie był jeszcze zajęty przez wojska sprzymierzone i gdzie ludność sprzyjała jeszcze Bonapartemu.

Gdy zaś 10 lipca stanął w Paryżu, doszła doń wiadomość, że Wellington i Blücher, dumni ze swego walnego zwycięstwa i będąc jedynymi panami sytuacji, przywrócili na własną rękę tron Ludwikowi XVIII, który na dzień przed przybyciem cara powrócił do stolicy. Nie danym było zatem carowi Wszechrosji, aby odegrał jakąś rolę, nie tylko na terenie działań wojennych, ale i w dziedzinie polityki. W najważniejszych pociągnięciach dyplomatycznych ubiegli go tym razem jego sprzymierzeńcy.

Nie dziwota tedy, że po takim przyjemnym wstępie wszystko, co się działo w Paryżu, było dla Aleksandra z góry nienawistne.

Nie zamieszkał tym razem w pałacu przy ulicy Saint-Florentin, u znienawidzonego Talleyranda. Wybrał na kwaterę pałac Elizejski, gdzie zaciszne ogrody dawać mu mogły czasem złudzenie samotności.

Zaledwie nieco odpoczął po drodze, już Ludwik XVIII niespodzianie złożył mu wizytę. Nie były bez kozery te odwiedziny i kurtuazja oraz niezwykle daleko posunięta uprzejmość królewskiego gościa. Całkiem inaczej teraz mówił zdjąwszy pychę z serca, z którą się jeszcze w Compiégne rozstać nie potrafił.

Rozmowa suwerenów trwała całe dwie godziny. Stary król był bądź co bądź dobrym dyplomatą i zauważył od razu po pierwszych rozmowach z generałem Blücherem oraz z Wellingtonem, czym pachnie chciwość obu zwycięzców spod Waterloo. — Wolał mieć cara po swej stronie.

Aleksander widząc, że sprzymierzeni usiłują go zepchnąć na bok, a kto wie nawet, czy nie zdradzić — przyjął ofiarowaną zgodę bezzwłocznie i porozumiał się z Ludwikiem XVIII.

Od tego dnia powstrzymał się także od szyderstwa i wszelkiej krytyki Bourbonów. Poszedł nawet dalej — odprawił bowiem z kwitkiem księcia Orleańskiego, który miał wtedy pewne nadzieje i myślał, że jest w wielkich łaskach u tego — panującego liberała. Aleksander odwrócił się bokiem i do napoleonidów, których jeszcze niedawno był rzecznikiem.

Królowa Hortensja, która zapominając nawet o własnej godności chciała odzyskać swego, tak miłego, wielbiciela z Malmaison, dowiedziała się z gazet, że bramy pałacu Elizejskiego będą przed nią zamknięte. Niebawem Aleksander wyrzekł się jej publicznie, tak że na rozkaz

gubernatora Paryża, generała pruskiego Müfflinga, zmuszona była nawet opuścić Francję. Wieść również niosła, że Aleksander sprzyjając rządom Restauracji, autorytetem swym pokrywał niesłychane gwałty i bezprawia „białego terroru". Jeśli Bourbonowie wydawali mu się nawet „zawsze niepoprawnymi", to jednak niczym tego poglądu swego nie zdradzał.

Być może, że pewne projekty, których wtedy jeszcze nie wyjawiał, tłumaczą tę tak szybką zmianę stanowiska cara. Same projekty powstały jeszcze w Wiedniu za sprawą księcia Aleksandra Ypsilanti, pułkownika gwardii carskiej, potomka sławnej rodziny greckiej, który był adiutantem brata cara, wielkiego księcia Konstantego.

Rozsnuwano nie skrystalizowane jeszcze bliżej wyzwolenie Grecji oraz wielki protektorat nad całym Wschodem chrześcijańskim, zamiary, z których zrezygnować musiał w swoim czasie Piotr Wielki, a nawet Katarzyna — odwieczny miraż bizantyński.

Od chwili, kiedy trzeba się było wyrzec dążeń, aby zagarnąć całą Polskę — nienasycona wyobraźnia Aleksandra coraz więcej ulegała magnetycznemu urokowi Konstantynopola. Zdawał sobie też sprawę, że w tej przyszłej imprezie przyjdzie dzień, w którym Francja będzie dlań bardzo potrzebną, aby utrzymać Europę w szachu.

Od lipca zatem 1815 roku przemyśliwał nad tym, co w sześć lat później oświadczył hrabiemu de la Ferronnays, ambasadorowi Ludwika XVIII: „Francja i Rosja bezwarunkowo winny żyć w przymierzu".

* * *

Obrady pokojowe rozpoczęły się w Paryżu dnia 12 lipca. I znów znaleźli się razem dawni uczestnicy kongresu wiedeńskiego: Metternich, Razumowski, Nesselrode, Wellington, Castlereagh, Hardenberg, Humboldt i Talleyrand.

Temu ostatniemu jako pełnomocnikowi Ludwika XVIII przypadł w udziale naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Austria i Anglia stawiały wymagania względnie umiarkowane, Prusy jednak w swoim imieniu jak i w roli adwokata dworów germańskich dyszały żądzą odwetu i chciały zedrzeć skórę odsłoniwszy przyłbicę żarłocznego łupieżcy. Śnił im się rozbiór Francji i miały całkiem konkretny zamiar wydrzeć jej Flandrię, Hainaut, Ardenny, Alzację, Lotaryngię, La Franche-Comté, Burgundię, Sabaudię oraz część Delfinatu. — Znaczyło to odsłonić po prostu Paryż i ośrodek królestwa oraz położyć koniec jednolitej Francji — stanowiło „arcydzieło burzenia" dotychczasowego dorobku historii, jak się wyraził generał Pozzo di Borgo.

Roszczenia Prus nie przestały być niesłychane nawet po ograniczeniu ich przez Austrię i Anglię. Wellington, Castlereagh, Metternich, Razumowski i Nesselrode napotykają na fanatyczny opór Hardenberga i Humboldta, którzy dnia 20 września posunęli się nawet do groźby ultimatum wobec rządu francuskiego.

Talleyrand załamał ręce otrzymawszy tę naprawdę obelżywą notę:

„Ja tego nigdy nie podpiszę — wykrzykuje — oznacza to przecież koniec Francji i króla!..."

Ludwik XVIII wpadł w rozpacz i odwołał się do Aleksandra, ten jednak bardzo grzecznie i delikatnie wykręcił się z niemiłej sytuacji.

Nieuchwytny Romanow celował w wymykaniu się z nieprzyjemnych sytuacyj, w pokrywaniu ich mglistymi odpowiedziami. Jego siostra Katarzyna wyrażała się o tej umiejętności wykręcania się, że umiał „kunsztownie budować całe góry z piasku".

Niespodziewanie jednak cały ten straszny dramat zamienił się w komedię. Pozzo di Borgo, giętki jak wąż i zwinny jak jaszczurka, bystry przy tym jak Kryspin lub Figaro, prowadził intrygę. Potrafił wytłumaczyć królowi, że aby uzyskać decydującą interwencję cara, trzeba go uroczyście zapewnić, a nawet dać mu jakiś dowód konkretny, że Francja nadal pozostanie gorącą sojuszniczką Rosji. Świadectwem tego powinno być odręczne pismo monarchy a dowodem... natychmiastowa dymisja Talleyranda. Tylko w ten sposób król zadokumentuje swą dobrą wolę i zaskarbi sobie niezawodnie przyjaźń wielkodusznego samodzierżcy Rosji.

Ludwik XVIII orientował się zbyt dobrze, że w rachubę wchodzi tu los tronu i godność królewska, aby w lot nie zrozumieć o co chodzi. Toteż zdjął pychę z serca i napisał do Aleksandra doskonały w swym stylu, wytworny list:

Z goryczą w sercu udaję się do Waszej Cesarskiej Mości. Czyż mogłem przypuścić, że postawione mi zostaną warunki, które wiodą wprost do ruiny i hańby? Nie, *Sire*, ja nigdy nie uwierzę w to, że zdanie jego jest nieodwołalne... Gdyby jednak tak było w istocie, czyżbym miał nieszczęście się łudzić. Gdyby Francja nie miała nadziei, że nastąpi zmiana warunków, których jedynym celem jest osłabienie jej, to wówczas ja nie będę narzędziem jej zguby i raczej tron porzucę, niżbym miał zezwolić na przyćmienie jej odwiecznego blasku i chwały... Wasza Cesarska Mość zechce zrozumieć, że w tym postanowieniu moim nieodwołalnym kryje się cała głębia bólu mego.

Usunięcie Talleyranda nie wywołało u Ludwika żadnych skrupułów ani zakłopotania. Przyznawał wprawdzie, że ten wyświadczył mu we Wiedniu niejedną przysługę, nie mógł jednak wybaczyć, że wbrew jego woli narzucił się na pełnomocnika w latach 1814 i 1815. Nie mógł mu również darować, że wziął sobie do pomocy łajdaka Fouchégo, narażając dwór francuski na reprezentowanie przez żonatego eksbiskupa.

Najprzykrzejszym było jednak dla króla, że Talleyrand uważał się za nie do zastąpienia i usiłował stwarzać wrażenie, że roztaczał nad królem opiekę, podobnie jak majordomus w ostatnich latach panowania Merowingów.

Toteż Ludwik XVIII chętnie pozbył się tej zawadzającej mu figury, którą już wtedy bardzo się gorszono. Uczynił to jednak inaczej niż Napoleon — bez awantur i gniewu.

Spokojnie, ale i podstępnie pozwolił się Talleyrandowi skarżyć na zbyt ciężkie zadanie i prosić o żywsze poparcie wobec sprzymierzonych.

W braku tegoż poparcia — mówił Talleyrand — ministrowie znaleźć się mogą w przykrym położeniu i zwrócić swe portfele.

Tę ukrytą pogróżkę król pominął milczeniem patrząc w sufit, a potem obojętnie wycedził:

— No — jeżeli gabinet poprosi mnie o dymisję, to powołam — innych ministrów.

Nowe milczenie króla przerwał Talleyrand:

— A więc Wasza Królewska Mość przyjmuje naszą dymisję?

Król nie odrzekł słowa.

Nareszcie Talleyrand zrozumiał, o co chodzi i obrażony do żywego złożywszy ukłon odszedł.

Nazajutrz, 24 września, za radą generała Pozzo di Borgo, emisariusza Aleksandra, Ludwik XVIII powołał na prezesa Rady Stanu oraz ministra spraw zagranicznych księcia Richelieu'go, człowieka, który odznaczał się osobistą godnością i szlachetnością, a przytym był jednostką wybitną i wszechstronną. Potrafił on znakomicie zastąpić Talleyranda.

Richelieu nie przyniósł ujmy nazwisku, które nosił. Przed 25 laty zmuszony opuścić Francję przeniósł się do Rosji. Jako namiestnik Jego Cesarskiej Mości w prowincjach Chersońskiej, Ekaterynosławskiej i na Krymie stworzył dzieło godne podziwu. Założył i był pierwszym gubernatorem Odessy, przekształcił zupełnie, ucywilizował i wzbogacił te olbrzymie obszary tylko dzięki wyższości swych metod kolonizatorskich. W tym prokonsulacie, który opuścił bez majątku, nabrał wielkiego doświadczenia w sprawach rządzenia i potrafił zaskarbić sobie zupełne zaufanie Aleksandra oraz jego prawdziwą przyjaźń.

Gdy Talleyrand dowiedział się o tej nominacji, nie mógł się powstrzymać od przycinku, w którym tkwiła złośliwość.

— Tak — wybór księcia Richelieu'go nie mógł być bardziej trafny. To człowiek, który jest we Francji zapewne jednym znawcą... Krymu. Ks. Beneventu pragnął ukryć też koniecznie swą przegraną, toteż publicznie twierdził zawsze, że odszedł dobrowolnie.

„Mój patriotyzm — pisał — nie pozwolił mi patrzeć na upokarzające warunki, jakie stawiali sprzymierzeni... cesarz Aleksander chciał mieć manekina — ja nim zostać nie mogłem. Obowiązkiem moim było być tylko ministrem Francji".

MARIA Z KS. CZETWERTYŃSKICH NARYSZKIN

Według Stroely'ego. — Portraits Russes. Muzeum Narodowe w Warszawie.

Rokowania dyplomatyczne przerwane na kilka dni wskutek przesilenia ministerialnego rozpoczęły się na nowo. Richelieu, popierany przez Razumowskiego u Nesselrodego, przyspieszył tok układów. Również i car naglił, gdyż pragnął powrócić wreszcie do kraju, zresztą wszystkie trudności były już właściwie usunięte.

Ostatnie słowo w układach miał Aleksander, i jako arbiter wypowiadał swe zdanie bardzo stanowczo.

Jeden z generałów pruskich ośmielił się pewnego razu w jego obecności zaznaczyć:

— Żądania nasze są słuszne, potrafimy je poprzeć naszymi bagnetami.

Nie znoszący oporu samodzierżca skoczył jak oparzony:

— Ja także mam bagnety — i wyszedł trzasnąwszy drzwiami z furią.

Akt końcowy z 20 listopada 1815 r. naraził Francję na ciężkie ofiary. Okaleczono jej obronne granice na północy i wschodzie przez odebranie miast Philippeville, Marienbourg i Saarelouis. Kazano jej zburzyć fortecę w Huningue, odstąpić Sabaudię i zapłacić 700 milionów franków kontrybucji. Niezależnie od tego Francja ponieść musiała przez pięcioletni okres koszty okupacji wojskowej w sile 150 000 ludzi, co stanowić miało zabezpieczenie wypłaty odszkodowania i gwarancję przeciw groźbie rewolucji.

Trzeba przyznać, że — interwencja cara przyczyniła się wówczas w ogóle do tego, że Francja nadal mogła istnieć.

* * *

Kiedy dyplomaci układali końcowe protokoły traktatu, Aleksander po raz ostatni muskał piórem plany, które mu już od dawna tkwiły w głowie.

Była to myśl utworzenia — „Świętego Przymierza". — Osobna, wspólnie opracowana ustawa miała łączyć w chrześcijańskiej zgodzie wszystkie rządy w celu zapewnienia pokoju światu i szczęścia ludom. W ten sposób Aleksander miał nadzieję ponownie zostać „zbawcą Europy" — jak w latach trzynastych i czternastych.

Pierwszy pomysł powziął on jeszcze na kongresie wiedeńskim przed dziesięciu miesiącami, w dniach, w których go spotkały pierwsze rozczarowania. W grudniu przemyślał wszystko na tyle, że mógł się podzielić z resztą aliantów propozycją porozumienia się w sprawie powszechnego paktu, który odtąd miał wszelkie kwestie państwowe podporządkować zasadom ewangelii. Jako zabezpieczenie rzetelności międzynarodowych stosunków miały być obmyślone wspólne sankcje.

Wśród sporów, intryg i zabaw wiedeńskich pojawienie się projektu Aleksandra nie zwróciło większej uwagi. Wkrótce uderzenie piorunu z 7 marca i powtórny wzlot orłów napoleońskich skierowało sprzymierzonych w kierunku troski o własną skórę. Przed wyjazdem jednak z Heilbrunu Aleksander nie omieszkał ustalić głównych zarysów swego planu i podał go nawet w instrukcjach dla swych ministrów pełnomocnych za granicą.

Zasadnicza myśl Aleksandra była identyczna z naiwnymi pomysłami genewskich utopistów, urzeczywistnionymi z takim zapałem w sto lat później: „W łonie wielkiej europejskiej rodziny państwo będące napastnikiem zostaje uznane *ipso facto* jako wypowiadające wojnę wszystkim innym państwom".

Natychmiast po przybyciu do Paryża Aleksander postanowił ponownie poruszyć tę sprawę.

Podtrzymywała i umacniała te zamierzenia zapalona entuzjastka pani Krüdener. Czuwała też nad carem bez przerwy, mieszkając w pobliżu pałacu Elizejskiego, w hotelu de Montchenu, a o zażyłości jej z carem wróble śpiewały na dachach. Reklamowała się przy tym znakomicie reżyserując przyjęcia w swych salonach, w których przewijał się bez przerwy tłum znakomitych gości. Spotkać tam można było panią de Staël i panią Récamier, Adriana do Montmorency, Beniamina Constant, Chateaubrianda, księżnę Duras, historyka „wypraw krzyżowych" pana de Michaud, moralistę Degerando oraz sławnego adwokata Bergasse, „najwymowniejszego człowieka Francji", co ostro niegdyś zwalczał kawalera de Beaumarchais, a którego obecnie pociągały tajemnice zaświatów.

Beniamin Constant, którego paliła jeszcze wtedy niezagojona rana miłości do boskiej Julietty, należał do bywalców codziennych. W cztery oczy wyspowiadał się on kapłance ze swych zwątpień i cierpień nieuleczalnej nudy życia, burzliwego co prawda, ale złamanego na koniec. Pani Krüdener próbuje go nawrócić i uratować mu duszę nawołując do modlitwy, pokory, wreszcie do pokuty; a wielki ironista tonął we łzach szepcząc „pragnę uwierzyć!... tak bardzo chciałbym się modlić!..."

Chateaubriand natomiast nie długo ulegał urokom łotewskiej Vellédy. W swoich „wspomnieniach spoza grobu" poświęcił jej jednak kilka słów:

Baronowa Krüdener z powieści przerzuciła się w mistycyzm. Mieszkała w pałacu przy ulicy Faubourg Saint-Honorè, który łączył się z ogrodem dochodzącym aż do pól Elizejskich. Cesarz Aleksander przychodził tam incognito

przez furtkę ogrodową, żeby z nią wieść rozmowy o polityce i o rzeczach wiary — potem oboje spędzali czas na żarliwych modlitwach. Raz zaprosiła na te obrzędy i mnie, człowieka wolnego od wszelkich urojeń, który nie znosi nierozsądku, a już absolutny wstręt czuje do tajemniczości. Przy tym pogardzam też kuglarstwem. Sceny, na które przyszło mi patrzeć, nudziły mnie, jednak próbowałem się modlić. Na próżno — obojętność mej duszy była silniejsza. Nic nie miałem Bogu do powiedzenia, a diabeł kusił mnie do śmiechu.

Poczęcie „Świętego Aliansu" przypisywano na ogół pani Krüdener, a przede wszystkim ona sama starała się uczynić wszystko, aby legenda ta wyglądała na prawdę. Wiemy jednak dobrze, że plany Świętego Przymierza urodziły się w umyśle cara już na kilka miesięcy przed poznaniem baronowej. Jeśli istnieli jacy współtwórcy tej, szlachetnej może utopii, to chyba byli nimi powiernicy mistycyzmu Aleksandra z lat dawnych, to jest książę Golicyn i Koszelew. Rolą tej chaotycznej Egerii było tylko gorliwe oklaskiwanie wzniosłej idei, wysławianie jej twórcy i wyśpiewywanie na jego cześć hymnów pochwalnych.

Ot — kilka prób takich tyrad i peanów p. Krüdener: „Gdyby Cię Bóg nie był uczynił wybrańcem swoim, gdyby nie upodobał sobie Ciebie i gdybyś nie był dzieckiem Jego serca, to nie byłby Cię powołał do wielkich posłannictw, byś mógł zwyciężyć Smoka i prowadzić ludy"... „Porzuć więc Adamowy żywot, wżyj się w Chrystusa. Niech Zmartwychwstanie będzie w istocie Twojej. Zbawiciel niechaj zapali w Tobie słońce miłości. Idą już czasy, że Kościół Odkupiciela odrodzi się na nowo i zwycięży wszystkie przeszkody, a Oblubieniec boski zdobić go będzie. Niech Błogosławiony za życia Aleksader własnymi oczyma ujrzy jeszcze płodne owoce Świę-

tego Przymierza, które przez niego stworzył Przedwieczny..."

Taka to gadanina „mistyczna" była udziałem pani Krüdener przy powstawaniu Świętego Przymierza.

O wiele ciekawsze jest, jak Aleksander sam własną myśl określił. Zamiary swe sprecyzował on jasno:

„Przez ten związek, braterski i chrześcijański, chciałbym życie państw oraz ich politykę podporządkować zasadom pokoju, jedności i miłości, które są owocami chrystianizmu. Dążeniem moim jest zjednoczyć sprawy duszy ludów za łaską Opatrzności pod sztandarem Krzyża".

Dnia 26 września podpisano pakt Świętego Przymierza „w imię Najświętszej i Niepodzielnej Trójcy".

Akt ten rozmaicie był komentowany przez innych uprawnionych do tytułu „zwycięzców Smoka".

Fryderyk Wilhelm, który nie był mocny w dobieraniu określeń ze słownika mistyki, wyraził się o akcie dość kompromitująco: „Jeżeli Bóg zamiarom naszym będzie błogosławił, to i my chwalić będziemy Pana przed światem".

Książę regent Anglii, przyszły Jerzy IV, głośno pochwalał szlachetne cele paktu, mimo to jednak odmówił podpisu, „ponieważ zawarli go sami monarchowie, podczas kiedy konstytucja angielska wymaga, aby wszelkie traktaty były dziełem jej odpowiedzialnych ministrów". Na boku zaś szczerze wyznał przed Wellingtonem i Castlereaghem, że Święte Przymierze to tylko pusta ideologia, w której wielkoduszność kłóci się z absurdem". Ojciec święty Pius VII również swego podpisu odmówił, gdyż kościół katolicki nie mógł uznać jakiegoś nadrzędnego chrześcijaństwa, które było istotą paktu.

Ze wszystkich jednak współczesnych mężów stanu Metternich najściślej ocenił i od pierwszego wejrzenia najlepiej może określił wartość Świętego Przymierza:

„Nie potrzebowałem zagłębiać się w zbyt dokładne badania tego aktu, by spostrzec, że nie posiada on innego znaczenia, jak nieco filantropii ujętej w szatę religii... Nawet sam twórca Świętego Przymierza miał na myśli tylko pewne jego moralne znaczenie. Inaczej może tę sprawę pojmowali niektórzy z podpisanych na akcie, ale w konsekwencji nie ma do czego przywiązywać zbyt wielkiej wagi i bawić się w interpretacje. Słuszność mojego zdania potwierdzał fakt, że nigdy potem sprawy tej nikt nie poruszał wśród gabinetów... Trzeba przyznać, że Święte Przymierze stanowczo nie kryło, jak tego chcą niektórzy, żadnych ograniczeń praw ludów ani nie stanowiło nawet pozorów umocnienia absolutyzmu. Było ono wyrazem jedynie mistyki cesarza Aleksandra i próbą przystosowania polityki do chrześcijańskich zasad..."

W poufnych rozmowach Metternich wyraził się o tej sprawie dużo zwięźlej: „Czym jest Święte Przymierze... To Wielkie Nic, stworzone z dużym hałasem".

Nie przypuszczał on jeszcze wtedy, że z „tego Wielkiego Nic" uczyni wkrótce zasadę oraz narzędzie całej austriackiej polityk odwracając mechanizm paktu przeciwko rosyjskim poczynaniom.

* * *

W umyśle Aleksandra wyczuć można zawsze dużo sprzeczności biegnących obok siebie oraz paradoksów.

W chwili, gdy na granitowych zasadach chrześcijańskiej moralności silił się budować pokój świata, równocześnie urządzał wielki przegląd swych wojsk. Szarpała go zazdrość o sławę, którą się okryli pod Waterloo

Wellington i Blücher. Oburzał się również, że próbowano umniejszać i niedoceniać jego głównej roli, jaką odegrał przy upadku Napoleona, poza tym zaś chciał przypomnieć światu, że armia rosyjska jest zawsze gotowa, aby on mógł ostatecznie decydować o obecnych jak i o przyszłych losach Europy.

Jako miejsce tej manifestacji wybrał car równinę Vertus pomiędzy Châlons i Montmirail, tak zwane „Pola Katalońskie", gdzie niegdyś w roku 451 rzymski wódz Aecjusz powstrzymał najazd Attyli.

136 batalionów piechoty i 168 szwadronów jazdy oraz 600 dział stanęło pod bronią w dniu 11 września.

Car dokonał przeglądu w obecności cesarza Austrii, króla Prus, księcia Wellingtona, księcia Schwarzenberga oraz licznej generalicji, należącej do czterech sprzymierzonych armii.

Nazajutrz, w dniu świętego Aleksandra wojska zebrały się ponownie, aby wziąć udział w uroczystym nabożeństwie.

Siedem ołtarzy wzniesiono na pagórkach. Przy jednym z nich, co znacznie nad innymi górował, zgromadzili się monarchowie ze swymi sztabami. Z równiny, na której niegdyś padły hordy Attyli, wzniosła się ku Bogu modlitwa dziękczynna, że wreszcie kres położył cierpieniom Europy.

Pani Krüdener zajmowała miejsce honorowe wśród innych uprzywilejowanych. Był to dla niej dzień wielkich wzruszeń, dzień chwały, o którym później napisała w swoich elukubracjach biblijnych, co następuje:

Na czele wojsk ujrzałam człowieka, którego Przeznaczenie przed wiekami i na wieki wybrało. Wiekuisty powołał Aleksandra, a Aleksander z uległością szedł za jego głosem...

Bez wątpienia car był głębiej wzruszony od prorokini mówiąc:

— „Dzień ten był najpiękniejszym w moim życiu, nigdy go nie zapomnę. Serce rozpierała mi miłość, nawet ku mym wrogom, i modliłem się za nich żarliwie, a płacząc u stóp Krzyża błagałem o zachowanie Francji".

Gdy po całej tej paradzie car spotkał się z panią Krüdener w Paryżu, zaraz oboje zabrali się do deklamowania z patosem psalmów, intonowanych podczas nabożeństwa przez popów i śpiewaków wojsk rosyjskich.

* * *

28 września wyjechał Aleksander do Brukseli z zamiarem powrotu do Rosji, przez Dijon, Bazyleję, Konstancę, Zürich, Norymbergę, Weimar, Berlin, wreszcie Warszawę. Takim łamanym dyszlem dobrnął do Petersburga dopiero koło połowy grudnia, co dowodzi, że nie spieszno mu było do stolicy, ale i Paryża miał stanowczo dosyć.

Zaledwie przybył do Brukseli, odetchnął z ulgą. Pisząc wtedy do swej kochanej Katiuszki, nie omieszkał nadmienić:

„Nareszcie jestem z dala od tego przeklętego Paryża!..."

Dwumiesięczny pobyt w stolicy Francji przysporzył Aleksandrowi niejednego rozczarowania. A powodów przykrości było wiele. Brakło mu bowiem atmosfery uwielbienia i pochlebstw, które go tutaj upajały rok temu. Przestał być modnym w salonach paryskich, zmuszony ustąpić miejsca zwycięzcy spod Waterloo, Wellingtonowi, temu wyniosłemu i flegmatycznemu „księciu ze stali". — Wprawdzie Ludwik XVIII okazywał carowi teraz dużo uprzejmości, to jednak nie przydało się to na wiele, gdyż

Bourboni nadal byli mu antypatyczni jak dawniej, a jeśli bronił Francji przeciwko sprzymierzonym, to tylko dlatego, że doskonale wiedział, że przymierze francuskie będzie mu w przyszłości potrzebne dla wschodniej polityki rosyjskiej.

Nie zmienił również swego zdania o narodzie francuskim, który odsądzał od honoru; twierdził dalej, że brak mu zasad i lojalności oraz uważał go przy tym za nieuleczalnie zepsuty. Zarzuca też Francuzom niestałość i przekupstwo, mimo zewnętrznych pozorów wielkiej inteligencji i uroku wielkiej przeszłości. Do sprzymierzeńców swoich jest zrażony, razi go niska mściwość i chciwość cyniczna, z jaką wyzyskać chcieli sytuację kosztem pobitego kraju. Prawdziwe szczęście znajdował jedynie w godzinach, w których się kajał przed Bogiem.

„Wszelkie troski znikały — pisał do Katarzyny — gdy czułem w sobie łaskę płynącą z Najwyższej Istoty".

Otoczenie Aleksandra odczuło też w ostatnich czasach jego prawie stały zły humor. — Wszystko mu było złe — niezadowolenie i rozdrażnienie cara wywoływało coraz częściej wybuchy gniewu, niewidziane u niego dawniej. Za najmniejszym przewinieniem służbowym wpadał we wściekłość, przy każdej sposobności klął na czym świat stoi, a czasem brał się nawet do kija, jak niegdyś Paweł I w najgorszych chwilach swego życia. Nawet pierwszy jego adiutant i szef sztabu, przyjaciel z lat dziecinnych, książę Wołkoński nie mogąc dnia pewnego znaleźć aktu, który Aleksander miał właśnie pod ręką, ściągnął na siebie groźne słowa: — „Zobaszysz, że ześlę Ciebie w takie miejsce, którego nazwy na próżno szukać będziesz na twoich mapach!"

Gdy zaś rozbite nerwy uspokajały się nieco, to znów

popadał w melancholię. Był wtedy małomówny, zgorzkniały i milczący. Chcąc uciec od samego siebie i od otoczenia wychodził samotnie na dalekie spacery lub odbywał konne przejażdżki. Większość wieczorów spędzał u pani Krüdener. Nie przeszkodziło mu to wprawdzie w kilku przelotnych i bez głębszego znaczenia miłostkach — ot tak, ażeby nie wyjść z wprawy.

Aleksander, urodzony 23 grudnia 1777 roku, liczył w onym czasie zaledwie trzydzieści osiem lat, lecz wyglądał na dużo więcej, na przeszło pięćdziesiąt. Wygląd cara zdradzał już przedwczesne zużycie: zaczął mocno siwieć i łysieć z dnia na dzień. Na twarzy ukazały się zmarszczki i worki pod oczami. Dotąd trzymał się zawsze prosto i ruchy miał okrągłe, przybierając tak modne wówczas pozy — teraz zaczynał się lekko garbić. Zraniona niegdyś noga dolegała mu więcej niż dawniej, utykał więc, a czasem wprost zaczynał kuleć. Mając od dziecka słuch nieco przytępiony i krótki wzrok — teraz już niedosłyszał i niedowidział, co odbierało mu pewność siebie. — Ciągle mu się zdawało, że wszyscy naokół śmieją się z niego i kpią w żywe oczy.

Kobiety były jak zawsze jeszcze jego żywiołem, lecz dużo mniej od nich wymagał. Nie uznawał jak dawniej miłości platonicznej, ale miłostki jego stawały się coraz bardziej sentymentalne i „uduchowione". Ciekawy jest w tym względzie i znaczący list margrabiny badeńskiej do córki, Elżbiety Aleksiejewny, w którym teściowa Aleksandra zastanawia się, czy jej zięć „odczuwa jeszcze podniety płciowe" — *„wenn er noch Geschlechtstriebe fühlt"*.

Dnia 15 grudnia Aleksander wrócił do Petersburga po piętnastomiesięcznej nieobecności — ale wrócił człowiekiem innym — znajdował się na niedobrej, pochyłej drodze.

ROZDZIAŁ XVI

Powrót do Petersburga. — Zawód rosyjskich patriotów — niezadowolenie powszechne — kłopoty gospodarcze i finansowe w czasie przedłużającej się nieobecności cara, niedbalstwo i przeniewierstwa w urzędach rozpleniły się niesłychanie. — Sprawa polska — nowe królestwo. Aleksander w Warszawie. Rozczarowanie Polaków, książę Czartoryski — reprezentacyjnym pionkiem. Wzrost wpływów wielkiego księcia Konstantego wzbudza wstręt i trwogę. — W cesarstwie Aleksander wypiera się swego dawnego liberalizmu i daje wolną rękę Arakczejewowi — despotyzm i okrucieństwo. — Kolonie wojskowe — katorga — bunty chłopskie — „przerażające metody pacyfikacji". — Mistycyzm Aleksandra wzrasta. — Narady z Golicynem, — „Jedynym moim ratunkiem jest Pan!..." — Odsunięcie pani Krüdener. Miejsce jej zajmuje bardziej prawowierna prorokini, Katarzyna Tatarinowa. — Wyrzuty i smutek — tęsknota za wrażeniami. — Więzień Świętej Heleny. — Rozrywka na czasie; kongres w Akwizgranie w październiku 1818 r.; wojska sprzymierzone opuszczają ziemię francuską. Francja znów czynnikiem równowagi europejskiej. Miłostki i zabawy jak w pięknych dniach Wiednia. Metternich i pani de Lieven. Car powraca do Petersburga 3 stycznia 1819 po bardzo długiej podróży. Śmierć wielkiej księżnej Katarzyny Pawłówny, boleść Aleksandra, który ponownie popada w melancholię i pesymizm. Zerwanie z panią Naryszkin. — Podróże bez końca. — „Gorączka jakobińska" w Europie. — Zamordowanie księcia de Berry. — Rewolucja w Hiszpanii i we Włoszech zmusza mocarstwa do zwołania nowego kongresu w jesieni roku 1820 w Opawie. Interwencyjna polityka Metternicha — opór Anglii. Aleksander nie chce być „żandarmem ludów"; ostatnie marzenia o „zasadach wolnych instytucji" — 19 listopada nadchodzi do Opawy wiadomość, że pułk gwardii rosyjskiej, pułk siemionowski, zbuntował się w Petersburgu. Wściekłość i przerażenie Aleksandra „Więc i u mnie rewolucja". — Natychmiastowa zgoda z Metternichem — przeniesienie kongresu do Lublany. Reakcyjne dążenia Aleksandra i zdezawuowanie własnego adiutanta, księcia Ypsilantiego, który miał oswobodzić ludy chrześcijańskie na Bałkanach. Prawowierna święta Rosja wyrzeka się publicznie sprawy helleńskiej.

Przyjęcie, z jakim się Aleksander spotkał w Petersburgu, nie mogło w nim podnieść upadającego ducha. Traktaty zawarte w Wiedniu i w Paryżu wywołały w Rosji głębokie rozczarowanie, gdyż brakło w nich nagrody za bohaterskie wysiłki, które kosztowały ją tyle

krwi, zdziesiątkowały ludność i na długie lata pogrążyły w nędzy.

Dziesięć lat zmagań czy to po stronie Napoleona, czy też przeciw niemu zrobiło swoje. Wojna bez wypoczynku, przeciwko Francuzom czy przeciw Austriakom, Prusakom, Szwedom, wreszcie Turkom wyczerpała wszystkie zasoby państwa.

Skarb był pusty. Koszta wojenne, zniszczenie skutkiem najazdu i blokady kontynentalnej, epidemie, klęska nieurodzaju, rozprzęgły cały ustrój społeczny Rosji. Nędza wyłaziła z każdego kąta.

Administracja przedstawiała widok opłakany. Od października 1812 roku do grudnia 1815, a więc z trzydziestu ośmiu miesięcy Aleksander całe trzydzieści pięć spędził poza granicami państwa. Nie trudno sobie wyobrazić, co działo się podczas nieobecności cara w Rosji, gdzie ukaz decydował o wszystkim.

Napoleon — ten sobie mógł na to pozwolić. Genialny zmysł organizacyjny, niezwykła pracowitość i niezawodna pamięć, pozwalały mu kierować państwem tak dobrze i sprężyście z Berlina, Wiednia czy z Madrytu lub Moskwy, jak gdyby nigdy nie opuszczał Tuillerii.

W czasie trzech ostatnich lat nieporządek, samowola, bezprawia, niedbalstwo, sprzeniewierzenia i wszelkiego rodzaju nadużycia wszechwładnego rosyjskiego czynownictwa, którego nikt nie kontrolował — doszły do szczytu. Siłą rzeczy przyczynę powszechnego niezadowolenia zwalano na cara. Stąd też chłód, jaki powiał ku „Błogosławionemu Aleksandrowi" od witających — był zrozumiałym aż nadto. Czekały nań wielkie zadania. Wymiar sprawiedliwości oraz kar — czystka całej Rosji. Aleksander rozumiał, że prace te są nader pilne; ale widział

też i piętrzące się trudności, które w dodatku wydawały mu się niewdzięczne i nudniejsze jedne od drugich. To pogłębiało jego moralną depresję jeszcze bardziej.

* * *

Nad wszystkimi jednak zarzutami najbardziej kłuło w oczy wszystkich odbudowanie Królestwa Polskiego, i tego nikt nie mógł wybaczyć wnukowi Katarzyny Wielkiej. Zapominano o zdobyczach terytorialnych, jakie Rosja uzyskała w okresie napoleońskim, zapomniano o przyłączeniu Finlandii, Księstwa Warszawskiego, Besarabii, o Tarnopolu, Białymstoku, Gruzji, Imeretii i Dagestanie, zapomniano o dwunastu milionach nowych poddanych. Wytykano natomiast, że zdobycze uzyskane na kongresie wiedeńskim przez Prusy i Austrię dały państwu carów jako jedyną przeciwwagę wskrzeszenie Polski — tego odwiecznego wroga Rosji.

Czy może za to Polacy wysławiali Aleksandra pod niebiosa i darzyli go dowodami wdzięczności? — Nie, nic podobnego.

W drodze z Paryża do Petersburga zatrzymał się car dłuższy czas w Warszawie, aby dokonać urzędowego aktu wskrzeszenia Królestwa, które zawdzięczało mu swe całe polityczne istnienie.

Przyjęto go tam wspaniałymi uroczystościami, na które odpowiedział hojnie deszczem łask i zaszczytów. Spostrzegł jednak niebawem, że za plecami społeczeństwo bynajmniej się nim nie zachwycało. Bo czemu to nie wskrzesił Polski w granicach pierwotnych sprzed zbrodni trzech rozbiorów? Czemu Galicja pozostała pod Habsburgami a Poznańskie w łapach Hohenzollernów. Przy tym, gdy ośmielono się zapytać cara o stosunki,

jakie odtąd łączyć mają Polskę z Rosją, otrzymano jedynie mgliste odpowiedzi. Podobnie także uchylił się car od wszelkich wyjaśnień, tyczących się ustaw konstytucyjnych.

Głęboko też naraził sobie polskich panów mianując namiestnikiem mało znanego i pochodzącego z szaraków generała Zajączka. Najmocniej obrażony jednak i zdumiony był tą nominacją książę Adam Czartoryski.

Dlaczego Aleksander pominął serdecznego przyjaciela z czasów swej młodości, człowieka, któremu niegdyś zwierzał się ze swych polskich planów i którego tylokrotnie używał w tym celu do tajnych poruczeń... Tego nikt odgadnąć nie umiał i dziś jeszcze jest to tajemnicą. To pewne, że Aleksander pragnął uniknąć rozmowy o tej sprawie z księciem Adamem. Wynika to jeszcze i z faktu, że nominację Zajączka ogłosił w chwili swego wyjazdu z Warszawy w nocy 27 listopada.

Obawiał się może, że nie znajdzie w Czartoryskim dość powolnego narzędzia, a może uważał go ze względu na nazwisko, majątek i stosunki za zbyt wybitną osobistość. Może zresztą czuł do księcia Adama urazę, że niezbyt umiejętnie ukrywał w Wiedniu ponowne nawiązanie romansu z carową Elżbietą. Rzucił mu jednak słodką pigułkę na ostatek i mianował go marszałkiem Senatu.

Książę bez słowa przełknął to upokorzenie, wraz z którym zapadały się wszystkie jego sny o wielkości. Ale ze „świętej przyjaźni", która niegdyś łączyła tych dwóch ludzi, nie pozostało nic oprócz osadu na dnie duszy, co się miała wnet rozwinąć w nienawiść.

Ostatnim błędem, i to dużo poważniejszym, dzięki któremu Aleksander zraził sobie na zawsze swych poddanych, było to, że najwyższe dowództwo wojska pol-

skiego oddał w ręce swego brata, wielkiego księcia Konstantego.

Ten drugi z kolei syn cara Pawła już od młodości okazywał niepokojące skłonności odziedziczone po ojcu. Na barach nad miarę potężnych tkwiła spłaszczona łysa głowa wielkiego księcia z czerwoną twarzą, zdobną w szeroki nos jakby rozgnieciony oraz małe, świdrujące oczki, zwiastujące srogość. Głos miał chropowaty i ostry, a gdy się uniósł, to szczekał jak pies i wyglądał jak „rozjuszona hiena".

Miewał czasem wielki książę Konstanty chwile, w których stawał się bardzo uprzejmy i serdeczny oraz pełen porywów dobroci, gdyż był to poza tym człowiek bardzo rozumny i przezorny; zawsze jednak brały w nim górę niskie strony jego duszy oraz kryjące się tam węże zawiści i złośliwości oraz rozpasanie. Ponad wszystko kochał się w wojsku, ale właściwie tylko w jego koszarowych i zewnętrznych czynnościach. Uznawał głównie dryl musztry i banalne raporty, pilnował do przesady drobnych szczegółów munduru i uzbrojenia, przestrzegał surowości w dyscyplinie karząc za byle co, bez miary, nie szczędząc kijów i bicia, w czym posuwał się nawet do najdzikszego nieraz okrucieństwa.

Takie były wojskowe zamiłowania wielkiego księcia, brakowało mu jednak zasadniczej cnoty żołnierza — odwagi!

Dama dworu cesarzowej Elżbiety, młodziutka Roksandra Sturdza, znająca dobrze Konstantego, wydała o nim sąd pełen potępienia: „Pozbawiony wszelkiej fizycznej i moralnej odwagi, niezdolny do najmniejszych uniesień ducha, zawsze umykał przed niebezpieczeństwem".

Toteż w roku 1812 wcale nie umiał ukryć trwogi na wieść o zbliżaniu się Napoleona. Każdemu, co chciał go słuchać, tłumaczył ze strachem, że należy prosić o pokój i uzyskać go za wszelką cenę"...

W maju 1815 roku, podczas kiedy wojska rosyjskie po raz wtóry ruszyły w tę stronę Renu, przybył do Warszawy, aby objąć dowództwo gwardii cesarskiej.

Już w ciągu pierwszych dwóch miesięcy zdołał obudzić ku sobie nienawiść wszystkich Polaków.

Czartoryski dnia 29 lipca pisał do cara, co następuje:

Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę, czuje jakby odrazę do tego kraju i do wszystkiego, co się tu dzieje, a nienawiść ta wzrasta w sposób zatrważający... Ani naród, ani wojsko nie mogą znaleźć łaski w jego oczach... Jego Cesarska Mość nie przestrzega nawet ustaw wojskowych, które osobiście zatwierdził, chce koniecznie prowadzić w szeregach bicie pałkami, a wczoraj nakazał je już nie licząc się z jednomyślnymi przedstawieniami Rządu Tymczasowego...

W kilka dni później nakazał pochwycić pewnego kapitana zwolnionego przez sądy wojskowe i skazał go *„manu propria"* na sześć miesięcy więzienia w twierdzy Zamościu. Innym razem pod najbłahszym pozorem nakazywał wymierzać w Belwederze po „pięćset kijów" nieszczęśnikom, których odsyłał „z ogolonymi głowami i brwiami jak złoczyńców". Książę Czartoryski miał prawo napisać w jednym z listów, że:

Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę, nie liczy się z niczym i robi wrażenie, jakby chciał doprowadzić do ostateczności. Żaden wróg nie mógłby bardziej zaszkodzić Waszej Cesarskiej Mości.

* * *

W sprawach uporządkowania administracji cesarstwa Aleksander całkowicie porzucił swe dotychczasowe zapały i liberalne złudzenia, przeciwnie odczuwał potrzebę tylko mocnej ręki. Wybór jego padł na generała Arakczejewa i — ze swego punktu widzenia — nie mógł dokonać lepszego wyboru.

Był to — jak już wspomniano — człowiek nieokrzesany, bez wykształcenia, grubiański, lecz odznaczał się praktycznym zmysłem w sprawach państwowych, miał odwagę czynów, był niesłychanie pracowity i ściśle przestrzegał najdrobniejszych przepisów. Poza tym wyjątkowej uczciwości, pogardzał zaszczytami, ale za to paliła go pasja rządzenia, pasja nieograniczonej władzy przy jednocześnie nieugiętej woli, lubującej się nawet w okrucieństwie. Zręczny dworak, który umiał połączyć szczerość i pewną dozę uprzejmości z surowością bez miary, potrafił nieraz cynizmem odpowiedzi przy równoczesnej umiejętności trafiania w sedno rzeczy, pozyskać sobie zupełnie zaufanie cara, któremu zresztą był bezgranicznie oddany. Był on może jedynym Rosjaninem, którego Aleksander nie podejrzewał. „Wierny jak pies" — „Bulldog" stał się za to niebawem wszechmocnym ulubieńcem, jedynym powiernikiem myśli cara i głową władzy wykonawczej. Poza nim nie było już jakiegoś innego łącznika między carem a krajem. Aż do końca panowania Aleksandra — przez całe dziesięć lat — Arakczejew był co najmniej namiestnikiem cara i zasłużył sobie na to, że rządy te, wszystko przytłaczającego despotyzmu i policyjnego przymusu, jakie zaprowadził, historycy nazwali od jego nazwiska: „Arakczejewszczyzną".

Jednym z dzieł, któremu poświęcił najwięcej wysiłków — była instytucja kolonii wojskowych — które do-

wiodły, z jaką starannością i surowością wykonywał wolę cesarską nawet wtedy, gdy osobiście jej nie pochwalał.

Myśl stworzenia kolonii wojskowych rzucił sam Aleksander. Urodziła się ona w jego głowie na tle pobudek czysto chrześcijańskich, które wszechstronnemu „Buldogowi" były jak najzupełniej obce.

Zamiarem cara było polepszyć położenie żołnierza w czasach pokojowych (służba trwała wówczas 25 lat), stworzyć mu warunki życia, coś jakby w rodzaju patriarchatu. Równocześnie chciał, aby żołnierz przyswoił sobie podczas służby kulturę rolną, a wojskowe ćwiczenia odbywał jakby wśród własnej rodziny, we własnym domu, koło cerkwi. Taka była myśl cara. Przy tym przewidywano też zmniejszenie wydatków skarbu na utrzymanie wojska. — Były to reformy bardzo pociągające na pierwszy rzut oka.

Niestety w praktyce te mądre założenia okazały się wnet złudą.

Mieszkańcy kolonizowanych części kraju rozpaczliwie protestowali przeciwko przymusowi osiedlania tych wielotysięcznych rzesz zakwaterowanych na stałe. Arakczejew jednak był głuchy na ich żale i rozkaz carski wprowadzał we właściwy sobie sposób.

Liczba wojskowych osiedleńców wzrastała szybko, dochodząc wkrótce do trzystu tysięcy. W osadniczych siołach pod pałką i knutem życie chłopów stało się życiem koszar i strasznej katorgi. Buntowały się całe wsie. Bunt w Czudowie na Ukrainie stłumiony został z dzikim okrucieństwem — sto wyroków śmierci nie licząc knutów. Pamięć o tym „uspokojeniu" długo żyła w chłopskim sercu.

Aleksander jednak wierzył niezachwianie w dobroczynne i umoralniające wyniki swoich wielkodusznych zamierzeń, ponieważ poczęły się one z „pobożnego natchnienia". Gdy jeden z doradców zaklinał cara, aby zaprzestał tego nieszczęsnego dzieła, Aleksander odrzekł z całym spokojem:

— Te kolonie utworzone będą za każdą cenę, choćbym miał zasłać trupami drogę z Petersburga aż do Czudowa.

* * *

W sierpniu 1816 roku udał się Aleksander do Moskwy. Były to pierwsze jego odwiedziny od czasów wyzwoleńczej wojny.

Bezgraniczny entuzjazm powitał go na Kremlu.

Powszechne jednak zdziwienie wywołał fakt, że car w rocznicę bitwy pod Borodinem nie udał się na pobojowisko i że nawet nie nakazał odprawić uroczystego nabożeństwa w Uspieńskim Soborze. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że będąc w Wiedniu nie zapomniał pojechać pod Wagram i że w kilka lat później przejeżdżając przez Brukselę nie omieszkał również udać się pod Waterloo. W ogóle zauważono, że car niechętnie poruszał wspomnienia ostatniej wojny wyzwoleńczej.

Dusza Aleksandra skłoniła się obecnie w inne strony — mistycyzm owładnął nią całkowicie.

Wyczerpujący list księcia Golicyna, pisany do cara w tym czasie, uchyla rąbka wewnętrznej treści duszy Aleksandra, owianej już nieziemskim światłem:

Krzyże z roku 1812 sprawiły, że się w sercu Waszym — *Sire* — stworzyło podłoże, po którym Duch Święty mógł stąpać rozdając łaskę swoją. Upokorzenie, jakie znosiłeś z poddaniem, oraz miłość wydały owoce w pierwszej kampanii,

we Francji, Bóg tylko, jak to ongiś odczułeś, wyniósł Cię na szczyt ludzkiej chwały. Im więcej Cię wywyższał, tym bardziej kornie biłeś czołem przed Nim. Wielką zaiste była moc Twej duszy!... W czasie kongresu w Wiedniu wróg chciał zasiać w Tobie chwasty i zielska wśród zabaw i gwaru... Lecz Ty, o Panie, byłeś wtedy cały własnością Boga!... Dziś oto idą czasy nowe. — Pan swoje władztwo rozciąga nad ziemią. — Pan żąda, aby możni tego świata upadli przed nim w proch i aby serca ich otworem stały i chłonąć mogły cud łaski Ducha Świętego!...

Całych dwadzieścia stron pełnych cytat z Ewangelii zapisał Aleksander w odpowiedzi:

Jedynym moim ratunkiem jest Pan. Jego bądź wola, gdyż On wszystko sprawia i rządzi wszystkim. W Apokalipsie napisano: „Nie psowaj ani wina, ani oleju mieszając doń czyny Twe, albowiem smutną ludzkość się stanie". Oto moje wyznanie wiary, które czuję w sercu moim i nie mogę już zboczyć z tej drogi, gdyż stałbym się niewiernym wobec Tego, któremu się całkowicie oddałem...

W takim to stanie duszy utwierdzał się Aleksander z dnia na dzień. Czyż było tam jeszcze miejsce dla innej sprawy — choćby dla natchnionej prorokini z Heilbrunu i Paryża, łotewskiej Debory. Panią Krüdener wyżenął z siebie. — Trzymał ją z dala — a było po temu kilka powodów, przede wszystkim nudziła go swoim napuszonym stylem i surowymi kazaniami, za którymi stał Makiawel.

Madonna Krüdener zrozumiała to szybko:

Czuję, *Sire*, że jestem mu może już natrętną — pisze — a może tym nawet czujesz się dotknięty, ale czyż mam obrażać Boga. Czyż mam Go nie słuchać i nie powiedzieć Ci wszystkiego, co wiedzieć powinieneś. Niech chociaż sumienie mam spokojne...

List ten jak wiele innych przed tym nie doczekał się odpowiedzi od cara.

Aleksander spostrzegł również, że prorocza dama zbyt często odwoływała się do jego sakiewki, ba — nazywała go przecież najchętniej swoim „bankierem niebiańskim".

Pewnego dnia dowiedział się także, że władze szwajcarskie wydaliły tę wróżkę germańską, gdyż w Bazylei skompromitowała się głosząc zbyt daleko idące hasła socjalne. Wnet też znalazły się także zarzuty i ciężkiej wagi. Święty Synod stwierdził, że kazania i nauki natchnionej *madame* nie są prawowierne. Przecież kościół prawosławny jedynie powołany jest do tłumaczenia Bożego Słowa.

Gwałtowny archimandryta Focjusz, ascetyczny mnich, który stale chodził we włosiennicy, miewał objawienia i z każdego czarta wyganiał, oskarżył ją niebawem o wyznawanie fałszywego chrystianizmu. Pomawiał ją o herezję zachodnią twierdząc, że nie z nieba czerpała swe natchnienia, ale przeciwnie, że szatańskim mocom oddaną była — a przy tym pełna cielesnych chuci i czynów złego ducha... Rozumie się, że po takim *dictum acerbum* Aleksander nie mógł z nią nadal utrzymywać stosunków, zażądał jedynie zwrotów swoich listów.

Znalazła się jednak niebawem nowa córa boża, tym razem rdzenna Rosjanka, która owładnęła umysłem Aleksandra. — Była to Katarzyna Tatarinow, wdowa po młodym oficerze, który zginął pod Borodinem. Matka jej była przy dworze, mogła więc Katarzyna mieszkać w pałacu Michajłowskim, tym samym, gdzie popełniono morderstwo na carze Pawle I.

Smutna dola wdowy skierowała ją ku Odkupicielowi.

Przyjmowała u siebie całe rzesze pobożnych i bogobojnych. Toczyły się tam dysputy o najwyższych zagadnieniach teologii, wspólnie odgadywano i rozważano słowa ewangelii.

Obaj serdeczni przyjaciele cara, książę Golicyn i Koszelew bywali u niej częstymi gośćmi, nie brakło też archimandrytów i episkopów. Zebrania obejmowały wspólne modlitwy. Hipnoza wprowadzała obecnych w stan uniesienia i wówczas na słuchaczy będących w ekstazie Katarzyna wylewała nieprzebrane strumienie apokaliptycznych widzeń.

Poza domem młoda ta kobieta z całym poświęceniem zajmowała się opieką oraz wspieraniem biedaków, włóczęgów, zwolnionych więźniów, różnych opętanych, a zwłaszcza „skopców", nieszczęsnych sekciarzy, zwolenników Seliwanowa, którzy pozbawiali się sami męskości, aby się pozbyć żądz cielesnych i tą drogą zapewnić sobie w królestwie niebieskim osobne i uprzywilejowane miejsce.

Aleksander często kazał sprowadzać do siebie prorokinię, gdyż to, co o niej słyszał od Golicyna i Koszelewa, podniecało w jego sercu płomienie boskiej miłości.

Mimo jednak porywów mistycznych car się nudził. Rola samowładcy zajmowała go już coraz mniej, gdyż poza rzeczami boskimi wszystko wydawało mu się jednostajne, jałowe i bezmyślne.

Nie mogąc wprost usiedzieć na miejscu podróżuje nieustannie. Przebiegał swe olbrzymie dzierżawy we wszystkich kierunkach z zawrotną jak na owe czasy szybkością, co nawet nie pozwalało mu na rozejrzenie się po drodze wokoło. W Petersburgu nie pokazuje się całymi miesiącami, co nieraz wpływa tamująco, podo-

bnie jak w czasach wojny, na bieg najważniejszych spraw państwowych.

Dygnitarze państwowi w latach 1816 i 1817 chcąc uzyskać zgodę na jakiś ukaz lub decyzję gonią go po prostu od Petersburga aż do Moskwy, Riazania, Tuły, Orła, Kurska, Czernichowa, Kijowa, Bobrujska, łapią go czasem w Warszawie, to w Mohylewie, za parę dni już w Smoleńsku, Witebsku czy Nowogrodzie itd. Książę Wiazemski powiadał że: „Rosją rządzi teraz z pocztowej karety". Ta nuda, która go prześladowała zdąża za nim wszędzie, gdyż nosił ją w sobie. Zresztą dzielił tę nudę z wieloma współczesnymi, których śmiertelnie nękała.

Od chwili, kiedy blask gwiazdy Napoleona pogrążył się w bezmiarach oceanu a Europa przestała rozbrzmiewać „wrzawą wojenną", świat jakoś dziwnie cały przygasł i stracił barwy. Zimny Metternich nawet żałował tych czasów niepokoju, gorączki, niepewności i lęku oraz potężnych wstrząsów dla nerwów, które wywoływał bez przerwy „piekielny człowiek". I on — wielki Metternich wpadał czasem w melancholię.

Nic więc dziwnego, że Aleksander musiał być w ciągłym ruchu mimo zimna, deszczów i śniegów, mimo złych dróg i przykrych nieraz postojów w zajazdach — gnała go tęsknota za nadzwyczajnymi wrażeniami, których tyle przeżył, a których brak mu było obecnie.

* * *

Jesienią w 1818 r. nadarzyła się carowi doskonała sposobność rozrywki. Alianci postanowili zwołać kongres do Akwizgranu, aby naradzić się nad wewnętrzną sytuacją we Francji i zdecydować sprawę dalszego utrzy-

mania czy też wycofania kontrybucyjnych garnizonów z ziemi francuskiej.

Aleksander wyjechał z Petersburga z końcem sierpnia i zatrzymał się po drodze w Berlinie przez kilka dni. Dnia 28 września przybył dopiero do Akwizgranu, prastarego grodu, w którym wiecznym snem spoczywa Karol Wielki.

Obrady rozpoczęły się nazajutrz. W imieniu Jego Królewskiej najbardziej chrześcijańskiej Mości, króla Francji, książę Richelieu postawił żądanie, aby zwolnić już monarchię Bourbonów od dalszej opieki Europy, aby królestwo to odzyskało nareszcie pełną suwerenność. Prosił również, aby alians czterech zmienić na alians pięciu przez przyłączenie do niego Francji na zasadzie równości, tak by i ona nadal mogła brać udział w koncercie europejskim.

Metternich, Hardenberg i Castlereagh opierali się — nie w smak im było odwołanie swych garnizonów — uważali, że to przedwczesne, „gdyż Francja jest jeszcze ciągle ogniskiem jakobinizmu". Lecz Aleksander energicznie poparł pana Richelieu'go, mimo że dzień przedtem otrzymał od domniemanego następcy tronu, hrabiego d'Artois, tajną notę, w której ten przedstawiał, że położenie królestwa nie jest dobre — gdyż u wrót stoi ciągle jeszcze widmo rewolucji.

Zdanie cara przeważyło, postanowiono zatem, że do 1 grudnia wszystkie obce garnizony opuścić mają ziemię francuską.

Sprawa dopuszczenia Francji do obrad europejskich wywoła'a poważniejsze trudności, a targi trwały całe dni piętnaście. Austria, Prusy i Anglia za żadną cenę nie chciały dopuścić, aby „zwyciężonych spod Waterloo"

przyjęto na zasadzie równorzędności do „dyrektoriatu wielkich mocarstw".

Aleksandrowi udało się jednak narzucić swą myśl, będącą w istocie niezwykle zręcznym trikiem. Wysokie układające się strony zgodziły się, aby od tej chwili Francja uczestniczyła we wszystkich naradach wielkich mocarstw, które dotyczyły utrzymania pokoju i wykonywania traktatów. Jednakowoż poza porozumieniem pięciu państw dwory Rosji, Austrii, Prus i Anglii pozostać miały nadal związane poprzednimi umowami na wypadek, gdyby Francja ponownie zagrażała pokojowi Europy.

Podczas tych dyskusji rosyjski samowładca tak jak niegdyś w Wiedniu miał parę razy pełną satysfakcję, że wszystkie spojrzenia skierowane były ku niemu, gdyż z każdego jego gestu wyciągano poważne wnioski nadając im głębokie znaczenie.

Sekretarz Metternicha, kawaler de Gentz, niezmiernie bystry obserwator, zanotował w swoich wspomnieniach, jak bardzo się liczono wtedy z osobą cara za kulisami kongresu:

Cesarz Rosji — pisze — jest jedynym monarchą, który jest w stanie urzeczywistnić najdalej idące zamierzenia. Stoi on na czele armii, na którą naprawdę można liczyć w Europie. Armii tej nic się nie ostoi. Prócz tego nie istnieją dla niego te przeszkody, które powstrzymują innych władców, jak ustrój konstytucyjny lub opinia publiczna itp. To, co dziś postanowi, może jutro wykonać. Mówią, że jest skryty i zamknięty w sobie, a jednak wszyscy mogą na pierwszy rzut oka ocenić jego zamiary. Cesarz Aleksander przywiązuje wyjątkową wagę do tego, aby ludzie mieli o nim dobre wyobrażenie i więcej mu zależy na dobrym imieniu niż na sławie. Bardziej ceni on sobie miano twórcy pokoju, opiekuna

słabych i odnowiciela swego państwa niż tytuł zdobywcy. Uczucia religijne, które leżą w jego naturze, zajmują poczesne miejsce w jego duszy górując nad wszystkim innym. Suweren ten, który w tak dziwny sposób umie godzić w swej jaźni dobro i zło, z natury rzeczy budził może duże wątpliwości i podejrzenia, a już zuchwałością byłoby twierdzić z góry, co w danym wypadku postanowi. Uważa się on za tego, który stworzył alians europejski. Chce, żeby świat cały uznał go za wodza, a w zasadach Świętego Przymierza widzi chlubę wieku i zbawienie świata.

Kongres w Akwizgranie przypomniał Aleksandrowi kongres wiedeński i dobre czasy także z innych względów — wesołe *intermezza* i miłosne triumfy nieraz wypełniają mu wolne od obrad chwile.

Wiele pięknych dam nie omieszkało przybyć do Akwizgranu z Rosji, Austrii i Anglii, ku rozweseleniu pobytu w starym karolińskim grodzie.

Ogólną uwagę zwracał przede wszystkim głośny flirt hrabiny, a wkrótce księżnej de Lieven, ambasadorowej rosyjskiej w Londynie, z księciem Metternichem.

Pani de Lieven była w tej epoce kobietą w balzakowskim wieku. Szczupła, o nieco ostrych rysach twarzy miała oczy płowe, których spojrzenie wyrywało mężczyznom serce — głos ciepły — w ogóle sylwetka przepyszna. Przy tym tyle wytworności w obejściu, jasny żywy umysł, wabiły niejednego. Nie czuła się jednak szczęśliwa — pożerała ją nuda, nawet wśród grona najlepszych przyjaciół — nudziła się zawsze i ziewała, podobno nawet w ramionach kochanków.

Mówiono o jej pewnej wyprawie do Spaa z Metternichem, który wówczas napracował się naprawdę wiele, żeby ją zdobyć dla siebie, a przy tej sposobności wypłoszyć tę jej natrętną nudę. Naturalnie romansik ten nie

przeszkodził księciu kanclerzowi z godną pochwały gorliwością „umacniać w Europie zasady etyki oraz hierarchii rodziny i bronić ideałów, którymi Opatrzność przyozdobiła władców, wreszcie ochraniać ludy przed ich własnymi błędami".

Po zakończeniu kongresu Aleksander wyjechał do Francji, aby dokonać przeglądu wojsk rosyjskich, stojących w garnizonach w Sedanie, Maubeuge i Valenciennes, po czym ni stąd, ni zowąd postanowił dotrzeć aż do Paryża, aby porozumieć się osobiście z Ludwikiem XVIII.

Przybył tam 28 października, a już o trzeciej po południu przyjął go król, zatrzymując u siebie na obiedzie. Tegoż dnia wieczorem Aleksander wrócił jednak do Akwizgranu.

Wizyta ta dała wiele zadowolenia obu suwerenom, którzy rozstali się pod wzajemnym urokiem wielce wzajemnie sobą zachwyceni.

* * *

Aleksander w powrotnej drodze, jak zwykle, nie spieszył się, by ujrzeć swoje państwo, powrócił bowiem znów łamanym dyszlem, na Brukselę, Karslsruhe, Stuttgart, Weimar, zboczył do Wiednia i przez Ołomuniec, Cieszyn, Lanckoronę, Zamość, Brześć Litewski, Witebsk i Nowogród dojechał dnia 3 stycznia 1819 roku do Carskiego Sioła.

W kilka dni później doszła go wieść o śmierc ukochanej siostry Katarzyny, wówczas już królowej wirtemberskiej, która zmarła na jakieś zakaźne zaziębienie.

Smutna ta wiadomość rozdarła mu serce do reszty i poruszyła, najgłębiej może ukryte, struny sumienia.

* * *

Żałobę, która spadła na niego tak niespodziewanie zaraz po rozrywkach podróży i kongresu, gdzie jego miłość własna i duma święciły triumfy nie przez jedną chwilę, oraz powrót do normalnego trybu życia odczuł jako przykrość. Obowiązki monarsze, niełatwe w zasadzie, oraz ceremoniał i formalistyka carskiego zawodu męczyły Aleksandra — a sprawy bieżące nużyły bez miary.

Nowy paroksyzm pesymizmu, melancholii i przygnębienia porwał go w swe szpony — ponuro zwiesza głowę i trwa w odrętwieniu. Nieszczęsny — nie miał nawet wtedy przy sobie żadnej kobiecej pociechy. Wyrzuty sumienia — spóźnione może zresztą — sprawiły, że zaprzestał widywać się z panią Naryszkin, a dzisiaj szukać nowej następczyni — nie chciało mu się. Nie chce również powrócić do małżonki, marzycielskiej i może nieco za delikatnej Elżbiety.

O zerwaniu z Marią Antonówną myślał Aleksander od kilku miesięcy, wydał bowiem wszelkie niezbędne zarządzenia, ażeby zabezpieczyć przyszłość dwojga dzieci, które były — a raczej przypuszczał, że były — jego dziećmi. O tej swojej miłości, nieraz wzajemnie przez obojga skażonej niewiarą, lecz która trwała przez lat siedemnaście, a teraz właśnie dobiegała końca, Aleksander zwierza się bardzo obszernie młodej swej przyjaciółce, Roksandrze Sturdza:

„Wina jest po mej stronie, ale nie na tyle, jakby to można sądzić. Gdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności zmącił moje domowe szczęście, przywiązałem się wprawdzie do innej kobiety, lecz zdawało mi się — a czuję dzisiaj jak niesłusznie — że połączeni, ja i moja żona, jedynie wyższymi względami bez czynnego współudziału z naszej strony będziemy wolni i swobodni wobec Boga, chociaż związani wobec ludzi. Moje stanowisko obowiązywało mię do uszanowa-

nia tych wzlędów, sądziłem jednak, że wolno mi rozporządzać mym sercem, które przez całe lata pozostało wierne pani Naryszkin. I ona znajdowała się w podobnym położeniu, toteż ten sam błąd popełniła. Myśleliśmy po prostu, że nie mamy sobie nic do wyrzucenia. I chociaż nowe światło oświeciło mnie od niedawna oraz wskazało mi moje obowiązki, nie potrafiłbym może nigdy znaleźć siły, by zerwać drogie więzy, gdyby ona sama tego nie zażądała. Mój ból był niewymowny, lecz względy, jakie mi przytoczyła, były zbyt szlachetne i podnoszące ją w oczach świata i moich, abym mógł im się przeciwstawić. Poddałem się więc tej ofierze, co złamała mi serce, które ciągle jeszcze krwawi".

To moralne przejście jeszcze silniej poddało go pod władzę wpływów mistycyzmu.

Żył przejęty nieustannie myślą o Bogu, wpatrzony w Kalwarię, zagłębiał się w Ewangelii i Apokalipsie przyrównując się do Joba, to do Nabuchodonozora albo Judyty, to znowu Holofernes był mu w głowie lub Dawid. Czuje oddech niebios w swej duszy.

Władzę zaś nad Rosją oddał w ręce straszliwego Arakczejewa. Żelazna ręka i szalony despotyzm tego brutala tak dociekliwego w drobiazgach uciska olbrzymie dzierżawy państwa, tu i ówdzie wybuchające buntem, topionym zresztą we krwi. Nawet Metternich widzi, że Aleksander ostatecznie porzucił już humanitarny liberalizm swej młodości: „Biblia zajęła w nim odtąd miejsce księgi praw ludzkich".

Podróże bez końca rozpoczynają się na nowo. 5 sierpnia Aleksander udał się w daleką drogę do najmniej znanych oraz najsłabiej zamieszkałych stron swego państwa, do guberni archangielskiej, położonej nad brzegiem Morza Białego, wreszcie na północny kraniec Finlandii, nad Zatoką Botnicką.

Surowe krajobrazy tych prawie pustych krain działały uspokajająco na duszę cara i dawały mu tak pożądane ukojenie. Często spotykał tam jakiś klasztor zagubiony gdzieś pośród lasów lub nad brzegiem jeziora — prowadził wówczas z mnichami długie rozmowy — zazdroszcząc im wewnętrznego spokoju, pogody ducha, wreszcie tego nieustannego obcowania z Bogiem.

Powróciwszy do Petersburga, wyjechał znowu prawie natychmiast, bo już w dniu 12 września, aby zwiedzić kolonie wojskowe pod Nowogrodem, a stamtąd do Warszawy, gdzie czekał go trud złagodzenia zadrażnień, jakie wywołały w całej Polsce wybryki wielkiego księcia Konstantego.

* * *

Tymczasem w początkach roku 1820 rozwój idei wolnościowych i przebudzenie się myśli narodowej zagroziły ponownie porządkowi Europy.

„Gorączka jakobińska" przyjęła się zwłaszcza wśród niemieckiego mieszczaństwa, a przede wszystkim zaczęła się rozwijać gwałtownie wśród młodzieży uniwersyteckiej. Królowie Prus, Bawarii, Hanoweru i Wirtembergii, wielcy książęta Hessen-Darmstadt, Meklemburga, Saksen-Weimar, Saksen-Koburg i Badenu z trudem powstrzymują wzburzenia swych poddanych, którzy dążą ni mniej ni więcej tylko do wprowadzenia w zjednoczonych Niemczech ustroju według idei demokratycznych. Wkrótce potem Madryt został zaskoczony wybuchem *pronunciamento*, które zmusiło okrutnego Ferdynanda VII do ukorzenia się przed „patriotami" i do zrzeczenia się przywilejów absolutyzmu. Hiszpańskie kolonie również buntują się i to ze zdwojoną siłą. Jednocześnie wybucha rewolucja w Portugalii.

Dnia 13 lutego namiętny fanatyk Louvel sądząc, że za jednym zamachem zniszczy cały ród Bourbonów, morduje księcia de Berry. Hiszpańska zaraza dociera wreszcie i do Włoch, gdzie królom Piemontu i Neapolu karbonariusze zaczynają się dobierać do skóry. Wybuch wiosny ludów rozciąga się już od Alp aż do Palerma. Rozwój coraz to groźniejszych wypadków nie pozwala sygnatariuszom Świętego Przymierza pozostać w bezczynności. Ponowny kongres zbiera się w dniu 25 października w Opawie na Śląsku austriackim i znowu jednoczy dawnych znajomych — uczestników tych dyplomatycznych areopagów.

Pragnąc w królestwie lombardzko-weneckim ratować władzę Habsburgów Metternich zaproponował niezwłocznie poddać sprawę włoską zbadaniu w całej rozciągłości przez przymierze pięciu państw, przy czym w interesie Austrii rościł wyłączne prawo do zrobienia porządku na półwyspie *manu militari*.

Aleksander nie czynił żadnych trudności zezwalając, aby dyrektoriat sprzymierzonych mocarstw użył siły zarówno w Neapolu jak i w Turynie i zwalczył „hydrę rewolucyjną", żądał jednakże, aby kongres przez oficjalną i publiczną proklamację stanowczo stwierdził „najwyższe i nieprzerwane prawo użycia siły" dla utrzymania lub przywrócenia najwyższej władzy monarchów we wszystkich krajach.

Przez dziwaczną jednak sprzeczność, w której wyczuć można ostatnie ślady dawnego liberalizmu, Aleksander ze wstrętem odrzucił rolę „żandarma ludów", które go tak niedawno widziały w aureoli oswobodziciela. Wymógł zatem, aby Święte Przymierze przyznało przywróconym do władzy monarchom prawo dobrowolnego przyznawa-

nia swym poddanym „sprawiedliwych ustaw i liberalnego rządu".

Metternich, któremu w głowie nigdy nie powstała myśl o innym ustroju politycznym jak tylko wstecznym, oburzył się na samą myśl, ażeby Święte Przymierze mogło choćby pozornie zezwolić na „liberalne rządy", nawet z łaski monarchy.

Obrady przeciągały się i gmatwały. Szczególniej, gdy pełnomocnik angielski lord Stuart, ambasador Wielkiej Brytanii w Wiedniu, przemawiając w imieniu lorda Castlereagha wyniośle oświadczył: „Sprzymierzone mocarstwa nie mają prawa, mieszać się w wewnętrzne sprawy obcego państwa. Podobne mieszanie się jest najzupełniej przeciwne zasadniczym prawom Zjednoczonego Królestwa. Nigdy Anglia nie zezwoli, aby wtrącano się w jej sprawy oraz w to, jak się jej rządzić u siebie podoba".

W wielkim kłopocie znaleźli się teraz pełnomocnicy francuscy, margrabia de Caraman i hrabia de La Ferronnays. Mimo że posłowali od konserwatywnego rządu, a więc od rządu o podobnym programie jak w Austrii, nie mogli przecież zapomnieć, że właśnie ich monarcha Ludwik XVIII obdarzył Francję ustrojem parlamentarnym, z czego się, nawiasem mówiąc, niezmiernie chlubił; mieli zresztą tego rodzaju instrukcje, że nie wolno im było o tym zapomnieć. Toteż kluczyli, jak mogli, stroniąc od wszelkich stanowczych pociągnięć. Ściągnęło to na ich głowy groźne upomnienie cara: „Dobro Francji wymaga nieodzownie, aby pozostała wierną zasadom przymierza, które już dwukrotnie przywróciło jej życie polityczne i wolność".

Ponieważ Aleksander upierał się przy swoim zdaniu,

BARONOWA JULIA KRÜDENER

(1764 — 1824)

Według współczesnej miniatury ze zbiorów w. ks. Michała Michajłowicza. — Portraits Russes. Muzeum Narodowe w Warszawie.

kongres znalazł się w pewnej chwili w położeniu bez wyjścia.

Ale dnia 9 listopada niespodziewany wypadek zmienił nagle całą sytuację.

Z Petersburga w wielkim pośpiechu przybył do cara oficer z wiadomością o buncie siemionowskiego pułku gwardii w dniu 28 lipca. Wieść ta przejęła Aleksandra do głębi, tym bardziej że pułkowi temu zawsze okazywał szczególne względy i często powtarzać lubił: „Pułk preobrażeński to pułk cara, lecz pułk siemionowski to mój pułk".

Przyczyną tych szybko zresztą stłumionych rozruchów w pułku była prawdopodobnie tylko niezręczność i do okrucieństwa posunięta surowość dowódcy, pewnego Kurlandczyka, zbyt żarliwego wielbiciela systemu pruskiego. Tak przynajmniej sądził o tym naczelny komendant gwardii, książę Wasilczykow.

Lecz w niespokojnym umyśle Aleksandra ten zwykły bunt, a właściwie niesubordynacja kilku żołnierzy przybrała natychmiast olbrzymie rozmiary. Podejrzewał, że kryją się w tym polityczne przyczyny i robota tajnych związków. Car wiązał wypadki w Petersburgu ze wzrostem jakobińskiej zarazy, której rozwój stwierdzić można było codziennie w całej Europie. W przerażonych oczach Aleksandra rysowały się już groźne widziadła „rewolucji, która pod moim bokiem już wyrosła", jak się wyraził.

Sprawa siemionowskiego pułku wywołała jakiś nagły, gwałtowny odruch, jakiś „szok nerwowy", nieobliczalny w skutkach, którego symptoma były dotąd ukryte.

Nieopanowanie psychiczne Aleksandra objawiło się przede wszystkim w niesłychanej surowości kar wymierzonych buntownikom. Przywódcy, mimo dotychcza-

sowej nienagannej służby i licznych odznaczeń w różnych kampaniach wojennych, zostali skazani na sześć tysięcy rózeg, a więc na śmierć w okropnych męczarniach. Aby dojść do tego rodzaju okrucieństwa, Aleksander, posiadający zawsze głębokie poczucie ludzkości i zwykle tak pełen współczucia, musiał w tym wypadku być chyba w najwyższym gniewie i rozdrażnieniu.

W następnych dniach wszystkie jego polityczne plany z miejsca się odmieniły! Metternich czuł się szczęśliwy mogąc dnia 25 listopada napisać:

Dziś wieczorem konferowałem z cesarzem Aleksandrem przez trzy godziny, a ponieważ nie mieliśmy ważniejszych spraw do omówienia, rozmowa nasza objęła szerszy zakres niż zwykle. Naprawdę zdawało się, że cesarz dopiero w dniu dzisiejszym wszedł w świat i „oczy otworzył". Doszedł do tego punktu, do którego ja doszedłem już przed trzydziestu laty...

Od tej chwili car znalazł się pod całkowitym wpływem Metternicha i nigdy już spod niego się nie uwolnił wierząc, że tylko Metternich powołany jest przez Opatrzność, aby zwalczyć „wrogów wiary i tronów,... moce szatańskie i całą tę bezbożną zarazę i gangrenę,... występne doktryny Woltera i Rousseau, Marata i Robespierre'a...".

Jego reakcyjność i mistycyzm mieszając się wzajemnie stały się wreszcie jakimś mglistym bredzeniem niepoczytalnego człowieka.

Bez trudu więc udało się Metternichowi uzyskać zgodę cara na przyjęcie końcowego protokołu kongresu, który upoważnił sprzymierzone mocarstwa do użycia siły celem doprowadzenia do opamiętania ludy, buntujące się przeciw swym prawowitym władcom.

Cesarz Franciszek i jego wierny służalec Fryderyk

Wilhelm przyjęli oczywiście to oświadczenie, które w opinii publicznej wszystkich krajów było wypowiedzeniem wojny nowoczesnym prądom.

Jednakże Ludwik XVIII ani gabinet angielski nie położyli swych podpisów pod tym aktem.

Pragnąc zbliżyć się nieco ku Italii kongres przeniósł dnia 28 grudnia miejsce obrad na południowe kresy cesarstwa do Lublany w Karyntii, dokąd zaproszono również króla Neapolu Ferdynanda IV, a to w celu wspólnego porozumienia się nad wyborem środków, które by mogły zaprowadzić ład w jego państwie.

Sankcje karne miały być przeprowadzone wyłącznie przez Austrię. Postanowiono, że 80 000 ludzi przekroczy Pad i przejdzie przez cały półwysep, a w razie potrzeby ma mu przyjść w pomoc 90 000 armia rosyjska.

Kongres rozwiązał się dnia 28 lutego, a Metternich zapisał tego dnia w swoim pamiętniku: „Cesarz Aleksander zachował się bez zarzutu".

Jeszcze przed końcem kongresu w Lublanie nadarzyła się księciu kanclerzowi znakomita sposobność, aby wyrazić się o carze z o wiele większym uznaniem.

Nadeszły bowiem w tym czasie wieści — wprost nieprawdopodobne — że młody adiutant cara, książę Ypsilanti, zebrawszy w Kiszyniewie poważniejszy zastęp Mołdawian, Bułgarów i Greków przeszedł Prut i maszeruje na Bukareszt głosząc na prawo i lewo, że postanowił wzniecić na Bałkanach powstanie — wygnać Turków i wyzwolić Grecję. Poza tym Ypsilanti miał twierdzić, że czyni to wszystko za wiedzą i zezwoleniem cesarza Aleksandra i że ma ponadto obietnicę jego poparcia.

Jest rzeczą dowiedzioną, że rząd rosyjski współdziałał w całej tej awanturze. Sekretarz stanu spraw zagranicz-

nych Rosji, Capo d'Istria, rodem z Korfu, pracował skrycie już od dawna nad urzeczywistnieniem snu o wielkiej Helladzie i stąd pochodziły zapewne niezwykłe względy, jakimi go Aleksander obdarzał. Nadto główna kwatera drugiej armii rosyjskiej znajdowała się podówczas w Kiszyniewie, a więc władze wojskowe nie mogły nie być powiadomione o przygotowaniach do wyprawy, organizowanej przez generała maiora, „adiutanta Jego Cesarskiej Mości". Zapaleńcowi zatem, jakim był Ypsilanti, można by zarzucić jedynie to, że wybrał nieodpowiednią chwilę na rozpoczęcie działań.

Metternichowi, który był sam w opałach zwalczając pomruki rewolucji w całej Europie, wcale nie uśmiechały się marzenia Rosji o zaprószeniu ognia na Bałkanach. Stary lis umiał płaszczyć się łącząc pochlebstwa z wymówkami. Udało mu się wyperswadować Aleksandrowi mrzonki, i to tak składnie, że ten publicznie wyparł się Ypsilantiego, a nawet wykluczył go z armii. Toteż już 9 maja Metternich zapisał w swoim dzienniku:

Miałem dziś ponownie konferencję z cesarzem Aleksandrem. Zdaje się, że długo szukać by trzeba kogoś, kto by uwierzył w tego rodzaju rozmowę, jaką mieliśmy obaj. Jeśli ktokolwiek kiedy mógł się z białego na czarnego zamienić, to naprawdę on właśnie. — Muszę sobie bezwzględnie przypisać zasługę, że to mój wpływ, który obecnie mam na niego, tak podziałał, że nie dozwoliłem mu przekroczyć granic sprawiedliwości i umiaru.

W jednym z prywatnych listów Metternich pisał też w tym czasie:

To nie Rosja nami kieruje, lecz my kierujemy cesarzem Aleksandrem, a przyczyn tych znalazłoby się kilka. Przede wszystkim odczuwa on potrzebę rady, a stracił właściwie

wszystkich swych doradców. Zdaje mu się obecnie, że Capo d'Istria jest przywódcą karbonariuszów, poza tym żywi nieufność do swej armii, do swych ministrów, do szlachty i do swego ludu, „a w takiej sytuacji nikim rządzić nie można".

Publiczne wyparcie się Ypsilantiego przeraziło wówczas cały Wschód chrześcijański i okrzyczane zostało za zdradę i świętokradztwo. Turcja tymczasem dumnie i radośnie podniosła głowę.

Zdumiona i zakłopotana była wtedy cała Europa, zdarzyło się bowiem po raz pierwszy w historii, że Święta Rosja prawosławna wyparła się publicznie sprawy helleńskiej.

ROZDZIAŁ XVIII

Powróciwszy 5 czerwca 1821 do Carskiego Sioła Aleksander dowiaduje się o spisku, którego celem jest obalenie absolutyzmu. Działalność tajnych towarzystw wśród oficerów rosyjskich — Duchowa rozterka Aleksandra, który odtąd coraz głębiej pogrąża się w mistycyzmie. Mnich Focjusz, poprzednik Rasputina — „Najczystsza dziewica". — W jesieni 1822 mocarstwa zwołują kongres w Weronie, aby się naradzić nad sprawą przywrócenia władzy monarszej w Hiszpanii oraz nad powstaniem w Grecji. Pod wpływem Metternicha car wyrzeka się tradycyjnej polityki rosyjskiej na Wschodzie.

Rozmowa z Chateaubriandem na zamku w Canossie. — Wewnętrzne troski — melancholia i wyrzuty sumienia. Żałosne przeczucia — zmartwienia z powodu braku następcy. — Statut dynastyczny Romanowów. — Wielki książę Konstanty zrzeka się tronu poślubiwszy Polkę. Aleksander naznacza na swego następcę drugiego brata, wielkiego księcia Mikołaja. Głęboka tajemnica, jaką otoczył zmianę następstwa, nawet wobec braci. — Tabernakulum w Uspieńskim Soborze — Ciężka choroba Aleksandra w styczniu 1824 i zbliżenie się do carowej Elżbiety. Odrodzenie zaufania i miłości między małżonkami, którzy tak długo byli sobie wzajemnie obcy. — Ciche pragnienie opuszczenia tronu. — Aleksander chce „umrzeć dla świata". Pochód rewolucji w całej Rosji.

Coś — jakby przygrywka do bolszewizmu. — Plan zniszczenia całej rodziny carskiej za jednym zamachem. — Nowe troski.

Niepokój o zdrowie carowej Elżbiety. Niespodziewana śmierć młodziutkiej Zosi Naryszkinówny. której był ojcem — ostatnia radość życia zgasła. — Powódź w Petersburgu. Olbrzymia klęska i spustoszenie: „To za moje grzechy!" — Przyszłość widzi w coraz to ciemniejszych barwach. Lekarze radzą carowej Elżbiecie dłuższy pobyt na południu.

Opuściwszy Lublanę w dniu 13 maja Aleksander udał się w powrotną drogę do Rosji i 5 czerwca przybył do Carskiego Sioła.

Zaledwie wysiadł z powozu, już naczelny dowódca gwardii, książę Wasilczykow zameldował mu o spisku, którego celem było obalenie ustroju samowładztwa i doręczył mu listę spiskowców.

Po długim milczeniu car odrzekł:

— Mój drogi Wasilczykow, jesteś u mnie w służbie od pierwszego dnia moich rządów, wiesz więc dobrze, że podzielałem, a nawet popierałem te właśnie złudzenia i błędy... Nie mogę przeto karać ich za to".

Tego rodzaju decyzja wywołała zdumienie, gdyż przecież już nieraz w podobnych wypadkach car karał bez skrupułów, może nie zawsze tak okrutnie jak siemionowców, ale żadnych wyrzutów z tego powodu nie odczuwał. Z Lublany powrócił jednak głęboko przygnębiony i może dlatego stał się bardziej wrażliwy na głos sumienia.

O żywej działalności, jaką tajne stowarzyszenia prowadziły w armii, powiadomił go poza tym jego adiutant, generał Benckendorff, ten sam, który niebawem zyskał sobie straszliwą opinię żandarma, inkwizytora i policjanta. Działalność, ta mimo że odbywała się w głębokiej tajemnicy, nie uszła również uwagi bystrego obserwatora,

hr. La Ferronnays, ambasadora Francji, który donosił o niej swemu rządowi już przed kilku miesiącami:

Cała młodzież — pisał — a zwłaszcza oficerowie przejęci są tutaj doktrynami liberalnymi. Skłonni są oni wprowadzić w życie nawet najzuchwalsze teorie... Obrady francuskiego parlamentu interesują ich tak głęboko, jakby chodziło o ich własne sprawy. Najgwałtowniejsze mowy wzbudzają największy podziw. Młodzież rosyjska pochwala i usprawiedliwia każdy postępek, a nawet zbrodnię, dokonaną w imię wolności. Nawet nikczemny Louwel znalazł obrońców i wielbicieli wśród oficerów gwardii przybocznej, której powierzono straż nad cesarzem.

Józef de Maistre, owiany jakby proroczym duchem, od dawna już ocenił niezmierzoną potęgę bezprawia, jaka leży na dnie duszy rosyjskiej. W jednym ze swych raportów, którego treść znał zresztą i Aleksander dzięki swym czarnym gabinetom, de Maistre na całe sto lat naprzód trafnie określił ówczesny stan umysłów w następujący sposób:

„Wszystko wskazuje na to, że w Rosji utworzenie rządu wedle naszych wzorów jest niemożliwe. Gdyby naród ten potrafił nawet przyswoić sobie zdobycze ludzkości i zasmakował w nich, gdyby wtedy znalazł się jakiś Pugaczew z uniwersyteckim wykształceniem i stanął na czele partii, to wówczas lud porwany hasłem rewolucji na sposób europejski, poszedłby drogą inną — drogą stromą — nie sposób nawet wyrazić gdzie by doszedł:... *Bella, horrida, bella! Et multo Newam spumantem sanguine, cerno*!...".

Czyż wobec tego można się dziwić, że Aleksander, który dobrze znał duszę rosyjską, zupełnie prawie przekazał rządy i ochronę swej osoby w twarde ręce Arakczejewa.

Metternich, świetny partner cara z Opawy i Lublany, ten mistrz makiawelizmu, poznał się dobrze na Aleksandrze, przejrzał stan jego duszy, jego przygnębienie i cały niepokój. Potrafił też odpowiednio wyzyskać nieufność cara do wszystkich i obawę przed każdym słowem, jego ponurą bezczynność i nagłe zmiany humoru. Poznał on chwiejność charakteru Aleksandra i sprzeczności tkwiące w jego woli, łatwe zniechęcanie się i opuszczanie rąk w najważniejszych chwilach — a przy tym ciągłe majaczenia czarnych myśli, w których car wikłał się — niezdolny do rządzenia czymśkolwiek. I tak — w polityce zagranicznej rządził nim Metternich, a wewnętrzne sprawy Rosji prowadził Arakczejew.

Całe swe wysiłki Aleksander skupił na sprawach religii, które stały się powoli jedyną jego namiętnością. Tylko w tej dziedzinie był zdolny do czynu i do wydawania rozkazów.

W czasie długich miesięcy Aleksander czynił pokutę poddając się całkowicie surowym kanonom prawosławia. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy wyznawał indywidualizm w wierze — gdy mamiły go jeszcze złudy nieokreślonego mistycyzmu.

Na taką drogę skierował go młody mnich Focjusz, dawny kapelan gwardii. Był to fanatyk, asceta i wizjoner — człowiek straszliwie wychudły, któremu tylko oczy jarzyły się przenikliwie i drapieżnie jak u jastrzębia. Kazania jego były brutalne i gwałtowne a nierzadko i obelżywe, ale potrafił nimi magnetyzować słuchaczy. Był ihumenem z derewianickiego klasztoru — jednego z wielu klasztorów w Wielkim Nowogrodzie, gdzie przechowała się jeszcze w stanie nie skażonym pobożność — a raczej bigoteria, graniczącą z upodleniem i dobrowolną nędzą.

Tam Focjusz pozyskał sobie sławę egzorcysty i cudotwórcy.

W okolicach tego monasteru mieszkała hrabina Anna Aleksiejewna Orłowa, była dama dworu. Wonczas była to kobieta lat około trzydziestu pięciu, osoba bardzo bogata a przy tym mocno narwana. Wkrótce Focjusz potrafił nią owładnąć całkowicie, tak że stała się powolnym jego narzędziem, a nawet umartwiała się dla niego aż do okrucieństwa. Razu pewnego „anioł z nieba" polecił jej oddać się mnichowi, który mimo to zwał ją zawsze „przeczystą dziewicą".

W przerwach od pobożnych praktyk pielęgnowała go we wstrętnej chorobie, którą zesłał na niego zły duch jako karę za upór, z jakim go zwalczał.

Focjusz był jednak nie tylko „miotającym pioruny", umiał być i zręczny, toteż zjednał sobie niebawem kamarylę „Buldoga" Arakczejewa, a Aleksander zaciekawił się nim i zapragnął go poznać.

Dnia 17 czerwca 1822 roku karoca hrabiny Orłow zajechała przed kolumnadę Zimowego Pałacu i przywiozła świętego mnicha. Na rozkaz cara wprowadzono go przed oblicze majestatu.

Focjusz idąc przez nie kończącą się amfiladę salonów czynił znaki krzyża na wszystkich ścianach i drzwiach z prawa i lewa, aby odegnać moc złego ducha, którego straszliwy fetor wciąż czuł dokoła siebie. W carskim gabinecie na razie nie dostrzegł niby cara. Uduchowione jego oczy przyciągała święta ikona, lśniąca w komnacie. Rzucił się przed nią na kolana i zaczął bić czołem o ziemię. Dopiero po chwili, kiedy się już ukorzył przed Panem Niebios, oddał chłodno i wyniośle ukłon carowi, którego ziemska przemoc nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Aleksander przyklęknął przed nim i chyląc głowę prosił o błogosławieństwo. Pierwsza ich rozmowa trwała całe trzy godziny.

Ten brudny i cyniczny mnich, jakby poprzednik szatańskiego Rasputina, powracał odtąd często do Zimowego Pałacu i za każdym razem stawał się coraz więcej zuchwały i gwałtowny, a pycha rozpierała go już na dobre.

Treść rozmów z carem zawierają listy Focjusza, z których jeden godzi się przytoczyć:

W obecnych czasach wielka ilość książek i ludzi, a nawet często rzesze całe głoszą „wiarę nową", co przypomina, że już w przededniu końca świata jesteśmy. Nową tę wiarę głoszą rozmaicie bądź jako nieznane jakieś światło czy moc nieznaną lub jako nowe po tysiącach lat panowanie Chrystusa. Jest to herezja i zdrada boskiej i apostolskiej wiary, która stoi na tradycjach i jedynie jest prawowierną! Tamto — to wiara w antychrysta, co rodzi rewolucję — krwiopijną...! Szatan ją począł! Fałszywi prorocy i jej apostołowie kryją się pod płaszczem mistycyzmu... Boże Wielki! Boże prawdziwy, nie opóźniaj Zmartwychwstania! — Mocą Twej ręki i Duchem Świętym, który jest nad Tobą, spraw, by nieprzyjacioły naszej wiary, naszej przedwiecznej wiary rozproszyli się najśpieszniej i niech z całym swym bezwstydem znikną z powierzchni ziemi!...

Aleksander obsypał Focjusza łaskami i mianował go archimandrytą cerkwi klasztoru św. Jerzego, jednej z najbardziej czczonych w państwie. Podczas uroczystego nabożeństwa w cerkwi twierzy petropawłowskiej kazał mu wręczyć przez petersburskiego metropolitę wspaniały ozdobny w brylanty krzyż biskupi.

Focjusz stał się niebawem tak potężny, że Arakczejew posłużył się nim, aby wtrącić w niełaskę niewygodnego sobie człowieka, który ośmielał się dotąd jeszcze przeciw-

stawiać mu. Chodziło o generał-prokuratora Świętego Synodu, który był jednocześnie ministrem oświecenia a poza tym najbliższym przyjacielem i powiernikiem cara, towarzyszem w jego mistycznym życiu. Człowiek ten od kilku lat był przyczyną owej tajemnej mocy, która Aleksandrowi dawała dowody Boskiej ręki i stawała się źródłem czarownych zachwyceń.

Chodziło po prostu o wpływy ks. Golicyna.

Jego wysokie stanowisko i osobiste stosunki z cesarzem nadawały mu w państwie duże znaczenie, szczególniej w sprawach tyczących się życia duchowego i rządów nad sumieniami. Golicyn w roku 1812 podczas okupacji Moskwy powołał do życia bractwo biblijne, wzorowane na tego rodzaju stowarzyszeniach angielskich, którego celem było rozpowszechnianie Pisma Świętego wśród ludu.

Aleksandrowi z początku podobała się ta działalność, ale urzędowa cerkiew potępiała ją skrycie jako owoc liberalizmu i mistycyzmu, rezultat haseł demokratycznych.

Cerkiew się wcale nie myliła, gdyż ks. Golicyn w wielkodusznej swej naiwności marzył o zjednoczeniu wszystkich poddanych cara i to nie tylko Rosjan, lecz również i mieszkańców Kaukazu, Kałmuków, Mongołów, Kirgizów, a nawet pogan i Żydów we wspólnej wierze pod sztandarem Zbawiciela.

Le Ferronnays, odznaczający się trzeźwym ocenianiem rzeczywistości, pisał 1 kwietnia 1823 roku:

Stowarzyszenie biblijne istnieje tylko po to, aby „propagować" protestantyzm. Lada dzień obudzi idee wolnościowe wśród kół, które dotychczas w carze widziały najwyższego swego władcę, zwierzchnika wiary, która uczyła ich uległości i szacunku. Dziś ten czynnik potężny, który ma w tym kraju

tak zbawienne znaczenie, jest na drodze do zupełnego zniweczenia...! Gdy te jeszcze półdzikie ludy przestaną widzieć w swym władcy przedstawiciela Boga, gdy on sam zerwie tę świętą i tajemniczą zasłonę, jaką go otacza wiara — to gorze mu! — czy znajdzie wówczas jeszcze posłuch? Czyż można bez lęku myśleć o skutkach, jakie bez wątpienia wynikną dla tego kraju i dla Europy, gdy ta czterdziestomilionowa ludność zerwie swe więzy.

Archimandryta Focjusz, aby zniszczyć Golicyna, użył przeciwko niemu zwykłej w takich wypadkach a straszliwej w skutkach klątwy, podobnie jak w sto lat później Rasputin, aby obalać ministrów Mikołaja II: „Tego człowieka diabłem czuć!..."

Od tej chwili los Golicyna był przesądzony. Wkrótce odebrano mu tekę ministerstwa oświaty publicznej oraz godność generała-prokuratora Świętego Synodu. — Mianowano go jednak jakgdyby na urągowisko dyrektorem... poczt.

Potęga „Buldoga" staje się bezgraniczna, on tylko decyduje o mianowaniu najwyższych urzędników albo odwołaniu ich — wszystkie urzędy publiczne zapełniają jego kreatury.

A zagłębiony w pobożnych myślach Aleksander coraz bardziej obojętnieje na sprawy państwa, bardziej nawet niż niegdyś Karol V w klasztorze w San Yuste.

* * *

Gdy czasem okoliczności zmuszały Aleksandra do zajęcia się, zresztą wbrew woli, sprawami państwowymi, widać w nim było zawsze niepokój, brak logiki, pewne zamroczenie i niechęć do skupienia uwagi. Bezwład woli, a przy tym popędliwość i ciągła zmienność — doprowa-

dziły do całkowitego załamania się cara, którego pociągały jedynie tajemnice nadprzyrodzonego świata i niebieskiego żywota.

Nikt z jego otoczenia nie był pewny, czy znajdzie go nazajutrz w takim nastroju, w jakim go widział wczoraj, pisze Nesselrode. Słowa te dostatecznie wyjaśniają upokorzenia, które niebawem spotkały cara na kongresie w Weronie.

Po raz czwarty od wiedeńskich roków pięć mocarstw, które uzurpowały sobie ważenie losów całej Europy — doszło do wniosku, że nie byłoby wcale od rzeczy porozumieć się znów ze sobą i naradzić.

Dwa zagadnienia przede wszystkim wymagały szybkiego rozstrzygnięcia, a mianowicie: krytyczne położenie Ferdynanda VII, więzionego jako zakładnika przez kortezy w Kadyksie, oraz los nieszczęsnych Greków, którzy zmagali się rozpaczliwie z turecką potęgą.

Po długich obradach Austria, Prusy i Rosja uzyskały zgodę Francji, która podjęła się ponownie wprowadzić Ferdynanda VII do Madrytu i przywrócić mu pełnię władzy. Anglia natomiast, która musiała zawsze się liczyć ze swym parlamentem, powstrzymała się i tym razem od interwencji.

Gdy pełnomocnicy państw sprzymierzonych poruszyli z kolei zagadnienie Wschodu, to zdumieli się wprost obojętnością, z jaką delegacja rosyjska traktowała tę sprawę, posiadającą dla Rosji tak pierwszorzędne znaczenie. Nawiasem mówiąc, delegacja rosyjska składała się z trzech Niemców, hr. Nesselrode, Stackelberga i Lievena. Oczywiście pełnomocnicy protestowali przeciwko niecnemu postępowaniu Porty wobec zbuntowanych Gre-

ków, ale powstanie potępili i odmówili mu wszelkiego poparcia a nawet dobrego słowa. Po debatach powierzono przywrócenie przyjaznych stosunków pomiędzy Petersburgiem i Konstantynopolem życzliwemu pośrednictwu Anglii i Austrii. Jeden tylko Metternich nie był zdziwiony rosyjską kapitulacją, gdyż znał jej źródło i wiedział, że on to narzucił ją przed czterema miesiącami.

Po powrocie z Lublany sumienie Aleksandra odezwało się przecież, gdy zobaczył jak okropne wrażenie uczyniło w Rosji męczeństwo Greków. Myślał nawet o wojnie, chciał znów odzyskać całkowitą niezależność od Austrii i powrócić do metody, którą jedynie mogli zrozumieć władcy Seraju — do siły.

W tajemnicy zwrócił się nawet do Francji z propozycją wspólnego wystąpienia zbrojnego przeciwko Turcji. Ambasador Ludwika XVIII usłyszał pewnego dnia z ust cara ciekawe wyznanie: — Rosja — mówił car — która posiada milion żołnierzy, nie może patrzeć obojętnie na straszliwe okrucieństwa, jakie cierpi chrześcijański naród. Nie możemy nadal tolerować Turcji w koncercie państw europejskich. Kult Mahometa trzeba znów zepchnąć do Azji!...

Car proponował mu wprost rozbiór państwa otomańskiego:

— Francja i Rosja winny zawrzeć w tym celu przymierze. — Patrz pan na mapę!... kiedy moja flota skieruje się w stronę Konstantynopola — wasza francuska, tak przecież piękna flota, powinna sforsować Dardanele i podać nam rękę w świętej Sofii. Francja potem zatrzyma Anatolię i Trację.

Mówiąc te słowa Aleksander był przekonany, że słyszał „głos Boga".. Wnet jednak przeraził się swą

odwagą i ogarnięty lękiem zwrócił się o radę — do kogo?... do Metternicha!...

Zdziwiony takim nieoczekiwanym zapytaniem Austriak dosadnie, chociaż żartem, określił słowa cara: „Chcę popełnić szaleństwo i popaść w nieszczęście — ratujcie mnie!"

Metternich tak skutecznie powstrzymał Aleksandra, że w dniu 31 maja 1822 r. mógł już pisać do cesarza Franciszka:

Przez kuriera, który przed chwilą przybył z Petersburga, dowiaduję się o szczegółach niesłychanego zwycięstwa, jakie kiedykolwiek jakiś gabinet odniósł nad drugim. Cesarz Aleksander przyjmuje wszystkie propozycje. Capo d'Istria jest całkowicie pobity.

W kilka dni później dodaje: „Gabinet rosyjski za jednym zamachem zniszczył wielkie dzieło Piotra Wielkiego i jego następców!..."

I odtąd Aleksander z gorliwością neofity nie odzywał się inaczej o Grekach jak tylko z potępieniem.

Zapominając, że niedawno dopraszał się o wspólne kroki przeciwko Turkom z pomocą francuskiej armii — pewnego razu rzekł w prostocie ducha do ambasadora La Ferronnays: „Ze wszystkich intryg, które duch rewolucji uknuł, żadna nie była przygotowaną z taką sztuką i prowadzona z większą zręcznością... Ludzkość jęczy nad okropnościami, popełnionymi w Grecji przez jedną i drugą stronę. Lecz krew, która płynie w tym nieszczęsnym kraju, spada całkowicie na tych, którzy przez nieroztropność i zuchwalstwo wywołali tę niefortunną rewolucję. Cała odpowiedzialność spada wyłącznie na nich. Co do mnie, uczynię dla nich wszystko, co się

tylko da w czasie zbliżających się teraz układów z Turkami...".

Aby mocniej podkreślić tę zmianę taktyki, oddalił ministra Capo d'Istria, który w rozpaczy opuścił natychmiast Rosję i nigdy już do niej nie wrócił. Nawet kawaler von Gentz, używany przez Metternicha do wszelkich brudnych sprawek, skutkiem czego moralny jego zmysł mocno się stępił w tej pracy, nie mógł się powstrzymać od surowego sądu:

Nie można — pisał — patrzeć bez odrazy i wstydu na nikczemne targi rosyjskiego gabinetu, trudno doprawdy znaleźć odpowiednie słowa na określenie podobnie złośliwej głupoty.

Wobec areopagu w Weronie Aleksander ograniczył się jedynie do potwierdzenia swego poprzedniego odstępstwa.

Wśród francuskich dyplomatów, „akredytowanych przy grobie Romea i Julii", znajdował się również Chateaubriand, ówczesny ambasador w Londynie. Aby uzyskać tę misję, poruszył niebo i ziemię. Jednakże wpadł mocno, bo nikt się nim nie zajmował, żaden z obecnych monarchów. Imperator Rosji, cesarz Austrii, król Prus, król Sardynii, wielki książę Toskany, książę Modeny, król Neapolu nie spostrzegli nawet jego obecności — na świeczniku byli jedynie Metternich i Wellington.

Dopiero pewna piękna rosyjska dama, którą poznał w Paryżu i którą zamiłowanie do intryg ściągnęło nad wody Adygi, hrabina Tołstoj postarała się o przedstawienie go carowi, który pociągał go swym tajemnym urokiem. Rozpocząwszy rozmowę na tematy moralności i religii Aleksander nie mógł się oprzeć chęci poruszenia spraw

Grecji pragnąc usprawiedliwić swoje postępowanie, gdyż jako twórca Świętego Przymierza czuł się z wielu powodów zobowiązany:

— Zapewne pierwszy powinien byłem w czyn wprowadzić zasady Świętego Przymierza — gdy nadarzyła się sposobność, tj. powstanie w Grecji. Bez wątpienia nic nie leżało bardziej w moim oraz w moich ludów interesie niż wojna z Turcją, lecz spostrzegłem w rozruchach wynikłych na Peloponezie oznaki rewolucji i wówczas postanowiłem się powstrzymać. Opatrzność oddała pod moje rozkazy 800 000 żołnierzy wcale nie dla zadowolenia mojej ambicji, lecz dla otoczenia opieką religii, moralności i sprawiedliwości. Zasady porządku, na którym się opiera społeczeństwo ludzkie, winny triumfować...". Chateaubriand zauważył, że w czasie tej pięknej tyrady oblicze cesarza nagle posmutniało.

Rozmowa ta miała miejsce na zamku w Canossie, która narzucała inne — niemiłe może dla Aleksandra wspomnienia — pokorną pokutę cesarza Henryka IV, który tutaj w roku 1077 kajał się przed popędliwym i dumnym Grzegorzem VII.

* * *

Po „niefortunnych dniach Werony" Aleksander, który w tym czasie kończył 45 rok życia — żył dalej w kręgu swych ponurych myśli.

W tych czasach nie było jeszcze mowy o psychiatrii, nauka chorób umysłowych poczęła się dopiero w lat dwadzieścia później w umysłach takich lekarzy, jak d'Esquirol, Falret czy Friedreich. Nic więc dziwnego, że współcześni nie umieli postawić diagnozy dolegliwości cara, w której obecnie rozpoznanoby natychmiast ostrą

melancholię na tle komplikacji manii prześladowczej, o podłożu mistycznym i depresyjnym.

Potęgują się w jego psychice objawy smutku oraz neurastenii, zwraca uwagę coraz częściej pochylona głowa, powolny chód, ponure i nieufne spojrzenie. Spraw publicznych nie znosi, przechodzi gwałtownie z podniecenia w stan zupełnego odrętwienia, długie godziny spędza bezczynnie w samotności. Staje się przy tym bigotem bijącym rozpaczliwe pokłony przed ikonami.

Lekarz przyboczny cara, doktor Tarassow, pisał w tym czasie:

Podczas rannych i wieczornych pacierzy tak długie godziny spędzał w pozycji klęczącej, że nabawił się na kolanach odcisków.

Jednocześnie nie ustają ani na chwilę częste i nagłe podróże, w czasie których car gnał przed siebie gdzie bądź, prawie bez celu, byle tylko uciec od swej męki.

O ówczesnym wewnętrznym przygnębieniu Aleksandra posiadamy cenne świadectwo Metternicha. W Weronie, w chwili szczerości, car wyznał swemu staremu przyjacielowi, cesarzowi Franciszkowi, że „przeczuwa swój bliski koniec" i że „znużony jest już życiem".

Jeśli tak niecierpliwie znosił ciężar życia, czyż nie winien był cieszyć się myślą, że niebawem uwolni się od niego? A jednak nie — wtedy bowiem stawał mu przed oczyma przerażający obraz, który go prześladował już od lat dwudziestu dwu. Myśl, która co roku 23 marca wracała ku niemu złowrogim wspomnieniem, męczyła go teraz ze straszliwym uporem, bez chwili wytchnienia, na każdym miejscu, zawsze! Co będzie, kiedy stanie przed obliczem Sędziego Najwyższego? — Co powie o nikczemnej roli, jaką odegrał w zabójstwie swego ojca?...

Zdaje się, że pod prześladowczym wpływem tej myśli w rozmowie z Chateaubriandem w Weronie wymknęło mu się dziwaczne słowo, znane tylko mistykom, *synderese*, określające straszliwy monolog sumienia dręczonego wyrzutami...

* * *

Takie to ponure myśli naprowadziły Aleksandra na konieczność zastanowienia się nad sprawą dziedzictwa, gdyż nie posiadał syna, a obydwie jego córki zmarły w dzieciństwie.

Według „dynastycznego statutu" Romanowów, ogłoszonego w roku 1797 przez Pawła I, korona cesarska na mocy prawa pierworództwa przypaść powinna wielkiemu księciu Konstantemu. Lecz wstępując na tron Aleksander wydał ukaz, w którym zapominając już wtedy o liberalizmie i pragnąc przywrócić moc jednej z głównych zasad jedynowładztwa Piotra Wielkiego, zastrzegł sobie — wbrew prawu — przywilej wyboru następcy wedle własnego uznania.

I okazało się, że miał słuszność. Otóż w 1819 roku Konstanty zakochał się namiętnie w uroczej Polce, pięknej i subtelnej jak kwiat, szlachciance Grudzińskiej. Sentymentalna marzycielka, ale jednocześnie i dumna panna, ożywiona żarliwym patriotyzmem, który wzbudzał w niej odrazę do wszystkich Rosjan, przyjęła z pogardą i odepchnęła zaloty Jego Cesarskiej Wysokości. Pomału jednak ulegając błaganiom chciwej a będącej w potrzebie rodziny, doprowadziła wielkiego księcia do złożenia jej obietnicy, że zaślubi ją natychmiast po uzyskaniu rozwodu z księżniczką sasko-koburską, Anną Fiodorówną, z którą zresztą od dawna nie żył.

Z punktu widzenia religii sprawa przedstawiała wielkie trudności, chodziło tu bowiem nie tylko o unieważnienie jednego małżeństwa, lecz o otrzymanie zezwolenia na drugie. W tej sprawie Święty Synod zaprotestował energicznie powołując się na stare prawo kanoniczne, według którego rozwiedziony małżonek nie mógł zawrzeć powtórnego małżeństwa, dopóki jego pierwsza żona nie złożyła ślubów zakonnych „umierając w ten sposób dla świata".

Niespodzianie jednak stanowczy rozkaz samodzierżcy położył koniec tym teologicznym przeszkodom. Święty Synod kapitulował natychmiast, a 14 kwietnia 1820 roku ogłoszony został ukaz, orzekający rozwód wielkiego księcia. W kilka dni później Konstanty zaślubił morganatycznie Joannę Grudzińską, która otrzymała tytuł „księżnej łowickiej".

Stosownie do statutu z roku 1797 dzieci urodzone z tego mezaliansu pozbawione były praw do tronu; mimo to wielki książę pozostawał nadal następcą tronu. Wspomnienie jednak tragicznej śmierci ojca i przesądy idące w parze z tchórzostwem budziły zawsze w duszy tego nieobliczalnego człowieka tajemniczy lęk przed najwyższą władzą. Kilkakrotnie nawet rozmawiał na ten temat z bratem.

W styczniu roku 1822 po długich dysputach, pełnych wzajemnej nieufności, Aleksander zobowiązał Konstantego do zrzeczenia się tronu na piśmie. Mimo uroczystej treści dokumentu znalazło się w nim jedno zdanie niejasne, zawierające dwuznaczne zastrzeżenie, które w trzy lata później stało się przyczyną jednego z najgroźniejszych przesileń, jakie carat rosyjski przechodził.

W roku następnym car w największej tajemnicy

opracował ukaz, w którym następcą tronu naznaczył swego drugiego brata, Mikołaja, liczącego wówczas lat dwadzieścia siedem a ożenionego niedawno z córką króla Prus.

Osobami, które wiedziały o tej doniosłej tajemnicy, była tylko cesarzowa matka, Maria Fiodorówna, metropolita Moskwy Filaret, książę Aleksander Golicyn oraz wszechpotężny Arakczejew. Natomiast dwaj ludzie przede wszystkim w tym zainteresowani, tj. Konstanty i Mikołaj, dowiedzieć się mieli o tym akcie w ostatniej chwili — *post mortem*.

Podczas pobytu w Moskwie dnia 10 września 1824 roku car wręczył archimandrycie Filaretowi powyższy ukaz w zapieczętowanej kopercie, na której dostojną ręką Jego Cesarskiej Mości, było wypisane:

Ten dokument winien być przechowany w Uspieńskim Soborze wraz z papierami państwowymi aż do mego nowego rozkazu. W wypadku, gdybym umarł nie udzielając nowych instrukcji, pismo powyższe winno być niezwłocznie otwarte przez metropolitę i generalnego gubernatora Moskwy.

Ceremonia odbyła się w obecności episkopa i prokuratora Synodu, którzy według przepisów winni byli asystować przy niej, nie dano im jednak odczytać słów napisanych na kopercie. Metropolita złożył ukaz w tabernakulum w Uspieńskim Soborze, w głównej cerkwi na Kremlu, gdzie znajdowały się najcenniejsze relikwie Świętej Rosji prawosławnej oraz groby patriarchów, czczone głęboko przez ludność.

Tego rodzaju postępowanie Aleksandra było na ogół zagadkowe. Można by sądzić, że umyślnie chciał przelanie swych praw do tronu otoczyć całym szeregiem wątpliwości i niejasności, jakby je chciał powikłać i opóź-

nić. Być może jednak, że to w celu utrzymania swych braci w nieświadomości, co stanie się po jego śmierci. Nie chciał może, aby którykolwiek z nich mógł się naprawdę uważać za następcę tronu i pysznić tą godnością.

* * *

W styczniu 1824 roku Aleksander nawiedzony ciężką chorobą zapadł poważnie na zdrowiu. Niegdyś podczas manewrów kopnął go koń w kolano.

Powstała stąd głęboka rana, zaraz z początku leczona źle. Teraz otwierała się i nieustannie jątrzyła.

Szóstego stycznia, w święto Trzech Króli, metropolita Petersburga święcił jak zwykle wodę na Newie. Car, obecny na nabożeństwie mimo lodowatych podmuchów wiatru z odkrytą głową, słuchał wspaniałych, ale też i bez końca trwających ceremonii liturgicznych, odprawianych przed Zimowym Pałacem. Zawsze wzruszał się głęboko na wspomnienie chrztu Chrystusa Pana w wodach Jordanu, co było pierwszym uświęceniem jego mesjanistycznego posłannictwa wśród ludzi. — Stale powtarzał słowa Pisma św.:

„A w chwili, gdy wychodził z wód, ujrzał Jezus otwierające się niebiosa i Ducha Świętego zstępującego nań w postaci gołębicy, a głos usłyszano z niebios, co mówił: „Tyś jest Syn mój najukochańszy, w którym dobrzem sobie upodobał".

Aleksander powrócił z nabożeństwa zziębnięty i drżący. Nazajutrz uczuł ból w krzyżach, osłabienie i silną gorączkę. Wywiązało się zapalenie płuc.

Równocześnie na chorej nodze wystąpiła róża. Zakażenie rozszerzało się tak szybko, że lekarzy ogarnęła obawa groźnych następstw; brano nawet pod uwagę

konieczność amputacji nogi. Najwięcej niepokoiła ich słaba odporność organizmu cara i wyczerpanie sił żywotnych.

Poprawa zdrowia nastąpiła dopiero po dziesięciu dniach, zupełne wyzdrowienie zaledwie w połowie marca.

Długie cierpienia fizyczne dziwnie odbiły się na wrażliwości cara.

W chwili, gdy najbardziej był przygnębiony, zbliżył się na nowo do carowej Elżbiety.

Mile zdziwiona, jakby pod wpływem jakiejś pieszczoty, której brak odczuwała od tak dawna, pisze 31 stycznia do matki:

Cesarz powiedział mi onegdaj rzecz niezwykle słodką dla mego serca i którą tylko z tobą, mamo, mogę się cieszyć. Powiedział do mnie tak: „Zobaczysz, że tobie tylko będę winien mój powrót do zdrowia", gdyż pierwszą możliwie spędzoną noc zawdzięczał wałkowi pod poduszką, podłożonemu przeze mnie pod głowę, na którą niezmiernie cierpiał... Pojmujesz, mamo, jakie to dla mnie słodkie, lecz zrozumiesz, że zachowuję tę słodycz tylko dla siebie.

Podczas rekonwalescencji chciał ją mieć nieustannie przy łożu. Jak tylko odzyskał trochę sił, prosił, by mu głośno czytała. Albo też całymi godzinami uprawiali lekturę oddzielnie komunikując sobie wzajemnie swe uwagi nad przeczytanymi książkami.

Dnia 1 marca carowa znowu pisze do matki:

Nigdy jeszcze nie widziałam go w chorobie równie dobrym i cierpliwym. Często mi powtarzał: „Nie wiem, czy to siła cierpienia, czy wpływ wieku, lecz nie czuję już, jak dawniej, tej odporności na ból"... Pewnego dnia zwłaszcza był tak słaby i wyczerpany, że nie mogłam patrzeć na niego bez łez. Tylko Tobie, mamo, mogę o tym wspomnieć. Inni ludzie mogliby sądzić, że pragnę się chwalić, i to czym? Tym, co nakazuje

prawo boskie i ludzkie, tym, co w każdym małżeństwie jest rzeczą najzwyklejszą na świecie. Niekiedy zdaje mi się, że jestem jego kochanką lub że byliśmy zaślubieni w tajemnicy przed całym światem.

I od tej chwili między małżonkami, którzy tak długie lata byli sobie wzajemnie obcy i obojętni, powróciła dawna ufność, serdeczność i miłość. Jak słusznie carowa pisała, stała się potajemnie „kochanką" swego małżonka.

Czy zbliżając się w ten sposób do Elżbiety i odkrywając w niej tyle czarujących i poważnych zalet oraz doświadczając, jak cenną mogła być towarzyszką, Aleksander nie szedł za głosem ukrytego wyrachowania?

Gdy tylko powrócił do swych codziennych zajęć, powiedział do jednego ze swych generał-adiutantów, dawnego naczelnego dowódcy gwardii, Hilariona Wasilczykowa: „Chętnie pozbyłbym się tego brzemienia korony, która ciąży mi tak straszliwie..."

Najserdeczniejszy jego przyjaciel, książę Piotr Wołkoński słyszał z ust cara kilkakrotnie zdania, w których tkwiło ukryte pragnienie zrzeczenia się tronu. Nie po raz pierwszy zresztą wyrażał się w ten dziwny sposób.

Od chwili, gdy mistycyzm zawładnął całą jego duszą, chęć porzucenia tronu i spędzenia ostatnich lat swego życia na pustelni wzmagała się, a urok „śmierci dla świata" kusił go tajemnie.

* * *

W ciągu następnych miesięcy policja coraz częściej informowała cara o wewnętrznym położeniu państwa, które wcale nie zachęcało go do dalszego sprawowania najwyższej władzy.

Mimo silnej pięści Arakczejewa tajne stowarzyszenia

mnożyły się od pewnego czasu w całym państwie. Przywódcy ruchu należeli do elity świata rosyjskiego, do młodzieży pochodzącej z arystokratycznych domów; dotyczyło to zwłaszcza korpusu oficerskiego z gwardią na czele. Tajne stowarzyszenia posiadały dla Rosji zawsze żywy urok, jak o tym świadczą niezliczone spiski, które pod każdym panowaniem zagrażały tronowi, a niekiedy go nawet wywracały.

Obecnie, pod wpływem wojen napoleońskich, skłonność do nowinek politycznych i społecznych rozprzestrzeniła się szeroko. Podczas przemarszów przez Niemcy, a szczególnie w czasie pobytu we Francji oficerowie nieraz mieli sposobność zaznajomić się z zachodnią cywilizacją, która wywoływała w nich podziw, szczególnie przy porównaniu z niewolą i uciskiem w Rosji, gdzie żadna myśl swobodna, żaden szlachetny poryw nie mógł się swobodnie wypowiedzieć. Powracali więc do ojczyzny przejęci nowym duchem, a znajdowali — jeszcze bardziej duszącą niewolę, inkwizycyjny i bezwzględny despotyzm Arakczejewa. Toteż tendencje rewolucyjne rozwinęły się w korpusie oficerskim niezwykle szybko.

W roku 1824 jedna z bardziej odważnych grup nazwała się „Związkiem dobra publicznego" i objęła kierownictwo ruchu. Spiskowcy na naradach wypowiadali się przeciwko duchowemu i społecznemu upodleniu Rosji, przeciwko rozkładowym i niszczycielskim wpływom caryzmu, przeciwko potwornej tyranii wielkorządców, przeciwko nadużyciom, nieprawościom, przeciwko sprzeniewierzeniom i zgniliźnie całego ustroju. Szli jeszcze dalej. Jedni żądali natychmiastowego wprowadzenia monarchii parlamentarnej, inni opowiadali się kategorycznie za republiką, ale wszyscy zgadzali się, że należy położyć

kres panowaniu Aleksandra, niektórzy nawet ofiarowali się go zamordować, inni wreszcie, nieobliczalni poprzednicy bolszewizmu, chcieli, aby za jednym zamachem zniszczyć „całą rodzinę carską".

Car Aleksander dowiedział się o tym groźnym i zdumiewającym rozwoju tajnych stowarzyszeń i wpadł w niebywałą rozterkę. Nie unosił się jednak gniewem — nie lękał się nawet — targały nim za to wyrzuty sumienia.

Kiedyś, przed trzema laty, na wiadomość o sprzysiężeniu wojskowym powiedział do dowódcy gwardii: „Mój drogi Wasilczykow, wiesz dobrze, że podzielałem i popierałem niegdyś te złudzenia i błędy... Jakżeż ja mam dzisiaj za nie karać!..."

To przyznanie się Aleksandra do winy sprawia, że nie chce być sędzią i wyrzeka się prawa kary. Na próżno obaj oberpolicjanci, Arakczejew i Benckendorf popychali go do zarządzeń, jakich wymagało położenie państwa, a których jego poprzednicy na tronie nigdy nie szczędzili — aresztowania masowe, kazamaty Szlisselburga, syberyjskie katorgi, kopalnie nerczyńskie, wreszcie publiczne wieszanie... Jego dawne błędy skazują go teraz na pobłażanie.

Wewnętrzna rozterka uprzykrzała mu życie coraz bardziej.

Subtelny psycholog, jakim był Metternich, który wartość każdego słowa rozumiał aż nadto, zanotował w swych pamiętnikach:

Rozczarowany do wszystkich swych zamierzeń i do wszystkich nadziei, czując nieubłaganą konieczność uderzenia w swych własnych poddanych, zbłąkanych i uwiedzionych ideami, które on sam tak długo wyznawał, cesarz Aleksander załamał się duchowo.

Kilka wydarzeń w końcu roku przyśpieszyło to wewnętrzne załamanie się Aleksandra. Jedną z przyczyn stała się poważna choroba carowej Elżbiety. Trawiła ją gorączka i uporczywy kaszel, odczuwała silne ciśnienie krwi oraz gwałtowne bicie serca. Wywiązała się ciężka anemia, powodująca częste omdlenia. Lekarze nie wiedzieli, co sądzić o tym skomplikowanym stanie chorej, którego diagnoza w dzisiejszych czasach byłaby prosta: początki gruźlicy i wada serca.

Chora się nie skarżyła i cierpiała w milczeniu, śmierci się nie lękała. Lubiła powtarzać słowa z „listu do Koryntian": „Wiemy dobrze, że jeśli ten ziemski dom, w którym mieszkamy, w gruzy się rozpadnie, to Bóg nam w niebiosach da inną siedzibę, nie ręką człowieczą uczynioną — siedzibę, która wiecznie trwać będzie. Przystoi więc tylko czekać!..."

Aleksander był dla żony jak najbardziej uprzejmy. „Pragnie nawet, byśmy wspólnie, tylko sami we dwoje wysłuchali mszy św.!"... pisała do matki. Nigdy jeszcze nie byli ze sobą równie blisko!... Lecz jakże ciemną wydaje się im przyszłość!...

W dniu 5 lipca, gdy car dosiadał konia, by wziąć udział w ćwiczeniach w Carskim Siole, wręczono mu list. — Przeczytał go, zbladł nagle i zalał się łzami. Wszyscy byli pewni, że każe odwołać ćwiczenia, ale on wyprostował się szybko i z obojętną twarzą stanął na czele szeregów. Zawsze celował w sztuce opanowywania wzruszeń i utrzymywania cesarskiej powagi.

Aleksander dowiedział się wtedy o śmierci jedynego dziecka, jakie miał ze stosunku z panią Naryszkin, uroczej, ale wątłej osiemnastoletniej dziewczynki Zofii Dymitriewny, która zmarła na galopujące suchoty.

Po skończonych manewrach udał się do willi swej dawnej kochanki. Niecierpliwość jego nie miała granic, aby przybyć tam jak najprędzej. Tak naglił izwoszczyka, że w drodze wynoszącej dwadzieścia mil padły dwa konie.

Nazajutrz chcąc ukryć swą rozpacz szukał schronienia w Gruzinie pod Nowogrodem u swego wiernego „stróża-psa", namiestnika Arakczejewa. Tu przynajmniej nie potrzebuje niczego udawać, odzyskuje sen, oddycha szerzej, trochę się uwalnia od swych ponurych myśli... pod warunkiem jednak niechodzenia do cerkwi, gdyż od progu już widzi tam wielki portret cesarza Pawła z sugestywnym napisem jego bohaterskiego towarzysza walk: „W stosunku do ciebie serce moje jest czyste, a dusza bez wyrzutu". Dla syna ofiary, dla wspólnika zabójców było to straszliwe oskarżenie!

Już trzeciego dnia uciekł z Gruziny. Długo nie mógł się uspokoić i oprzeć myślom dalszej ucieczki — gdziekolwiek bądź — byle przed siebie!

Przez dwa miesiące przemierzał gorączkowo wschodnie rubieże państwa, Tambow, Samarę, Symbirsk, Orenburg, Ufę, Perm, Ekaterynburg, Wiatkę, Wołogdę — ponad tysiąc sto mil.

Powróciwszy 6 listopada do Petersburga już następnego dnia był świadkiem straszliwej katastrofy: wylew Newy w ciągu kilku godzin zatopił pół miasta. Nigdy jeszcze ta pełna majestatu rzeka, którą Semiramida Północy skuła w granitowe okowy wybrzeża, nie wylała tak szeroko.

Kiedy Aleksander organizował doraźną pomoc, usłyszał, jak ktoś z ludu zawołał:

— To Bóg nas karze za grzechy nasze!

Car odpowiedział natychmiast:

— Nie za wasze — to za moje grzechy!

W kilka dni później nowa, nieoczekiwana żałoba spotęgowała jeszcze bardziej melancholię i zniechęcenie Aleksandra — stracił tym razem swego ulubionego adiutanta i nieodłącznego towarzysza, jedynego z bliskich, który potrafił od czasu do czasu wnieść promyk wesołości w jego duszę. Zmarł generał Uwarow, ten sam, który w nocy 23 marca 1801 r. należał do najbardziej zaciekłych morderców cara Pawła.

Podczas pogrzebu, łamiąc wszelkie przepisy ceremoniału, Aleksander szedł za karawanem z odkrytą głową. Na ten widok Arakczejew nie mógł się powstrzymać od ponurego żartu:

— A więc nasz drogi Fiedor Piotrowicz ma cesarza na swym pogrzebie!... ale, jak go tam, dokąd zdąża, przyjmie ten drugi?

* * *

Rok 1825 rozpoczął się pod niemniej ponurą wróżbą: niemoc i sprzeczność w postępowaniu polityki rosyjskiej na wschodzie powodują klęskę. W stosunkach z Petersburgiem Turcja przybiera ton pogardliwy i zaczepny. Powstańcy greccy nie licząc już na poparcie prawosławnego cara udają się pod opiekę Anglii.

Wewnątrz państwa sprawy idą nie lepiej, podejrzliwa i mściwa tyrania Arakczejewa siała na każdym kroku bunt.

Puszkin mawiał wtedy: „Święta Rosja stała się krainą, w której żyć już nie można!...".

W końcu maja policja generała Benckendorfa odkryła szeroko rozgałęziony spisek w armii na Ukrainie, mający na celu zgładzenie wszystkich Romanowów.

Teraz dopiero Aleksander mógł sobie zdać sprawę z „szatańskiego spustoszenia", jakie wywołała rewolucyjna propaganda wśród oficerów. I znowu ten sam dramat gryzie mu sumienie. „Czy mam ich karać?... Czyż nie jestem jedynym winowajcą?..."

Wkrótce nowe zmartwienie i troska spadła na cara. Ukochana Elżbieta niknie w oczach. Lekarze tracą głowę nie znajdując przyczyny coraz cięższego stanu zdrowia dostojnej chorej. Radzą jej usilnie spędzenie zbliżającej się jesieni oraz zimy w łagodnym i cieplejszym klimacie.

ROZDZIAŁ XVIII

Na wywczasy dla carowej Elżbiety Aleksander wybrał Taganrog nad Morzem Azowskim. — Wybór tej nieznanej wówczas miejscowości wywołał zdumienie. Jednakowoż projektu nie zmieniono, południowe wybrzeże Krymu, łagodny klimat i piękne położenie przeważyły. 15 września 1825 r. w nocy wyprzedzając Elżbietę Aleksander opuścił Petersburg. — Przed samym wyjazdem wysłuchał nabożeństwa w monasterze Świętego Aleksandra Newskiego. To całonocne nabożeństwo, odprawione w tajemnicy, było prawdopodobnie panichidą. — Długie rozmowy cara ze starym mnichem, cudotwórcą. — 5 października cesarska para spotkała się w Taganrogu. Skromne mieszkanko, małżeńska sielanka — w końcu października wycieczka cara na Krym — atak malarii — coraz gorszy stan zdrowia cara. 16 listopada wrócił do Taganrogu — Śmierć Aleksandra dnia 1 grudnia. List carowej Elżbiety — „Nasz anioł jest w niebie!"

W sierpniu dwór dowiedział się, że cesarz Aleksander postanowił towarzyszyć carowej w czasie jej wilegiatury i że oboje zamierzają zamieszkać w Taganrogu nad Morzem Azowskim. Nawrót miłości małżeńskiej zwrócił ogólną uwagę, tak że nie widziano nic zdrożnego w czułości, jaką Aleksander otaczał chorą żonę.

Nikt jednak nie mógł pojąć wyboru Taganrogu — wy-

dawało się to z początku niemożliwe a nawet nieprawdopodobne. Taganrog twierdza, zbudowana przez Piotra Wielkiego na północnych wybrzeżach Morza Azowskiego, „Morza Martwego", jak je zwano, oddalona była o czterysta pięćdziesiąt opętanych mil od Petersburga.

Poza tym miejscowość ta była położona w kraju bagnistym i pustynnym, wystawionym na wichry z Uralu i Syberii, a licząca zaledwie 7800 mieszkańców, przeważnie Greków, Gruzinów i Tatarów. Najbardziej kompetentni niewiele mogli powiedzieć o Taganrogu — podobno w czasach Katarzyny II chroniła się tam flota rosyjska przed eskadrą turecką. Mówiono też, że istnieje tam więzienie w cytadeli, i to wszystko.

Jeżeli Elżbieta nie mogła znosić ostrego klimatu Petersburga, to przecież mogła wyjechać do Włoch jak tylu innych Rosjan. Może zresztą nie chciała się oddalić od drogiego małżonka?... Czemuż zatem nie wyjechała na południowe wybrzeże Krymu? na słoneczne pola Ałupki, Jałty, Sudaku czy Aj-Tedoru, gdzie wśród pięknych ogrodów wznosiły się wspaniałe wille?... Wreszcie mogła przepędzić wywczasy na wybrzeżu, niedaleko Sewastopola, wielkiego wojennego i handlowego portu, gdzie jako chora łatwiej mogła znaleźć każdą pomoc. Nie — wybór Taganrogu był stanowczo zagadkowy i naprawdę nie łatwo można go było wytłumaczyć.

Po ostatecznej decyzji dworska intendentura niezwłocznie wysłała do tej nędznej mieściny architekta i kilku majstrów, aby doprowadzili maleńki i skromny dworek gubernatora do możliwego stanu, by para carska mogła tam zamieszkać.

Aleksander wyznaczył wyjazd na 13 września, licząc, że będzie podróżował jak zwykle po dwa etapy na-

raz; w ten sposób przybędzie na miejsce najpóźniej 25 września.

Carowa Elżbieta była zbyt osłabiona, aby znieść podobną podróż. Postanowiła w drodze zatem zatrzymać się kilkakrotnie dla odpoczynku. Z Petersburga wyruszyć miała 15 września i przyjechać do Taganrogu 5 października. Królewska para zabrała ze sobą tylko nieliczną świtę — jedynie tych, co byli niezbędni, a więc dwu adiutantów, dwie damy dworu, trzech niższych oficerów i trochę służby.

Zanim jednak „trójka" cara minęła rogatki stolicy, zaszedł dziwny wypadek, który stał się jakby prologiem tej podróży.

Aleksander opuścił pałac na „Kamiennym Ostrowie" po czwartej po północy, gdy całe miasto pogrążone było jeszcze w mroku owianym mgłami i ciszą.

Przed słynnym klasztorem Aleksandra Newskiego, którego niezliczone kopuły panują nad Newą, car kazał zatrzymać powóz. Metropolita Serafin, archimandryci i czereda mnichów, uprzedzeni o tej wizycie, oczekiwali Aleksandra u wrót klasztoru w uroczystych szatach. Car szybko wysiadł z powozu, pochylił głowę przed metropolitą, który, błogosławiąc, dał mu do ucałowania krucyfiks — po czym udał się do katedry Świętej Trójcy, w której spoczywają relikwie wielkiego księcia Aleksandra, pogromcy teutońskiego zakonu w XIV wieku.

Aleksander zanim padł na kolana przed cudownymi relikwiami, rozkazał, aby wszystkie wrota klasztoru zamknięto.

Podobne nabożeństwa nie były niczym anormalnym, cesarz bowiem zawsze słuchał ich przed każdą dłuższą podróżą, lecz działo się to zawsze w biały dzień, przy licz-

nym udziale wiernych i otwartych bramach. Dziwne było zaiste, skąd wieść o nocnym nabożeństwie rozniosła się tak szybko — dziwne też były już wówczas różne krążące domysły. Niektórzy historycy twierdzą, że było to nabożeństwo solenne, inni znów, że tej nocy w zamkniętym soborze odbyło się nabożeństwo żałobne — panichida!

Ta romantyczna wersja posiada pewne pozory słuszności, gdy się weźmie pod uwagę dalszy rozwój wypadków.

Po wyjściu z kościoła, Aleksander kazał się zaprowadzić do jednego z mnichów, ojca Aleksego, staruszka otaczanego szczególną czcią, który nie opuszczał swej maleńkiej celi i umartwiał się niezwykłymi pokutami, a żył jeno myślą o zbliżającej się wieczności.

Ponury obraz przedstawił się oczom cara, gdy przekroczył próg celi. Mury obite czernią oświetlała jedynie mała lampka, co tliła przed świętą ikoną, na której zaledwie można było rozeznać Dziewicę Przeczystą oraz wielki krucyfiks. Na ziemi stała otwarta trumna, otoczona świecami, a na niej całun.

— Patrz — rzekł asceta do monarchy — oto moje łoże, i to nie tylko moje, bo wszyscy w nim spoczywać będziemy, czekając na sąd ostateczny. I ty w nim spoczniesz, jak inni.

Car i mnich padli razem na kolana i z ust ich popłynęła modlitwa, a kiedy wstali z klęczek, poczęli długą rozmowę. — Treści jej nie znamy — zapewne starzec przemawiał do cara budującymi słowy, słowy które rozumieć można tak albo inaczej — jak zwykle w takich razach — dość na tym, że Aleksander opuścił celę głęboko wzruszony: — Zaiste — mówił do metropolity —

słyszałem w moim życiu wiele mądrych słów, ale żadne nie wstrząsnęły mną nigdy z taką siłą jak słowa tego starca... Jakże żałuję, że wcześniej go nie poznałem!"

I do samych wrót monasteru szedł car z gołą głową mając oczy pełne łez; kilkakrotnie z westchnieniem odwracał się w stronę katedry, żegnając się pobożnie.

Jeszcze na rogatkach Petersburga kazał Aleksander zatrzymać pojazd i po raz ostatni spoglądał kilka chwil na sylwetkę przeświętego klasztoru, któremu patronował Aleksander Newski.

Dnia 25 września przybył do Taganrogu, dokąd za dni dziesięć przyjechać miała i carowa.

Podczas całej podróży, na każdym postoju, osobiście przeglądał każdy szczegół w pokojach przygotowanych dla carowej na popasach i codziennie słał do niej czułe listy.

W Taganrogu Elżbieta była mile zdziwiona komfortem, jakim starał się ją otoczyć własnoręcznie ustawiając meble, to wieszając obrazy, świeczniki albo lustra.

Sam dom miał bardzo skromny wygląd — robił wrażenie koszar — posiadał jedynie parter i piwnice, a stał na samym końcu ulicy, obok miejskich wałów. Wnętrze miało tylko to urządzenie, które tapicerzy przywieźli z Petersburga. Mieszkanie Elżbiety składało się z sypialni, gotowalni i buduaru. Dla siebie cesarz zatrzymał dwa pokoje, z których większy miał mu służyć za pokój pracy a równocześnie i sypialnię, drugi zaś przeznaczony został na garderobę.

Obszerny przedsionek pełnił funkcję salonu i jadalni. Przez jedyne okno, wychodzące na zewnątrz, widać było Morze Azowskie — *palus meotide* — „Morze Martwe".

Przez cały miesiąc małżonkowie pędzili tu życie pełne

spokoju i prostoty, co ich nieustannie ku sobie zbliżało, czy to dla pogawędki, czy wspólnej lektury lub spacerów. Listy Elżbiety do matki każą nam wierzyć, że w tej miłości jesiennej czuli się doskonale i szczęśliwie. Jednak w ostatnich dniach października ogarnął nagle Aleksandra zwykły jego niepokój, znów odczuwał potrzebę zmiany miejsca, pragnął biec gdzieś przed siebie, jakby przed samym sobą uciec.

Postanawia więc nową podróż, nasamprzód w okolice Taganrogu, a potem na Krym. W przeddzień wyjazdu spotkała go przykra przygoda, tym przykrzejsza, że był przesądny.

Po południu, kiedy pracował przy biurku, niebo pokryło się nagle chmurami i zapadł tak głęboki mrok, iż musiał zadzwonić na lokaja Anissimowa, aby przyniósł mu świece. Po chwili jednak niebo przejaśniło się trochę, a wtedy lokaj ukazał się w progu pytając niespokojnie:

— Czy Wasza Cesarska Mość nie rozkaże mi zabrać świec?

— Nie wołałem cię, czemu mi przeszkadzasz?

— Bo, bo proszę Waszej Cesarskiej Mości, zapalone świece przy jasnym dniu są przepowiednią śmierci...

— Masz rację, zabierz te świece — rzekł smutno Aleksander.

Po niedługiej wycieczce w okolice Taganrogu udał się Aleksander na Krym. Daleką drogę do Sewastopola — sto osiemdziesiąt mil — przejechał przez kraj zupełnie pusty. Bezdrożami dotarł przez Marinpol i Berdiańsk do dawnej Taurydy, w której wspomnienia o Katarzynie Wielkiej łączą się z myślą o królu Mitrydacie.

Ten czarodziejski zakątek świata zatrzymał go parę dni. — A pięknie tam — wzgórza Jaiła chronią wybrzeże

od wichrów północnych — i spokojnie, toteż można tam naliczyć wiele pańskich rezydencji.

Ósmego listopada chciał pomodlić się w monasterze Świętego Jerzego, wyjechał więc konno wybierając męczącą drogę przez kraj zupełnie dziki. A już nazajutrz przeprowadzał w Sewastopolu przegląd wojska, fortyfikacji, arsenałów, składów, szpitali, a nawet okrętów. Gdy 10 listopada ruszył w drogę powrotną do Taganrogu, otoczenie zauważyło, że jest niezwykle znużony, cerę miał ziemistą i wstrząsały nim paroksyzmy febry.

Dnia 16 listopada na popasie w Marinpolu naczelny lekarz, doktor Wyllie, stwierdził tak zły stan zdrowia u cara, że błagał go wprost, aby zatrzymał się i odpoczął dni kilka, zanim uda się w dalszą drogę; ale Aleksander, pragnąc co prędzej ujrzeć żonę nawet nie chciał słyszeć o tym i wyruszył natychmiast dalej. Tegoż też wieczora jeszcze przybył do Taganrogu.

W następnych dniach objawy malarii wzmogły się jeszcze bardziej. Nieustanna gorączka, ból i zawroty głowy, mdłości, ciągłe pragnienie i obfite poty powodowały coraz większe przygnębienie duchowe.

Lekarze przyboczni, którzy stanowczo stwierdzili malarię, dokładali wszelkich wysiłków, jakich tylko można było użyć w ówczesnych czasach, kiedy to jeszcze nie znano stosowania chininy w medycynie.

Wieczorem 22 listopada nadszedł nagły kryzys. W czasie gorączki Aleksander zapadł w długie omdlenie. Zrozpaczona carowa nie odstępowała jego łoża.

26 listopada zdobyła się na odwagę, by mu powiedzieć:

— Chcę prosić cię o pewną łaskę. Skoro odrzucasz wszystkie lekarstwa, jakie przepisują ci lekarze, może zgodzisz się przyjąć to, które ja pragnę ci zaproponować.

— Cóż to za lekarstwo?

— Najświętszy Sakrament.

Car zrozumiał wszystko i odrzekł:

— Dziękuję ci, wydaj polecenie, jestem gotów.

Nazajutrz o świcie przyjął archimandrytę Taganrogu, ojca Fedotowa, który udzielił mu ostatniej Komunii.

Siły jego nikły z godziny na godzinę, nie poznawał już nikogo spośród otoczenia z wyjątkiem Elżbiety, której rękę trzymał na sercu; 1 grudnia o dziesiątej pięćdziesiąt rano wydał ostatnie tchnienie.

Carowa zamknęła mu oczy i padła bez zmysłów.

W kilka godzin później pisała do cesarzowej matki, Marii Fiodorówny:

„Droga Mamo, nasz anioł jest w niebie!...".

Podobnie pisała też do swej matki margrabiny badeńskiej.

2 grudnia dworscy lekarze w obecności chirurgów garnizonowych przystąpili do sekcji zwłok, której wynik stwierdził, że cesarz zmarł na atak żółciowy, połączony z chorobą mózgu. Przed złożeniem do trumny ciało zabalsamowano.

10 stycznia 1826 r. zwłoki Aleksandra opuściły Taganrog; czekano na rozkazy z Petersburga, gdzie wstąpienie na tron Mikołaja I wywołało zamieszki.

Orszak żałobny wyruszył na północ przez Charków, Kursk, Oreł, Tułę, Moskwę i Nowogród. Dnia 11 marca przybył do Carskiego Sioła.

Wreszcie 25 marca trumnę złożono uroczyście w ponurej fortecy św. Piotra i Pawła nad brzegami Newy, gdzie więzienie stanu czuwa jakby nad ostatnim snem Romanowów.

ROZDZIAŁ XIX

Tajemnica Taganrogu. Czy można wierzyć urzędowej wersji? — Uderzające sprzeczności w dowodach. — Dnia 25 listopada małżonkowie przez sześć godzin z rzędu prowadzili jakieś tajemne rozmowy. — Zagadkowy list carowej do matki: „Nieoczekiwana próba". — Elżbieta zaniechała pisania swych pamiętników — a może zniszczyła je. — Dnia 27 listopada Aleksander przyjął Komunię, lecz w ciągu następnych czterech dni żaden ksiądz nie zbliżył się już do chorego. Przy agonii również nie było nikogo z duchowieństwa. — Dziwy sekcji. Protokół jest niewątpliwie fałszywy. — Stwierdzenie ówczesnego stanu zwłok na pewno nie odnosi się do zwłok Aleksandra. — Podstawienie innego trupa — istnieją w tym względzie pewne dane rzeczowe — a na pewno i powody ideowej natury. Różne przypuszczenia. — Czyż Aleksander nie marzył od dawna, aby usunąć się do klasztoru na Syberii lub w Palestynie i tam odpokutować zbrodnię zabójstwa ojca? — Zmowa carskiej świty. — Uporczywa pogłoska, że „to nie nasz najukochańszy car leży w trumnie". — Wzburzenie w Moskwie. — Poszlaki upoważniają do mniemania, że trumna, uroczyście przeniesiona do grobów Romanowów, była pustą. — Bajki i legendy. Czyż pobożny syberyjski pustelnik Fiodor Kuźmicz był carem Aleksandrem I?... Prawdopodobieństwo innych domysłów. — Słowa Puszkina.

Dziwne okoliczności, które towarzyszyły agonii i śmierci Aleksandra Pawłowicza, wydają się tak naturalne i tak normalne oraz tak oficjalnie potwierdzone, że naprawdę trudno z początku pojąć, skąd wziąć się mogła w historii Rosji jedna z najbardziej ciemnych i podniecających zagadek, z jaką historycy mieli kiedykolwiek do czynienia.

Mieści się ona w następujących słowach: „Aleksander nie umarł w Taganrogu w dniu 1 grudnia 1825 roku, lecz tajemniczo zniknął przy pomocy swego ówczesnego otoczenia, aby odpokutować za udział w zamordowaniu swego ojca cara Pawła I i żył dalej — bardzo daleko — w jednym z klasztorów w Palestynie lub na syberyjskiej pustelni. W twierdzy petersburskiej dnia 25 marca r. 1826 uroczyście pochowano ciało, nie będące zwłokami Aleksandra". — To był trup inny — z tego wszyscy już wówczas zdawali sobie sprawę. Wiedziano też, że na

tajny rozkaz Mikołaja I grób został wkrótce opróżniony, aby zaoszczędzić trumnom zmarłych Romanowów hańby przebywania w towarzystwie trumny intruza.

Znane jest notorycznie, że bajki podobne często powtarzają się w opowieściach rosyjskiego ludu, którego wyobraźnia była zawsze wrażliwa i nad miarę łatwowierna, a zwłaszcza podatna dla zbiorowej sugestii. Wystarczy sobie przypomnieć, jak głęboko zakorzeniły się w umysłach tłumu tak dziwaczne legendy, jak te, co otaczają postacie Dymitra Samozwańca czy fałszywego cara Piotra III, czy też Stienki Razina, księżniczki Tarakanow, Pugaczewa, Kondratiego Seliwanowa i innych.

Jednak zagadka Taganrogu góruje znacznie nad tą całą serią znanych opowiadań. To drugie życie Aleksandra znalazło wiarę w najwyższych warstwach społeczeństwa, a nawet w rodzinie carskiej. Najpoważniejsi wreszcie historycy, przyzwyczajeni do metod krytycznych, tacy, co mieli sposobność czerpać wiadomości z najlepszych źródeł, uznali ją za pewnik.[1] Ścisłość i zgodność ich argumentów zmusza nas do stwierdzenia, że w Taganrogu rozegrał się przecież jakiś niezwykły dramat.

Zagadnienie to przedstawia się pokrótce mniej więcej w ten sposób.

Chcąc odtworzyć codzienne życie pary monarszej w Taganrogu możemy się oprzeć na czterech zupełnie autentycznych i pewnych dokumentach, a więc: po pierwsze, na pamiętnikach carowej Elżbiety, po drugie, na pamiętnikach księcia Piotra Wołkońskiego, generał-adiutanta cesarza i jego najserdeczniejszego przyjaciela; po trzecie, na pamiętniku doktora Wyllie, naczelnego lekarza dworu i również serdecznie oddanego cesarzowi przez dwu-

[1] Patrz wnikliwe i doskonale napisane studium księcia Włodzimierza Bariatyńskiego: Tajemnica Aleksandra I, Paryż 1929.

dziestopięcioletni okres przyjaźni; po czwarte, na wspomnieniach chirurga Tarasowa, drugiego lekarza nadwornego.

Podczas agonii Aleksandra te cztery osoby dzień i noc nie odstępowały chorego nie tracąc się wzajemnie ani na chwilę z oczu, gdyż dramat rozegrał się przecież w małym, pięcio czy sześciopokojowym mieszkaniu.

Otóż niezmiernie charakterystyczny jest fakt, że relacje tych czterech bezpośrednich świadków przeczą sobie wzajemnie prawie w każdym miejscu.

Wedle jednych stan monarchy pogarszał się stale, podług innych car był wesoły, uśmiechnięty, „gdyż czuł się dużo lepiej". Carowa, adiutant i obaj lekarze zgadzają się tylko w jednym punkcie, to jest, że podniecenie nerwowe chorego, który odsuwał lekarstwa, trwało nieustannie: „Dajcie mi spokój z waszymi lekarstwami, moje nerwy są już dostatecznie rozprężone; nie denerwujcie mnie jeszcze bardziej..."

W ten sposób dochodzimy do dnia 23 listopada. Był to dzień kryzysu i odtąd dramat toczył się już w okolicznościach nielogicznych, nieprawdopodobnych i niejasnych.

Car wypocząwszy dobrze poprzedniej nocy „czuł się znacznie lepiej niż wczoraj", co wprawiło doktora Wyllie w „doskonały humor". Aleksander wezwał tego dnia żonę, z którą rozmawiał sam na sam od dziesiątej rano aż do obiadu, to znaczy do godziny czwartej po południu.

Po ukończeniu tej długiej, samotnej rozmowy, której treści nie znamy niestety, Elżbieta pisała do swej matki:

Gdzież można znaleźć wypoczynek w tym życiu? Gdy sądzimy, że wszystko układa się jak najlepiej, nadchodzi nieoczekiwana próba, która nie daje nam zażywać szczęścia, co nas otacza.

Bezpośrednio po wyznaniu tej „nieoczekiwanej próby" carowa przestaje pisać swój dziennik. Skąd ta nagła przerwa?...

Czyż raczej nie należy przypuszczać, że usunięto dalszy ciąg rękopisu? Jest przecież rzeczą znaną, że Mikołaj I rozkazał spalić większość dokumentów, odnoszących się do ostatnich lat swego brata.

Dnia 23 listopada zaszedł jeszcze jeden ciekawy wypadek. Podług pamiętnika księcia Wołkońskiego car miał 21 listopada rozkazać, aby o jego chorobie dano znać wielkiemu księciu Konstantemu, przebywającemu jak zwykle w Polsce. Kilka wierszy dalej adiutant prostuje i poprawia swoją notatkę dodając, że rozkaz zawiadomienia Konstantego wydany był nie 21, lecz 23 listopada.

Dziwne wydaje się to sprostowanie, gdyż właśnie 23 istopada, po owej sześciogodzinnej rozmowie z Elżbietą, Aleksander pisał do swojej matki drugi list, który zniknął bez śladu, a wiemy przecież także o tym, że Mikołaj I zniszczył pamiętniki carowej matki jak również wiele jej papierów.

Jeśli zastanowimy się nad tymi dwoma tajemniczymi listami z 23 listopada, to mimo woli nasuwa się na myśl pewne wspomnienie.

Kiedy Aleksander po raz pierwszy zwierzył się Konstantemu z zamiaru zrzeczenia się przez siebie tronu, to ten otwarcie przyznał, że wcale nie ma chęci objęcia korony. Aleksander mu odpowiedział wtedy:

„Gdy nadejdzie chwila mej abdykacji, to uprzedzę Cię, abyś mógł oznajmić o swym postanowieniu matce".

Potwierdza się w ten sposób, że w ściśle poufnej sprawie sukcesji właśnie cesarzowa Maria trzymała w swym ręku losy synów. Abdykacja Aleksandra, zrzeczenie się Konstantego i wyznaczenie Mikołaja, to fakty, w których przejawia się władza tej kobiety, pełnej w najwyższym stopniu dumy monarszej, kobiety, która o wszyst-

kim wiedziała, wszystko umiała ułożyć, a kto wie, czy właściwie wszystkim nie rządziła.

Raporty lekarskie z 24 i 25 listopada są również najzupełniej sprzeczne ze sobą. Nie podobna zrozumieć, czy Aleksander czuł się znacznie lepiej, czy też gwałtowna gorączka zmuszała do przewidywania katastrofy.

27 listopada o świcie ojciec Fiedotow, archimandryta Taganrogu, udzielił choremu Komunii. W cztery dni później, 1 grudnia o dziesiątej minut pięćdziesiąt rano Aleksander umarł.

Lecz podczas tych czterech ostatnich dni ojciec Fiedotow nie zjawił się już więcej. Czyż można przypuścić, aby pobożny i pełen mistycyzmu Aleksander nie wątpiąc, że jest już w obliczu śmierci, gdyż przyjął ostatnie Sakramenty, nie prosił o powtórne widzenie się z księdzem. Jakże się stać mogło, aby z grona osób, które go otaczały, żadna nie pomyślała o osłodzeniu mu ostatnich chwil przejścia do wieczności przez odmawianie przy jego łożu modlitw za konających, szczególnie dwóch długich litanii błagalnych, które się zwykle czyta, gdy dusza opuszcza ciało „pri razłuczenju duszy od tieła" i które by łagodziły śmiertelny lęk Aleksandra:

„O Panie i Władco Wszechmogący, Ojcze Pana Naszego Jezusa Chrystusa, prosimy Cię i błagamy, uwolnij duszę sługi Twego! Oszczędź mu Twego potępienia! Wybacz mu wszystkie jego grzechy, nawet te, które popełnił w swej młodości i ukrywał wstydliwie".

Czyż wreszcie możliwe było, aby cesarz, samodzierżca Wszechrosji, pomazaniec Boży, głowa i najwyższy opiekun świętej prawosławnej cerkwi, pozbawiony został zupełnie asysty duchowieństwa w chwilach agonii? [1]

[1] Na tym braku stosowania się do zwyczajów przyjętych w liturgii wschodniego kościoła niektórzy historycy opierają romantyczną,

Dnia 2 grudnia, tj. w 32 godziny po śmierci, przystąpiono do sekcji. Przy tej czynności nieprawdopodobieństwa wychodzą coraz bardziej na jaw.

Dziesięciu lekarzy łącznie z wojskowym uczestniczyło przy otwarciu i badaniu zwłok. Na urzędowym protokole sekcji, zachowanym w archiwach państwowych, widnieje aż dziesięć podpisów. Doktor Wyllie natomiast twierdzi, że sam układał powyższy protokół, lecz że wcale go nie podpisał. Tymczasem nazwisko jego widnieje na dokumencie. Świadczy to chyba wyraźnie, że podpis został sfałszowany.

Poważniejszą sprawą jest jeszcze fakt, że anatomiczny opis zwłok nie może się stosować do ciała Aleksandra. Tak więc podług opisu stanu wnętrzności śmierć

---

zresztą nawet i możliwą legendę, która rozpowszechniła się jakieś pięćdziesiąt lat później.

Gdzieś w sierpniu 1825 r. Aleksander miał wysłać do Rzymu jednego ze swych adiutantów, hr. de Beauretour, pochodzącego z Piemontu, z poufną misją do papieża Leona XII.

Zagłębiony w problemach religijnych, powziąć miał podobno wielkoduszną myśl połączenia obu kościołów, wschodniego i zachodniego, oddzielonych schizmą od IX wieku.

W ten sposób okryłby się sławą, że wszystkie dusze chrześcijan złączył pod jednym autorytetem doktryny, o „jednej wierze, jednej łasce i jedynej miłości" wedle słów Chrystusa Pana: „Unum ovile, unus pastor".

Dramat w Taganrogu położył brutalnie koniec temu pobożnemu życzeniu.

Bardzo wątpliwa, a nawet prawdopodobnie zupełnie błędna wersja o misji pana de Beauretour, więcej czy mniej zdeformowana różnymi romantycznymi świadectwami, miała potwierdzić, że Aleksander — ten Aleksander, który tak niedawno bił kornie czołem przed archimandrytą Focjuszem, chciał przejść na łono łacińskiego katolicyzmu.

Drobiazgowe poszukiwania wielkiego księcia Mikołaja Michajłowicza, o których mi nieraz opowiadał, nie pozwalają przypuszczać, żeby Aleksander kiedykolwiek miał zamiar odstąpić od apostolskiego chrystianizmu bizantyjskiego, od rosyjskiego prawosławia.

wynikła nie wskutek malarii, której niezawodną oznaką jest nadmierne powiększenie śledziony, bowiem lekarze stwierdzili, że śledziona miała wygląd normalny.

Sekcja mózgu jest jeszcze mniej wiarogodną. Przyleganie błony mózgowej do ścianek czaszki i inne uszkodzenia mózgu wykazują niezbicie skutki kiły, na którą Aleksander nigdy nie chorował.

Rozbiór poszczególnych faktów, zbieg okoliczności i prawdopodobieństwo zmuszają nas do postawienia zapytania, czy car chcąc w tajemnym celu zniknąć, nie rozkazał, by odegrano po jego pozornej śmierci ponurą komedię, której akt kończył się złożeniem obcego trupa do cesarskiej trumny?

Przy tej hipotezie jednak nastręcza się przecież kilka wątpliwości. Czy jest możliwe, aby po kryjomu można było dostarczyć zwłoki, których rysy i wzrost byłyby identyczne z zewnętrznym wyglądem Aleksandra?...

Jest to wszakże jedyny zarzut, mający pozory słuszności, jaki wysuwają żarliwi wyznawcy tej tezy.

Według jednakże bliżej niezbadanych poszlak, które przecież posiadają pewne cechy prawdopodobieństwa, lekarz szpitala wojskowego doktor Aleksandrowicz miał mieć przypadkowo zwłoki żołnierza z pułku siemionowskiego, zmarłego trzydziestego listopada, który był niezwykle podobny do cara. Tajemniczość, która w tych czasach otaczała prywatne życie monarchów i jeszcze bardziej fakt, że każdy rozkaz woli cesarskiej musiał być bezwzględnie wykonany, tłumaczy możliwość, że doktor Aleksandrowicz, zmuszony przyłożył rękę do podstępu. Czyż w podobne zmowy i oszustwa nie obfituje tragiczna historia rodu Romanowów? Czyż szalbierstwa i kuglarstwa, którymi się wsławił w wieku XX Rasputin, nie posiadają wielu cech pokrewnych?

Drugi zarzut jest tak poważny, że wydaje się wprost niezbity. Aby zapewnić Aleksandrowi możność zniknięcia i utrzymania pozoru śmierci, nie wystarczało postarać się o mniej lub więcej podobnego trupa, trzeba było jeszcze uzyskać bezpośredni i drobiazgowy współudział carowej Elżbiety, księcia Wołkońskiego, lekarza Wyllie i chirurga Tarasowa.

Czyż jest możliwe, aby czuła Elżbieta przyłożyła rękę do zniknięcia małżonka, który wtedy właśnie był szczytem jej miłości i którego zwała jak niegdyś: „Mój ubóstwiany, mój anioł?...“ — Zapewne zdecydowała o tym znana sześciogodzinna rozmowa z 23 listopada, o której wyniku nie wiemy nic, poza słowami listu, który carowa zaraz potem napisała do matki: „Gdy sądzimy, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, nadchodzi nieoczekiwana próba“.

W tym dniu, być może, Aleksander błagał ją w imię ich odrodzonej miłości, aby mu dodała sił i udzieliła pomocy, by mógł ocalić swą duszę poświęcając resztę życia surowej pokucie. Nie jest bynajmniej niedorzecznością sądzić, że Aleksander, o którego męce duchowej wiemy aż nadto dobrze, zwrócił się do niej z podobną prośbą. I wtedy była z góry pokonana; z jednej strony jej żarliwa pobożność i romantyzm myśli, z drugiej zaś upojenia miłosne, w których się lubowała i które ją odurzały od czasu przybycia do Taganrogu, wreszcie tajemny jej niepokój — wszystko to uczyniło ją ślepo posłuszną każdemu żądaniu małżonka.

Poza tym kilka innych faktów później zaszłych pogłębia jeszcze tajemnicę współudziału carowej w dramacie Taganrogu.

Po nabożeństwie żałobnym, gdy orszak ruszył ku północy, pozostała jeszcze cztery miesiące sama w ża-

łobnym domu, gdzie zaznała ostatnich małżeńskich radości; wyglądało to jakby pragnęła uniknąć natrętnych pytań. Gdy nareszcie zdecydowała się opuścić to ustronie dnia 10 maja, to nie wróciła do Petersburga, lecz postanowiła osiąść na wsi, w dawnym zamku Katarzyny II koło Moskwy. Zanim to się stało, na popasie w Bielewie, w drodze do Kaługi umarła nagle 15 maja skutkiem pęknięcia serca!...

Z trzech pozostałych wspólników tym, który kierował tą całą sprawą, był bez wątpienia książę Wołkoński. Najdawniejszy i najserdeczniejszy druh Aleksandra. Łączyło ich nierozdzielnie wspólne przeżycie z przeszłości.

W roku 1801 książę był przecież jednym ze spiskowców, którzy nocą 23 marca dusili Pawła I, gdy na dolnym piętrze Aleksander nie słyszał wycia ofiary, bo udawał, że śpi. Gorliwość, jaką Wołkoński okazał w tej ohydnej tragedii, hojnie została wynagrodzona. Car obsypał go łaskami i bogactwem, mianował go kolejno generał-adiutantem, członkiem Rady Państwa itd. Po tylu nagrodach Wołkoński — naprawdę — nie mógł odmówić swemu władcy niczego!

Doktor Wyllie, „tajny radca i generał-medyk dworu", również zawdzięczał zamachowi z 23 marca początek kariery. Spiskowcy, prawie wszyscy pijani, pastwili się z taką zaciekłością nad Pawłem zasypując go gradem uderzeń pięści, butów i szabel, że nie miano odwagi nikomu pokazać trupa. A jednak było to konieczne, aby utrzymać przekonanie, że syn Katarzyny Wielkiej zmarł na apopleksję. Polecono więc doktorowi Wyllie naprawić uszkodzoną twarz zamordowanego, zeszyć rany i pokryć szminką sińce i znaki paznokci. Ze swego trudnego zadania wywiązał się on znakomicie i odtąd wszędzie to-

warzyszył Aleksandrowi ciesząc się pełnym jego zaufaniem. I jego, podobnie jak Wołkońskiego, przez to wspomnienie tragicznej nocy 23 marca 1801 r. car darzył przyjaźnią jako człowieka, a zaufaniem jako lekarza.

Także chirurg Tarasow był ważnym wspólnikiem, gdyż odegrał niewątpliwie trudną rolę fałszując protokół sekcji. Okazało się, że był głównym organizatorem ponurego dramatu, całej symulacji i podstępu, do jakiego z konieczności musiano się uciec, by umieścić obcego trupa w carskim łożu.

Jeszcze jedną obiekcję można wysunąć, i to nie najmniej przekonywającą.

Podług obrządku prawosławnego zwłoki cara zostały przez kilka dni wystawione z odkrytym obliczem w kościele w Taganrogu, gdzie odprawiano codziennie uroczyste panichidy. Jakże więc być mogło, aby wśród tylu osób, klęczących przed katafalkiem, nie znalazł się nikt, kto by odkrył podstęp?

Czyż każdy zmarły jest zawsze trudny do poznania? Zapewne, nieraz ktoś rzuciwszy okiem na trupa mawia z westchnieniem: „Jak to! To on!... jakże zmieniony!... trudno go poznać!...". Tak było i wtedy.

W sprawie tej istnieje poważne świadectwo dwóch lekarzy francuskich, jednego, który mieszkał stale w Taganrogu, i drugiego, co świeżo przybył z Teheranu. Obydwaj, dyplomowani uczniowie doktora Broussais'go, wielkiego uczonego, ofiarowali swe usługi podczas choroby cara, ale spotkali się z... odmową. Tymczasem poprzednio Aleksander spotkawszy ich kilkakrotnie na mieście, zatrzymywał się z nimi i gawędził, znali więc go doskonale. Gdy jednak zobaczyli zwłoki cara w trumnie, nie mogli pojąć głębokiej zmiany, jaka zaszła w jego wyglądzie i głośno wyrazili zdziwienie, że przy tak niskiej tempera-

turze rozkład ciała do tego stopnia się rozwinął. Zapewne data śmierci tego, którego trup leżał w trumnie, poprzedzała o kilka dni zniknięcie Aleksandra?... Im dalej i głębiej posuwamy śledztwo, tym więcej odkrywamy kłamstw urzędowych.

I jak to zwykle dzieje się w kraju, gdzie opinia publiczna nie ma możności swobodnego sądu, wiele spraw wyraża się w pogłoskach, które się szybko rozchodzą wśród tłumów.

Tak więc i w Taganrogu już od pierwszej chwili poczynają krążyć wśród ludu dziwne wieści:

„Nasz ukochany car żyje!... ktoś inny leży zamiast niego w trumnie!...."

Pogłoski te obiegły wkrótce Rosję, a stwierdzić to można było podczas całej drogi żałobnego orszaku, który wyruszywszy z Taganrogu dnia 10 stycznia 1820 roku szedł przez Charków, Kursk Oreł i Tułę i przybył 15 lutego do Moskwy.

Nieprzeliczone tłumy w głębokim wzruszeniu oczekiwały na Kremlu, gdzie trumna cara została złożona w archangielskim soborze, miejscu spoczynku słynnych carów: Symeona Dumnego, Dymitra Dońskiego, Iwana II Wasiliewicza, Iwana Groźnego oraz pierwszych Romanowów, poprzedników Piotra Wielkiego.

Zdenerwowany tłum zażądał, by mu pokazano zwłoki cara, który był uosobieniem zwycięstwa z roku 1812; chciał się naocznie przekonać, że jest to ciało ich ukochanego Aleksandra Pawłowicza...

Wobec niezrozumiałej odmowy władz tłum wzburzył się tak dalece, że generał-gubernator książę Golicyn zmuszony był użyć wojska a nawet artylerii, aby usunąć go z Kremlu.

W dwa dni później żałobny orszak ruszył w dalszą drogę do Petersburga, a 10 marca przybył do wsi Babina,

oddalonej o dwadzieścia mil od Carskiego Sioła. Był to już przedostatni etap. Niespodziewanie przybyła tam carowa matka, Maria Fiodorówna.

Była sama, nie towarzyszą jej ani nowy car, ani żaden z członków cesarskiej rodziny.

Na jej rozkaz otwarto trumnę. „Ciało okazało się nietknięte", zachowały go zimno i aromatyczne zioła. Maria Fiodorówna spoglądała na zwłoki czas dłuższy, po czym natychmiast odjechała.

Czemu to mimo niezwykle ostrego zimna i podeszłego wieku wybrała się w tak długą i męczącą drogę? Nikt tego nie wie. Niemniej pewne jest, że na kilka dni przedtem otrzymała od księżnej Wołkońskiej, która przybyła do Taganrogu natychmiast po katastrofie, list zawierający wiadomości wielkiej wagi.

Księżna nie wiedząc początkowo, jak poruszyć podobny temat, kończy swoj list następującymi słowami:

Zechce Jej Cesarska Mość znaleźć w tych wierszach mój podziw dla jej cnoty, moją ufność w siły jej ducha i pewność, że nigdy nie wyjawi treści mego listu.[1]

Dnia 13 marca około północy zostało odprawione nabożeństwo żałobne w kościele pałacowym w Carskim Siole.

Czemu Mikołaj I pragnął, aby ten obrzęd odbył się w nocy, tego nikt zrozumieć nie umie. Cała rodzina cesarska przechodziła przed otwartą trumną, a gdy przyszła kolej na Marię Fiodorównę, to ta pochyliła się i uca-

[1] Istnieje bez wątpienia związek pomiędzy tym tajemniczym zwierzeniem a niezwykłą łaską cesarza, jaką książę Wołkoński, poza tym bardzo dobrze ułożony człowiek, nie przestawał się cieszyć u Mikołaja I, który zamianował go niebawem feldmarszałkiem, ministrem dworu i domen państwowych oraz kanclerzem wszystkich cesarskich orderów.

łowała zimne czoło zmarłego, po czym jakby chcąc odpowiedzieć na dręczące pytanie, jakie odgadywała wśród większości obecnych, wyrzekła głosem czystym i dobitnym:

— Ten ci jest mój syn, mój drogi syn, to mój drogi Aleksander!

Dnia 25 marca, w tumanach śniegu, trumnę przeniesiono uroczyście do fortecy św. Piotra i Pawła i złożono ją w sarkofagu na imię Aleksandra Pawłowicza.

* * *

Za panowania Mikołaja I dramat Taganrogu pokrywano milczeniem, aż zapomniano o nim, nikt zresztą nie śmiał wspomnieć o tym, nikt nie miał odwagi zrobić najmniejszej nawet aluzji.

W chwili objęcia tronu nowy car utopił we krwi groźny bunt wojskowy — bunt, który Aleksander przewidywał już od trzech czy czterech lat i który napełnił go odrazą do dalszego sprawowania najwyższej władzy.

W tym tragicznym prologu niewiele nawet brakowało, aby monarchia Romanowów zginęła doszczętnie. Mikołaj przesiąknięty był wtedy bardziej niż kiedykolwiek przekonaniem, że tylko autokratyzm w swej najsurowszej postaci może rządzić Rosją.

Posiadał on żywą i jasną inteligencję, odznaczał się niezmordowaną i systematyczną pracą. Odwagi jego nic nie było w stanie ugiąć, a przy tym miał w sobie wiele poczucia etycznego i szlachetności, toteż dzięki szczęśliwemu łączeniu osobistej prostoty i monarszego majestatu potrafił wkrótce zdobyć wielką powagę tak w oczach swego ludu jak i całej Europy.

Tak było na zewnątrz.

A wewnątrz? — Rosją rządził potężny aparat poli-

cyjny, gnębił i dusił wszelkie objawy rosyjskiego życia. Wydano bezwzględny zakaz wszelkiej, nawet pośredniej krytyki czynności rządu i takiż zakaz, również bezwzględny jakiejkolwiek pochwały lub uznania.

Odnośny przepis cenzury brzmiał: „ani nagana, ani pochwała nie odpowiadają godności rządu i porządkowi publicznemu; należy słuchać i zachować wszelkie uwagi dla siebie"...

Szpiegostwo i denuncjacja kwitnęły wspaniale. W całym tym systemie nawet na krańcach państwa wyczuwało się nieustanne jakieś podniecenie, pośpiech i lęk: azjatycki despotyzm został usztywniony pruskim militaryzmem.

Generał Benckendorf, pewnego rodzaju geniusz inkwizytorski, zaćmił ponurą sławę „Buldoga" Arakczejewa. Nigdy jeszcze katorgi syberyjskie nie były tak pełne bywalców salonów Petersburga i Moskwy. Daleko poza Irkuckiem, w zimnym zabajkajskim kraju, gdzie rtęć tygodniami nie taje, więzienie Czyty mogło się chlubić, że wśród zesłańców wielu nosiło najstarsze i najgłośniejsze nazwiska wielkich rodzin rosyjskich.

Czyż można się dziwić, że pod takim panowaniem słowa „Taganrog" nie można było bezkarnie wymówić, skoro lękano się nawet wymawiać słowo „Syberia", bo trybunały skazywały na zesłanie „do bardzo odległych miejscowości".

* * *

Dopiero w trzydzieści dziewięć lat po zniknięciu Aleksandra tajemnica jego śmierci ponownie zaciekawiła i roznamiętniła umysły.

Dnia 1 lutego roku 1864 w okolicach Tomska umarł w aureoli świętości „starzec", stary pustelnik syberyjski. Zwał się Fiodor Kuźmicz.

Wiadomo o nim tyle, że przez długie lata błądził po kraju uralskim idąc od cerkwi do cerkwi, zwiedzając klasztory i święte miejsca pełne tłumów pielgrzymich. Przemierzył potem stepy, lasy i bezkresne tajgi, co rozpościerają się między Obem a Jenisejem.

W roku 1858 osiedlił się kilka mil od Tomska, gdzie pewien mieszczanin, handlarz złota, przyjął go pod swój dach.

Wyniosłej postawy, barczysty, niezwykle prosty w obejściu, pełen godności, wywoływał przesadne uwielbienie. Mówił niechętnie, czy to dlatego, że może uczynił ślub milczenia, a może i dlatego, że słyszał źle... Ale dziwne słowa, które od czasu do czasu mimo woli wymykały mu się z ust, czyniły wrażenie, że bywał niegdyś na cesarskim dworze. Wspominał też rok 1812, wojnę francuską i wkroczenie do Paryża; wówczas nagle jakiś błysk zapalał się w jego oczach.

Wielka schludność jego osoby i ubogiej celi wzbudzały mniemanie, że musiał niegdyś przebywać wśród wielkiego świata, że otoczony był zbytkiem. Przypisywano mu też kilka cudów, co potwierdzała żarliwa pobożność, oraz dar odgadywania przyszłości, a w pewne dni z izby, którą zajmował, unosiła się słodka woń.

Bajano też, że pewien stary żołnierz, udający się do nerczyńskiej katorgi wraz z grupą skazańców, stanął jak wryty na jego widok i poruszając się automatycznie w ukłonie wojskowym, wykrzyknął: „Ależ to nasz car najukochańszy! To cesarz nasz Aleksander Pawłowicz!...".

W ten sposób powoli snuła się przedziwna legenda koło postaci syberyjskiego pustelnika: — Aleksander I nie umarł w Taganrogu, lecz zrzekł się wszelkich ziemskich zaszczytów i ukrywał się pod maską Fiodora Kuźmicza, aby pracować tylko nad zbawieniem swej duszy.

Powyższa legenda stała się źródłem natchnienia wielu dzieł, traktujących o tym ciekawym temacie. Kilku historyków, spośród najpoważniejszych i wyznających zasadę ścisłej krytyki, uważa tę legendę za prawdziwą, a ten spomiędzy nich, który najsumienniej zgłębił tę sprawę, książę Włodzimierz Bariatyński, pisał niedawno:

Jestem najgłębiej przekonany, że Aleksander I umarł w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym w osobie Fiodora Kuźmicza.

Główny historyk Aleksandra I, wielki książę Mikołaj Michajłowicz, który otrzymał od swego cesarskiego siostrzeńca Mikołaja II pozwolenie na zbadanie tajnych archiwów rodziny Romanowów, początkowo uznał identyczność Fiodora Kuźmicza i Aleksandra Pawłowicza, ale potem odwołał swe przypuszczenia na skutek bardziej powierzchownych niż przekonywających motywów, co bez wątpienia było skutkiem jakiegoś rozkazu z góry.[1]

Czyżby więc było prawdą, że Aleksander zniknąwszy w tajemnicy z Taganrogu spędził swe ostatnie dni życia na Syberii jako pustelnik?

Zwolennicy tej opinii przytaczają na jej obronę cały szereg faktów, anegdot, przypuszczeń i ciekawych okoliczności, które powyższą legendę czynią mniej lub więcej prawdopodobną; pozostawiają jednak zbyt dużo miejsca na niepewność i spory.

W obecnym stanie badań skłonić się raczej można do przekonania, że sprawa Fiodora Kuźmicza nie ma nic

[1] Gdy byłem ambasadorem w Rosji, serdeczne stosunki, jakie utrzymywałem z wielkim księciem Mikołajem Michajłowiczem, pozwoliły mi kilkakrotnie na sprowadzenie rozmowy na temat Fiodora Kuźmicza. Za każdym razem miałem wrażenie, że słowa wielkiego księcia, tak zawsze śmiałe i stanowcze, w tych wypadkach nie zdradzały zwykłej swobody.

wspólnego z dramatem, który miał miejsce w Taganrogu. Anormalny żywot tego pobożnego włóczęgi mógł być również dobrze udziałem jednego z tych niezliczonych pustelników, którzy istnieją poza porządkiem społecznym, natchnionych proroków, mesjanicznych apostołów, żyjących tylko myślą o pokucie i skrusze, rozmaitych zasuspendowanych księży, nieposłusznych mnichów, wreszcie zbiegłych więźniów, dla których step syberyjski był zawsze ziemią obiecaną.

* * *

Skoro musimy ograniczyć się do hipotez, to jest jeszcze jedna, która opierając się na zupełnie odmiennych podstawach wydaje się dużo bardziej pociągająca.

Podobno nie na Syberii, lecz w jednym z klasztorów w Palestynie schronił się Aleksander na resztę dni swego życia. Jacht pewnego angielskiego lorda miał przybyć po niego do Taganrogu.

Tłumaczyłoby to wreszcie fakt, że na pobyt zimowy dla chorej carowej zdecydowano się na wybór portu, tak pełnego wichrów, do którego rzadko tylko zawijali żeglarze. Lord ten, posiadający tytuł margrabiego, wcale nie był byle kim, przeciwnie jego potomkowie wybili się niejednokrotnie na najwyższe stanowiska polityczne.

Poza tym dziś wiemy na pewno, że sarkofag Aleksandra jest tylko nagrobkiem. Gdy w marcu 1826 roku trumna przybyła do Carskiego Sioła, pozostawała przed uroczystym pogrzebem przez osiem dni w szpitalu wojskowym w Cześmie. Podczas tych ośmiu dni car Mikołaj poznawszy, że nie są to zwłoki brata i nie mogąc pozwolić na uchybienie własnej godności, kazał, w celu ocalenia prestiżu swej dynastii, złożyć uroczyście pustą trumnę w grobach rodziny Romanowów.

W czterdzieści lat później, w roku 1865 doszły do cara Aleksandra II te dziwne pogłoski, jakie krążyły w społeczeństwie rosyjskim po śmierci syberyjskiego pustelnika Kuźmicza. Według wszelkiego prawdopodobieństwa car nie znał tajemnicy Taganrogu, gdyż w owej epoce liczył zaledwie sześć lat; nie można zatem nawet przypuścić, aby jego ojciec, tak srogo przestrzegający tajemnicy, wyjawił mu tę ponurą tragedię.

Nakazał jednak otwarcie grobu, co wykonano nocą w obecności hr. Adlerberga, ministra dworu cesarskiego; i oto okazało się, że trumna umieszczona w sarkofagu cesarskim była pusta, usunięto ją zatem z grobowca przed zamknięciem.

Wszyscy biorący udział w tej czynności, żołnierze oraz murarze, pouczeni należycie przez popa, przysięgli na ewangelię i krucyfiks, że dochowają tajemnicy; zapewne groźba Syberii, lęk przed piekłem syberyjskim, uchroniły ich znakomicie przed złamaniem przysięgi.

Aleksander III, wiedziony podobną ciekawością jak jego ojciec rozkazał również otwarcie sarkofagu. Badania, którym przewodniczył senator Anatol Fiedorowicz Koni, wykazały, że wspaniały marmurowy grobowiec jest pusty. Wiadomo również z dobrego źródła, że Mikołaj II nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Tak więc nawet poza swym ziemskim życiem, które składało się z tylu sprzeczności, paradoksów i dziwactw, Aleksander I pozostał nadal zagadką.

Wielki poeta Puszkin określił jednym zdaniem historię tej niezgłębionej duszy: „Sfinks, którego się nie da odgadnąć nawet poza grobem".

Koniec.

w Kielcach
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA

RYCINY

wedle wyboru Józefa Konopki

1. Aleksander I.
2. Car Paweł I i Maria Teodorówna.
3. Carowa Elżbieta Aleksiejewna.
4. Spotkanie Aleksandra I z Napoleonem na Niemnie w Tylży.
5. Aleksander I — Cesarz Wszechrosji, Król Polski.
6. Wielka Księżna Katarzyna Pawłówna.
7. Książę Adam Czartoryski.
8. Maria z ks. Czetwertyńskich Naryszkin.
9. Baronowa Julia Krüdener.

670

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
Biblioteka Główna
Zł 271942

Biblioteka WSP Kielce
0263006